

ALISTAIR MACLEAN

Goodbye Kalifornio!

(Przekład : Tadeusz Markowski)

Przedmowa

Ziemia zadrżała 9 lutego 1972 roku, dokładnie o piątej pięćdziesiąt dziewięć i czterdzieści sekund. W porównaniu z innymi wstrząsami, ten trudno było określić jako wart uwagi. Z pewnością nie był poważniejszy niż wstrząsy nawiedzające Tokio i jego okolice dziesiątki razy w roku. Zatrzęsły się wiszące lampy, kilka niestarannie postawionych na półkach przedmiotów spadło na ziemię, ale były to jedyne dające się zauważyć efekty przechodzącej fali. Wtórny wstrząs, o wiele słabszy, nastąpił dwadzieścia sekund później. W rezultacie było to więc zdarzenie nie warte uwagi, ale pamiętne, przynajmniej dla mnie, gdyż było to pierwsze trzęsienie ziemi, jakie przeżyłem. Uczucie, że ziemia pod stopami zaczyna się ruszać, należy do szczególnie bulwersujących przeżyć.

Epicentrum wstrząsu znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od mojej siedziby, więc następnego dnia pojechałem obejrzeć to miejsce. Miasteczko Sylmar leży kilka kilometrów na północ od Los Angeles w Dolinie San Fernando, w Kalifornii, oczywiście. Widać było liczne uszkodzenia budynków, ale żadne nie było poważne, z wyjątkiem jednego. Najsilniej bowiem został dotknięty Rządowy Szpital Weteranów. Przed trzęsieniem stały tam równoległe do siebie trzy budynki. Dwa zewnętrzne stały nadal, na pozór zupełnie nietknięte. Natomiast środkowy zawalił się jak domek z kart, został całkowicie zniszczony. Ani jeden element jego konstrukcji nie ostał się w stanie nienaruszonym. Ponad sześćdziesięciu pacjentów poniosło śmierć.

Dziwne, że tak znaczne szkody spowodował wstrząs o znikomej sile. Moc trzęsienia ziemi określa się według skali Richtera od zera do dwunastu stopni. Trzeba pamiętać, że siła trzęsienia ziemi, mierzona skalą Richtera, rośnie nie arytmetycznie, ale logarytmicznie. Tak więc sześć stopni według Richtera odpowiada wstrząsowi dziesięciokrotnie silniejszemu niż siła pięciu lub stukrotnie silniejszemu niż siła czterech stopni. Trzęsienie ziemi, które zniszczyło budynek szpitala w Sylmar miało siłę sześciu i trzech dziesiątych w skali Richtera. To zaś, które zniszczyło San Francisco w 1906 roku, odpowiadało wówczas sile ośmiu i trzech dziesiątych stopnia (lub, jak kto woli, siedmiu i dziewięciu dziesiątych we współczesnej, zmodyfikowanej skali). Tak więc wstrząs w Sylmar miał zaledwie jeden procent skutecznej mocy trzęsienia w San Francisco. Jest to, być może, uspokajająca informacja, ale dla osób o nadmiernie rozwiniętej wyobraźni i ona może być przerażająca.

Bardziej jednak przerażający może być fakt, że nigdy nie zarejestrowano wielkiego - choć określenie "wielkie" oznacza każdy wstrząs o sile ponad osiem stopni - trzęsienia ziemi w pobliżu jakiegokolwiek miasta. Z wyjątkiem budzącego grozę trzęsienia ziemi w

północnych Chinach w czerwcu 1976 roku, kiedy to, według nigdy nie potwierdzonych przez stronę chińską szacunków, w mieście Taughsan i jego okolicach zginęło siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Prawo wielkich liczb mówi jednak, że trzęsienia ziemi nie zawsze występowały w nie zamieszkanym lub mało zaludnionym okolicach. I jeżeli ktoś nie chowa głowy w piasek, to musi zdać sobie sprawę z tego, że jest to zjawisko bardzo prawdopodobne także dzisiaj.

Użyto tu określenia "prawdopodobne", ponieważ prawo wielkich liczb zostało w tym wypadku wzmocnione obserwacją, że trzęsienia ziemi najczęściej występują na wybrzeżach kontynentów i wysp. A właśnie tam, ze względu na dogodny położenie handlowe i komunikacyjne, powstało sporo wielkich miast świata. Tokio, Los Angeles czy San Francisco - to tylko trzy przykłady takich miast.

I nie w tym dziwnego. Przyczyny występowania trzęsień ziemi oraz wybuchów wulkanów nie budzą już zasadniczych kontrowersji geologów. Naukowcy ustalili, że w niewyobrażalnie odległej przeszłości zjawisko pojawiania się lądów przebiegało w ten sposób, że najpierw utworzył się jeden superkontynent, a ze wszystkich stron otaczał go jeden superocean. Z upływem czasu, z przyczyn wciąż jeszcze niezbyt dokładnie poznanych, nastąpił podział tego tworu na kilka kontynentów, z których każdy unosił się na swojej płycie tektonicznej, pływającej na wciąż roztopionej magmie tworzącej jądro Ziemi. Owe płyty tektoniczne od czasu do czasu zderzają się i ocierają o siebie. Na skutek owych zderzeń powstają fale przenoszące się ku powierzchni, które powodują wybuchy wulkaniczne lub właśnie trzęsienia ziemi.

Większa część stanu Kalifornia znajduje się na Płycie Północno-Amerykańskiej, która, choć porusza się na zachód, nie jest tak naprawdę najgroźniejszą płytą tektoniczną. Prawdziwym nieszczęściem Kalifornii jest fakt, że pozostała jej część znajduje się na Płycie Północnego Pacyfiku, która, niestety, wciąż obija się o Chiny, Japonię i Filipiny. Począwszy od miejscowości San Andreas na zachód rozciąga się właśnie ów nieszczęsny obszar. Płyta Północnego Pacyfiku nieco się obraca i jej ruch poniżej terenu Kalifornii odpowiada ruchowi w kierunku północno-zachodnim. Kiedy napięcia na styku obu płyt stają się zbyt silne, wtedy następuje ich rozładowanie w kierunku właśnie północno-zachodnim, wzdłuż tzw. Uskoku San Andreas, co wywołuje trzęsienia ziemi, którymi kalifornijczycy niezbyt się już przejmują.

Rozmiar tych uskoków zależy głównie od wielkości wstrząsu. Czasami może się nawet zdarzyć, że nie wystąpi żadne boczne przesunięcie. Innym razem może ono mieć rozmiar trzydziestu czy sześćdziesięciu centymetrów. Ale mimo ogromnych konsekwencji

takiego założenia nie możemy przecież odrzucać możliwości zaistnienia bocznego przesunięcia rzędu kilkunastu metrów.

Prawdę mówiąc, w tej dziedzinie wszystko jest możliwe. Aktywna sfera sejsmiczna i wulkaniczna otaczająca Pacyfik znana jest jako tak zwany Pierścień Ognia. Uskok San Andreas stanowi jego integralną część. W obrzeżach tego właśnie Pierścienia Ognia wystąpiły dwa najbardziej monstrualne trzęsienia ziemi, jakie kiedykolwiek zarejestrowano w historii: w Japonii i Ameryce Południowej. Oba miały siłę rzędu ośmiu i dziewięciu dziesiątych stopnia w skali Richtera. Kalifornia nie może sobie rościć większego prawa do boskiej opieki niż pozostałe części Pierścienia Ognia i należy liczyć się z tym, że następne monstrum tektoniczne - powiedzmy sześć razy silniejsze niż wstrząs w San Francisco - nastąpi, założmy, w San Bernardino, skutecznie strącając miasto Los Angeles do oceanu. A przecież skala Richtera ma dwanaście stopni!

Trzęsienia ziemi występujące na Pierścieniu Ognia mają jeszcze jedną cechę - mogą występować zarówno jako wstrząsy podwodne, jak i podziemne. W tym pierwszym przypadku powstaje olbrzymia fala przyływu. W roku 1976 miasto Mindanao na Filipinach zostało zatopione i kompletnie zniszczone, grzebiąc w wodzie tysiące istnień ludzkich. Do tej tragedii doszło w wyniku trzęsienia ziemi, którego epicentrum znajdowało się w stożkowo uformowanej Zatoce Moro. Na skutek wstrząsu powstała pięciometrowa fala przyływu, która zatopiła całe wybrzeże. Taki właśnie podwodny wstrząs u brzegów San Francisco mógłby zdewastować Zatokę Kalifornijską i prawdopodobnie nie oszczędziłby miasta Sacramento i San Joaquin, które leżą w dolinach.

Jak się rzekło, bezpośrednią przyczyną wstrząsów tektonicznych jest właśnie owa wędrownicza natura płyt tektonicznych. Ale są również dwie inne prawdopodobne przyczyny mogące wywołać trzęsienie ziemi.

Pierwszą z nich jest promieniowanie słoneczne. Wiadomo przecież, że siła i zawartość wiatru słonecznego znacznie się zmienia, i to w sposób zupełnie nie dający się przewidzieć. Wiadomo również, że może on znacznie wpłynąć na strukturę chemiczną naszej atmosfery, co z kolei może rzutować na przyspieszenie lub hamowanie rotacji Ziemi. Jest to zjawisko prawie niewykrywalne, bo mierzalne jedynie w setnych częściach sekundy, ale przecież może ono wpływać (tak mogło się zdarzyć w przeszłości) na nie zakotwiczone płyty tektoniczne.

Wiele teorii naukowych stwierdza, że wpływ grawitacji różnych planet oddziałuje na Słońce, modulując owe wiatry słoneczne. Jest to o tyle bardziej interesujące, że w 1982 roku nastąpi rzadkie, liniowe ułożenie planet Układu Słonecznego. Jeżeli ta teoria,

nazwana Efektem Jowisza (od tytułu książki napisanej przez doktorów Johna Gribbina i Stephena Plagemanna), jest prawdziwa, to owe ułożenie liniowe planet wywoła niebywałą aktywność Słońca, co z kolei będzie miało niebagatelny wpływ na prędkość obrotu Ziemi. Tak więc naukowcy oczekują nadejścia roku 1982 z wielkim zainteresowaniem i nie mniejszą obawą.

Drugim potencjalnym sprawcą trzęsienia ziemi może być człowiek. Od zarania ludzkości człowiek bezmyślnie i na oślep ingerował w procesy natury i nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek owych ingerencji zaniechał. Gatunek, który najpierw modlił się do sił natury, a potem poznał i wykorzystał jej najgłębsze tajemnice, wieńcząc to dzieło bombą wodorową, zdolny jest do wszystkiego. Sam pomysł kontrolowania przez człowieka trzęsień ziemi - za pomocą kontrolowanych wybuchów - nie jest nowy, przeprowadzono już bowiem tego typu doświadczenia. Na nieszczęście (choć było to oczywiście nieuniknione) jednocześnie pojawiła się idea, aby wykorzystać ten pomysł jako interesującą innowację w przyszłej wojnie jądrowej. Myśl ta na tyle głęboko zawładnęła niektórymi ludźmi, że podpisano już międzynarodowe umowy, poparte szczerymi przysięgami, zabraniające używania broni jądrowej w sposób zagrażający środowisku naturalnemu, na przykład przez skażenie atmosfery czy też wywołanie fali przyływu.

Istnienie tych umów posłuży, oczywiście jedynie przyspieszeniu gorączkowych prac nad pełnym wykorzystaniem wszelkich możliwości owych "broni, o których nawet nie wolno myśleć". Zajmą się tym zwłaszcza supermocarstwa. Wystarczy przypomnieć sobie, co wynikło z podpisania słynnego traktatu SALT, który spowodował natychmiastowe zdwojenie wysiłków przez naukowców obu stron w poszukiwaniu odpowiednika "złotego Graala", co zaowocowało rozwojem nowych i coraz bardziej przerażających środków zagłady wielkich mas ludzkich. Podpisanie nic nie znaczących skrawków papieru nie usunie przecież cętek ze skóry leoparda.

Oprócz jednak zastosowań czysto wojennych pomysł ten można również wykorzystać w innych celach. I o tym właśnie jest ta książka.

Rozdział I

Ryder otworzył oczy i niechętnie sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Słucham?

- Mówi porucznik Mahler. Przyjeżdżaj natychmiast. Razem z synem.

- Co się stało?

Porucznik przywiązywał na ogół wielką wagę do tego, by podwładni zwracali się do niego per "sir", ale w przypadku sierżanta Rydera poddał się wiele lat temu. Ryder rezerwował ten sposób zwracania się dla osób, które považał; ale żaden z jego przyjaciół czy znajomych nie usłyszał nigdy tego słowa z jego ust.

- Nie przez telefon - odparł Mahler.

Z drugiej strony linii słuchawka spoczęła na widelkach. Ryder z ociąganiem podniósł się, włożył marynarkę i zapiał środkowy guzik, by ukryć smitha and wesson, kaliber 38, który tkwił przy lewym boku, w miejscu, gdzie Ryder kiedyś miał talię. Nadal ociągając się, jak tylko może ociągać się człowiek, który skończył właśnie dwunastogodzinną służbę, obrzucił pokój spojrzeniem - perkalikowe zasłonki, pokrowce na fotele - różne drobiazgi i wazony pełne kwiatów - wszystko to świadczyło o tym, że sierżant Ryder nie jest kawalerem. Wszedł do kuchni i z żalem chłonąc aromaty płynące z garnka, wyłączył kuchenkę. Następnie dopisał: "Wyszedłem do miasta" - na kartce z instrukcją, kiedy i przy jakiej temperaturze powinien przekręcić odpowiednie pokrętło - co było szczytem umiejętności kulinarnych, jaki zdołał osiągnąć podczas dwudziestu siedmiu lat małżeństwa.

Samochód zaparkowany był na podjeździe. W czymś takim żaden szanujący się policjant nie chciałby zostać zastrzelony. To, że Ryder był właśnie szanującym się policjantem, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Ale jako wywiadowca miałby niewielki pożytek z błyszczącej limuzyny ze świetlnym napisem "Policja" i migającymi światłami. Jego samochód - nazwany tak z braku lepszego określenia - był starym i poobijanym peugeotem w rodzaju tych, jakie uwielbiają paryżanie o sadystycznych skłonnościach, z przyjemnością obserwujący, jak kierowcy lśniących limuzyn zwalniają i zjeżdżają na bok za każdym razem, gdy we wstecznym lusterku dostrzegą taki zabytkowy rydwan.

Cztery bloki od swego domu Ryder zaparkował, przeszedł po wyłożonej płytami ścieżce i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzył młody mężczyzna.

- Wkładaj mundur, Jeff - powiedział Ryder. - Wzywają nas.

- Oby? Po co?

- Zgadnij. Mahler nic nie chciał powiedzieć.

- To przez te seriale kryminalne, które ogląda w telewizji. Jeśli nie jest się tajemniczym, to jest się kompletnym zerem.

Jeff zniknął, by dwadzieścia sekund później wrócić w zawiązanym bez zarzutu krawacie. Dopiął mundur.

Ojciec i syn tworzyli szczególnie kontrastową parę. Sierżant Ryder wyglądał jak ciężarówka pamiętająca lepsze dni. Wymięta marynarka i pozbawione kantu spodnie sprawiały wrażenie, jakby ich właściciel sypiał w ubraniu przez cały tydzień. Ryder mógłby rano kupić sobie nowy garnitur, a już wieczorem handlarz starzyzną, aby uniknąć spotkania, przeszedłby na drugą stronę ulicy na sam jego widok. Miał gęste czarne włosy i także wąsy, a z jego znużonej i pomarszczonej twarzy patrzyły oczy, które w ciągu życia ich właściciela widziały za dużo i nie zdołały polubić tego, co zobaczyły.

Jeff Ryder był o parę centymetrów wyższy i o wiele szczuplejszy. Nieskazitelny mundur Kalifornijskiej Policji Drogowej wyglądał na nim, jakby został uszyty na miarę przez znany dom mody. Odziedziczone po matce jasne włosy i niebieskie oczy rozświetlały twarz żywą, ruchliwą i inteligentną. Tylko jasnowidz mógłby odgadnąć, że Jeff jest synem sierżanta Rydera.

Po drodze zamienili tylko dwa zdania.

- Matka wciąż jeszcze nie wróciła - powiedział Jeff. - Czy ma to jakiś związek z tym wezwaniem?

- Zgadnij.

Centralny komisariat policji mieścił się w obskurnym ceglany budynku, który od dawna nadawał się tylko do rozbiórki. Wyglądał tak, jakby został specjalnie zaprojektowany po to, aby psychicznie złamać licznych złoczyńców, którzy wchodzili lub byli wciągani w jego progi. Dyżurny, sierżant Dickson, obrzucił ich poważnym spojrzeniem, które zresztą nie znaczyło nic szczególnego. Sama bowiem natura pełnionej przez niego służby wykluczała wszelką skłonność do niefrasobliwości. Wykonał ręką gest pełen zniechęcenia i oznajmił:

- Jego eminencja czeka.

Porucznik Mahler wyglądał równie odpychająco jak budynek, w którym urzędował. Był wysoki, miał przyprószone siwizną skronie, wąskie wargi niezdolne do uśmiechu, cienki, orli nos i oczy pozbawione wszelkich emocji. Nikt go nie lubił, bo zasłużył sobie na reputację służbisty. Ale też nikt nie żywił do niego nienawiści, gdyż był lojalny i raczej znał się na swojej robocie. "Raczej" - bo Mahler nie uginał się pod nadmiarem rozumu, a swoją

obecną pozycję osiągnął po części dlatego, że stanowił model bezwzględnej obrońcy prawa, a częściowo dlatego, że jego nieskazitelna uczciwość nie stanowiła najmniejszego zagrożenia dla zwierzchników.

Teraz, co zdarzało się rzadko, wydawał się nieswój. Ryder wyciągnął zmiętą paczkę swoich ulubionych gauloise'ów i zapalił ten zakazany tutaj owoc. Awersja Mahlera do wina, kobiet, śpiewu i tytoniu była prawie patologiczna.

- Coś nie gra w San Ruffino?

Mahler przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Skąd wiecie? Kto wam to powiedział?

- A więc to prawda. Nikt mi nic nie mówił. Żaden z nas nie złamał ostatnio prawa. W każdym razie nie zrobił tego mój syn. Co do mnie, to i tak nic nie pamiętam.

- Zdziwiacie mnie, sierżancie - Mahler pozwolił swojej zgryźliwości wziąć górę nad skrepowaniem.

- Jak nigdy wzywa nas pan razem; a parę rzeczy nas łączy. Po pierwsze, jesteśmy ojcem i synem, co policji, o ile wiem, nie interesuje. Po drugie, moja żona, a matka Jeffa, pracuje w elektrowni atomowej w San Ruffino. Nie zdarzył się tam przecież żaden wypadek, bo w parę chwil wiedziałoby o tym całe miasto. Może napad?

- Tak - głos był niemal nienawistny.

Nie był zachwycony tym, że przypadła mu rola zwiastuna nieszczęścia, ale też, jak każdy, nie lubił, żeby mówiono za niego.

- Nic dziwnego! - ton Rydera był zupełnie rzeczowy, a z jego zachowania Mahler mógłby wnioskować, że rozmawiają o pogodzie. - Służby specjalne w tej elektrowni są do niczego. Napisałem raport w tej sprawie, pamięta pan?

- Został przekazany odpowiednim władzom. Ochrona elektrowni nie jest sprawą policji. To sprawa IAEA.

Miał na myśli Międzynarodową Agencję Energii Atomowej, która - między innymi - powinna nadzorować systemy ochronny zakładów atomowych, a zwłaszcza zabezpieczenia przed kradzieżą paliwa jądrowego.

- O Boże! - Jeff nie tylko nie odziedziczył po ojcu aparycji, ale był również pozbawiony jego zdolności absolutnego opanowania. - Idźmy po kolei, poruczniku. Czy moja matka jest cała i zdrowa?

- Tak przypuszczam. Powiedzmy, że nie mam powodów, aby myśleć inaczej.

- Co, to do diabła, ma znaczyć?

Mahler zrobił minę, jakby miał zamiar przywołać Jeffa do porządku, lecz sierżant Ryder był szybszy.

- Porwanie?

- Obawiam się, że tak.

- Porwana? - zdumiał się Jeff. - Dlaczego? Jest tylko sekretarką dyrektora. Nie ma zielonego pojęcia o tym, co się tam dzieje. Nie ma nawet klauzuli utajnienia.

- To prawda. Ale proszę sobie przypomnieć, że została wyznaczona do tej pracy, chociaż o nią nie prosiła. Żony policjantów powinny być jak żona Cezara: ponad wszelkim podejrzeniem.

- Ale dlaczego porwano właśnie ją?

- Porwali, o ile dobrze rozumiem, nie tylko ją. Wzięli również pół tuzina innych osób: zastępcę dyrektora, zastępcę szefa służby bezpieczeństwa elektrowni, jeszcze jedną sekretarkę, operatora z sali kontroli... Co ważniejsze, nawet jeśli wy jesteście innego zdania, zabrali również dwóch profesorów, którzy właśnie dzisiaj wizytowali elektrownię. Obaj są najwyższej klasy fachowcami w zakresie fizyki jądrowej.

- To daje razem pięciu specjalistów od fizyki jądrowej, którzy zniknęli w ciągu ostatnich dwóch miesięcy - odezwał się Ryder.

- Tak jest. Pięciu - Mahler wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie.

- Skąd oni byli? - spytał Ryder.

- Z San Diego i chyba z Uniwersytetu UCLA. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem. Może już być za późno.

- Co to ma znaczyć, sierżancie?

- Jeśli mają rodziny, to powinny się one znaleźć natychmiast pod opieką policji.

Mahler najwyraźniej nie nadążał za jego myślami.

- Jeśli zostali porwani, to w określonym celu, a do tego potrzebna jest ich współpraca. Czy nie współpracowałby pan o wiele chętniej, gdyby widział pan kogoś, kto obcęgami wyrywa po kolei paznokcie pańskiej żonie?

Najprawdopodobniej z powodu braku żony myśl ta nie wpadła wcześniej do głowy porucznika, ale też myślenie nie było jego najmocniejszą stroną. Trzeba jednak przyznać, że gdy już zrozumiał w czym rzecz, to nie tracił czasu. Następne dwie minuty spędził przy telefonie.

- Jedźmy tam wreszcie - Jeff był najwyraźniej zniecierpliwiony, a jego głos, choć cichy, był wyraźnie naglący.

- Spokojnie! Nie denerwuj się. Czas pośpiechu już minął. Może nadejść znowu, ale teraz w niczym nam pośpiech nie pomoże.

W milczeniu poczekali, aż Mahler odłoży słuchawkę.

- Kto zawiadomił pana o porwaniu? - spytał Ryder.

- Ferguson. Szef ochrony elektrowni. Miał wolny dzień, ale jego dom jest podłączony do systemu alarmowego San Ruffino. Natychmiast się tam udał.

- Co zrobił? Przecież on mieszka pięćdziesiąt kilometrów stąd, w górach. Tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Dlaczego nie zatelefonował?

- Bo jego linia została przecięta.

- Ale ma przecież w samochodzie policyjny nadajnik!

- Którym też się zaopiekowano. Po drodze do elektrowni są trzy budki telefoniczne. Jedna z nich znajduje się w warsztacie naprawy samochodów. Właściciel i mechanik zostali zamknięci w garażu.

- Ale system ochrony elektrowni jest połączony również z pańskim biurem.

- Był.

- Robota z wewnątrz?

- Ferguson zadzwonił do mnie dwie minuty po przybyciu do San Ruffino.

- Są ranni?

- Nie. Ani śladu przemocy. Cały personel zamknęli w jednym pokoju.

- Czyli mamy pytanie za milion dolarów.

- Kradzież paliwa nuklearnego? Według Fergusona trzeba trochę czasu, żeby to ustalić.

- Jedzie pan tam?

- Oczekuję gości - Mahler nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego.

- Założyłbym się, że tak będzie. Kto tam jest.

- Parker i Davidson.

- Chcemy się do nich przyłączyć.

Mahler zawahał się, a po chwili zapytał wymijająco:

- Spodziewacie się odkryć coś, czego oni nie zauważą? To znakomici fachowcy. Sami to mówiliście.

- Cztery pary oczu widzą więcej niż dwie. No i chodzi tu o moją żonę, a matkę Jeffa. Lepiej więc niż oni wiemy, jak mogła się zachować w takiej sytuacji. Może uda nam się dostrzec coś, co mogło ująć uwagi Parkera i Davidsona.

Mahler podparł rękoma brodę i wpatrywał się ponuro w stół. Istniały duże szanse, że jakąkolwiek decyzję podejmie, zdaniem jego zwierzchników będzie do decyzja niewłaściwa. Wybrał więc kompromis, nie mówiąc nic. Ryder skinął głową i wraz z Jeffem opuścili pokój.

Wieczór był piękny, cichy i bezwietrzny. Kiedy Ryder i jego syn przekraczali bramę elektrowni San Ruffino, zachodzące słońce kreśliło matowo złoty szlak na horyzoncie ponad Pacyfikiem. Elektrownię zbudowano nad samą zatoką San Ruffino, gdyż jak wszystkie siłownie atomowe potrzebowała ogromnych ilości wody, około czterech milionów litrów na minutę, aby utrzymać rdzeń reaktora w optymalnej temperaturze. Żadna miejska sieć nie byłaby w stanie zapewnić takich ilości wody.

Dwa reaktory były pokryte masywnymi, śnieżnobiałymi kopułami, pięknymi w swej prostocie, a zarazem groźnymi i ponurymi, jeśli ktoś pragnął je za takie uważać. Z pewnością były imponujące. Każda miała wysokość dwudziestopięciopiętrowego wieżowca, średnicę około pięćdziesięciu metrów i metrowej grubości ściany z betonu zbrojonego największymi prętami zbrojeniowymi produkowanymi w USA. Między tymi budowlami - zawierającymi również cztery generatory parowe wytwarzające energię elektryczną - stał przysadzisty budynek, mieszczący turbogeneratory, skraplacze i odsalacze.

Od strony plaży stała sześciopiętrowa budowla, zwana, nie wiadomo dlaczego, budynkiem pomocniczym, długa na osiemdziesiąt metrów, mieszcząca sterownię obu reaktorów, centrum kontrolno-pomiarowe oraz bardzo skomplikowany system kontrolny, zapewniający bezpieczeństwo elektrowni i ochronę okolicznej ludności przed skutkami jej pracy.

Do budynku, z obu jego stron, przylegały dwa mniejsze skrzydła. Ich funkcja była równie ważna i delikatna jak praca samych reaktorów. Mieściły się tam magazyny paliwa rozszczepialnego. Do zbudowania elektrowni trzeba było zużyć prawie milion metrów sześciennych betonu i prawie pięćdziesiąt tysięcy ton stali. Godny uwagi był fakt, że cały ten skomplikowany system obsługiwało zaledwie osiem osób, głównie pracownicy ochrony.

Dwadzieścia metrów przed bramą wjazdową Ryder został zatrzymany przez umundurowanego wartownika uzbrojonego w pistolet maszynowy. Wartownik nie był zbyt groźny, gdyż nawet nie zsunął z pleców swojej broni. Ryder wychylił głowę przez okno.

- Co to? Dzień otwarty dla wszystkich? Wstęp bezpłatny dla każdego?

- Aaa, sierżant Ryder! - niski mężczyzna, mówiący z wyraźnym irlandzkim akcentem, próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko przykry grymas. - Trochę za późno na zamykanie drzwi do stajni. Konie wybiegły. Poza tym czekamy na przedstawicieli prawa. I to w ilościach hurtowych.

- Którzy będą zadawać aż do znudzenia te same głupie pytania, jak ja zaczęę czynić za chwilę. Rozchmurz się, Johnny. Dopilnuję, żeby nie zapudłowali cię za zdradę stanu. Miałeś wtedy służbę?

- Chyba za jakieś grzechy. Przykro mi z powodu pana żony. - Ryder skinął głową. - Współczuję panu, ale pan niech mi nie współczuje. Złamałem przepisy. Jeżeli istnieje gdzieś w pobliżu odpowiednie drzewo, to powinno się mnie na nim powiesić. Nie powinienem wylazić ze swojego pudełka.

- Dlaczego? - spytał Jeff.

- Widzicie to szkło? Nawet Bank Amerykański nie ma takiego. Może pocisk z magnum 44 dałby sobie z nim radę, choć w to wątpię. - Mam u siebie mikrofon i głośnik, pod ręką przycisk alarmowy, a pod nogą pedał, którym mogą zdetonować pięć kilogramów gelenitu, powodując taki wybuch, że nawet czołg by się zniechęcił. Mina jest zakopana pod asfaltem w miejscu, w którym zatrzymują się wyjeżdżające pojazdy. Ale stary bałwan McCafferty musiał otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz.

- Dlaczego?

- Nie ma gorszego idioty niż stary idiota - oto dlaczego. Spodziewaliśmy się właśnie o tej porze furgonetki. Znalazłem na biurku notatkę, w której było to napisane. Furgonetki do transportu paliwa nuklearnego, która miała przyjechać z San Diego. Ten sam kolor, ta sama tablica rejestracyjna, taki sam strażnik, te same mundury.

- Krótko mówiąc, ta sama furgonetka. Porwana. Ale skoro zadali już sobie trud, żeby nią zawładnąć, dlaczego nie zaczekali, aż będzie pełna?

- Przyjechali tu nie tylko po paliwo.

- No tak! Poznałeś kierowcę?

- Nie. Ale przepustkę miał w porządku i fotografię w przepustce też.

- Poznałbyś go?

McCafferty zmarszczył brwi jak człowiek, który podejmuje wielki wysiłek umysłowy.

- Na pewno bym rozpoznał tę cholerną czarną brodę i takie same wąsy, teraz leżące na śmietniku. Nie zdążyłem nawet zauważyć, kto jest głównym macherem, ledwie rzuciłem okiem, a boczne drzwi otworzyły się i już byli na dole. Nawet nie wiem, ilu ich było.

Wszyscy mieli maski z czarnych pończoch. Nic więcej nie widziałem. Byłem zbyt zajęty patrzyeniem na to, co przytargali ze sobą: pistolety, obrzynki, a jeden miał nawet bazookę.

- Bazookę?

- Zapewne po to, by wysadzić w powietrze pancerne drzwi z elektronicznym zamkiem.

- Tak przypuszczam, ale nie padł ani jeden strzał - od początku do końca. To byli zawodowcy. Dobrze wiedzieli, co robić, dokąd pójść, na co uważać. Załadowali mnie do środka i związali, zanim zdążyłem zamknąć usta.

- Musiał to być dla ciebie niezły szok - stwierdził Ryder. - A potem?

- Jeden z nich wszedł do mojej budki. Łajdak miał irlandzki akcent. Przysiągłbym, że słyszę własny głos. Podniósł słuchawkę i wywołał Carltona - to numer dwa w ochronie - Ferguson miał dzisiaj wolne. Powiedział, że ciężarówka już jest i poprosił o pozwolenie otwarcia bramy. Nacisnął guzik, poczekał, aż furgonetka przejedzie i zamknął bramę. Sam wlaźł przez furtkę i wszedł do furgonetki, która czekała na niego.

- I to wszystko?

- Wszystko, co wiem. Byłem z nimi cały czas - nie miałem zresztą innego wyboru - do końca całej imprezy. Potem zamknęli mnie razem z pozostałymi.

- Gdzie jest Ferguson?

- W północnym skrzydle.

- Pewnie sprawdza, czego mu brakuje. Powiedz mu, że przyjechałem.

McCafferty wszedł do budki, powiedział coś krótko przez telefon i po chwili ukazał się znowu.

- W porządku.

- Nie było żadnych komentarzy?

- Zabawne pytanie. Powiedział: "Boże, jakbyśmy mieli jeszcze mało kłopotów".

Ryder uśmiechnął się blade i odjechał.

Ferguson, szef ochrony elektrowni, przyjął ich w swym biurze uprzejmie, ale bez cienia entuzjazmu. Wiele miesięcy upłynęło od chwili, gdy przeczytał cierpki raport Rydera dotyczący ochrony w San Ruffino, ale Ferguson miał dobrą pamięć. Fakt, że ów raport był w najwyższym stopniu precyzyjny i że on sam, Ferguson, nie miał ani odpowiedniej władzy, ani funduszków, żeby spełnić zalecenia Rydera, nie miał dla niego żadnego

znaczenia. Był to niski, dobrze zbudowany mężczyzna o czynnych oczach i chronicznie zatroskanej twarzy. Odłożył słuchawkę telefonu i nawet nie próbował podnieść się zza biurka.

- Przyszedł pan, sierżancie, żeby sporządzić kolejny raport? - starał się być zgryźliwy, ale w jego głosie brzmiała tylko niepewność. - Znów przysporzyć mi kłopotów?

- Ani mi to w głowie - odparł łagodnie Ryder. - Jeśli pańscy zaślepieni zwierzchnicy widzą świat przez różowe okulary i odmawiają panu niezbędnej pomocy, to ich wina, a nie pana.

- Ach tak?! - w głosie brzmiało zaskoczenie, ale twarzy Fergusona nie opuszczała nieufność.

- Panie Ferguson, tą sprawą jesteśmy zainteresowani osobiście - odezwał się Jeff.

- Jest pan synem sierżanta? - Jeff skinął potakująco głową. - Przykro mi z powodu pańskiej matki, choć to chyba niewiele panu pomoże.

- Znajdował się pan wtedy prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd. Nic pan nie mógł poradzić - stwierdził uprzejmie Ryder.

Jeff spojrzał na ojca z obawą. Wiedział, że uprzejmy Ryder jest potencjalnie najgroźniejszy, ale wydawało mu się, że tym razem nie ma powodów do niepokoju.

- Spodziewałem się zastać pana w skarbcu przy liczeniu łupu, który zagarnęli nasi przyjaciele.

- To do mnie nie należy. Nigdy nie zbliżam się do tych cholernych magazynów, chyba że sprawdzam system alarmowy. Nie wiem nawet, co tam trzymają. Zajmuje się tym sam dyrektor i jego asystenci.

- Można się z nim zobaczyć?

- Po co? Dwóch waszych ludzi, nie pamiętam ich nazwisk...

- Parker i Davidson.

- Możliwe. Już z nim rozmawiali.

- No właśnie. Wtedy też liczył straty?

Ferguson wyciągnął rękę w stronę telefonu. Porozmawiał pełnym szacunku głosem z kimś po drugiej stronie linii, a potem zwracając się do Rydera powiedział:

- Właśnie kończy. Mówi, że za chwilę tu będzie.

- Dziękuję. Czy napad mógł być zorganizowany przez kogoś stąd?

- Stąd? Sądzi pan, że mógłby być w to zamieszany ktoś z moich ludzi...? - Ferguson obrzucił Rydera podejrzliwym spojrzeniem. W czasie napadu znajdował się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od elektrowni; mógł więc uważać, że sam jest poza wszelkimi

podejrzeniami. Chociaż równie dobrze, gdyby był w to zamieszany, to w momencie włamania z pewnością powinien być pięćdziesiąt kilometrów stąd. - Nie rozumiem. Dziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi nie potrzebuje żadnej pomocy z wewnątrz!

- Jak więc mogli przejść przez drzwi zamykane systemem elektronicznym i przemknąć się niezauważalnie obok fotokomórek?

Ferguson westchnął. Poczul się pewniej.

- Spodziewaliśmy się ciężarówki, która miała zabrać paliwo. Przyjechała o ustalonej godzinie. Strażnik zawiadomił Carltona o jej przybyciu i Carlton wyłączył wszystkie urządzenia blokujące drzwi.

- Powiedzmy. Ale jakim cudem nie pogubili się wśród tych korytarzy? To prawdziwy labirynt.

- Nic łatwiejszego - Ferguson poczul się jeszcze pewniejszy. - Myślałem, że pan o tym wie.

- Człowiek uczy się przez całe życie. Niech mi pan to wyjaśni.

- Aby zapoznać się z planem pierwszej lepszej elektrowni atomowej, nie ma najmniejszej potrzeby przekupywania kogoś z jej pracowników. Nie ma nawet potrzeby wkradania się na teren zakładu w fałszywym mundurze czy kombinowania fałszywych odznak, nie mówiąc o używaniu siły. Nie trzeba nawet zbliżyć się do elektrowni, by poznać szczegóły jej położenia, dokładne umiejscowienie zapasów uranu i plutonu, a także dokładny czas dostarczania i odbierania ładunków paliwa nuklearnego. Wystarczy udać się do czytelni biblioteki publicznej przy Komisji Energii Atomowej przy 1717 H Street w Waszyngtonie. Taką wyprawę uznałby pan za niezwykle pouczającą, sierżancie Ryder, zwłaszcza gdyby pragnął się pan włamać do którejś z nich.

- To chyba kiepski dowcip.

- Bardzo kiepski. Szczególnie dla kogoś, kto - jak ja - jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego rodzaju zakładu. Znajdzie pan tam szczegółowy wykaz wszystkich prywatnych urządzeń atomowych w tym kraju. Jest tam również zawsze gotów do pomocy urzędnik - wiem, co mówię, bo byłem tam - który na życzenie wręczy panu parę ton dodatkowych dokumentów. Znajdują się tam informacje, które uważam, i wiele osób podziela moje zdanie, nie tylko za poufne, ale nawet za tajne, a dotyczące wszystkich elektrowni atomowych, z wyjątkiem tych, którymi bezpośrednio zarządza administracja. Ma pan całkowitą rację. To żart, ale jakoś ani mnie, ani wielu innych wcale on nie śmieszy.

- Musieli tam do reszty zgłupieć!

Przesadą byłoby stwierdzenie, że sierżant Ryder osłupiał. Okazywanie gwałtownych reakcji było zupełnie obce jego naturze, ale nie było najmniejszej wątpliwości, że słowa Fergusona zbiły go z tropu. Ferguson zaś miał minę grzesznika w za ciasno zapiętej włosienicy.

- Udostępniają tam nawet kserograf, żeby móc zrobić fotokopie interesujących dokumentów.

- Chryste! I rząd na to pozwala?

- Pozwala? Wspiera swoim autorytetem. Ustawa o energii atomowej z poprawką z 1954 roku stwierdza, że każdy obywatel, obojętne, czy maniak, czy nie, ma prawo uzyskania informacji o prywatnym wykorzystaniu materiałów nuklearnych. Sądzę, że będzie pan musiał, sierżancie, poddać rewizji pańską teorię o zamachu zorganizowanym przez ludzi z elektrowni.

- To nie była teoria, tylko pytanie. Tak czy owak, może pan przyjąć, że już dokonałem tej rewizji.

W tym momencie wszedł do pokoju doktor Jablonsky, dyrektor elektrowni. Był to tęgi, opalony mężczyzna, o wspaniałych, siwych włosach. Mógł mieć może sześćdziesiąt - siedemdziesiąt lat, ale wyglądał o wiele młodziej. Zazwyczaj roztaczał wokół siebie aurę poczciwości i wesołości. W tej akurat chwili nie roztaczał niczego podobnego.

- Do wszystkich, wszystkich, wszystkich diabłów - mamrotał. - Dobry wieczór, sierżancie. Szkoda, że nie spotykamy się w przyjemniejszych okolicznościach. Odkąd to policja wysłała ludzi ze służby ruchu do prowadzenia... - spytał, przyglądając się podejrzliwie Jeffowi.

- To mój syn - Ryder uśmiechnął się lekko. - Mam nadzieję, że nie podziela pan powszechnie panującego przekonania, że drogówka może aresztować jedynie na autostradzie. Mają prawo aresztować każdego, w każdym miejscu, na terenie całego stanu Kalifornia.

- Boże! Mam nadzieję, że nie zamierza mnie aresztować - Jablonsky przyglądał się Jeffowi sponad szkieł bez oprawki. - Zapewne martwi się pan o swoją matkę, młodzieńcze, ale nie widzę żadnego powodu, żeby miało jej się stać coś złego.

- Ja natomiast nie widzę żadnego powodu, żeby nie miało jej się stać coś złego - przerwał Ryder. - Słyszał pan o jakimś porwanym, któremu naprawdę nic się nie stało? Bo ja nie.

- Jeszcze za wcześnie na pogrózki.

- Niech mi pan da trochę czasu. Gdziekolwiek by pojechali, zapewne nie dotarli jeszcze na miejsce. A jak tam wyniki pańskiej kontroli?

- Złe. Mamy zmagazynowane trzy grupy nuklearnego paliwa: uran 238, uran 235 i pluton. Jak pan zapewne wie, uran 238 inicjuje każdą reakcję jądrową. Nie raczyli go zabrać ani odrobiny. To zupełnie jasne.

- Dlaczego?

- Bo jest to materiał nieszkodliwy - doktor Jablonsky poszperał w kieszeni swojej białej bluzy i wydobył z niej zupełnie naturalnym ruchem sporo kulek nie większych od pocisków kalibru 38. - Oto U-#238. No, prawie. Zawiera jakieś trzy procent U-235. Jest to więc uran, jak to się mówi, odrobinę wzbogacony. Żeby uruchomić reakcję łańcuchową, trzeba go cholernie dużo. Dopiero wtedy otrzymujemy temperaturę potrzebną do zamiany wody w parę, która obraca turbiny wytwarzające elektryczność. Tutaj, w San Ruffino, musimy zgrupować sześć i trzy czwarte miliona takich małych kulek, a zatem dwieście pięćdziesiąt w każdym z czterometrowych prętów, stanowiących serce reaktora, by go uruchomić. Uznajemy, że jest to optymalna masa krytyczna reakcji jądrowej, która jest kontrolowana chłodzeniem wielkimi ilościami zimnej wody; aby zahamować ten proces, wystarczy opuścić pręty baru między rurki z uranem.

- A co by się stało - zapytał Jeff - gdybyście nagle nie mieli wody i nie mogli posłużyć się prętami baru? Bum?

- Nie, ale rezultat i tak byłby wystarczająco tragiczny: chmury radioaktywnego gazu spowodowałyby śmierć tysięcy ludzi i zatruiłyby dziesiątki, a może tysiące kilometrów kwadratowych terenu. Ale nic takiego dotychczas się nie zdarzyło i ryzyko jest znikome: jeden do pięciu miliardów, według naszych szacunków. Tak więc specjalnie się taką ewentualnością nie przejmujemy. Natomiast eksplozja jądrowa jest niemożliwa. W tym celu trzeba by dysponować uranem 235 o ponad dziewięćdziesięcioprocentowej czystości; takim, który spuściliśmy na Hiroszimę. To dopiero jest prawdziwe paskudztwo. W tamtej bombie było go jakieś sześćdziesiąt kilo, ale była to robota tak toporna - praktycznie z epoki kamiennej w atomistyce - że rozszczepiło się tylko dwadzieścia pięć uncji, co i tak wystarczyło do zniszczenia miasta. Od tego czasu zrobiliśmy spore postępy, że się tak wyrażę. Teraz Komisja Energii Atomowej przyznaje sama, że wystarczy pięć kilogramów - stanowi to tak zwany punkt zapalny, wystarczający, aby spowodować wybuch. Komisja jest dość konserwatywna w swych teoriach - w środowisku uczonych jest tajemnicą poliszynela, że da się to zrobić przy użyciu mniejszej ilości.

- Nie ukradziono U-238 - odezwał się Ryder - powiedział pan zresztą, że to zrozumiałe. Czy nie mogliby go ukraść i przetworzyć w U-235?

- Nie. Uran w stanie naturalnym zawiera sto pięćdziesiąt atomów U-238 na każdy atom U-235. By z pierwszego z nich wyłuskać drugi, trzeba rozwiązać problem, który prawdopodobnie należy do najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek stanęły przed człowiekiem. Chodzi tu o proces zwany dyfuzją gazów; niezwykle skomplikowany, tak kosztowny, że prywatnie nikt nie byłby w stanie za niego zapłacić, i niemożliwy do przeprowadzenia w ukryciu. Koszt takiego przedsięwzięcia oblicza się w dzisiejszych czasach na trzy miliony dolarów. Nawet dziś zasadę działania tego procesu zna bardzo niewielu - ja jej nie znam. Wiem tylko, że potrzeba do niego tysięcy superczułych membran, tysięcy kilometrów rur, tub oraz takiej ilości energii, jaką zużywa średnie miasto. Sam zakład zajmuje ładnych kilkaset hektarów i trzeba wózka akumulatorowego, aby się po nim poruszać. Żadna prywatna grupa, obojętnie jak bogata i zdeterminowana, nie może nawet marzyć o zbudowaniu czegoś takiego. My mamy trzy takie zakłady, a żaden nie znajduje się w tym stanie, Brytyjczycy i Francuzi - po jednym, Rosjanie - nie mamy danych, a Chiny budują coś takiego w Lang-Chow w prowincji Kansu. Można również oddzielić U-235 od U-238 w wirówce o ogromnej szybkości, wówczas U-238 zostaje wyrzucony na zewnątrz, gdyż jest minimalnie cięższy od U-235. Ale żeby uzyskać niezbędne jego ilości, trzeba by dysponować setkami tysięcy wirówek, a to kosztowałoby tyle, że włos się na głowie jeży. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek to robiono. W tym przypadku nie wiadomo nawet, czy jest to w ogóle możliwe. Zakładając, że tak, nie da się wykluczyć, iż mała grupka ludzi zdołałaby wyprodukować uran 235 w taki sposób, by nikt tego nie zauważył, ale musieliby to być fizycy wyspecjalizowani w fizyce jądrowej - i to fizycy najwyższej klasy. Po co zresztą stawiać sobie te bezsensowne pytania, skoro wystarczy najspokojniej w świecie udać się do magazynu materiałów rozszczepialnych i ukraść te cholerne materiały gotowe do użycia, tak jak to uczyniono dzisiejszego popołudnia.

- W jakiej postaci --235 jest magazynowany? - zapytał Ryder.

- W dziesięciolitrowych stalowych butlach, z których każda zawiera siedem kilogramów U-235; bądź w postaci tlenku, bądź też w postaci metalu. Tlenek to bardzo drobny, ciemny pył, a metal - małe kawałki, które nazywamy połamanymi guzikami. Każda butla umieszczona jest w cylindrze o średnicy ośmiu centymetrów, który jest przyspawany za pomocą podpórek metalowych w środku zwykłej stalowej beczki o pojemności dwustu

litrów. Nie muszę chyba dodawać, że butle nie stykają się ze sobą we wnętrzu beczki, bo błyskawicznie rozpoczęłyby się reakcja.

- I tym razem byłoby bum? - zainteresował się ponownie Jeff.

- Jeszcze nie. Tylko ogromne promieniowanie o bardzo paskudnych skutkach w odległości wielu kilometrów. Beczka z zawartością waży około pięćdziesięciu kilogramów, jest więc łatwa w transporcie. Takie beczki nazywają klatkami na ptaki, ale - Bóg mi świadkiem - nie wiem dlaczego - w niczym nie przypominają klatki na cokolwiek.

- Jak się to przewozi? - spytał Ryder.

- Na dalsze odległości - samolotem. Ale gdy w grę wchodzi niezbyt długa trasa, to normalnie...

- Normalnie?

- Pierwszą lepszą ciężarówką - wtrącił głosem pełnym gorczy Ferguson.

- Ile takich klatek zawiera przeciętny ładunek?

- Porwana przez nich ciężarówka z San Diego może zmieścić ich dwadzieścia.

- Siedemdziesiąt kilo uranu?

- Dokładnie.

- Człowiek może sobie z tego zrobić niezłą kolekcję bomb atomowych. A tak poważnie: ile beczek zabrali?

- Dwadzieścia.

- Coraz gorzej. Pełny ładunek?

- Tak.

- I nie ruszyli plutonu?

- W momencie kiedy cały personel elektrowni był już obezwładniony, ale jeszcze zanim został zamknięty, kilku pracowników słyszało odgłos drugiego silnika, Diesla. Jakiś ciężki wóz. Prawdopodobnie duży. Nikt go nie widział.

Zadzwoił telefon. Ferguson podniósł słuchawkę i słuchał w milczeniu, wtrącając jedynie parę razy słowa "Kto?", "Kiedy?" i "Gdzie?", po czym odłożył słuchawkę.

- Coraz więcej złych wieści? - zapytał Jablonsky.

- Nie wiem, czy to cokolwiek zmienia. Odnaleziono porwaną ciężarówkę. Oczywiście pustą, jeśli nie liczyć kierowcy i strażnika, leżących z tyłu i związanych jak prosiaki. Wyjaśnili, w jaki sposób dokonano porwania. Jechali za jakąś inną ciężarówką, należącą do przedsiębiorstwa przewozu mebli, tuż za zakrętem tamten samochód zahamował tak gwałtownie, że prawie na niego wpadli. Tylne drzwi budy otworzyły się, a kierowca i strażnik zdecydowali się grzecznie pozostać w bezruchu na swych miejscach. Stwierdzili, że

nie mają ochoty do podejmowania jakichkolwiek działań. Zupełnie naturalny odruch, jeśli zważyć, że widzieli dwa karabiny maszynowe i bazookę w odległości niecałych dwóch metrów od przedniej szyby!

- To zupełnie zrozumiały odruch - przyznał Jablonsky. - Gdzie ich odnaleziono?

- Na terenie kamieniołomów, na bocznej drodze.

- Tę drugą ciężarówkę też?

- Skąd pan wie, sierżancie?

- Sądzi pan, że przeładowaliby swój łup do samochodu, który można zidentyfikować? Mieli w rezerwie inną ciężarówkę, pustą - po czym zwrócił się do Jablonsky'ego: - Skoro już pan zaczął o tym plutonie...

- Jest to materiał interesujący i jeśli ktoś byłby fanatykiem bomby, znacznie łatwiej mógłby wyprodukować broń atomową z niego niż z uranu. Ale wymaga to odrobinę większej wiedzy i większego doświadczenia. Trzeba nawet uciec się do usług specjalisty od fizyki jądrowej.

- Czy porwany fizyk jądrowy zapewniłby te usługi?

- Co proszę?

- Przestępcy uwięzili dzisiejszego popołudnia dwóch profesorów przebywających tu z wizytą, czyż nie tak? Jeśli się nie mylę, przybyli oni z San Diego i z Los Angeles.

- Profesor Burnett i doktor Schmidt? Pańska hipoteza jest po prostu śmieszna. Znam ich obu bardzo dobrze, to ludzie wielkiej prawości i honoru i za nic w świecie nie współpracowaliby ze zbrodniarzami, którzy ukradli materiały rozszczepialne.

Ryder głęboko westchnął.

- Doktorze Jablonsky, żywię dla pana głęboki szacunek, więc poprzestanę na stwierdzeniu, że ma pan szczęście prowadzić życie dalekie od wszelkiego zagrożenia. Powiada pan, że są to ludzie z zasadami? Ludzie honoru?

- Ponieważ nawzajem się szanujemy, sierżancie, ograniczę się do stwierdzenia, że kiedy coś mówię, to nie muszę na ogół powtarzać.

- Są to, jak sądzę, ludzie, którym nie obce jest współczucie?

- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

- Bandyci porwali moją żonę i jedną z maszynistek...

- Julie Johnson.

- Kiedy nasi mili porywacze zaczną je przepuszczać przez maszynkę do mięsa, to - jak pan myśli - co zwycięży u pańskich kolegów: ich wspaniałe zasady czy współczucie?

Jablonsky nie odpowiedział, ale wyraźnie zbladł. Ferguson chrząknął sceptycznie. Jest to czynność wymagająca długiej praktyki, ale miał solidny trening.

- A ja zawsze myślałem, sierżancie, że cierpi pan na brak wyobraźni! To jednak trochę naciągana hipoteza.

- Doprawdy? Pańskim zajęciem, jako szefa ochrony, jest sprawdzanie wszystkich obiegających się tu o pracę. Ta Julie, co pan o niej wie?

- Utrzymuje się z pisania na maszynie. Dzieli małe mieszkanie z dwiema innymi dziewczynami. Nic nadzwyczajnego. Ma starego volkswagena. Rodzice nie żyją.

- Nie jest to więc milionerka, która pracuje, bo się nudzi?

- Milionerka?! Jej stary był ogrodnikiem.

Ryder wpatrywał się przez moment w twarz Jablonsky'ego.

- Dobrze. Proszę więc sobie policzyć. Płaca maszynistki, płaca sierżanta policji, płaca funkcjonariusza służby ruchu. Niech pan to wszystko zsumuje. Wyobraża pan sobie, że ci ludzie spodziewają się uzyskać milion dolarów za każdą z pań? A może myśli pan, że zabrali je, żeby mieć na co patrzeć wieczorem, kiedy już namajstrują się przy materiałach rozszczepialnych?

- Maszynka do mięsa - podjął po chwili. - A więc ten pluton...

- Boże drogi, człowieku, nie ma pan żadnych uczuć?!

- Wszystko we właściwym czasie. Teraz trochę myślenia i informacji może przynieść więcej pożytku.

- Może - przyznał Jablonsky z wyraźnym wysiłkiem, jak człowiek, którego rozum stara się przekonać serce, że to wszystko ma sens. - Pluton. Pluton-239, mówiąc ściśle, jest właśnie tym materiałem, którym posłużono się, aby zniszczyć Nagasaki. Jest to produkt syntetyczny. Nie występuje w stanie naturalnym i my, Kalifornijczycy, mamy ten zaszczyt, że wyprodukowaliśmy go pierwsi na świecie. Jest to materiał niewiarygodnie toksyczny. Ukąszenie kobry to w porównaniu z nim drobnostka. Gdyby był dostępny w postaci aerozolu - nikomu dotychczas nie udało się zbadać, jak by można zrealizować taką kombinację, ale prędzej czy później dojdą do tego - człowiek dostałby do ręki broń nieopisanie śmiertelnością. Dwa małe prysznice na salę wypełnioną tysiącami ludzi i wszystko, czego potem potrzeba, to parę tysięcy trumien. Pluton to produkt uboczny rozszczepiania uranu w reaktorze. Pozostaje po procesie rozszczepienia w prętach uranu. Te pręty wydobywa się i tnie na kawałki.

- Kto je tnie? Nie paliłbym się do tego zajęcia.

- Rzecz nie polega na tym, czy chce się to robić, czy nie. Jeden przecięty pręt i po panu. Jest to, oczywiście praca zdalnie kierowana. Gilotyny działają na odległość w sali, którą nazywamy kanionem. Sympatyczna, mała salka o ścianach grubości metra i równie grubych oknach. Nikt nie chciałby się w niej znaleźć. Skrawki uranowych prętów rozpuszczane są w kwasie azotowym, a później przechodzą ługowanie pod działaniem rozmaitych odczynników chemicznych, by pluton został oddzielony od uranu i innych zbędnych produktów ubocznych.

- Jak się przechowuje ten pluton?

- W postaci azotanu plutonu w butlach z nierdzewnej stali o pojemności około dziesięciu litrów, wysokich na metr dziesięć i o średnicy prawie dziesięciu centymetrów. Stanowi to dwa i pół kilograma czystego plutonu. Te butle są jeszcze łatwiejsze do przewożenia niż klatki z uranem i jeśli zachowuje się odrobinę ostrożności, ryzyko jest minimalne.

- Ile takich butli trzeba, żeby wyprodukować bombę?

- Nikt tego nie wie dokładnie. W teorii przyjmuje się, że można wyprodukować broń atomową wielkości papierosa, ale obecnie jest to nie do zrealizowania. Komisja Energii Atomowej podaje, że trzeba dwóch kilogramów, żeby zapoczątkować mechanizm rozszczepiania, ale te dane są prawdopodobnie bardzo zawyżone. Z całą pewnością kobieta może przenieść w torebce ilość plutonu wystarczającą do wyprodukowania bomby.

- Od tej chwili będę inaczej patrzył na damskie torebki. A więc dziesięciolitrowy flakon wystarczy do wyprodukowania bomby?

- Z łatwością.

- Dużo tu tego macie?

- O wiele za dużo. Niektóre przedsiębiorstwa prywatne zgromadziły go więcej niż trzeba, by wyprodukować tyle bomb atomowych, ile istnieje obecnie na całym świecie.

Ryder, zapalając gauloise'a, trawił tę informację.

- Czy powiedział pan dokładnie to, co myślę, że pan powiedział?

- Tak.

- I co mają zamiar począć owe przedsiębiorstwa z nagromadzonym plutonem?

- Same zadają sobie to pytanie. Półokres rozpadu plutonu wynosi około dwudziestu sześciu tysięcy lat. Oznacza to, że jego radioaktywność będzie śmiertelna jeszcze za sto tysięcy lat. Jak pan widzi, przekazujemy naszym pra-prawnukom piękny spadek. Jeśli, oczywiście, ludzkość będzie jeszcze za sto tysięcy lat istniała, w co nie wierzą ani

ekonomiści, ani ekolodzy, ani filozofowie. Ludzie roku stutysięcznego będą przeklinać swoich przodków, którzy żyli trzy tysiące pokoleń wcześniej. Pan sobie to wyobraża?

- Będą musieli sobie z tym poradzić bez mojego udziału. Moją troskę budzi obecne pokolenie. Czy po raz pierwszy skradziono z elektrowni atomowej ładunek rozszczepialnego paliwa?

- O Boże, z całą pewnością nie! Jest to, prawdę mówiąc, pierwsze włamanie, o jakim słyszałem, ale były z pewnością inne, które udało się utajnić. Jesteśmy w tej materii bardzo dyskretni, bo ten problem stanowi nasz słaby punkt. Znacznie bardziej niż Europejczycy, którzy przyznają otwarcie, że ich elektrownie były wielokrotnie atakowane przez terrorystów...

- Niech pan nie kluczy, niech pan mu powie, jak sprawy stoją naprawdę - przerwał Ferguson znużonym głosem - kradzieże plutonu są na porządku dziennym. Wiem o tym, a dyrektor Jablonsky wie to równie dobrze jak ja. Biuro Ochrony Nuklearnej - to taki pies łańcuchowy Komisji Energii Atomowej - wie o tym jeszcze lepiej niż my wszyscy, choć wykazuje niezrównaną dyskrecję. Aczkolwiek dyrektor tej instytucji przyznał podczas jednego z posiedzeń podkomisji Kongresu, że pół procenta wyprodukowanego plutonu znika z wykazów. Nie wydawał się jednak zbyt przejęty tą sprawą. Zresztą, cóż to takiego pół procenta, zwłaszcza gdy rzuca się tę liczbę bardzo szybko? Akurat tyle, żeby wyprodukować wystarczającą liczbę bomb do wymazania Stanów Zjednoczonych z mapy świata - ot i wszystko. Amerykańska opinia publiczna, która okazuje ślepe zaufanie swoim przywódcom, nigdy się o tym nie dowie. Gdyby się dowiedziała, mogłaby wybuchnąć panika. Władze twierdzą, że dokonanie kradzieży przez pracowników jest niemożliwe, gdyż system zabezpieczeń działa doskonale. Bzdury. Z kanionu wychodzą rurki do pobierania próbek. Nic łatwiejszego niż odlać sobie trochę do flaszki. A jeżeli przekupi się strażnika, który pilnuje monitorów, to można wynieść o wiele większe ładunki.

- Zdarzało się to już?

- Rząd podle opłaca wszystkich pracowników niewykwalifikowanych. Dlatego jest tyle przekupnych glin. Nie obrazi się pan chyba za to?

- Nie obrażę. A więc to jest jedyny sposób? Trzeba to ukraść. Ktoś to już zrobił wcześniej?

- Oczywiście, ale i o tym się nie mówi. Ot, choćby w 1964 roku, gdy Chińczycy przeprowadzili pierwszą próbę z własną bronią. Wszyscy znający się na rzeczy byli pewni, że Chińczycy nie mieli wystarczającej wiedzy, aby oddzielić U-235 od zwykłego uranu. Nie rąbnęli tego Rosjanom, bo w Rosji ich nie lubią. My ich natomiast kochamy. Zwłaszcza w

Kalifornii. Największe skupisko Chińczyków za granicą znajduje się właśnie w San Francisco. Ich studenci przyjmowani są na nasze uniwersytety z otwartymi rękoma. Dla nikogo więc nie jest tajemnicą, w jaki sposób Chiny doszły do bomby atomowej.

- Mówi pan nie na temat.

- Bo jestem zgorzkniały. Musieli więc skądś wziąć gotowy towar. Krótco po wybuchu odkryto brak sześćdziesięciu kilogramów U-235 w wytwórni paliwa nuklearnego w Appollo w Pensylwanii. Kolejny zbieg okoliczności? Nikt nikogo o nic nie oskarżył. Ten towar tu zniknie, gdzie indziej się pojawi, ale przecież nie wyparowuje. Kumpel z elektrowni na Wschodnim Wybrzeżu przyznał mi się kiedyś, że nie mogli się u siebie doliczyć stu dziesięciu kilogramów uranu U-235. Ale to wszystko to dziecinada.

- Dlaczego?

- Bo to czysty idiotyzm. I na dodatek zupełnie zbędny. Gdyby pan chciał zdobyć okazały ładunek, to co by pan zrobił?

- Pozwoliłbym załadować ciężarówkę i porwałbym ją wraz z ładunkiem.

- Właśnie. Część zakładów, co prawda, przewozi takie ładunki w ten sposób, że do ich porwania potrzebny jest szesnastokołowiec i dźwig, ale większość robi tak jak my. Byle osiłek podniesie taką beczkę. Wielu naukowców publicznie już pytało nas, dlaczego nie zadzwonimy na Kreml i nie poprosimy Armii Czerwonej o pomoc w transporcie. Oni przynajmniej wiedzą, jak się do tego zabrać. Ładunek przewozi u nich transporter opancerzony, a dwa inne chronią go z przodu i z tyłu.

- To czemu my tego nie robimy?

- Wciąż ta sama śpiewka. Żeby nie straszyć ludzi. Bo byłoby to niedobre dla sprawy. Nasz transport jest tak kiepski, że lepiej o nim nie mówić. Wszyscy więksi przewoźnicy dobrze to wiedzą i są do nieprzytomności przerażeni możliwymi skutkami. Ale i oni, i ich kierowcy nic na to nie poradzą. W tym interesie wszyscy kradną. Oblicza się, że na drogach naszego kraju ginie dziennie około dwóch procent przewożonych towarów, z czego osiemdziesiąt pięć procent to kradzieże dokonywane przez samych kierowców. Towarzystwa ubezpieczeniowe płacą odszkodowanie nawet na podstawie samej skargi, bo mają to wkalkulowane w stawki, niemilościwie z tego powodu zawyżane.

- Czy był już jakikolwiek przypadek porwania ładunku nuklearnego na drodze?

- Porwania nie zdarzają się na drogach, a jeśli już, to rzadko. Zazwyczaj odbywa się to na postojach lub punktach transferowych. Kierowca Jones odwiedza miejscowego ślusarza i zamawia nowy zestaw kluczyków do wozu, które daje Smithowi. Następnego dnia zatrzymuje się na lunch w określonym miejscu, dokładnie zamyka drzwi i udaje się na

swego ulubionego hamburgera z frytkami. Potem odgrywa rutynową scenkę rozpacz i wściekłości i dzwoni po policję, która doskonale wie, jak było naprawdę, ale nie może niczego udowodnić. O takich porwaniach mówi się bardzo rzadko, bo prawie nie zdarzają się wtedy przypadki stosowania przemocy fizycznej.

- Byłem policjantem prawie przez całe życie - Ryder był nad wyraz cierpliwy - i znam to z autopsji. Pytałem o porwania paliwa nuklearnego.

- Nie wiem.

- Nie wie pan, czy nie chce pan powiedzieć?

- Jak pan woli, sierżancie.

- Dziękuję. Nikt nie potrafiłby stwierdzić, czy Ryder coś postanowił, czy nie. Zwrócił się natomiast do Jablonsky'ego: - Może byśmy rzucili okiem na biuro Susan?

- To nie w pana stylu - zauważył oschle Jablonsky - prosić o pozwolenie na zrobienie czegokolwiek.

- To zbyt duża złośliwość. Prawda jest taka, że nie powierzono nam oficjalnie tego śledztwa.

- Wiem o tym - dorzucił Jablonsky, patrząc na Jeffa. - Nie jest to właściwe miejsce pracy dla kogoś z drogówki. Ale czy wyraźnie zabroniono wam przychodzenia tutaj?

- Nie.

- Na jedno wychodzi. Na pana miejscu byłbym śmiertelnie przerażony. - Po chwili milczenia dodał: - Sądzę, że powinienem wam towarzyszyć.

- Ten cholerny budynek, jak pan powiada, można z powodzeniem zostawić Parkerowi i Davidsonowi. Są już na miejscu, a lada chwila wesprze ich cała sfera stróżów prawa. Dlaczego tak panu zależy, by towarzyszyć mi w biurze mojej żony? Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się manipulować dowodami rzeczowymi.

- A kto mówi, że pan to robił? - spojrzał na Jeffa. - Wie pan zapewne, że pański ojciec od dawna cieszy się zasłużoną reputacją człowieka, który zwykł brać prawo w swoje ręce, gdy uzna to za stosowne?

- Słyszy się różne plotki. Jeśli dobrze zrozumiałem, może pan zaświadczyć w sądzie o przykładowym zachowaniu człowieka potrzebującego opieki i obrony? - Jeff uśmiechnął się pierwszy raz od chwili, gdy dowiedział się o porwaniu matki.

- Pierwszy raz słyszę, żeby ktokolwiek jednym tchem łączył potrzebę opieki i obrony z osobą sierżanta Rydera - odparł Jablonsky.

- Być może Jeff ma rację - stwierdził niewzruszony Ryder. - Starzeję się.

Jablonsky uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Rozdział II

Uchylone drzwi gabinetu były podziurawione w czterech miejscach wokół zamka i klamki. Ryder przyglądał im się przez chwilę, nie okazując żadnej reakcji, po czym pchnął je i wszedł do pokoju. Sierżant Parker przerwał pracę - układał skrawki papieru w jedną całość - i odwrócił się. Był to tęgi, dobiegający czterdziestki mężczyzna o sympatycznej twarzy, zupełnie nie wyglądający na glinę, co powodowało, że liczba dokonanych przez niego aresztowań ustępowała jedynie liczbie aresztowań dokonanych przez samego Rydera.

- Czekałem na ciebie. Co za cholerna robota, wierzyć się nie chce - uśmiechnął się, jakby chciał rozładować napięcie, którego Ryder zdawał się nie zauważać. - Przyszedłeś przejąć sprawę? I pokazać niekompetentnym, w jaki sposób prawdziwy zawodowiec zabiera się do dzieła?

- Chcę tylko rzucić okiem na to wszystko. Nie prowadzę tej sprawy i jestem pewny, że Grubasek z przyjemnością będzie mnie trzymał od niej z daleka.

Przezwiseko "Grubasek" nosił ich szef, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że cieszył się szacunkiem swych podwładnych.

- Ten sadystyczny kawał sadła będzie szczęśliwy, mogąc to zrobić - zignorował zaskoczenie doktora Jablonsky'ego, który nigdy dotąd nie dostąpił zaszczytu poznania szefa policji. - Dlaczego nie skręciliśmy mu karku.

- Sądysz, że pod tymi zwałami tłuszczu tkwi coś, co nadaje się do skręcenia? - Ryder przyjrzał się uważnie drzwiom. - McCafferty, wartownik, powiedział, że nie było strzałów. Ładunki termiczne?

- Tłumik.

- A po co w ogóle strzelali?

- To przez Susan. - Parker był od wielu lat przyjacielem rodziny. - Zgonili cały personel do pokoju, który znajduje się po drugiej stronie korytarza. Tak się złożyło, że w tym momencie Susan otworzyła drzwi, żeby zerknąć, co się dzieje. Kiedy zobaczyła, że idą w jej stronę, zamknęła się.

- Więc rozwalili drzwi. Może wyobrażali sobie, że rzuci się do telefonu?

- Sam sporządziłeś raport na temat bezpieczeństwa.

- No tak, pamiętam. Jedynie Jablonsky i Ferguson mają bezpośrednie połączenie z miastem. Wszyscy pozostali muszą dzwonić przez centralę. A pierwszą rzeczą, jakiej ci

chłopcy dokonali, było oczywiście poznanie telefonistki. Może więc sądzili, że Susan wyskoczy przez okno?

- Mało prawdopodobne. Z tego, co mi powiedziano, a nie miałem jeszcze czasu przeczytać raportów, wynika, że potrafiliby zrobić swoje z zamkniętymi oczyma. Wiedzieli, że nie ma tu schodów przeciwpożarowych. Wiedzieli również, że wszystkie pomieszczenia w budynku są klimatyzowane i że dość trudno wyskoczyć przez pancerne szyby, jak te tutaj.

- Więc dlaczego...?

- Może się spieszyli, a może któryś był niekompetentny. Może dlatego ją ostrzegł, mówiąc: "Proszę odsunąć się na bok, pani Ryder, będę strzelał w drzwi".

- To zdaje się potwierdzać dwie rzeczy. Po pierwsze, to nie są psychopaci. Umyślnie powiedziałem: zdaje się. Martwy zakładnik nie ma wielkiej wartości ani jako moneta przetargowa, ani jako argument skłaniający opornych fizyków do robienia tego, czego robić nie chcą. Po drugie, wiedzieli wystarczająco dużo, aby zidentyfikować każdego pracownika.

- To nie ulega wątpliwości.

- Wygląda na to, że byli dobrze zorientowani - Jeff starał się mówić spokojnie, naśladując niewzruszony spokój swojego ojca, ale zdradzało go nerwowe pulsowanie tętnicy na szyi.

- Człowiek w twoim wieku powinien wyrosnąć już z puzzli - powiedział do Parkera Ryder, wskazując na walające się po stole skrawki papieru.

- Znasz mnie, jestem staromodnym sumiennym detektywem, który zajrzy pod każdy kamień.

- Złożyłeś wszystkie kawałki do kupy. Trzeba ci to przyznać. Powiedziały ci coś?

- Nie. A tobie?

- Nie. To zawartość kosza na śmieci Susan?

- Tak - Parker wpatrywał się z irytacją w kawałki papieru rozłożone na stole. - Och! Wiem, że sekretarki i maszynistki mają manię darcia na strzępy zbyt wielu kartek, ale czy musiała to robić aż tak sumiennie?

- Wiesz, jaka jest Susan. Niczego nie robi połowicznie. Ani w jednej czwartej, ani w jednej ósmej - zmiotł dłonią parę skrawków - w jednej szesnastej, owszem. Nigdy w połowie. Czy znalazłeś jakieś inne ślady?

- Żadnych - ani na biurku, ani w szufladach. Zabrała torebkę i parasolkę.

- Skąd wiesz, że miała parasolkę?

- Pytałem - odparł cierpliwie Parker. - Nie zostało nic poza tym - pokazał niezbyt udane zdjęcie Rydera i po chwili postawił je z powrotem na biurku. - Niektórzy ludzie potrafią skutecznie pracować w każdych warunkach. Obawiam się, że to jest właśnie taki przypadek.

Doktor Jablonsky odprowadził ich do zdezelowanego peugeota.

- Jeśli mógłbym coś dla pana zrobić, sierżancie...

- Jeśli mam być szczery, to dwie rzeczy. Czy może pan bez wiedzy Fergusona zdobyć akta Carltona? Wie pan, co mam na myśli? Szczegóły z jego kariery zawodowej, referencje, tego rodzaju kawałki...

- O Boże! Ależ Carlot jest zastępcą szefa ochrony.

- Wiem.

- Ma pan jakieś powody, żeby go podejrzewać?

- Żadnych. Po prostu chętnie dowiedziałbym się, dlaczego wzięli go jako zakładnika. Szef bezpieczeństwa nie jest na ogół łagodnym barankiem, którego chciałbym mieć obok, będąc na ich miejscu. Może jego akta wyjawiają nam, dlaczego postanowili go zabrać. A druga sprawa, w której może mi pan pomóc, to fizyka jądrowa. W tej dziedzinie czuję się jak pielgrzym zagubiony na pustyni. Gdybym potrzebował jakichś dodatkowych informacji, czy mogę zwrócić się do pana?

- Zna pan drogę do mojego biura.

- Może się zdarzyć, że poproszę pana, by zjawił się pan u mnie. Kwatera główna może mi nawet zabronić pokazywać się tutaj.

- Policjantowi?

- Policjantowi nie, ale byłemu policjantowi tak.

Jablonsky przyjrzał się Ryderowi z uwagą.

- Spodziewa się pan wylania z pracy? Bóg jeden wie, ile razy grożono już tym panu...

- Świat jest niesprawiedliwy.

- Kiedy jechali w stronę centralnego komisariatu, dotąd milczący Jeff odezwał się:

- Trzy pytania. Dlaczego Carlton?

- Już to powiedziałem. Zły kandydat na zakładnika. Poza tym bez trudu zidentyfikowali twoją matkę, doskonale wiedzieli, kto jest kim w elektrowni. Nie ma żadnego powodu, żeby w jakiś szczególny sposób interesowali się naszą rodziną. Najlepszym źródłem informacji jest dokumentacja ochrony, a jedynie Ferguson i Carlton, pomijając oczywiście doktora Jablonsky'ego, mieli do niej dostęp.

- Ale po co mieliby go porywać?

- Może chcieli mu zapewnić alibi? Nie mam pojęcia. Może się też okazać, że wcale nie został porwany.

- Sierzancie Ryder, macie obrzydliwie podejrzliwą naturę, a co więcej, nie jesteście lepsi od zwykłego złodzieja!

Ryder zaciągnął się spokojnie papierosem, zachowując niewzruszony wyraz twarzy.

- Powiedziałeś Jablonsky'emu, że nigdy jeszcze nie ukryłeś żadnego dowodu. Sam widziałem, jak zwędziłeś parę skrawków papieru z biurka, na którym Parker próbował złożyć je do kupy.

- Wygląda na to, że w tej rodzinie podejrzliwa wyobraźnia jest dziedziczna - odparł łagodnie Ryder. - Nie starałem się ukryć dowodu. Wziąłem go. Jeśli to jest w ogóle dowód.

- Po co wzięłeś te skrawki, jeśli nie wiesz?

- Widziałeś, co wzięłem?

- Niezbyt dokładnie. Zdaje się, że jakieś strzępy papieru.

- Stenogram, błźnie. Czy zauważyłeś krój marynarki doktora Jablonsky'ego?

- To zauważyłby pierwszy lepszy glina. Lepiej by zrobił, gdyby nosił obszerniejszą marynarkę, przykryłaby wystający rewolwer.

- To dyktafon, dzięki któremu Jablonsky może dyktować listy i wszystkie notatki służbowe z każdego miejsca elektrowni, w jakim się akurat znajduje.

- I co z tego? - Jeff, zastanowiwszy się, przez moment robił wrażenie skruszonego. - Całe życie spędzam na motocyklu i zajmuję się wkładaniem mandatów za wycieraczki. Przy tej pracy mój brak inteligencji nie jest zbyt widoczny. Niepotrzebna mi do tego stenografia.

- Tak też mi się wydaje.

- Po co więc podarła to na małe...

- Aby udowodnić, że nie można wierzyć ani słowu z tego, co mówią specjaliści, twierdzący, że inteligencja jest dziedziczna - Ryder z odrobiną pychy wydmuchnął kłąb papierosowego dymu. - Sądzisz, że poślubiłbym kobietę, która wpada w panikę i gubi się w niebezpieczeństwie?

- Z gatunku tych, które uciekają na widok pająka? Wiadomość?

- Tak sądzę. Znasz kogoś, kto umie stenografować?

- Jasne, Marge.

- Kto to jest Marge?

- Do cholery, twoja chrześniaczka! Żona Teda!

- Aha! Żona twojego kumpla, z którym pałasz się po autostradzie, Marjory, jeśli dobrze zrozumiałem? No to zaprosz ich na drinka, gdy wrócimy do domu.

- Co miałeś na myśli, dając Jablonsky'emu do zrozumienia, że spodziewasz się wylania z pracy?

- To on użył tego słowa, nie ja. Powiedzmy, że mam przeczucie zbliżającej się przedwczesnej emerytury. Mam wrażenie, że pan Donahure i ja spojrzymy sobie za kilka minut czule i głęboko w oczy.

Nawet najświeższy wśród policjantów wiedział doskonale o wrogości, jaką komendant policji żywił wobec Rydera. Uczuciu temu dorównywała tylko głęboka pogarda Rydera dla szefa.

- Mnie też nie wydaje się darzyć sympatią - wtrącił Jeff.

- Fakt - Ryder uśmiechnął się, wspominając, jak to, jeszcze przed rozwodem Grubaska, Jeff wlepił pani Donahure mandat za przekroczenie szybkości, doskonale wiedząc, kim ona jest. Donahure najpierw poprosił, a potem zażądał zniszczenia tego mandatu. Jeff odmówił, czego Grubasek winien był się spodziewać, zanim to zaproponował. California Highway Patrol szczyli się tym, że jest prawdopodobnie jedyną całkowicie nieprzekupną jednostką policji w całych Stanach. Nie tak dawno wlepili mandat gubernatorowi, który, zapłaciwszy karę, wystosował list pochwalny do ich dowództwa.

Sierżant Dickson tkwił nadal za biurkiem.

- Gdzie byliście?

- Prowadziliśmy śledztwo - odparł Ryder. - Bo co?

- Szef próbował złapać was w San Ruffino - podniósł słuchawkę telefonu. - Panie poruczniku, sierżant Ryder i jego syn są tutaj. Przed chwilą przyszli.

Wysłuchał odpowiedzi i odłożył słuchawkę.

- Cieszy się na spotkanie z wami.

- Kto jest u niego?

- Major Dunne.

Dunne był szefem lokalnej sekcji FBI.

- Plus doktor Durrer z Erdy, czy czegoś w tym rodzaju.

- Dużymi literami - westchnął Ryder - ERDA, czyli Administracja Rozwoju i Badania Energii. Znam go. I oczywiście jest twoja bratnia dusza - sam szef.

W biurze Mahlera siedziało czterech mężczyzn. Mahler tkwił za swoim biurkiem z możliwie najbardziej oficjalnym wyrazem twarzy, maskującym niezadowolenie. Dwie

osoby spoczywały na krzesłach - doktor Durrer z ERDA - osobnik o sówio podobnym wzroku, któremu pincenez grubości denka od butelki nadawały wygląd zranionej łani, i major Dunne - szczupły, siwiejący, inteligentny, o smutnych oczach człowieka, który nie miał w życiu zbyt wielu okazji do uśmiechu.

Obok nich stał komendant policji, Donahure, panując nad całą sytuacją. Nie był zbyt wysoki, choć jego masywne ciało o kształcie gruszki zajmowało nieproporcjonalnie dużo miejsca. Pokłady tłuszczu otaczające oczy pozostawiały niewiele miejsca dla samych oczu. Nos miał mięsisty, wargi również, a podbródek nie podwójny, lecz potrójny lub nawet poczwórny. Patrzył na Rydera z miną wyrażającą głębokie obrzydzenie.

- Przypuszczam, że sprawa została wyjaśniona, sierzancie?

Ryder zignorował jego pytanie i zwrócił się do Mahlera:

- Chciał pan nas widzieć?

Twarz Donahure'a stała się purpurowa.

- Mówiłem coś do was, Ryder. To ja kazałem was wezwać. Gdzie się, do diabła, włóczyliście?

- Sam pan wspomniał o "sprawie". I telefonował pan do San Ruffino. Jeśli już ma pan zadawać mi pytania, to dlaczego muszą to być głupie pytania?

- Do diabła, Ryder, nikt nie odzywa się do mnie takim tonem...

- Proszę panów - głos Dunne'a był cichy, spokojny i stanowczy - byłbym szczęśliwy, gdybyście zechcieli odłożyć na inny moment wasze osobiste utarczki. Sierzancie Ryder... Wiem już, co się stało z panią Ryder, i jest mi z tego powodu naprawdę przykro. Czy znalazł pan coś rzeczywiście interesującego?

- Nie - oznajmił Ryder.

Jeff na wszelki wypadek odwrócił wzrok.

- I wątpię, żeby ktokolwiek coś odkrył. Ta robota została wykonana zbyt czysto. Zawodowcy. Żadnej przemocy. Jedyne, co nie ulega wątpliwości, to fakt, że bandyci zabrali tyle materiału radioaktywnego, że można by nim wysadzić w powietrze połowę stanu.

- Ile? - zapytał doktor Durrer.

- Dwadzieścia beczek z U-235 i pluton - nie wiem, ile tego ostatniego. W każdym razie był to ładunek ciężarówka. Kiedy już opanowali budynek elektrowni, przyjechała druga ciężarówka.

- No nie - wymamrotał Durrer z miną człowieka bardzo przygnębionego.

- Teraz oczywiście kolej na groźby...

- A dużo ich dotąd było? - zainteresował się sierżant.

- Nie ma potrzeby odpowiadać - odezwał się Donahure - Ryder nie jest przydzielony do tej sprawy.

- No nie - powtórzył Durrer, zdejmując pince-nez i przyglądając mu się bynajmniej nie swoim wzrokiem. - Czy próbuje pan ograniczać moją swobodę wypowiedzi?

Donahure aż się cofnął, po czym spojrzał na Dunne'a, ale w jego zimnych oczach nie znalazł śladu aprobaty.

- Groźby już były - w stanie Kalifornia obowiązuje polityka tuszowania wszystkiego, co się tylko da - zwrócił się Durrer do Rydera. - Co, rzecz jasna, jest metodą najgłupszą z możliwych. To, o czym wie opinia publiczna, to jakieś dwieście dwadzieścia gróźb od roku 1969.

- Całkiem sporo - pomógł mu Ryder, gdy zapadła cisza.

Najwidoczniej nie zwrócił najmniejszej uwagi na fakt, że najbliższą groźbą była groźba apopleksji - Donahure na przemian zaciskał i otwierał pięści, a jego fizjonomia przybrała dziwny, brązowo-fioletowy odcień.

- W rzeczy samej, ale wszystkie okazały się fałszywe. Jednakże któraś w końcu może okazać się realna - kontynuował doktor. - To znaczy rząd lub przemysł będą musiały zapłacić okup, aby uniknąć eksplozji atomowej. Sporządziliśmy listę sześciu typów gróźb. Dwie z nich uznaliśmy za raczej niemożliwe do spełnienia, ale pozostałe cztery określono jako prawdopodobne. Za niemożliwe uznano wybuch ręcznie zrobionej bomby lub też ładunku skradzionego wojsku. Za prawdopodobne groźby uznano: rozpylenie w powietrzu materiału promieniotwórczego innego niż pluton; rozpylenie skradzionych pozostałości z procesu technologicznego w elektrowniach jądrowych; wybuch konwencjonalnego ładunku "zabrudzonego" strontem 90, kryptonem 85 i cezem 137, a może nawet plutonem; a także rozpylenie plutonu w powietrzu w celu skażenia terenu.

- Ze sposobu, w jaki zachowywali się napastnicy z San Ruffino sądziłbym, że raczej podchodzą do sprawy poważnie - wtrącił Ryder.

- To musiało się w końcu zdarzyć. Wiemy o tym. Tym razem musimy się liczyć z poważną i realną groźbą. Przygotowaliśmy się na taką ewentualność, formułując w 1975 roku Plan Reakcji na Szantaż Atomowy dla Stanu Kalifornia. Zwierzchnictwo przejmuje FBI, które może korzystać z pomocy każdej agencji rządowej, federalnej i lokalnej - do wyboru. Wliczając, rzecz jasna, ekspertów i inne osoby prywatne. FBI może również powoływać ekspertów z uniwersytetów Berkeley i Lawrence. Przez cały czas będą czekały w pogotowiu ekipy odkażające, a siły powietrzne są przygotowane do przewożenia tych ekip w dowolne miejsce. ERDA ma za zadanie ocenić realność takiej groźby.

- A jak to się robi?

- Głównie przez kontrolę komputerowego systemu analizy braków unikalnych.

- No cóż, panie Durrer. W tym przypadku już wiemy, ile sztuk brakuje. Nie trzeba o to pytać komputerów, które i tak są, moim zdaniem, do niczego.

- Kto panu o tym powiedział? - Durrer po raz drugi w tak krótkim czasie zdjął z nosa swoje pince-nez.

- Nie pamiętam - Ryder usiłował udawać, że nie może sobie przypomnieć, a Jeff starał się powstrzymać uśmiech.

Durrer zresztą, po krótkim namyśle, wyraźnie postanowił nie drążyć tego tematu.

- Chciałbym, żeby powierzono mi śledztwo w tej sprawie - Ryder zwrócił się do Mahlera. - Pragnąłbym pracować pod rozkazami majora Dunne'a.

Donahure uśmiechnął się. Nie był to uśmiech sadystyczny, raczej uśmiech człowieka, który w pełni smakuje przyjemność, jakiej właśnie doświadcza. Jego cera znów nabrała barwy zwyczajnej pijackiej czerwieni.

- Nie ma mowy - oznajmił.

Ryder spojrzał na niego. Nie było to przyjazne spojrzenie.

- Jestem tą sprawą zainteresowany osobiście.

- Bez dyskusji, sierżancie. Jako policjant otrzymujecie rozkazy od jednej jedynej osoby w tym stanie, a tą osobą jestem ja.

- Jako policjant.

Donahure przyjrzał mu się z wyraźną niepewnością.

- Chciałbym mieć sierżanta Rydera - odezwał się Dunne. - Jest to pański najlepszy i najbardziej doświadczony wywiadowca. Z najlepszym wykazem aresztowań w całym stanie, a właściwie w całych Stanach.

- Na tym polega właśnie cały problem. Jest zbyt skory do aresztowań i strzelania, zbyt brutalny. Staje się niezrównoważony, gdy jest zaangażowany emocjonalnie, tak jak w tej sprawie - Donahure starał się mówić przekonująco, ale była to próba z góry skazana na porażkę. - Nie mogę narażać na szwank dobrego imienia mojego zespołu.

- Jezu! - tym jednym słowem skomentował Ryder wypowiedź szefa.

- Mimo wszystko chciałbym go mieć - nalegał łagodnie Dunne.

- Nie. Z całym należnym panu szacunkiem muszę podkreślić, że władza FBI nie sięga tej strony drzwi. Proszę mi wierzyć, majorze Dunne, odmawiam dla pańskiego dobra. Jest rzeczą niebezpieczną mieć przy sobie tego człowieka w sytuacji tak delikatnej jak ta.

- Porwanie niewinnych kobiet jest delikatnie? - oschły głos Durrera świadczył zdecydowanie, że nie uważa Donahure'a za chodzący wzór inteligencji. - Czy może mi pan powiedzieć, w jaki sposób doszedł pan do tego wniosku?

- No właśnie - Jeff nie był już w stanie zapanować nad sobą, wyraźnie trzęsąc się z wściekłości. Ryder obserwował go z pewnym zaskoczeniem, ale nie odzywał się.

- Moja matka, szefie. I ojciec! Niebezpieczny? Zbyt skory do aresztowań? Tylko pana zdaniem, szefie, pana zdaniem. Problemem ojca jest to, że przez całe życie przymyka ludzi, których nie należy aresztować: alfonsów, handlarzy narkotykami, przekupnych polityków, uczciwych członków mafii, szacownych ludzi interesu, którzy nie są więcej warci niż przestępcy, a nawet - czyż nie jest to żalosne? - skorumpowanych policjantów. Proszę zajrzeć do jego akt, szefie. Jeden jedyny raz aresztował kogoś zbyt pochopnie i nie zdołał uzyskać ani postawienia go w stan oskarżenia, ani policyjnego nadzoru; to był przypadek sędziego Kendricksa. Pamięta pan zapewne sędziego Kendricksa? To jeden z pańskich ulubionych gości, który zdołał zgarnąć dwadzieścia pięć tysięcy dolarów od pańskich kumpli z ratusza i który ostatecznie skończył w więzieniu. Dostał pięć lat. Jest jeszcze cała kupa ludzi, którzy mieli wielkie szczęście, że nie znaleźli się tam razem z nim. Może to nieprawda?!

Odgłosy wydawane przez Donahure'a wyraźnie świadczyły o nagłej a silnej niedyspozycji narządów mowy. Jego pięści znów konwulsyjnie rozwierały się i zaciskały, twarz zaś ciągle zmieniała kolor - tylko teraz z częstotliwością przebarwień kameleona wędrującego po tartanie.

- Wsadził go pan tam, sierżancie? - spytał Dunne.

- Ktoś musiał. Grubasek miał wszystkie dowody, ale ich nie użył. Nie można winić człowieka za to, że nie chciał oskarżać siebie samego.

Donahure rozpaczliwie zachrypiał, Ryder zaś wyjął coś z kieszeni, zacisnął dłoń i spojrzał pytająco na syna.

Jeff był już spokojny.

- Znieważyłeś ojca przy świadkach - zwrócił się do Donahure'a, patrząc jednak na Rydera. - Wykorzystujemy to, czy zostawiamy go sam na sam z jego sumieniem?

- Z jego czym?!

- Nigdy nie będziesz porządnym gliną, ojcze - stwierdził z żalem Jeff. - Jest cała masa prostych środków, których nigdy nie mogłeś pojąć, jak: przekupstwo, kumoterstwo, podkładanie świni czy posiadanie paru kont pod fałszywymi nazwiskami. Nieprawdaż, szefie? Niektórzy ludzie mają parę kont pod lewymi nazwiskami?

- Ty bezczelny gówniarzu - Donahure odzyskał panowanie nad swoimi strunami głosowymi, aczkolwiek jeszcze nie w pełni - zapomniałeś chyba, do kogo się zwracasz!

- Przykro mi, że pozbawię pana tej przyjemności - odparł Jeff, kładąc broń i odznaki policyjne na biurku Mahlera.

Nie zdziwiło go też, gdy obok położył swoją odznakę ojciec.

- Pańska broń! - warknął Donahure.

- Jest moją prywatną własnością. Zresztą, mam w domu jeszcze inne, z zezwoleniami.

- Mogę anulować je jutro rano, głupi glino! - nienawiść w słowach Donahure'a dorównywała jedynie tej, która malowała się na jego twarzy.

- Nie jestem gliną - odparł Ryder, zapalając gauloise'a i zaciągając się z widoczną przyjemnością.

- Wyrzuc tego cholernego papierosa!

- Już pan słyszał. Nie jestem gliną. Jestem obywatelem stanowiącym część szacownej ludności tego stanu. Policja jest służbą publiczną i nie zgadzam się, aby ci, którzy są na mojej służbie, przemawiali do mnie tym tonem. Chce pan unieważnić moje pozwolenie na broń? Jeżeli pan to zrobi, otrzyma pan odwrotną pocztą kopie moich prywatnych akt wraz z fotokopiami złożonych pod przysięgą oświadczeń. Wtedy na pewno unieważni pan swoje unieważnienie moich pozwoleń.

- Co to ma, do diabła, znaczyć?!

- Że lektura tych dokumentów zainteresuje wiele osób w Sacramento.

- Blef! - ton głosu Donahure'a byłby bardziej przekonujący, gdyby zaraz potem komendant nie oblizał warg.

- Może - Ryder obserwował kółka dymu z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Ostrzegam cię, Ryder - głos Donahure'a drżał, ale chyba nie tylko z powodu złości.

- Wejdz w drogę temu śledztwu, a zamknę cię za zakłócanie pracy wymiaru sprawiedliwości.

- Przecież znasz mnie dobrze. Nie muszę ci grozić, a poza tym nie sprawia mi przyjemności obserwacja podskakujących ze złości zwałów sadła.

Donahure położył rękę na kolbie rewolweru. Ryder bez pośpiechu rozpiął marynarkę i oparł dłonie na biodrach. Jego broń była doskonale widoczna, ale nie dotknął jej.

- Aresztować tego człowieka! - wrzasnął Donahure w stronę porucznika Mahlera.

Dunne, tonem chłodnej pogardy, wtrącił:

- Niech pan nie robi z siebie jeszcze większego głupca, niż pan w istocie jest, Donahure, i niech pan nie stawia swojego porucznika w beznadziejnej sytuacji. Aresztować tego człowieka... Na miłość boską, pod jakim pretekstem?

Ryder zapiął marynarkę, obrócił się na pięcie i opuścił gabinet. Jeff ruszył w ślad za nim. Właśnie wsiadali do samochodu, gdy dogonił ich Dunne.

- Czy to było rozsądne?

- Nieuniknione - Ryder wzruszył ramionami. - Ryder, ten człowiek jest niebezpieczny. Nie wtedy, gdy staje twarzą w twarz, wszyscy o tym wiemy. Ale wszystko się zmienia, kiedy zajdzie pana od tyłu. Ma wpływowych przyjaciół.

- Znam jego przyjaciół. Niezłe towarzystwo. Tacy sami jak on. Połowa z nich powinna się znaleźć pod kluczem.

- Nie stają się przez to mniej niebezpieczni w bezksiężycową noc. Oczywiście w dalszym ciągu będzie się pan zajmował tą sprawą?

- Jak pan pamięta, to moja żona jest w niebezpieczeństwie. Myśli pan, że złożymy sprawę jej ratowania w delikatne dłonie tego rzeźnika?

- A co będzie, jeśli on pana zaatakuje?

- Proszę nie kusić ojca tak przyjemnymi perspektywami - powiedział Jeff.

- Może nie powinienem. Wiedziałem, że chciałbym z wami współpracować. To nadal aktualne. W FBI zawsze znajdzie się miejsce dla ludzi przedsiębiorczych i ambitnych.

- Dziękuję. Przemyślimy to. Gdybyśmy potrzebowali wsparcia lub rady, to czy możemy się z panem skontaktować?

Dunne przyglądał im się przez chwilę, a potem skinął potakująco głową:

- Naturalnie. Znacie mój numer telefonu. Cóż, macie wybór, którego ja nie mam. Muszę współpracować z tym zwałem tłuszczy - uścisnął dłonie obu mężczyzn. - Miejcie oczy otwarte!

Gdy siedzieli już w samochodzie, Jeff zapytał ojca:

- Czy rozważysz jego propozycję?

- Do diabła, nie! Wpadlibyśmy z deszczu pod rynnę. Nie w tym rzecz, że Sasson, szef kalifornijskiej sekcji FBI, jest człowiekiem nieuczciwym. Jest tylko o wiele za dokładny i robi wszystko zgodnie z przepisami.

Marjory Hohner, ciemnowłosa dziewczyna, sprawiająca wrażenie zbyt młodej, żeby być mężatką, siedziała obok swojego umundurowanego męża i studiowała strzępki papieru, które rozłożyła przed sobą na stole.

- No, dalej, chrześniaczko! Taka błyskotliwa dziewczyna jak ty...

- Spróbuję - powiedziała unosząc głowę i uśmiechając się. - Przypuszczam, że doszukasz się w tym jakiegoś sensu. Napisano tu: "Obejrzyj odwrotną stronę swojej fotografii".

- Dziękuję, Marjory - Ryder podszedł do telefonu i wykręcił kolejno dwa numery.

Dokładnie w godzinę po wyjściu Hohnerów, gdy Ryder z synem właśnie kończyli jeść przygotowaną rano przez Susan kolację, zjawił się doktor Jablonsky.

- Pan chyba jest jasnowidzem. Krążą pogłoski, że został pan zwolniony z pracy. Pan i Jeff - powiedział bezbarwnym tonem.

- To nie tak - odparł Ryder z godnością. - Złożyliśmy dymisję. Dobrowolnie. Ale oczywiście tylko tymczasowo.

- Powiedział pan "tymczasowo"?

- Tak właśnie powiedziałem. W tej sytuacji rola policjanta nie jest dla mnie zbyt wygodna. Ogranicza mi pole manewru.

- Czy rzeczywiście użyłeś słowa "tymczasowo"? - spytał Jeff.

- Jasne. Wrócę do roboty. Gdy tylko ten cyrk się skończy. Mam żonę na utrzymaniu.

- Ale Donahure...

- Nie przejmuj się Donahure'em. Niech on sam troszczy się o siebie. Drinka, doktorze?

- Szkocką whisky, jeśli pan ma.

Ryder wszedł za mały bar i rozsuwając drzwiczki odsłonił imponującą baterię butelek.

- Ma pan.

- Ja piję tylko piwo. To wszystko przygotowane jest dla przyjaciół. Na jakiś czas wystarczy - powiedział Ryder.

Jablonsky wydobył z teczki kopertę.

- Oto akta, o które panu chodziło. Nie było to łatwe. Ferguson miota się jak kot na rozgrzanym dachu. Ma pietra.

- To facet bez zarzutu.

- Wiem. Przyniosłem panu fotokopię. Nie chciałem, żeby Ferguson czy ktoś z FBI spostrzegł, że brak jest oryginału.

- Czego Ferguson się boi?

- Trudno powiedzieć. Ale to się czuje. Unika rozmów, zamyka się w sobie. Może sądzi, że w grę wchodzi jego pozycja, że ktoś go oskarży o nieskuteczność jego systemu zabezpieczającego? Tak czy inaczej, ma pietra. Myślę zresztą, że wszyscy baliśmy się w ciągu ostatnich godzin. Ja też. Boję się nawet, że moja wizyta tutaj - uśmiechnął się, próbując osłabić obraźliwe znaczenie, jakie mogły mieć jego słowa - nie została wykorzystana przeciwko mnie, to znaczy, jeśli dowiedzą się, że spotkałem się z byłym policjantem.

- Za późno. Już o tym wiedzą.

- Co? - z twarzy Jablonsky'ego znikł uśmiech.

- Po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowana półciężarówka, pięćdziesiąt metrów stąd. Za kółkiem nikogo nie widać. Kierowca jest w środku i kapuje przez szybę.

- Od kiedy tam stoi? - spytał Jeff wyglądając przez firankę.

- Od kilku minut. Przyjechała jednocześnie z doktorem Jablonskim. Za późno, żebym mógł cokolwiek zrobić - Ryder zastanowił się przez chwilę, potem dodał: - Drażnią mnie ci kapusie, którzy kręcą się wokół mojego domu. Zajrzyj no do szafy z bronią i weź, co chcesz. Znajdziesz tam stare odznaki policyjne.

- Będzie wiedział, że nie jestem już gliną.

- Oczywiście. Ale myślisz, że ośmieli się to powiedzieć? Przecież zdradziłby w ten sposób, że został wysłany przez Donahure'?

- Wątpię. Co mam zrobić? Zastrzelić go?

- To dobry pomysł, ale nie rób tego. Rozbij szybę kolbą rewolweru i każ mu otworzyć drzwiczki. Nazywa się Raminoff i podobny jest trochę do łasicy. Zresztą, jest łasicą. Ma przy sobie broń. Donahure uważa go za swojego szpicla numer jeden. Od wielu lat mam go na oku. To nie policjant, ale kryminalista, który wielokrotnie miał już wyroki skazujące. Znajdziesz w samochodzie policyjny nadajnik radiowy. Poproś go o pozwolenie, którego nie będzie miał. Zażądaj wówczas legitymacji policyjnej, której również nie będzie miał. Urządź klasyczne przedstawienie - grożenie sankcjami i tak dalej - i każ mu wynosić się stąd.

- Podanie się do dymisji ma zdecydowanie swoje dobre strony - stwierdził z uśmiechem Jeff.

Jablonsky patrzył w zamyśleniu za odchodzącym Jeffem.

- Ma pan wielkie zaufanie do swojego syna, sierżancie.

- Jeff umie się o siebie troszczyć - odparł Ryder uspokajająco. - Mam nadzieję, że nie będzie pan unikał rozmów, a przynajmniej nie z tych samych powodów, dla których Ferguson tak ich unika.

- Dlaczego miałbym unikać rozmowy? Tak czy inaczej, zostałem już skompromitowany.

- Czy Ferguson przemilczał coś w rozmowie ze mną?

- Tak. Bardziej niż pan myśli, niepokoję się o pańską żonę, nawet nie zdaje sobie pan sprawy, jak bardzo. I sądzę, że ma pan prawo wiedzieć wszystko, co może pomóc w jej odnalezieniu.

- A ja uważam, że jest to warte następnego drinka.

Fakt, że Jablonsky wypił do dna, nie zdając sobie z tego sprawy, świadczył, jak dalece jest przejęty. Ryder podszedł do barku.

- Co przede mną ukrywał?

- Zapytał go pan, czy skradziono ostatnie materiały rozszczepialne, a on odpowiedział, że nic mu na ten temat nie wiadomo. W rzeczywistości wie wszystko doskonale i jest aż nadto dobrze poinformowany na ten temat, by mieć ochotę o tym mówić. Weźmy chociażby sprawę znaną pod kryptonimem "Migreny z Hematite". Nazwano ją tak chyba dlatego, że wywołała ból głowy u wszystkich, którzy zajmują się bezpieczeństwem w dziedzinie produkcji materiałów rozszczepialnych. Hematite to nazwa elektrowni w stanie Missouri, należącej do Gulf United Nuclear. Mogą oni mieć w każdej chwili nawet do tysiąca kilogramów U-235, który dostają w butlach z Portsmouth w stanie Ohio w postaci UF-6, a następnie przerabiają na tlenek U-235. Znaczna część tego materiału, całkowicie wzbogaconego i nadającego się od razu do wykorzystania przy produkcji broni jądrowej, jest przewożona ciężarówką z Hematite do Kansas City, stamtąd samolotem do Los Angeles, a następnie znowu dwieście kilometrów ciężarówką do firmy General Atomic w San Diego. W sumie trzy przejazdy pod gołym niebem. Czy chce pan poznać szczegóły?

- Wyobrażam sobie. Ale dlaczego Ferguson to przemilczał?

- Właściwie bez powodu. Wszyscy specjaliści od ochrony nabrali wody w usta. Coś w rodzaju lojalności zawodowej. Całe tony tego świństwa znikają bez śladu. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, oprócz opinii publicznej.

- Zdaniem doktora Durrera z ERDA, z którym rozmawiałem po południu, rządowy system komputerowy może natychmiast informować o braku najmniejszej nawet ilości materiału rozszczepialnego, nadającego się do produkcji bomby.

Jablonsky skrzywił się ponuro i żeby usunąć ten grymas z twarzy, pocieszył się odrobiną whisky.

- Zastanawiam się, co on nazywa "najmniejszą ilością". Dziesięć ton? Dokładnie tyle wystarczy, żeby wyprodukować kilkaset bomb atomowych. Albo doktor Durrer mówił tak, żeby nic nie powiedzieć - co, o ile go znam, jest mało prawdopodobne - albo boi się mówić o tym, co wie. ERDA ma ciągle kłopoty, odkąd GAO się do nich dobrało.

- GAO?

- General Accounting Office.

Jablonsky przerwał w momencie, kiedy Jeff wszedł do pokoju i z niezwykle zadowoloną miną położył na stole parę rzeczy.

- Już odjechał. Po jego wyglądzie sądząc, to chyba w stronę najbliższego szamba - powiedział i pokazał swój łup. - Nadajnik policyjny - nie miał pozwolenia, więc nie mogłem mu go pozostawić. Pistolet - typowa broń kryminalistów - nie mogłem przecież pozwolić, żeby z tym jeździł. Prawo jazdy - zwykła legitymacja zamiast policyjnego zezwolenia, którego, jak się zdaje, nie miał, i lornetka Zeissa z inicjałami LAPD. Nie mógł sobie przypomnieć, od kogo ją ma, i przysięgał, że nie ma pojęcia o tym, iż te inicjały oznaczają Los Angeles Police Department.

- Zawsze chciałem mieć coś takiego - stwierdził Ryder.

Jablonsky zmarszczył brwi z dezaprobatą, ale zwalczył ten grymas tak samo, jak poprzednio usunął z niej posępny wyraz.

- Spisałem również numery rejestracyjne, numery silnika i podwozia i wyjaśniłem, że wszystkie te numery, jak również przedmioty, które mu skonfiskowałem, zostaną jeszcze dziś wieczorem przekazane do komisariatu.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Naraziłeś Donahure'a na głęboki wstrząs, lada chwila przeżyje szok. Chciałbym bardzo - dorzucił z miną pełną nadziei - mieć podsłuch na jego prywatnej linii telefonicznej. Będzie musiał załatwić nowy sprzęt, co go bardzo rozdrażni, ale nawet w połowie nie tak bardzo jak fakt, że będzie musiał również załatwić nową furgonetkę.

- Dlaczego miałyby wymienić furgonetkę? - zdziwił się Jablonsky.

- Bo ta jest już spalona. Jeśli Raminoff da się po raz drugi złapać w tym samym wozie, dostanie zapalenia gardła od wykrzykiwania, że to Donahure wpakował go w

tarapaty. Jest to w pełni zasługujący na zaufanie pomocnik, z gatunku tych, jakimi otacza się Donahure.

- Donahure mógłby zablokować dochodzenie.

- Nie ma obawy. John Aaron, wydawca "Examinera", od lat prowadzi kampanię przeciwko korupcji w policji w ogóle, a przekupności Donahure'a w szczególności. Gdyby ktoś napisał do redaktora naczelnego i spytał, dlaczego Donahure powstrzymał się od działania po otrzymaniu takiej to a takiej informacji, może pan być pewny, że list zostałby wydrukowany nie na kolumnie korespondencji z czytelnikami, ale na pierwszej stronie. Zadajesz sobie pytanie, Jeff, dokąd udał się twój przyjaciel Raminoff. Powiadasz, że do najbliższego szamba. Ja sądzę, że ruszył z kopyta w stronę przystani w Cypress Bluff. Stamtąd jest dwieście metrów zbocza opadającego prosto do oceanu, głębokiego w tym miejscu na sześćdziesiąt metrów. Dno oceanu pełne jest samochodów, których świetność już dawno minęła. Tak czy inaczej, chciałbym, żebyś ty też wziął swój samochód, pojechał tam i wywalił do Pacyfiku cały skonfiskowany sprzęt, a także wszystkie stare odznaki policyjne i resztę żelastwa, które tu przechowujemy.

- Nie myślisz chyba, że ten stary cap będzie miał czelność przyjechać tutaj z nakazem rewizji?

- Tak właśnie sądzę. Szukając pretekstu, wyciągnie cokolwiek. W przeszłości robił to wystarczająco często.

- Mógłby wymyślić nawet jakiś zarzut o ukrywaniu dowodów rzeczowych w elektrowni? - spytał Jeff z kamienną twarzą.

- Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

- Są tacy, którzy niczego się już nie nauczą - powiedział Jeff, odchodząc do samochodu.

- Co to miało znaczyć? - zdziwił się Jablonsky.

- To dzisiejsza młodzież. Kto to wie. Ale mówił pan o GAO.

- No właśnie. Są autorami specjalnego raportu dla rządowej Podkomisji do Spraw Energii i Ochrony Środowiska na temat kradzieży materiałów jądrowych. Ten raport jest wciąż utajniony. GAO wykazało w tym dokumencie zupełny brak szacunku dla ERD-y, twierdząc, że jej ludzie nie znają się na swojej robocie. GAO uważa, że ze wszystkich trzydziestu czterech fabryk produkujących materiały rozszczepialne zniknęły całe tony materiałów radioaktywnych, a ERDA nie potrafi nawet oszacować ich ilości.

- Doktor Durrer chyba nie zgodziłby się z takim stwierdzeniem?

- ERDA kręci. Mówią, że w procesie technologicznym jednego zakładu potrzebny jest system rurociągów długości stu kilometrów. To jest zresztą prawda. Mnożąc to przez trzydzieści cztery, ma pan już parę tysięcy kilometrów. Z każdego punktu takiego rurociągu można sobie odlewać trochę paliwa jądrowego. GAO zresztą samo zapędziło się w kozi róg, przyznając, że nie sposób skontrolować tych kilometrów rur.

Jablonsky spojrzał z żalem w dno pustej szklanki. Ryder, widząc to, usłużnie się poderwał.

- Chce mnie pan upić, żebym więcej powiedział - stwierdził Jablonsky bez przekonania, choć starał się nadać swojemu głosowi oskarżycielski ton.

- A jakże! A co na to ERDA?

- Praktycznie nic, szczególnie po ataku ze strony Atomowej Komisji Prawnej. W końcu powiedzieli jedynie dwie rzeczy - że praktycznie każdy zakład w tym kraju może zostać opanowany przez garstkę uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko zamachowców i że systemy wykrywania kradzieży są do niczego.

- Wierzy pan w to?

- Po co to głupie pytanie, zwłaszcza po tym, co się stało dzisiaj.

- Więc naprawdę możliwe jest to, by dziesiątki ton materiałów rozszczepialnych były ukryte na terenie tego kraju?

- Czy chce pan mnie gdzieś zacytować?

- Teraz pan może zadać głupie pytanie.

- Daję słowo - westchnął Jablonsky. - Jeden diabeł wie. To bardzo możliwe i bardziej niż prawdopodobne. Ale po co pyta pan o to wszystko, sierzancie?

- Jeszcze tylko jedno pytanie i wyjawię panu powody tego wypytywania. Czy pan mógłby zbudować bombę atomową?

- Oczywiście. Każdy naukowiec specjalizujący się w tej dziedzinie - niekoniecznie specjalista od materiałów rozszczepialnych - może tego dokonać. Są takich tysiące. Powszechnie uważa się, że nikt nie może wyprodukować bomby atomowej, nie odtwarzając krok po kroku projektu Manhattan, który kosztował miliardy dolarów i pozwolił na wykonanie bomby, użytej pod koniec drugiej wojny światowej. Bzdura. Każdy może uzyskać niezbędne informacje. Niech pan spróbuje napisać list do Komisji Energii Atomowej. Jeśli dołączy pan do swojego listu trzy dolary, z przyjemnością wyślą panu egzemplarz broszurki pod tytułem "Wprowadzenie do Los Alamos", która szczegółowo przedstawia matematyczne podstawy rozszczepiania. "Historia Dystryktu Manhattan, Plan Y i Plan Los Alamos" jest trochę droższa i żeby ją otrzymać, należy zwrócić się do biura

służb technicznych Departamentu Handlu, które będzie zachwycone, mogąc wysłać panu to dzieło. A tam ma pan już napisane wszystko czarno na białym. Najważniejsze jest to, że autorzy przedstawiają wszystkie problemy, jakie wynikły w trakcie budowy pierwszej bomby, a także sposób ich rozwiązania. Pasjonująca lektura. Poza tym istnieje sporo publikacji wydanych niezależnie i znajdujących się w wolnym obiegu na rynku. Wystarczy poszperać w lokalnej bibliotece. Te książki poświęcone są w całości temu, co uważa się za super tajne. Gdyby jednak to wszystko nie wystarczało, to encyklopedia amerykańska dostarczy każdej inteligentnej osobie wszystkich niezbędnych informacji.

- Mamy prawdziwie opiekuńczy rząd!

- Tak. Po tym gdy Rosjanie dokonali próby wybuchu swojej bomby, uznano, że tajemnica nie jest już tajemnicą. Zapomniano tylko, że jakiś patriotyczny obywatel lub ich grupa może tę wiedzę wykorzystać przeciw własnemu narodowi. Łatwo byłoby ich nazwać bandą durni, ale im po prostu brak daru Nostradamusa, który twierdził, że przecucia czynią nas nieomylnymi.

- A bomba wodorowa?

- Tu już potrzebny jest fizyk nuklearny, ale musi mieć co najmniej czternaście lat. Udowodniono to - powiedział ironicznie.

- Mógłby pan wyjaśnić?

- W 1970 roku mieliśmy próbę szantażu atomowego w jednym z miast na Florydzie. Śledztwo skończyło się fiaskiem. Żądano miliona dolarów i wolnego wyjazdu z USA. Grożono - w razie odmowy - rozwaleniem miasta. Drugiego dnia żądanie zostało ponowione, ponadto terrorysta przysłał schemat bomby: cylinder wypełniony litem i kobaltem, z zapalnikiem implodującym na końcu.

- To tak się robi bomby wodorowe?

- A skąd mam to wiedzieć?

- Jest pan przecież fizykiem. I co, złapali tego szantażystę?

- Tak. Był to czternastoletni chłopak.

- To się nazywa postęp. Za moich czasów do robienia sztucznych ogni używano karbidu.

Przez chwilę Ryder robił wrażenie, jakby oglądał przez chmurę szaroniebieskiego dymu jakiś odległy punkt, usytuowany gdzieś w okolicy czubków swoich butów.

- Chodzi tu o pułapkę na głupców - powiedział wreszcie. - O sztuczkę, która ma odwrócić uwagę. O przynętę. Nie sądzi pan?

- Być może... być może byłbym pańskiego zdania - podjął ostrożnie Jablonsky - gdybym wiedział, co pan ma na myśli.

- Czy ta kradzież uranu i plutonu - ciągnął Ryder nie precyzując, co ma na myśli - zostanie podana do wiadomości publicznej?

- Nie. Jeśli tylko zdołamy temu zapobiec. Nie należy narażać na stresy poczciwego narodu amerykańskiego, prawda?

- Jeśli zdołacie temu przeszkodzić. Założę się o wszystko, że bandyci będą znacznie mniej powściągliwi i że sprawa zostanie zwieńczona wielkimi tytułami na pierwszych stronach gazet tego stanu nie później niż jutro. Nie mówiąc o reszcie kraju. To się da wyczuć na kilometr. To są oczywiście eksperci, którzy doskonale wiedzą, że najprostszym sposobem zawładnięcia materiałami do produkcji broni atomowej byłoby zaatakowanie konwoju na autostradzie. Łącznie z tym, czego już brak w elektrowniach i fabrykach, od dawna posiadają znacznie więcej tego świństwa niż im potrzeba. A wie pan równie dobrze jak ja, że tylko w tym stanie zniknęło w ostatnich miesiącach trzech fizyków, specjalistów od fizyki jądrowej. Czy zechciałby pan zadać sobie trud odgadnięcia, kim są porywacze tych naukowców?

- Nie wiem... To znaczy, nie wiem, czy powinienem zadawać sobie ten trud.

- Ja też nie wiem. Ale mógłby mi pan zaoszczędzić trudu zastanawiania się nad tym, czego wolałbym uniknąć, jeśli to możliwe. Załóżmy, że są w posiadaniu paliwa nuklearnego. Dalej: załóżmy, że dysponują już specjalistami zdolnymi wyprodukować bombę atomową, a nawet, bo to jest całkiem możliwe, bombę wodorową. Przyjmijmy też, że już taką bombę wyprodukowali. A właściwie dlaczego tylko jedną? Mogą ich mieć na pęczki, zamelinowane w jakimś bezpiecznym miejscu.

Jablonsky wyglądał nieszczęśliwie.

- Nie przepadam za wysuwaniem tego rodzaju hipotez.

- Doskonale pana rozumiem. Ale jeżeli coś się już stało, to nawet gorące pragnienie, żeby było inaczej, nie zmieni faktów. Sam pan mówił, że to hipotezy mieszczące się w granicach prawdopodobieństwa. Czy moje założenia trzymają się więc kupy?

- Tak - odparł Jablonsky, zastanowiwszy się chwilę.

- Sam pan widzi. Dzisiejsza kradzież to zasłona dymna. Nie potrzebowali żadnego paliwa, ponieważ mają go wystarczająco dużo. Nie potrzebowali również fizyków ani zakładników. Po co więc zawładnęli czymś, co nie jest niezbędne? Bo było im do czegoś to potrzebne.

- To cholernie jasne.

- Nie potrzebowali tego paliwa i ludzi, aby wyprodukować bombę - Ryder był cierpliwy. - Jeśli o mnie chodzi, gotów jestem pomyśleć, że potrzebne im to było z trzech powodów. Pierwszy - to uzyskanie jak największego rozgłosu i przekonanie opinii publicznej, że mają środki niezbędne do produkcji bomby i że zamierzają ją wyprodukować. Drugi - to chęć uspienia nas fałszywą nadzieją, że mamy dosyć czasu, aby zapobiec niebezpieczeństwu. Nie da się przecież bomby atomowej wyprodukować z dnia na dzień ani w ciągu tygodnia, czyż nie tak?

- Nie da się.

- No właśnie. A więc mamy czas. Tyle tylko, że go nie mamy.

- Zrozumienie pańskiego stylu wymaga trochę czasu. Ale jeśli nasze domysły są prawdziwe, to rzeczywiście nie mamy.

- Trzeci powód - to chęć stworzenia atmosfery zagrożenia. Kiedy ludzie ulegają panice, przestają postępować racjonalnie. Nie da się przewidzieć ich zachowania. Wtedy nie myślą, tylko działają instynktownie.

- I dokąd nas to wszystko prowadzi?

- Tyle to każdy może sam wykombinować. Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

Jablonsky milcząc wpatrywał się w swoją szklankę. Po chwili westchnął i powiedział:

- Jedno tylko wydaje mi się jasne w tym wszystkim: nic nie tłumaczy pańskiego postępowania.

- A co w nim dziwnego?

- To właśnie jest problem, a może powinien być. Trwoga o losy Susan. Ale jeśli ma pan rację... cóż, rozumiem.

- Obawiam się, że nie. To, co z taką uprzejmością nazywa pan moim rozumowaniem, jest słuszne. Ona narażona jest na niebezpieczeństwo znacznie większe, niż mogłoby się w tej sytuacji wydawać. Inaczej mówiąc, jeżeli przestępcy należą do tego gatunku, który mam na myśli, nie należy oceniać ich według zwykłych kryteriów. Oni są nawiedzeni. Są to żądni władzy megalomani, którzy nie cofną się przed niczym, zwłaszcza gdy ktoś stawi im czoło lub spróbuje przyprzeć ich do muru.

- W takim razie - powiedział Jablonsky po krótkiej chwili - powinien pan być przerażony.

- Dużo by to pomogło.

Rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Ryder wstał i wyszedł do przedpokoju. Sierżant Parker, kawaler, uważał mieszkanie Ryderów za swój drugi dom i wszedł bez

zbyt nich ceregieli. Podobnie jak Jablonsky, miał pod pachą aktówkę, ale w przeciwieństwie do doktora zdawał się być w doskonałym humorze.

- Dobry wieczór. Nie powinienem składać wizyt zwolnionemu glinie, ale w święte imię przyjaźni...

- Sam złożyłem dymisję.

- Na jedno wychodzi. W tej sytuacji mam wolną drogę do objęcia roli najbardziej nienawidzonego i budzącego największy strach policjanta w tym mieście. Po trzydziestu latach terroryzowania miejscowej ludności zasłużyłeś sobie na odrobinę wytchnienia - wszedł za Ryderem do salonu. - Doktor Jablonsky! Nie spodziewałem się zastać pana tutaj.

- Nie spodziewałem się, że tutaj przyjdę.

- Odwagi, doktorze! Odwiedzanie glin znajdujących się w niełasce nie stanowi przestępstwa według prawa federalnego. Ale - dorzucił, wpatrując się Ryderowi w oczy z oskarżycielską miną - jak już mówimy o podnoszeniu na duchu, to jego naczynie jest puste! Dla mnie London Gin.

Po roku pracy w Scotland Yardzie, w ramach wymiany między policją angielską a amerykańską, Parker nabrał głębokiego przekonania, że dżin amerykański nie zmienił się ani trochę od czasów prohibicji i że w dalszym ciągu pędzony jest w wannach.

- Dziękuję za przypomnienie - Ryder spojrzał na Jablonsky'ego. - On skonsumował tu ledwie paręset skrzynek tego świństwa w ciągu ostatnich czternastu lat.

Parker uśmiechnął się, pogrzebał w swojej aktówce i wydobył z niej fotografię Rydera.

- Przepraszam za spóźnienie. Musiałem najpierw wpaść z raportem do naszego tłustego przyjaciela. Wyglądał na rekonwalescenta po zawale. Mój raport zainteresował go znacznie mniej niż swobodna dyskusja o tobie. Biedak był tak wstrząśnięty, że pogratulowałem mu trafności analizy twojego charakteru. To zdjęcie ma, zdaje się, dla ciebie jakieś znaczenie.

- Mam nadzieję, że tak. Dlaczego tak sądzisz?

- Prosiłeś o nie. I wygląda na to, że Susan miała zamiar wziąć je ze sobą, a potem zmieniła zdanie. Zabrała je, gdy faceci wpakowali ją do pokoju, w którym zamknęli cały personel. Potem powiedziała mężczyźnie, który ich pilnował, że nie czuje się dobrze. Strażnik dokonał starannej inspekcji toalet, żeby sprawdzić okna i, jak przypuszczam, czy nie ma tam telefonu, potem pozwolił jej wejść. Wyszła stamtąd kilka minut później, błada jak śmierć. Tyle przynajmniej powiedzieli pozostali.

- "Jutrzenka" - powiedział Ryder.

- Że co?

- Puder, którego używa.

- Aha! Potem, niech mi wybaczą feministki, wykorzystła przywilej kobiet, jakim jest prawo do zmiany zdania i postanowiła zostawić zdjęcie na biurku.

- Wyjmowałeś je z ramek?

- Jestem uczciwym policjantem i nigdy, nawet w snach, nie pozwoliłbym sobie...

- To przestań wreszcie śnić.

Parker wyjął sześć zatyczek, które podtrzymywały fotografię, wydobył ją i obejrzał z zainteresowaniem jej odwrotną stronę.

- Ślad, na Boga, ślad! Odczytałem słowo "Morr". Reszta jest, niestety stenografowana.

- Na to wygląda. Musiała bardzo się spieszyć - Ryder podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer, potem odczekał trzydzieści sekund. - Niech to wszyscy diabli, nie ma jej!

- Kogo?

- Mojej stenografki, Marjory. Musiała pójść z Tedem na kolację, na drinka, do teatru, skąd mam wiedzieć dokąd. Nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób spędza wieczory ani dokąd chodzi dzisiejsza młodzież. Ale Jeff będzie wiedział. Musimy na niego poczekać.

- Gdzie jest twój synelek?

- Na Cypress Bluff. Wrzuca do Pacyfiku część skarbów Donahure'a.

- Szkoda, że nie samego Donahure'a.

Rozdział III

W Ameryce, podobnie jak w Anglii, jest mnóstwo osób, które postanowiły nie podporządkowywać się zastanemu status quo. Są to indywidualiści chadzający własnymi drogami, wyznający własną wiarę, mający swoje słabości i zwyczaje, zwykle uznawane przez innych za dziwactwa. Oni jednak żyją własnym życiem z cudowną obojętnością, zabarwioną, być może, jedynie odrobiną politowania i szczyptą rezygnacji, ignorując innych ludzi - tych nieszczęśników, którzy są do nich tak niepodobni, te hordy konformistów bez twarzy, między którymi przyszło im żyć. Część tych indywidualistów, na ogół są to ci, którzy wyznają szczególnie ezoteryczne religie własnego pomysłu, stara się czasami prowadzić nieoświecone masy w kierunku drogi wiodącej do światła i objawienia. Z reguły jednak należący do tej grupy uznają nieszczęsnych konformistów za istoty znajdujące się poza zasięgiem możliwości udzielania im pomocy i postanawiają pozostawić ich własnemu losowi i ignorancji, podczas gdy sami szybują niestrudzenie po drogach i bezdrożach objawienia, nieczuli na wspaniałe autostrady, którymi porusza się reszta zaślepionej ludzkości. Potocznie nazywa się ich ekscentrykami.

Ameryka ma wielu takich ekscentryków. Kalifornia jednak - co potwierdzą nie tylko mieszkańcy tego stanu, ale też wszystkich pozostałych - w tej konkurencji jest bezkonkurencyjna. W Kalifornii ziemia jest nimi usłana. Różnią się oni od typowych angielskich ekscentryków, którzy są z reguły samotnikami. Ekscentrycy kalifornijscy są mocno zróżnicowani - można by ich wręcz określić jako kulto-maniaków. Ich credo oscyluje między wiarą w kataklizmy natury i niemożliwe do udowodnienia formy natchnienia samozwańcych guru a brawurową rezygnacją tych, którzy znają datę końca świata z dokładnością do setnej części sekundy lub też chowają się na szczytach gór, oczekując nadejścia potopu, który z pewnością zmoczy ich stopy, ale już wyżej nie dojdzie. W społeczeństwach mniej otwartych i mniej tolerancyjnych niż społeczeństwo kalifornijskie osobnicy ci zostaliby umieszczeni w specjalnych instytucjach, wymyślonych dla osób niezrównoważonych i nawiedzonych. Wprawdzie w Złotym Stanie nie są uwielbiani, ale jednak traktuje się ich z pełnym czułości, choć często nie pozbawionym rozdrażnienia, rozbawieniem.

Właściwie trudno ich uznać za prawdziwych ekscentryków. Na Wschodnim Wybrzeżu USA ktoś może być biedakiem i ze wszystkich sił unikać kontaktów z innymi odszczepieńcami, a i tak będzie uznawany za przykład tego, czego każdy powinien unikać w życiu. W Kalifornii, której społeczeństwo lubi przeżywać wszystko wspólnie, takie

samotnictwo nie rokuje żadnych nadziei na uznanie i rozgłos - mimo jednego czy dwóch chlubnych wyjątków. Na przykład: samozwańczy Cesarz San Francisco czy Obrońca Meksyku. Cesarz Norton Pierwszy doszedł do takiego rozgłosu i uwielbienia, że z okazji pogrzebu jego psa zgromadziły się takie tłumy mieszkańców San Francisco, że nie tylko kawiarnie i zakłady, ale nawet burdele przestały wtedy pracować.

Aby mieć szanse na zostanie tak renomowanym ekscentrykiem w Kalifornii, trzeba być milionerem, jako że bycie milionerem daje rodzaj listu żelaznego gwarantującego sukces. Von Streicher należał do nielicznych ludzi cieszących się tym przywilejem. W przeciwieństwie do tych anemicznych i wysuszonych maszynynek do liczenia, jakimi są współcześni miliarderzy naftowi, przemysłowi i królowie usług, von Streicher należał do gigantów epoki statków parowych, kolei żelaznej i stali. Zarówno jego rozległą fortunę, jak i reputację ekscentryka ukształtował i skonsolidował rodzący się wiek dwudziesty i w obydwu tych dziedzinach jego pozycja była niepodważalna. Ale każda pozycja wymaga symbolu, a symbol miliardera nie może być ulotny, musi być widoczny, a im większy - tym lepszy. Każdy szanujący się i dysponujący odpowiednio wypchanym portfelem ekscentryk ucieka się do takiego samego symbolu. Tym symbolem jest dom, który ma odzwierciedlać niepowtarzalną osobowość swego właściciela.

Wybierając lokalizację dla własnej siedziby, von Streicher uwzględnił swoje dwie największe fobie: lęk przed gwałtowną falą przyływu i lęk przed wysokością. Strach przed falą przyływu sięgał czasów jego wczesnej młodości. Przeczytał wtedy gdzieś, że położona na północ od Krety wyspa Thera została zniszczona przez wybuch wulkanu połączony z pięćdziesięciometrowej wysokości falą przyływu, która zmiotła znaczną część cywilizacji minojskiej, greckiej i tureckiej. Od tej chwili żył w przekonaniu, że on również zginie pochłonięty przez morze. Co się tyczy wstrętu do wysokości, był on całkiem bezzasadny, ale ekscentryk dużej klasy nie ma najmniejszej potrzeby uzasadniać w jakikolwiek sposób swoich kaprysów. Ten straszliwy dylemat zabrał w jedyną podróż, jaką kiedykolwiek odbył, do swojego kraju - Niemiec, gdzie spędził dwa miesiące na podziwianiu z bliska wielu architektonicznych arcydzieł, w większości wzniesionych przez szalonego Ludwika II Bawarskiego, i po powrocie przystał na to, co uważał za mniejsze zło: wysokość.

Jednak nie wspinał się zbyt wysoko. Upatrzył płaskowyż położony na wysokości około pięciuset metrów w łańcuchu górskim, odległym jakieś osiemdziesiąt kilometrów od oceanu, i tam przystąpił do wznoszenia swojego Xanadu, nazwanego wkrótce Adlerheim - Orle Gniazdo. Poeta Coleridge twierdzi, że "mieszkańcem" Kubilajchana był majestatyczny pałac. Adlerheim niczego takiego nie przypominało. Był to neogotycki potworek, dziwaczne

straszydło, którego natrętna wulgarność była niemal przerażająca. Masywny, zbudowany ze sprowadzonego z północy Włoch marmuru, stanowił niewiarygodny chaos wieżyczek, murów obronnych i kopuł.

Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności ośmioro jeńców wepchniętych do jednej z dwóch furgonetek, które pięły się po serpentynach szosy prowadzącej do zamku, nie było w stanie zobaczyć, co ich czeka. Było to niemożliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, buda furgonetki była dokładnie zamknięta; po drugie, wszyscy mieli na oczach opaski, a na rękach kajdanki. Mieli jednak poznać wnętrze Adlerheimu dokładniej niż najzagorzalszy i najbardziej opóźniony w estetycznym rozwoju wielbiciel największej z dziewiętnastowiecznych budowli.

Furgonetka zatrzymała się. Otworzono tylne drzwi. Więźniom zdjęto z oczu opaski, ale pozostawiono kajdanki, pomagając im jedynie zeskoczyć na zamknięty ze wszystkich czterech stron i pokryty autentycznym brukiem dziedziniec. Dwaj mężczyźni zamykali właśnie podwójną dębową bramę, która była wzmocniona żelaznymi ćwiekami i szczelnie wypełniała luk prowadzący na dziedziniec. Obaj byli uzbrojeni w ingramy z tłumikami - ulubione pistolety maszynowe elitarnej angielskiej Specjal Air Service (mimo swojej nazwy, jest to jednostka armii lądowej, korzystająca z dwóch rzadkich przywilejów: ma własną zbrojownię, jedną z najpełniej wyposażonych w świecie, a każdy jej członek korzysta z pełnej swobody w wyborze broni. Popularność ingrama świadczy o jego niezrównanej skuteczności).

Drugą osobliwość stanowiło to, że od kapturów burnusów po sandały ubrani byli po arabsku. Ich strój doskonale pasował zarówno do wysokiej temperatury, jak i do konieczności ukrywania pistoletów wśród rozległych fałd burnusa. Czterej inni mężczyźni - dwaj pochyleni nad klombami, które zdobiły cztery kąty dziedzińca, a dwaj z karabinami przewieszonymi przez ramię - ubrani byli tak samo. Wszyscy mieli opaleniznę charakterystyczną dla wschodnich pustyń, ale podejrzenia budziły rysy ich twarzy.

Mężczyzna, który był z całą pewnością przywódcą porywaczy i który zajmował miejsce w pierwszej furgonetce, podszedł do więźniów i po raz pierwszy ukazał im swoje oblicze: ściągnął pończochę, którą miał na głowie w San Ruffino. Był wysoki, barczysty i - w przeciwieństwie do von Streichera (beczułki w skórzanych tyrolskich portkach i w tyrolskim kapelusiku, ozdobionym bażancim piórem) - doskonale pasował do Orlego Gniazda: twarz szczupła i śniada, jak twarze jego ludzi, ale z orlim nosem i jasnoblękitnymi oczami o przenikliwym spojrzeniu. Właściwie widać było tylko jedno oko, gdyż drugie, prawe, miał zasłonięte czarną przepaską.

- Nazywam się Morro - oznajmił. - Jestem przywódcą tej wspólnoty. Ci ludzie są moimi uczniami, można powiedzieć: prawie współwyznawcami. Wszyscy są wiernymi sługami Allacha.

- To pan ich tak nazywa. Ja określiłbym ich raczej jako szubieniczników zerwanych z łańcucha - wysoki, szczupły, ubrany w garnitur z czarnej alpaki mężczyzna, który wypowiedział te słowa, miał zgarbione plecy, okulary o podwójnej ogniskowej i wyglądał jak wiecznie roztargniony profesor, co było tylko w połowie prawdą. Profesor Burnett z San Diego nie był ani trochę roztargniony. W swoim naukowym środowisku cieszył się bowiem reputacją człowieka obdarzonego niezwykle przenikliwą inteligencją i... cholerycznym charakterem.

Morro uśmiechnął się.

- Słowo "łańcuch" może mieć znaczenie dosłowne lub też metaforyczne, panie profesorze. Zależnie od punktu widzenia wszyscy jesteśmy niewolnikami - skinął na dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny. - Zdejmijcie im kajdanki. Panie i panowie, muszę prosić o darowanie brutalnego przerwania waszych spokojnych dni. Mam nadzieję, że nikt nie zaznał najmniejszych niewygód podczas podróży.

Mówił płynnie i precyzyjnie, jak człowiek wykształcony, dla którego jednak angielski nie jest językiem ojczystym.

- Nie chciałem wydać się wam człowiekiem przerażającym lub groźnym (najskuteczniejszym sposobem, żeby przedstawić się jako człowiek przerażający i groźny, jest zapewnianie, że nie ma się zamiaru takim być), ale zanim wprowadzę was do wnętrza, chciałbym, żebyście rzucili okiem na mury tego dziedzińca.

Zrobili to. Mury miały sześć metrów wysokości i były zwieńczone potrójnym rzędem drutów kolczastych. Te druty były podtrzymywane przez osadzone w murze stalowe pręty w kształcie litery "K", ale nie były do nich umocowane; przechodziły tylko przez otwory.

- Mury i brama to jedyne drogi wyjścia. Odradzam jednak korzystanie z nich. Nade wszystko jednak z murów. Druty są pod napięciem.

- Od sześćdziesięciu lat - powiedział zgryźliwie Burnett.

- Pan zna to miejsce? - zapytał Morro, nie okazując zaskoczenia. - Był już pan tutaj?

- Jak tysiące ludzi. To przecież szaleństwo von Streichera. Zamek był dostępny dla zwiedzających przez jakieś dwadzieścia lat, kiedy stanowił własność państwową.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale jest nadal dostępny. We wtorki i piątki. Jakież mam prawo pozbawiać Kalifornijczyków części ich spuścizny kulturalnej? Aby zniechęć włamywaczy, von Streicher przepuścił przez druty prąd o napięciu pięćdziesięciu voltów.

Ale takie napięcie może zabić jedynie kogoś niedomagającego na serce, a chory człowiek nie wspina się zwykle na takie mury. Kazałem więc podwyższyć napięcie do dwóch tysięcy voltów. Proszę teraz za mną.

Poprowadził więźniów przez dziedziniec w stronę bramy znajdującej się dokładnie naprzeciwko tej, przez którą wjechały samochody. Brama prowadziła do wielkiej sali, o wymiarach mniej więcej dwadzieścia metrów na dwadzieścia, której trzy ściany udekorowane były kominkami z kamienia. Każdy z tych kominków był na tyle duży, że mógłby zmieścić się w nim stojący mężczyzna. Ogień płonący w tych trzech kominkach nie służył tylko dekoracji, gdyż nawet w lipcu grube granitowe mury całkowicie izolowały salę od skwaru panującego na zewnątrz. Sala nie miała okien. Oświetlały ją cztery masywne kandelabry, sprowadzone z Pragi. Jej połowę zajmowały stoły i ławy, pozostała część była pusta, jeśli nie liczyć trybuny z ręcznie rzeźbionego dębu i leżącego tuż obok stosu mat lub dywanów.

- Jadalnia von Streichera - oznajmił Morro. - Wątpię, żeby zaaprobował zmiany, których tu dokonaliśmy - dodał, rzucając okiem na zniszczone stoły i ławy.

- A gdzie krzesła w stylu Ludwika XIV i z epoki Empire? - zapytał Burnett. - Nie wątpię, że doskonale nadały się do palenia w kominkach.

- Proszę nie mylić niechrześcijan z barbarzyńcami, panie profesorze. Oryginalne meble pozostały nietknięte. Adlerheim ma rozległe piwnice. Jeśli pominąć doskonałą izolację od świata, muszę wyznać, że zamek jest dokładnie tym, czego najbardziej życzylibyśmy sobie dla naszych celów religijnych. Ta część sali, która służy za jadalnię, jest świecka. Druga natomiast została poświęcona. Musieliśmy zadowolić się tym, co było. Mamy nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli obok tej budowli wznieść meczet. Na razie jednak jego funkcję pełni część jadalni. Trybuna służy do czytania Koranu, a dywany oczywiście do modlitwy. Jeśli chodzi o wzywanie wiernych na modły, musieliśmy uciec się do niezbyt zadowalającego kompromisu. Wieńczące te wieże cebulaste kopuły, symbole groteskowej architektury greckiego Kościoła prawosławnego, stanowią prawdziwą klątwę dla muzułmanów. Poświęciliśmy jedną z wież i teraz służy nam ona za minaret, z którego muezin wzywa braci na modlitwę.

Doktor Schmidt, fizyk równie znakomity jak doktor Burnett i równie jak on znany z tego, że irytuje go wszystko, co uważa za głupie, przyglądał się Morro spod białych, krzaczastych brwi, wspaniale pasujących do niewiarygodnej grzywy włosów. Jego twarz o jasnej cerze wyrażała prawie komiczne niedowierzanie.

- I to właśnie opowiada pan zwiedzającym we wtorki i piątki.

- Oczywiście.

- Mój Boże!

- Allachu, jeśli pan pozwoli.

- I przypuszczam, że osobiście pełni pan rolę przewodnika, czerpiąc ogromną satysfakcję z opowiadania tych bzdur moim łatwowiernym współobywatelom.

- Niech Allah sprawi, by któregoś dnia ujrzał pan jego światło - zareplikował Morro tonem, w którym z trudem tylko można było dopatrzeć się pobłażliwości. - Ten święty obowiązek powierzony został memu zastępcy, Abrahamowi.

- Abraham? - wtrącił Burnett z sarkastycznym uśmiechem. - To imię naprawdę znakomicie dobrane do wyznawcy Allacha!

- Był pan ostatnio w Palestynie, panie profesorze?

- W Izraelu.

- W Palestynie. Wielu Arabów wyznaje tam judaizm. Dlaczego więc nie miałyby się trafić na Żyda, który wyznaje islam? Proszę ze mną. Przedstawię go państwu. Ośmielam się wyrazić nadzieję, że znajdziecie tam państwo atmosferę sympatyczniejszą niż tutaj.

Wielki pokój, do którego ich wprowadził, był nie tylko sympatyczny, ale odznaczał się bezwstydnym sybarytyzmem. Von Streicher powierzył architektom i dekoratorom zadanie umeblowania i ozdobienia wnętrza Adlerheimu i przynajmniej raz udało im się zrobić coś przyzwoicie. Sala przypominała obszerny gabinet, urządzony na wzór angielskiej biblioteki książkowej. Trzy ściany były całkowicie zasłonięte rzędami książek, oprawionych w wykwintną skórę. Na podłodze leżał gruby, rudy dywan, a nad oknami wisały także rude zasłony z adamaszku. Pokryte skórą, niezwykle wygodne fotele, dębowe stoliki, obciążone skórą biurko i ustawione za nim wyściełane obrotowe krzesło dopełniały nie tylko luksusowego, ale jednocześnie miłego dla oka umeblowania. Jedynie trzech mężczyzn, którzy znajdowali się w pokoju, stanowili lekki dysonans. Ubrani byli w stroje arabskie. Dwaj z nich byli niscy i mieli absolutnie pospolite rysy, natomiast trzeci bardzo się wyróżniał. Można by powiedzieć, że najpierw trenował koszykówkę, ale potem zmienił zdanie i został mistrzem amerykańskiego futbolu. Był niezwykle wysoki, a bary miał szerokie jak koń pociągowy. Musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilogramów.

- Abrahamie, oto nasi goście z San Ruffino. Panie i panowie, przedstawiam wam Abrahama Dubois, mojego zastępcę.

- Bardzo mi miło poznać państwa - powiedział olbrzym, kłaniając się. - Witajcie w Adlerheim. Mamy nadzieję, że będzie to dla państwa przyjemny pobyt.

Dźwięk głosu Dubois i ton, którym przemówił, robiły zaskakujące wrażenie. Podobnie jak Morro, mówił po angielsku biegle, jak człowiek wykształcony. Patrząc na jego chłodną i nieprzeniknioną twarz, można było żywić obawę, że jego słowa zabrzmiały złowrogo lub groźnie. Odezwał się jednak tonem nie tylko uprzejmym, ale autentycznie przyjaznym. Jeśli chodzi o narodowość, to akcent jej nie zdradzał, ale rysy twarzy mówiły wszystko. Nie był ani Arabem, ani Żydem, ani Lewantyńczykiem, ani wbrew nazwisku, Francuzem. Był bez wątpienia Amerykaninem. Nie jakimś tam przeciętnym Amerykaninem, absolwentem któregoś z drugorzędnych uniwersytetów, w którym grałby rolę sportowego herosa, lecz autentycznym arystokratą, którego rodowód ginął w mroku dziejów. Był czystej krwi czerwonoskórym, prawdziwym amerykańskim Indianinem.

- Tak, przyjemny pobyt - podjął Morro - i, miejmy nadzieję, dosyć krótki.

Skinął na Dubois, który z kolei skinął na swoich towarzyszy, a oni natychmiast zniknęli. Morro stanął za biurkiem.

- Bardzo proszę, siadajcie państwo. To nie potrwa długo. Potem pokażemy wam wasze apartamenty. Ale przedtem chciałbym przedstawić was pozostałym gościom.

Pokręcił kilka razy obrotowym krzesłem, żeby je podwyższyć, usiadł i wydobyl z jednej z szuflad plik papierów. Potem zdjął skuwkę z pióra, obrzucając jednocześnie spojrzeniem dwóch niskich mężczyzn w białych szatach, którzy właśnie weszli do pokoju, niosąc tace ze szklankami.

- Jak państwo widzicie, jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Czy ktoś z państwa ma ochotę na coś zimnego?

Jako pierwszemu podsunęto tacę profesorowi Burnettowi. Spojrzał na nią, potem zerknął na Morro i nie zrobił najmniejszego ruchu. Morro uśmiechnął się, wstał i podszedł do fizyka.

- Gdybyśmy mieli zamiar pozbyć się kogoś z państwa - a czy możecie sobie wyobrazić najmniejszy powód, dla którego mielibyśmy to robić? - to czy zadawalibyśmy sobie trud sprowadzenia was aż tutaj? Pozostawmy cykutę Sokratesowi, a cyjanek zawodowym mordercom. Wolimy częstować napojami w stanie czystym. Z której szklanki mam za pana spróbować, profesorze?

Burnett, który zawsze miał wielkie pragnienie, wahał się tylko przez moment. Następnie wskazał palcem szklankę, którą Morro uniósł do góry, zanim wypił mniej więcej jedną czwartą płynu, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Glenfiddich. Doskonała szkocka whisky. Polecam ją.

Profesor nie wahał się. Wypił, cmoknął i zadrwił, okazując w ten sposób wielką niewdzięczność.

- Muzułmanie nie piją alkoholu.

- Postępowi muzułmanie piją - odparł spokojnie Morro. - Otóż my stanowimy właśnie sektę postępową. Co się zaś tyczy tych, którzy uważają się za ortodoksyjnych muzułmanów, przestrzegają oni tego zakazu, z pewnymi jednak wyjątkami. Proszę zapytać dyrektora pierwszego lepszego pięciogwiazdkowego hotelu w Londynie, które to miasto jako cel pielgrzymek Arabów z wyższych sfer społecznych zmierza do zastąpienia Mekki. Były czasy, kiedy wielcy magnaci naftowi wysyłali służbę, by kupowała codziennie wielkie, odpowiednio zamaskowane skrzynie alkoholu, aż do czasu, kiedy dyrekcja hoteli zwróciła im dyskretnie uwagę, że niepotrzebnie się trudzą, bo mogą zamówić w barze wszystko, czego sobie życzą. Jedyna niezbędna ostrożność polegała na tym, że przedstawiając rachunki, ceny umieszczano w rubryce usług pralniczych, telefonicznych lub pocztowych. I wiem, że niektóre rządy znad Zatoki Perskiej pokrywają bez mrugnięcia okiem rachunki za znaczki pocztowe, wynoszące tysiące funtów szterlingów.

- Postępowi muzułmanie! - powtórzył Burnett, który nie skończył z szyderstwami. - I po co ta fasada?

- To nie jest fasada, profesorze - odparł cierpliwym tonem Morro, ciągle uśmiechając się i ciągle nie zrażony. - Byłby pan zaskoczony, gdyby dowiedział się pan, ilu muzułmanów zamieszkuje pański stan. Byłby pan również zaskoczony, dowiedziawszy się, ilu z nich zajmuje wysokie stanowiska. A jeszcze bardziej, zobaczywszy, ilu przybywa tutaj, żeby uczestniczyć w religijnych obrzędach i oddać się medytacji. Adlerheim szybko staje się celem pielgrzymek, doskonale znanym muzułmanom z zachodnich stanów. A nade wszystko byłby pan bardzo zdziwiony, gdyby dowiedział się pan, ilu wpływowych obywateli, którzy nie mogą sobie pozwolić na narażenie na szwank własnej reputacji, gwarantowałyby za naszą prawość, nasze oddanie i uczciwość naszych zamiarów.

- Gdyby te osoby znały wasze prawdziwe zamiary - wtrącił doktor Schmidt - nie byłbym zaskoczony tym, co pan przed chwilą powiedział. Po prostu bym nie uwierzył.

Morro obrócił dłonie wnętrzem do góry i rzucił okiem w stronę Dubois, który wzruszył ramionami i powiedział:

- Władze lokalne szanują nas, mają do nas zaufanie i - co muszę podkreślić - podziwiają nas. Dlaczego? Może dlatego, że Kalifornijczycy nie tylko tolerują ekscentryków, ale kochają ich i uważają za gatunek podlegający ochronie? Na pewno nie. Jesteśmy zarejestrowani w stanowych wykazach jako organizacja charytatywna, ale - w

przeciwieństwie do większości tego rodzaju organizacji - nie tylko nie domagamy się pieniędzy, lecz rozdajemy je. W ciągu ośmiu miesięcy, które minęły od naszego osiedlenia się tutaj, daliśmy ponad dwa miliony dolarów na biednych, kalekich i upośledzonych umysłowo. Mówiąc krótko, na tych wszystkich, którzy zasługują na wsparcie, bez względu na rasę i religię.

- Włącznie z funduszem emerytalnym dla policjantów? - Burnett nawet nie usiłował ukrywać dezaprobaty.

- Tak jest, założyliśmy również taki fundusz. Ale nie ma mowy o żadnym przekupstwie - ciągnął Dubois tonem tak szczerym i tak przekonywającym, że trudno było nie dać mu wiary. - Chodzi jedynie o zwykłą wymianę uprzejmości, o gest, który uczyniliśmy, żeby wyrazić naszą wdzięczność za bezpieczeństwo i ochronę, którą nam policja zapewnia. Pan Curragh, szef policji, człowiek powszechnie szanowany za swoją prawość, może poszczycić się całkowitym i gorącym poparciem gubernatora stanu w przedsięwzięciach, które pozwolą doprowadzić do końca nasze pokojowe plany, a także zrealizować nasze altruistyczne cele. Aby oszczędzić nam nieprzyjemności oraz zapewnić spokój, przy wjeździe na naszą prywatną drogę ulokowano nawet ekipę policyjną - Dubois z poważną miną potrząsnął głową.

- Nawet nie wyobrażacie sobie państwo, ilu jest na tym świecie niedobrych ludzi, którzy czerpią przyjemność z zakłócania spokoju tym, którzy czynią dobro.

- Słodki Jezu! - Burnett tracił cierpliwość. - Ze wszystkich kłamstw, jakie słyszałem w swoim życiu... Wie pan, Morro? Panu wierzę - nie przekupywaliście ani nie korumpowaliście - po prostu oszukiwaliście uczciwych obywateli, uczciwego komendanta policji i jego policjantów, wmawiając im, że jesteście tymi, za których się podajecie. Nie widzę zresztą żadnego powodu, dla którego miałiby wam nie wierzyć. W końcu mają dwa miliony bardzo dobrych "zielonych" dowodów na poparcie waszych słów. Nie wyrzuca się przecież takiej fortuny przez okno.

- Cieszę się, że zrozumiał pan nasz punkt widzenia - stwierdził Morro z uśmiechem.

- Nie wyrzuca się fortuny przez okno, chyba że jest to stawka w niezwykle wysokiej grze. Trzeba zainwestować, by zarobić, prawda? - ciągnął Burnett, potrząsając niedowierzająco głową, a potem pocieszając się zawartością szklaneczki, którą trzymał w dłoni i o której zdawał się na moment zapomnieć. - Oczywiście, jeśli usunie się kontekst, trudno panu nie wierzyć. Ale w tym kontekście rzeczą niemożliwą jest uwierzyć.

- W tym kontekście?

- Kradzież materiałów rozszczepialnych i kidnaping. Raczej trudno byłoby to pogodzić z waszymi rzekomo humanitarnymi celami. Aczkolwiek jestem przekonany, że potrafiłby pan dać sobie radę ze wszystkim. Jedyne, co jest panu potrzebne, to dostatecznie chory umysł.

Morro wrócił na swoje miejsce za biurkiem i oparł podbródek na pięściach. Z jakiegoś, sobie tylko znanego, powodu nie uznał za stosowne zdjąć rękawiczek z czarnej skóry, które nosił przez cały czas.

- Nie jesteśmy szaleńcami - oznajmił. - Nie jesteśmy nawiedzeni. Nie jesteśmy również fanatykami. Mamy tylko jeden cel - polepszenie ludzkiego losu.

- Czyjego? Waszego?

Morro westchnął przeciągle.

- Tracę tylko czas. Może sądzą, że jesteście tutaj dla okupu? To nieprawda. A może myślicie, że mamy zamiar zmusić doktora Schmidta i pana do wyprodukowania dla nas jakiejś prymitywnej bomby atomowej? To po prostu śmieszne. Nikt nie może zmusić ludzi waszego formatu i charakteru do robienia czegoś, czego zrobić nie zechcą. Może wszyscy przypuszczacie, że zmusimy was do pracy dla nas, grożąc torturowaniem innych zakładników, a zwłaszcza pań? To absurd. Przypomnę panu raz jeszcze, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Profesorze Burnett, gdybym przyłożył panu pistolet między oczy i powiedział, żeby pan się nie ruszał, czy poruszyłby się pan?

- Przypuszczam, że nie.

- Poruszyłby się pan, czy nie?

- Z całą pewnością nie.

- Sam więc pan widzi. Broń nie musi być naładowana. Czy rozumie pan, co mam na myśli?

Burnett zachował milczenie.

- Nie będę przysięgał, że żadnemu z was nie stanie się krzywda, gdyż jest rzeczą jasną, że moje słowo nie będzie miało najmniejszego znaczenia dla żadnego z was. A więc wszystko, co możemy zrobić, to poczekać, zobaczyć, co się stanie, prawda? - Morro wygładził starannie kartkę papieru, którą położył przed sobą. - Profesora Burnetta i doktora Schmidta już znam. Rozpoznaję też panią Ryder.

Spojrzał na przerażoną dziewczynę o kasztanowych włosach.

- Panna Julie Johnson, stenotypistka, jak sądzę. Ale - dodał, patrząc na trzech pozostałych mężczyzn - który z panów nazywa się Haverford i jest zastępcą dyrektora?

- Ja - powiedział tęgi, młody człowiek o jasnorudych włosach i cholerycznym wyrazie twarzy i po chwili zastanowienia dorzucił: - I niech cię diabli!

- Mój Boże! A pan Carlton, zastępca kierownika ochrony?

- To ja - odpowiedział mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o czarnych włosach i zaciśniętych kurczowo wargach, który demonstrował minę wyrażającą szczególne obrzydzenie.

- Nie ma pan czego sobie wyrzucać - stwierdził Morro prawie grzecznie. - Nie ma zabezpieczenia, którego nie można by przechytryć.

Przyjrzał się siódmemu zakładnikowi, młodemu człowiekowi o jasnych włosach i równie wyblakłej cerze, którego poruszające się nerwowo w górę i w dół jabłko Adama i coraz bardziej nerwowe tiki lewego oka nieomylnie wysyłały rozpaczliwe sygnały strachu.

- Pan nazywa się Rollins i pracuje w sterowni?

Rollins nie odpowiedział.

Morro złożył kartkę.

- Chciałbym zaproponować, żeby każdy z was, gdy już znajdzie się w swoim pokoju, zechciał podjąć trud napisania listu. Potrzebne przybory znajdziecie państwo w swoich apartamentach. Napiszcie do osoby, która jest wam najbliższa i najdroższa, zawiadamiając ją, że jesteście zdrowi i cali i że jeśli pominie się drobny uszczerbek, jakiego doznała wasza wolność, nie macie powodów, by uskarżać się na złe traktowanie. Dodajcie, że nie spotkała was ani nie spotka żadna krzywda. Oczywiście w swoich listach nie zrobicie żadnej aluzji do Adlerheim, muzułmanów lub czegokolwiek, co mogłoby dostarczyć jakiegokolwiek wskazówki co do miejsca waszego pobytu. I nie zaklejajcie kopert. Załatwimy to za was.

- Cenzura! - mruknął Burnett, na którego druga szklanka whisky również nie podziałała kojąco.

- Proszę nie udawać naiwnego, profesorze.

- A jeśli odmówimy napisania listów? Lub jeśli ja odmówię?

- Jeżeli nie chce pan uspokoić rodziny, to ma pan całkowitą swobodę wyboru. Wydaje mi się - dodał, zwracając się w stronę Dubois - że nadszedł moment, by wprowadzić doktorów Healeya i Brambella.

- Dwaj spośród zaginionych fizyków jądrowych! - krzyknął doktor Schmidt.

- Obiecałem przecież, że przedstawię państwa moim gościom - odparł Morro z uśmiechem.

- A gdzie jest profesor Aachen?

- Profesor Aachen? - powtórzył Morro, spoglądając w stronę Dubois, który zacisnął wargi i potrząsnął głową - nie znamy nikogo o takim nazwisku.

- Profesor Aachen był najświetniejszym uczonym spośród trzech fizyków, którzy zniknęli kilka tygodni temu - odparł Schmidt, który był w swoich wypowiedziach drobiazgowy, a nawet pedantyczny.

- Cóż! On nie zniknął w naszych stronach. Nigdy o nim nie słyszałem. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli ponosić odpowiedzialność za każdego naukowca, który zechciał zniknąć lub zdradzić.

- Zdradzić? Nigdy. To niemożliwe.

- Obawiam się, że tak samo reagowali wasi brytyjscy koledzy na wieść o swoich przyjaciółach, którzy nie mogli się oprzeć pokusie państwowych mieszkań w Moskwie. Ach! Panowie! Oto ci, którzy nie zdradzili.

Mimo dwudziestocentymetrowej różnicy wzrostu Healey i Bramwell byli bardzo podobni do siebie. Obaj byli brunetami, obaj mieli pociągłe, inteligentne twarze, okulary w rogowej oprawie i bardzo dobrze skrojone garnitury. Wyglądaliby równie dobrze na posiedzeniu jakiejś rady nadzorczej czy na Wall Street. Morro nie potrzebował przedstawiać ich pozostałym - najslynniejsi fizycy jądrowi tworzą bardzo elitarną społeczność. Może dlatego ani Burnettowi, ani Schmidtowi nie przyszło do głowy przedstawić swoich kolegów pozostałym towarzyszom niedoli.

Po rutynowych uściskach dłoni i mniej rutynowych wyrazach ubolewania z powodu spotkania w tak żałosnych okolicznościach rozpoczęli rozmowę.

- Spodziewaliśmy się was - oznajmił Healey, obdarzając Morro spojrzeniem, w którym wyraźnie brakowało serdeczności.

- Wprost przeciwnie niż my - odpowiedział Burnett, wyraźnie włączając do tego "my" tylko Schmidta i siebie samego. Ale ponieważ już jesteście, to sądziliśmy, że Willi Aachen jest razem z wami.

- Też tak sądziłem. Ale nie ma tu ani śladu Williego. Morro wmawia nam, że uciekł on do Rosjan. Twierdzi, że ani o nim nie słyszał, ani go nie widział. "Wmawia" jest tu właściwym określeniem - ciągnął Schmidt i dorzucił jakby z przymusem: - Muszę przyznać, że wyglądacie zupełnie dobrze.

- Nie ma najmniejszego powodu, żeby miało być inaczej - odparł Bramwell. - Przymusowe i nie chciane to wakacje, ale było to najspokojniejsze siedem tygodni, jakie udało mi się przeżyć od wielu lat. Może nawet przez całe życie. Długie spacerowanie, dobre jedzenie, noce wypełnione spokojnym snem, alkoholu - ile dusza zapagnie i, co

najważniejsze, nie ma tu telefonu. Doskonała biblioteka, jak sami widzicie, a dla ubogich duchem kolorowa telewizja we wszystkich apartamentach.

- Apartamentach...?

- Sami zobaczycie. Ci dawni miliarderzy nie odmawiali sobie niczego. Może wiecie, dlaczego tu jesteście?

- Nie mamy pojęcia - stwierdził Schmidt. - Mieliśmy nadzieję, że to wy udzielicie nam wyjaśnień.

- Siedem tygodni i wciąż nie mamy ani cienia podejrzenia.

- Nie próbował was zmusić do pracy dla siebie?

- Chodzi o bombę atomową? Szczerze mówiąc, właśnie tego oczekiwaliśmy. Ale nie padła nawet najmniejsza aluzja na ten temat. Czujecie się prawie rozczarowani, prawda? - spytał Healey z niewesołym uśmiechem.

Burnett zerknął na Morro.

- Teoria nie nabitego pistoletu?

Zamiast odpowiedzieć, Morro uprzejmie się uśmiechnął.

- Co to znaczy? - zapytał Bramwell.

- Wojna. Psychologiczna. Przeciwko każdemu, kto ma się stać ofiarą tego szantażu. Po co porywać fizyka nuklearnego? Po to, żeby zmusić go do zrobienia bomby atomowej! Tak będzie myślał świat.

- Ale świat nie wie, że do tego nie potrzeba fizyka tej klasy. Lecz w gruncie rzeczy powinni przejąć się ci, którzy wiedzą, że wyprodukowanie bomby wodorowej wymaga udziału fizyka jądrowego. Wpadliśmy na to już pierwszego wieczoru tutaj.

- Panowie - przerwał Morro z charakterystyczną dla siebie wykwinną kurtuazją - czy moglibyście przerwać na chwilę rozmowę? Będziecie mieli dosyć czasu, żeby przedyskutować przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Za godzinę zostanie podana spóźniona kolacja. Sądzę, że teraz nasi goście chcieliby przede wszystkim obejrzeć swoje pokoje i przystąpić do, powiedziałbym, dobrowolnych zadań korespondencyjnych.

Susan Ryder miała czterdzieści pięć lat, ale wyglądała o dziesięć lat młodziej. Miała ciemnoblonde włosy, oczy jak bławatki i uśmiech, który mógł być bardzo czarujący bądź pełen odpychającego chłodu, zależnie od okoliczności i towarzystwa. Była inteligentna i obdarzona poczuciem humoru, ale w tej chwili nie miała ochoty do żartów. Siedziała na

łóżku w pokoju, który został jej przydzielony. Julie Johnson, stenotypistka, stała pośrodku pokoju.

- Trzeba przyznać - powiedziała Julie - że potrafią podejmować gości, a może to jeszcze stary von Streicher przygotował wszystko jak należy. Salon i sypialnia zostały umeblowane i udekorowane przez największe firmy z Beverly Wilshire. Kurki w łazience pokryte są czystym złotem. Tu jest wszystko!

- Natychmiast skorzystam z tego luksusu - powiedziała Susan głośno, kładąc palec na wargach na znak ostrzeżenia. - Wezmę szybko prysznic. To nie potrwa długo.

Weszła do łazienki, ostrożnie odczekała kilka sekund, odkręciła do końca kurek prysznic, wróciła do saloniku i skinęła na Julie.

- Nie jestem pewna, czy w pokojach nie ma ukrytych mikrofonów - szepnęła, kiedy obie znalazły się w łazience.

- Z całą pewnością są.

- Skąd ta pewność?

- Ten okropny facet robi wrażenie, jakby był zdolny do wszystkiego!

- Pan Morro? Uważam, że jest uroczy. Ale zgadzam się z tobą. Podobno kiedy puszcza się prysznic, zakłóca się całkowicie działanie ukrytego mikrofonu. Tak mi kiedyś powiedział John - prócz sierżanta Parkera i Susan nikt nie zwracał się do Rydera po imieniu; być może dlatego, że bardzo niewiele osób je znało. Jeff, który do matki zwracał się niezmiennie "Susan", pozostał przy "tato". - Oddałabym wszystko na świecie, żeby tu był. Zostawiłam mu notatkę - Julie spojrzała na nią z niedowierzaniem. - Pamiętasz, że w czasie porwania poczułam się źle i musiałam pójść do toalety? Wzięłam zdjęcie Johna ze sobą, wyjęłam z ramek i nabazgrałam parę słów na odwrocie. Potem włożyłam zdjęcie z powrotem do ramki i postawiłam na moim biurku.

- Jest nikła szansa, że w ogóle przyjdzie mu do głowy wyjąć zdjęcie z ramki!

- Wiem. Wystenografowałam również kilka słów na kartce, którą podarłam i wrzuciłam do kosza na śmieci.

- Mało prawdopodobne, żeby pomyślał o zbadaniu zawartości twojego kosza na śmieci. A jeśli nawet to zrobi, to skąd ma się domyślić, że te skrawki coś znaczą?

- To rzeczywiście mało prawdopodobne. Ale nie znasz mojego męża tak dobrze, jak ja. Kobiety mają prawo być nieobliczalne, a jedną z rzeczy, które zawsze denerwowały mnie u niego było właśnie to, że z dokładnością do dziewięćdziesięciu i iluś tam procent był w stanie przewidzieć, co zrobię.

- Nawet jeśli to odkryje, to i tak niewiele mogłaś mu przekazać.

- Bardzo niewiele. Mało precyzyjny rysopis mężczyzny w masce z pończochy, aluzję do jego głupiej uwagi, że zabiera nas w miejsce, gdzie nie będziemy narażeni na zamoczenie stóp, i jego nazwisko.

- To dziwne, że nie zabronił swoim ludziom zwracać się do siebie po nazwisku. Chyba że nie jest to jego prawdziwe nazwisko.

- Z całą pewnością nie. Chodzi pewnie o jakiś niewydarzony żart. Okradając jedną elektrownię atomową, uznał za rzecz zabawną przybrać sobie - jako nazwisko - nazwę drugiej elektrowni, tej w Morro Bay. Ja też zadaję sobie pytanie, czy na wiele to się nam przyda.

Julie uśmiechnęła się z powątpiewaniem i wyszła z pokoju. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Susan obróciła się, żeby zbadać, skąd napływa powietrze, które sprawiło, że przez jej ramiona przebiegł dreszcz, ale w pokoju nie było najmniejszego otworu, który mógłby spowodować przeciąg.

Prysznice tego wieczora cieszyły się ogromnym powodzeniem. Profesor Burnett odkręcił kurek dokładnie z tych samych przyczyn, co Susan. Osobą, z którą chciał rozmawiać, był oczywiście doktor Schmidt. Wymieniając wszystkie udogodnienia Adlerheimu, doktor Bramwell nie wspominał o tym, co zarówno dla Burnetta, jak i dla Schmidta miało zasadnicze znaczenie - w apartamentach znajdowały się barki. Każdy z fizyków wypił w milczeniu zdrowie kolegi - Burnett szkocką whisky, Schmidt dżinem z tonikiem. W przeciwieństwie do sierżanta Parkera nie przejawiał żadnych szczególnych uprzedzeń co do pochodzenia dżinu. Dżin był dla niego dżinem - i to wszystko.

- Myślisz o tym to samo, co ja? - zapytał Burnett.

- Tak - Schmidt również nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

- Czy ten człowiek jest szaleńcem, oszustem czy diabelnym cwaniakiem?

- Diabelnym cwaniakiem, to oczywiste. Co nie przeszkadza, żeby był tym wszystkim naraz.

- Jak oceniasz nasze szanse wydostania się stąd?

- Zerowe.

- A nasze szanse ujęcia stąd z życiem?

- Tak samo. On nie może sobie pozwolić na pozostawienie nas przy życiu. Przecież moglibyśmy go potem zidentyfikować.

- Naprawdę myślisz, że gotów jest zabić nas z zimną krwią?

- Będzie musiał - Schmidt zawahał się. - Ale nie można mieć co do tego pewności. Na swój dziwny sposób robi wrażenie człowieka dość cywilizowanego. Oczywiście może to być maska, ale nie można wykluczyć, że on naprawdę wierzy w tę swoją misję.

Schmidt wspomógł swe rozważania zawartością szklaneczki i powrócił z dolewką.

- Może zresztą jest gotów się targować - nasze życie w zamian za bezkarność.

- Nie uwłaczając innym - stwierdził, uwłaczając im jednak - to dysponując czwórką fizyków tej klasy co my, ma wystarczające atuty, żeby przystąpić do przetargów ze stanem Kalifornia lub z rządem - zależnie od okoliczności.

- Z rządem. To nie ulega wątpliwości. Doktor Durrer z ERDA musiał już dawno temu wezwać FBI. I nawet jeśli naprawdę jesteśmy ważnymi osobistościami, nie możemy lekceważyć czynnika emocjonalnego. Opinię publiczną poruszy fakt, że wśród zakładników znajdują się dwie niewinne kobiety. Cały naród będzie domagać się, żeby uczyniono wszystko, co niezbędne dla naszego uwolnienia. Nawet jeśli będzie to wymagać nacisków na wymiar sprawiedliwości.

- Miejmy nadzieję - odparł ponuro Schmidt - cały czas strzelamy w ciemno. Bo nie wiemy, do czego zmierza Morro. Możemy co najwyżej podejrzewać, że to będzie szantaż atomowy. No bo co niby innego mógłby wymyślić? Ale nie mamy zielonego pojęcia, jak się do tego zabierze.

- Może Healey i Bramwell mogliby nam coś powiedzieć. Są trochę podłamani, to jasne, ale robią wrażenie raczej spokojnych i nie widać po nich śladu paniki. Zanim zacniemy wyciągać wnioski, powinniśmy przedyskutować wszystko z nimi. Jest szansa, że wiedzą o czymś, o czym my nie mamy najmniejszego pojęcia.

- Są zbyt spokojni - Schmidt zastanowił się. - Nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale czy nie zostali czasem poddani praniu mózgow lub czemuś w tym rodzaju?

- Nie - odparł bardzo stanowczo Burnett. - Zastanawiałem się nad tym, kiedy wymienialiśmy z nimi te parę zdań. Zbyt dobrze ich znam.

Burnett i Schmidt zastali dwóch pozostałych fizyków w pokoju Healeya, skąd dobiegała cicha muzyka. Burnett położył palec na ustach. Healey uśmiechnął się i nastawił odbiornik głośniej.

- Robię to tylko dlatego, żeby was uspokoić - powiedział. - Przez siedem tygodni pobytu tutaj mogliśmy się przekonać, że w pokojach nie ma ukrytych mikrofonów. Ale czy jeszcze coś budzi wasz niepokój?

- Tak. Mówiąc prosto z mostu, wy dwaj jesteście za bardzo beztroscy. Skąd wiecie, że Morro nie ma zamiaru rzucić nas na pożarcie lwom, kiedy osiągnie już to, czego pragnie?

- Nie mamy żadnej gwarancji. Może otepieliśmy na skutek długiego zamknięcia. Bez przerwy powtarza, że nie stanie się nam nic złego i nie wątpi w pomyślne zakończenie negocjacji, które prowadzić będzie z władzami, kiedy uruchomi już Bóg wie jaki szaleńczy plan, który wbił sobie do głowy.

- Mówiąc z grubsza, myśleliśmy dokładnie tak samo. Nie wydaje się, żeby to była zbyt solidna gwarancja.

- Nic więcej nie wiemy. Poza tym mieliśmy dosyć czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić. Nie trzyma nas tu w żadnym konkretnym celu. Jesteśmy więc tu po to, żeby umożliwić mu realizację celów natury psychologicznej. Dla tej samej przyczyny ukradł uran i pluton. To samo mówiłeś przed chwilą - broń nie naładowana, ale wycelowana. Skoro chce nas mieć tutaj wyłącznie w celach psychologicznych, sam fakt naszego zniknięcia powinien wystarczyć mu do ich zrealizowania i mógłby pozbyć się nas bez zwłoki. Po co więc trzyma nas tutaj siedem tygodni? Dla przyjemności, jaką mu sprawia nasze towarzystwo?

- Zawsze lepiej widzieć dobrą stronę sytuacji. Być może wkrótce doktor Schmidt i ja przyjmimy wasz sposób widzenia. Mam tylko nadzieję, że nie zabierze nam to następnych siedmiu tygodni.

Healey wskazał palcem bar, ale Burnett pokręcił przecząco głową, co jasno wskazywało, do jakiego stopnia był wytrącony z równowagi.

- Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi - Willi Aachen. Gdzie się podział? Rozum powiada mi, że jeśli czterech fizyków wpadło w ręce Morro, to to samo powinno się stać z piątym. Dlaczego on miałby być wyróżniony albo, w zależności od punktu widzenia, pominięty?

- Bóg jeden raczy wiedzieć. W każdym razie na pewno nie zdradził.

- Czy mógłby zostać zmuszony do zdrady? - spytał Burnett.

- To się zdarzało, ale to tylko przypuszczenie.

- Nigdy nie miałem okazji go poznać - podjął Schmidt. - Jest najlepszy, tak? W każdym razie z tego, co słyszałem, wynika, że jest najlepszy z nas wszystkich...

Burnett uśmiechnął się do Healeya i Bramwella, a potem powiedział do Schmidta:

- Wiesz doskonale, że fizycy to ludzie zazdrośni, mający o sobie bardzo wygórowaną opinię. Żaden z nich nie chce ustąpić pierwszego miejsca. Ale trzeba przyznać, że Aachen jest najlepszy!

- Pewnie dlatego nigdy się z nim nie zetknąłem, że naturalizowałem się w Ameryce dopiero sześć miesięcy temu. Aachen pracuje chyba nad czymś bardzo tajnym. Jaki on jest? Mówię o nim, a nie o wynikach jego prac naukowych. Jego renoma ma zasięg światowy.

- Po raz ostatni widziałem go dziesięć tygodni temu w Waszyngtonie podczas sympozjum. Byliśmy tam zresztą wszyscy trzej: Healey, Bramwell i ja. To facet niezwykle wesoły i obdarzony wrodzonym optymizmem. Jest mojego wzrostu, kędzierzawy jak Murzyn i barczysty jak atleta. Powiedziałbym, że waży jakieś sto kilo. I jest uparty jak osioł. Pomysł, że ktokolwiek mógłby go zmusić do pracy dla siebie, jest w ogóle nie do przyjęcia.

Burnett całkowicie się mylił. Podobnie jak wszyscy, którzy spotykali Aachena w ciągu minionych lat. Nie znał naprawdę Williego Aachena, w każdym razie nie rozpoznałby go w tej chwili. Twarz profesora Aachena była wychudła, blada, poznaczona zmarszczkami, których nie miał trzy miesiące temu. Jego kędzierzawa czupryna przybrała teraz barwę śniegu. Nie robił już wrażenia wysokiego, gdyż był zgarbiony jak ktoś, kto cierpi na poważne skrzywienie kręgosłupa. Ubranie żałośnie wisiało na wynędzniałym ciele, nie ważył teraz więcej niż siedemdziesiąt kilogramów. I Aachen był całkowicie gotów pracować dla każdego, a nade wszystko dla Lopeza. Gdyby Lopez kazał mu skoczyć z Golden Gate, zrobiłby to bez chwili wahania.

Bo właśnie Lopez był człowiekiem, który wpłynął na zmianę osobowości Williego - z pozoru niezniszczalnej i nienaruszalnej. Lopez - którego imienia nikt nie znał, a którego nazwisko było najprawdopodobniej fałszywe - był porucznikiem armii argentyńskiej i powierzono mu przesłuchiwanie jeńców. Irańczycy i Chilijczycy uchodzą za mistrzów świata w torturowaniu. Ale wynika to jedynie z dyskrecji armii argentyńskiej, która nie lubi się przechwalać, choć ma w swoich szeregach paru specjalistów od wydobywania informacji, w porównaniu z nimi wszyscy inni oprawcy naszej planety zdają się być niezdarnymi amatorami. O umiejętnościach Lopeza wystarczająco wymownie świadczy

fakt, iż w swoich bezlitosnych zwierzchnikach wzbudził taką odrazę, iż poczuli potrzebę pozbycia się go.

Lopez był bardzo zdumiony, gdy opowiadano mu historie o bohaterach II wojny światowej, którzy wytrzymywali tortury, nie otwierając ust w ciągu długich miesięcy. Twierdził - i nie należy uznawać tego za przechwałki, ponieważ nie raz i nie sto razy dostarczał dowodów słuszności swego twierdzenia - że w ciągu pięciu minut doprowadzi najtwardszego i najbardziej fanatycznego terrorystę do wycia z bólu, a w ciągu dwudziestu minut ofiara wyśpiewa nazwiska wszystkich swych współpracowników.

Potrzebował czterdziestu minut, żeby ujarzmić Aachena i musiał powtarzać zabieg parokrotnie w ciągu następnych kilku tygodni. Ale przez cały ubiegły miesiąc Aachen nie sprawiał mu już kłopotów. Trzeba złożyć hołd talentom Lopeza - Aachen został fizycznie złamany i na zawsze stracił resztki dumy, woli oraz niezależności, lecz jego intelekt i pamięć pozostały nienaruszone.

Aachen uczepił się krat celi, wpatrując się przygasłymi i nabiegłymi krwią oczyma w laboratorium usytuowane po drugiej stronie krat, laboratorium stanowiące jedyny jego dom - i jego nieustanne piekło - podczas siedmiu ostatnich tygodni. Patrzył bezwiednie, nie mrugnawszy okiem, jakby zahipnotyzowany, w umieszczony na przeciwległej ścianie regał. Leżało na nim dwanaście cylindrów, każdy zaopatrzony w pierścień, przyspawany z wierzchu. Jedenaście z nich miało około trzech i pół metra wysokości, a ich przekrój nie przekraczał używanych w marynarce dział o kalibrze cztery i pół cala. Były zresztą do lufy takiego działa bardzo podobne. Dwunasty cylinder miał tę samą średnicę, ale był o połowę krótszy.

Wydrążone w skale laboratorium mieściło się na głębokości czterdziestu stóp, dokładnie pod wielką jadalnią Adlerheimu.

Rozdział IV

Ryder, doktor Jablonsky, sierżant Parker i Jeff z niecierpliwością czekali, aż Marjory przepisze stenogram Susan. Zajęło jej to niecałe dwie minuty, po czym podała swój notatnik Ryderowi.

- Dziękuję, Marjory. Oto tekst: "Przywódcą nazywa się "Morro"". Dziwne.

- Co w tym dziwnego? - zapytał Jablonsky. - W tym kraju jest wiele dziwnych nazwisk.

- Dziwne jest nie nazwisko, ale to, że pozwolił komuś, być może wielu swoim ludziom, zwracać się do siebie po nazwisku.

- Pseudonim - stwierdził Jeff.

- Z całą pewnością. "Metr osiemdziesiąt, szczupły, barczysty, głos człowieka wykształconego. Amerykanin? Jedyne, który nosi czarne rękawiczki. Widziałam chyba czarną przepaskę na jego prawym oku. Nosi maskę z czarnej pończochy. Innych trudno opisać. Mówią, że nie zrobią nam krzywdy. Mamy traktować dni, które nastąpią, jak wakacje. Pobyt w uroczym letnisku. Nie nad morzem. Nikt nie zmoczy stóp. Głędzenie? Nie wiem. Nie zapomnij zgasić piecyka". To wszystko.

- To niewiele - Jeff był wyraźnie zawiedziony.

- Czego się spodziewałeś? Adresu i numeru telefonu? Susan nie zapomniałaby o niczym, a więc to było wszystko, co miała do powiedzenia. Ten Morro może mieć jakieś znaki szczególne na obu dłoniach - blizny, amputowane palce, deformacje - i ma jedno oko. Może na skutek wypadku samochodowego, eksplozji czy postrzału. Ponadto, jak wszyscy kryminaliści, może być czasem tak pewny siebie, że mówi za dużo. "...Nie nad morzem... urocze letnisko..." Oczywiście, może to być zwykłe gadanie, ale po co w ogóle było o tym wspominać. Urocze letnisko, a więc może jakieś góry lub wzgórze.

- Wzgórz i gór w Kalifornii nie brakuje - zauważył Parker zniecierpliwionym tonem.

- Prawie dwie trzecie stanu. Mamy więc do przetrząśnięcia obszar równy mniej więcej Wielkiej Brytanii. I czego właściwie mamy szukać?

Po chwili ciszy Ryder powiedział:

- Może raczej powinniśmy zadać sobie pytanie, dlaczego?

Dzwonek przy drzwiach wejściowych dźwięczał znacznie dłużej niż było to niezbędne. Jeff wyszedł z salonu, ale wrócił prawie natychmiast w towarzystwie szefa policji, który zdawał się być - jak zawsze - w paskudnym humorze, i nieszczęśliwego młodego detektywa o nazwisku Kramer. Donahure patrzył na nich groźnym wzrokiem

posiadacza, którego mieszkaniem zawładnęła wspólnota hipisów. Potem jego spojrzenie spoczęło na Jablonskym.

- Co pan tu robi?

- Zabawne - powiedział Jablonski lodowatym tonem, zdejmując okulary, aby Donahure mógł zobaczyć, że jego oczy są równie chłodne jak głos. - Chciałem właśnie zadać to samo pytanie panu.

Donahure piorunował go wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, potem zwrócił się do Parkera:

- A wy co tu, do diabła, robicie?

Parker sęczył powoli dżin, co zirytowało Donahure'a.

- Stary przyjaciel odwiedza starego przyjaciela. Po raz tysięczny może. Rozmawialiśmy sobie o przeszłości... - wypił bez pośpiechu następny łyk dżinu i dorzucił: - Zresztą to nie pański zasrany interes!

- Stawicie się jutro rano do raportu! - krtań Donahure'a znowu zaczęła odmawiać mu posłuszeństwa. - Wiem doskonale, o czym tu rozmawialiście! O San Ruffino! Ryder nie prowadzi tej sprawy i już nie pracuje w policji! Nie macie żadnego prawa, Parker, omawiać spraw policyjnych z osobami prywatnymi. A teraz zjeżdżajcie stąd! Muszę pomówić z Ryderem w cztery oczy.

Ryder, jak na człowieka swojej tuszy, zerwał się z zaskakującą żwawością.

- Chyba nie chce pan, abym zyskał opinię człowieka, który nie zna zasad gościnności. Nie mogę się na to zgodzić.

- Precz!

Trudno mu było wywarzyć to słowo, ale Donahure podjął ten wysiłek. Widząc, że jego żądanie okazało się nieskuteczne, obrócił się na pięcie, przeszedł przez pokój i chwycił słuchawkę telefonu. W tym momencie zawył z bólu, bo Ryder lewą dłonią chwycił go za ramię, uciskając jeden z najczulszych i najmniej chronionych nerwów. Donahure puścił słuchawkę. Ryder delikatnie odłożył ją na widelki.

- Co to znaczy, do cholery?! - warknął Donahure, masując łokieć. - Dalej, Kramer, aresztujcie Rydera za napad i uniemożliwianie podjęcia działań przez wymiar sprawiedliwości.

- Co?! - Ryder rozejrzał się dookoła. - Czy ktokolwiek widział mnie napadającego na Grubcia? Najwyraźniej nikt niczego nie widział. Dom Kalifornijczyka to świętość. Nikt nie ma prawa niczego tu dotykać bez mojego pozwolenia.

- Ach to tak?! - wykrzyknął Donahure głosem, w którym tryumf pokonał ból. - Otóż dotknę wszystkiego, co mi się podoba. Czy wiecie, co to jest? - dodał, wymachując Ryderowi przed nosem kawałkiem papieru, który wyciągnął z kieszeni.

- Naturalnie. To nakaz rewizji podpisany przez LeWintera.

- Tak, to nakaz rewizji, proszę pana.

Ryder wziął kartkę i przyglądał się jej przez chwilę.

- Mam prawo zapoznać się z tym od początku do końca. A może pan o tym nie wie? Tak jak mówiłem, podpis sędziego LeWintera. Pańskiego partnera od pokera. Dobrego kumpla z ratusza. Drugiego, po panu, najbardziej skorumpowanego urzędnika w tym mieście. I jedyne go sędziego, który jest w stanie podpisać nakaz rewizji na podstawie oskarżenia wziętego z sufitu - spojrzał na pozostałych i dodał: - Obserwujcie, z łaski swojej, reakcje tego stróża moralności publicznej, zwracając szczególną uwagę na kolor jego cery. Jeff, masz jakieś pomysły co do oskarżenia?

- Cóż - zamyślił się zapytany. - Myślę, że wybrał sobie kradzież. Prawa jazdy? Krótkofalówki? A może czegoś zgoła nieoczekiwanego, powiedzmy: lornetki z inicjałami LAPD?

- Spójrzcie na jego cerę - wtrącił Ryder. - Interesujący przypadek kliniczny - fiolet z przewagą purpury. Założę się, że dobry psycholog miałby tu coś do powiedzenia. Może to kompleks winy?

- Mam! - Jeff był uszczęśliwiony. - On tu przyszedł, aby poszukać przedmiotów skradzionych z miejsca przestępstwa.

- Nie wiem, jak na to wpadłeś - mruknął Ryder, studiując nakaz.

- Ma cholerną rację - parsknął Donahure, wyrывая mu dokument - a gdy coś znajdzie...

- Co? Właśnie dlatego to wszystko ukartowałeś. Sam nie wiesz, czego szukasz. Nawet nie pofatygowałeś się do San Ruffino.

- Wiem, czego szukam! - oznajmił i ruszył do sypialni. Zatrzymał się jednak po chwili, gdyż Ryder postępował za nim krok w krok. - Nie potrzebuję cię, Ryder.

- Wiem, ale potrzebuje mnie żona.

- Co ty gadasz?

- Ma tu trochę niezłej biżuterii.

Donahure zacisnął pięści i zmierzył Rydera nienawistnym spojrzeniem. Potem zmienił zamiar i bardziej miarowym krokiem - o ile kroki hipopotama mogą być miarowe - wszedł do sypialni. Ryder stanął tuż za nim.

Donahure zaczął od szuflady komody, poszperał w stosie bluzek, z których zrobił bezładną stertę, zamknął gwałtownie szufladę i zamierzał wysunąć następną, gdy Ryder chwycił go znów za ramię, zmuszając w ten sposób do wydania ryku bardzo podobnego do tego, który Donahure wydał przed chwilą. W salonie Parker wzniosł oczy w górę, wziął swoją szklankę i szklankę Jablonsky'ego i podszedł do baru.

- Nie lubię bałaganiarzy - oznajmił Ryder - a szczególnie nie lubię, kiedy brudne łapska obmacują rzeczy mojej żony. Ja sam je przejrzę, a pan będzie patrzył, jak to robię. Ponieważ nie mam najmniejszego pojęcia, czego pan szuka, trudno mi chyba będzie to coś ukryć.

Przystąpił do drobiazgowego przeszukiwania garderoby swojej żony, a potem pozwolił Donahure'owi prowadzić dalej rewizję. W tym czasie Jeff napełnił szklankę i zaniósł ją do kuchni Kramerowi, który stał ze skrzyżowanymi ramionami oparty o zlew i miał głęboko nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Wyglądasz na człowieka, któremu przyda się coś na wzmocnienie. To dżin. Donahure nasączony jest bourbonem, więc nic nie poczuje. Jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- Dziękuję - Kramer z wdzięcznością wziął szklankę. - Sam widzisz, przeszukuję kuchnię.

- Znalazłeś coś?

- Na pewno znajdę, kiedy zacznę się rozglądać. Garnki, rondle, półmiski i talerze, noże i widelce... rozmaite rzeczy. Prawdę mówiąc, nie wiem, czego mam szukać - dodał i pociągnął łyk dżinu. - Zapewniam cię, Jeff, że to wszystko jest dla mnie bardzo przykre. Ale co mam robić?

- Postępować dokładnie tak, jak postępujesz. Z bezczynnością jest ci do twarzy. Czy masz najmniejsze pojęcie, czego twój gruby kumpel tutaj szuka?

W tym momencie usłyszeli czyjeś kroki i głosy. Jeff wyrwał szklankę z dłoni Kramera. Nim Donahure wszedł do kuchni, Kramer zdążył otworzyć jakąś szufladę i udawał, że przegląda jej zawartość. Ryder nie odstępował ani na krok komendanta policji. Donahure zaszczycił Jeffa swoim spojrzeniem:

- Co wy tu robicie?

- Mam oko na srebra - odparł spokojnie Jeff, powoli opuszczając rękę, w której trzymał szklankę.

- Zjeżdżać! - warknął Donahure.

Jeff spojrzał na ojca.

- Zostań - powiedział Ryder - oni już wychodzą.

- Do jasnej cholery, Ryder! - dyszał Donahure - nie doprowadzajcie mnie do ostateczności, bo gotów jestem...

- Co? Zafundować sobie atak serca, zbierając zęby, które panu wybiję?

Donahure zwrócił się do Kramera:

- Znaleźliście coś? Nic?

- Nie ma tu nic, czego nie powinno tu być.

- Jesteście pewni, że dobrze sprawdzaliście?

- Nie zwracaj na niego uwagi - odezwał się Ryder. - Gdyby w tym domu był ukryty słoń, Donahure znalazłby sposób, żeby go nie dostrzec. Nie ostukiwał ścian ani nie unosił dywanów, ani nie sprawdzał, czy jakaś klepka w podłodze się rusza. Nie szukał też pod materacem. Czego teraz uczą w tych szkołach policyjnych?!

Ryder, nie zwracając uwagi na apoplektyczne dźwięki wydobywające się z gardła Donahure'a, wrócił do pokoju i - nie zwracając się do nikogo konkretnego - oznajmił:

- Ten, kto mianował szefem policji tego osła, musiał być stuknięty albo padł ofiarą szantażu. Donahure, od tej chwili nie żywię do pana żadnych uczuć, poza głęboką pogardą. Powinien się pan pośpieszyć, aby złożyć raport swojemu chlebobdawcy. Proszę mu powiedzieć, że strzelił pan właśnie klasycznego byka, przepraszam, dwa: jeden - to błąd psychologiczny, drugi - taktyczny. Założę się, że tym razem działał pan całkowicie z własnej inicjatywy. Żaden osobnik o ilorazie inteligencji wyższym niż pięćdziesiąt nie narażałby się na taką kompromitację.

- Mój chlebobdawca? Co to, do cholery, znaczy?

- Jest pan równie dobrym aktorem, jak szefem policji. Widzi pan, że mam rację. Rozdziera pan gębę - to wszystko co pan umie - ale w głębi duszy zdycha pan ze strachu. Powiedziałem "chlebobdawca" i to znaczy po prostu chlebobdawca. Każda marionetka musi mieć kogoś, kto nią porusza. Kiedy następnym razem pomyśli pan o przedsięwzięciu czegoś na własną rękę, proponuję, żeby zasięgnął pan rady kogoś inteligentniejszego. Należy przypuszczać, że ten pański chlebobdawca ma odrobinę oleju w głowie.

Donahure raz jeszcze rzucił spojrzenie bazyliuszka, ale natychmiast uświadomił sobie, że nie jest to zbyt dobra sztuczka, więc obrócił się na pięcie i wyszedł. Ryder towarzyszył mu do samych drzwi wyjściowych.

- Ma pan zły dzień, Donahure. Raminoff też miał zły dzień. Ale ośmielam się twierdzić, że dla niego dzień zakończył się lepiej. To znaczy, mam nadzieję, że zdążył wyskoczyć z samochodu, zanim ten stoczył się do Pacyfiku. No, no, młodzieńcze -

powiedział, poklepując Kramera przyjaźnie po ramieniu - proszę nie robić takiej zmieszanej miny. Jestem pewien, że szef wyjaśni panu wszystko w drodze powrotnej.

Kiedy wrócił do salonu, Parker spytał:

- O co tu właściwie chodziło?

- Właściwie nie wiem. Mówiłem o jego wielkiej gębie i jestem pewien, że miałem rację. On blefuje. Nigdy nie grał dobrze w pokera. Ja także blefowałem, ale w inny sposób. Zapuściłem się chyba na grząski teren, ale zastanawiam się, co w trawie piszczy...

- Sam powiedziałeś: "otrzymuje od kogoś rozkazy".

- Ta kanalia przez całe życie będzie słuchała czyichś rozkazów. Niech pan nie robi takiej zaskoczony miny, doktorze Jablonsky. To kanalia. W każdym razie odkąd go znam, a jest to stanowczo zbyt długo. Oczywiście policja kalifornijska nie jest lepsza od policji innych stanów. Ale jest prawie zupełnie wolna od korupcji. Donahure to wyjątek potwierdzający regułę.

- Ma pan dowody?

- Wystarczy na niego spojrzeć. To żywy dowód. Ale jeśli ma pan na myśli dowody na piśmie, to tak, mam je, ale chcę podkreślić, że nie może pan cytować moich słów, ponieważ ich nie wypowiedziałem.

- Nie zdoła mnie pan zbić z tropu - uśmiechnął się Jablonsky. - Umiem już rozszyfrować pańskie aluzje i niedomówienia.

- Niech pan rozszyfruje, co się panu podoba, ale proszę tego nie powtarzać. Aha - dodał, biorąc do ręki fotografię - tego też proszę nie rozgłaszać.

- Mogę powiedzieć Tedowi? - spytała Marjory.

- Raczej nie.

- Poczekaj, powiem Susan o twojej tajemniczości.

- Zgoda, ale tajemnica, o której się mówi, przestaje być tajemnicą - pochwycił jej podejrzliwe spojrzenie na Jablonsky'ego i Parkera. - Kochanie, pierwszą rzeczą, której uczą się fizycy jądrowi i policjanci jest to, jak trzymać język za zębami.

- Nie będę o tym mówiła. Ted też nie. Po prostu chcemy pomóc.

- Nie potrzebuję waszej pomocy. Przepraszam, to nie było grzeczne. Jeśli będę was potrzebował, to poproszę. Nie chcę was mieszać w coś, co może okazać się strasznym bagnem.

- Dzięki - uśmiechnęła się.

Oboje wiedzieli, że nigdy nie poprosi.

- Donahure ma bardzo ciekawy dom - podjął Ryder. - W stylu hiszpańskim lub marokańskim, z basenem. Co krok, barek. Bardzo drogie i w bardzo złym guście meble - wszystko to nie jest obciążone hipoteką. Jego służba to meksykańskie małżeństwo. Jeździ lincolnem, ostatni model, zapłacił za niego gotówką. Ma dwadzieścia tysięcy dolarów na koncie. Krótko mówiąc, żyje na znacznie wyższej stopie niż ogół śmiertelników, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że nie ma żony, która wydawałaby pieniądze. Rzuciła go. Ten tryb życia byłby do przyjęcia, bo w końcu nie zarabia mało. Natomiast nie do przyjęcia jest fakt, że ma konta w siedmiu bankach na siedem różnych nazwisk, co daje w sumie trochę ponad pół miliona dolarów. Bóg jeden wie, w jaki sposób zgromadzonych. Miałby z pewnością spore trudności z wyjaśnieniem ich pochodzenia.

- Nic z tego, co się w tym domu dzieje lub mówi, nie zdoła mnie zaskoczyć - odparł Jablonsky, robiąc jednak wrażenie zdziwionego. - A dowody?

- Są - oznajmił Jeff, a ponieważ Ryder nie usiłował zaprzeczyć, mówił dalej: - Nie wiedziałem o nich do dzisiejszego wieczora. Ojciec ma jego dossier, łącznie z podpisanymi zeznaniami, które byłoby całkiem niezłym bestsellerem w Sacramento.

- To prawda? - zapytał Jablonsky.

- Nie musi pan wierzyć - odparł Ryder.

- Proszę mi wybaczyć. Ale dlaczego nie przechodzi pan do ataku? Chyba nie przerażają pana konsekwencje?

- Mnie nie. Ale innych tak. Prawie połowa nielegalnych dochodów naszego przyjaciela pochodzi z szantażu. Trzej znajdujący się na świeczniku obywatele tego miasta, w gruncie rzeczy ludzie równie bez zarzutu i niewinni, jak większość z nas, co zresztą o niczym jeszcze nie świadczy, zostali paskudnie skompromitowani. I narażeni są na fatalne reperkusje, jeśli Donahure da się przyskrzynić. Ale rozumie się samo przez się, że jeśli zajdzie taka konieczność, posłużę się tymi dokumentami.

- A co nazywa pan koniecznością?

- Tajemnica państwowa, profesorze - Parker uśmiechnął się i wstał.

- Niech i tak będzie - powiedział Jablonsky również wstając. - Mam nadzieję, że przyda się to panu - dodał, wskazując głową na przyniesioną przez siebie teczkę.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję wam obu.

- Zna go pan lepiej niż ja - odezwał się Jablonsky, gdy obaj z Parkerem zbliżali się do swych wozów. - On naprawdę martwi się o rodzinę? Nie zrobił na mnie wrażenia zmartwionego.

- Martwi się. Może tego nie okazuje, ale jest zgnębiony. Co do jego zachowania, to prawdopodobnie będzie równie zrelaksowany, gdy zabije porywacza Susan.

- Zrobi to? - Jablonsky wyglądał na nieszczęśliwego.

- Oczywiście. Zresztą nie po raz pierwszy. Rzecz jasna, nie z zimną krwią - musi mieć konkretny powód. Bez powodu dostarcza tylko miłego zajęcia chirurgom plastycznym. To może się przytrafić każdemu, kto stanie na jego drodze do Morro, czy jak on tam się zwie. Obawiam się, że oni popełnili poważny błąd - porwali niewłaściwą osobę.

- Jak pan sądzi, co on zamierza zrobić?

- Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, co sam zrobię - coś, o co nigdy się nie podejrzewałem. Pojadę prosto do domu i zmówię paciorek za zdrowie naszego szefa policji.

- Kiedy odrobisz lekcje? - zapytał Jeff ojca, wskazując dokumenty przyniesione przez Jablonsky'ego. - Zawsze uczyłeś mnie, żeby odrabiać lekcje zaraz po przyjściu do domu.

- Do tego zadania muszę mieć spokój.

- Myślę, że on to uważa za aluzję. Chodźmy, Marge. Odprowadzę cię. Do zobaczenia.

- Za pół godziny.

- Oo! - Jeff wyglądał na zadowolonego. - Więc jednak nie masz zamiaru siedzieć tutaj przez całą noc z założonymi rękami.

- Nie. Nie mam zamiaru siedzieć tutaj przez całą noc z założonymi rękami.

Po wyjściu Jeffa i Marjory mogło się jednak przez moment wydawać, że Ryder tak właśnie ma zamiar uczynić. Po upływie kilku minut włożył zdjęcie w ramkę i postawił je na pianinie między dwoma innymi. Z lewej strony stało zdjęcie żony. Drugie zaś przedstawiało ich córkę Peggy, studentkę drugiego roku literatury na uniwersytecie w San Diego. Była to uśmiechnięta, o bystrych oczach dziewczyna, która kolor włosów i oczu odziedziczyła po ojcu, ale, na szczęście dla siebie, nie odziedziczyła ani jego rysów, ani jego sylwetki, którą miała całkowicie po matce. Wszyscy wiedzieli, że była jedyną osobą, która mogła wodzić groźnego sierżanta Rydera za nos, z czego sam Ryder doskonale zdawał sobie sprawę, chociaż trzeba przyznać, że nie spędzało mu to snu z powiek. Przez kilka sekund przyglądał się fotografiom, potem potrząsnął głową, zabrał swoje zdjęcie i schował je do szuflady.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do San Diego. Słuchał przez pełne dwie minuty, po czym odłożył słuchawkę. Następnie zadzwonił do majora Dunne'a z FBI, ale po usłyszeniu

długiego sygnału, powodowany jakąś nagłą myślą, zmienił zamiar. Nalał sobie szklanekę szkockiej whisky, wziął ze stołu akta Carltona, usiadł i zaczął je przeglądać, robiąc wyraźne i precyzyjne notatki po przeczytaniu każdej stronicy. Właśnie skończył przeglądać po raz drugi dokumenty, gdy wrócił Jeff. Ryder podniósł się.

- Przejedziemy się twoim samochodem.

- Dokąd?

- Wszystko jedno. Jakoś to wytrzymam. Donahure może okazać się wytrwalszy, niż można by sądzić, co?

- Tak.

Wsiadli do forda Jeffa. Po przejechaniu kilometra Jeff odezwał się:

- Nie wiem, jak na to wpadłeś, mamy towarzystwo. Ktoś jedzie za nami.

- Upewnij się.

- Jestem pewny - stwierdził Jeff po następnym kilometrze.

- Wiesz, co trzeba robić.

Jeff skręcił w lewo przy pierwszym skrzyżowaniu, potem w prawo, w marnie uświetloną uliczkę, wjechał w podwórko jakiejś fabryczki, przejechał przez nie i zatrzymał się naprzeciw drugiej bramy. Zgasił światła. Obaj mężczyźni wysiedli z samochodu i bez pośpiechu przeszli przez podwórko.

Samochód zatrzymał się pięćdziesiąt metrów za ich fordem. Szczupły mężczyzna średniego wzrostu, którego twarz częściowo skrywał cień rzucany przez rondo kapelusza o niemodnym już fasonie, wysiadł z wozu i szybkim krokiem ruszył w kierunku forda. Minął właśnie pierwszą bramę, kiedy uświadomił sobie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Obrócił się, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zaniechał tej czynności w momencie, kiedy podkuty but zetknął się z rozmachem z jego nogą tuż pod kolanem. Nie jest przecież łatwo jednocześnie wydobyć z kieszeni rewolwer i skakać na jednej nodze, trzymając się oburącz za drugą.

- Nie drzyj się! - polecił Ryder, sięgając do wewnętrznej kieszeni tamtego.

Wydobył pistolet automatyczny, chwycił go mocno za lufę i kolbą uderzył napastnika w twarz. Tym razem mężczyzna zawył. Jeff skierował światło latarki na twarz osobnika i głosem, który mógł brzmieć odrobinę pewniej, stwierdził:

- Nie ma nosa. Brak mu również kilku górnych zębów. Zniknęły.

- Tak jak twoja matka.

- Ton głosu Rydera sprawił, że Jeff drgnął. Przyjrzał się ojcu, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

- Igrasz z losem, Raminoff - podjął Ryder. - Jeśli jeszcze raz spotkam cię w odległości mniejszej niż kilometr od mojego domu, wylądujesz na miesiąc w szpitalu. A potem pójde zająć się twoim szefem. Możesz mu to powtórzyć. Kto jest twoim szefem, Raminoff? Masz dwie sekundy na odpowiedź.

Uniósł dłoń z rewolwerem.

- Donahure - głos Raminoffa był jakby bulgotliwy.

Nic dziwnego: z ust i nosa płynęła mu strumieniem krew. Ryder niewzruszenie przyglądał mu się przez parę sekund, po czym odwrócił się i odszedł.

Kiedy byli już w wozie, polecił synowi:

- Zatrzymaj się przy najbliższej budce telefonicznej.

Jeff rzucił na ojca pytające spojrzenie, ale ten nie zareagował. Ryder spędził w budce trzy minuty, wykonując dwa telefony. Wrócił do wozu, zapalił papierosa i rzucił Jeffowi:

- Jedź do domu.

- Sądzisz, że nasz telefon jest na podsłuchu?

- Myślisz, że jest coś do czego Donahure nie byłby zdolny? Zadzwoiłem do Johna Aarona z "Examinera" - ani słowa od porywaczy. Da mi znać, gdy tylko będzie coś miał. Zadzwoiłem również do majora Dunne'a z FBI i zaraz się z nim zobaczę. Kiedy wysiądę przed domem, wejdź, weź jakąś broń i coś, co mogłoby ci służyć za maskę. Idź do Donahure'a i sprawdź, czy jest w domu. Dyskretnie, rzecz jasna.

- Będzie miał dziś gości?

- Ciebie i mnie. Jeśli jest u siebie, wystarczy, że zadzwonisz pod ten numer - Ryder zapalił światło i zapisał numer na kartce wyrwanej z notesu. - To "Redox" - na Bay Street. Znasz ten lokal?

- Tylko z opowieści - odparł poważnym głosem syn. - Knajpa pedałów, handlarzy narkotykami i narkomanów. Wydaje mi się, że to nie jest miejsce dla ciebie.

- Właśnie dlatego tam idę. Muszę przyznać, że Dunne też nie był zachwycony tym pomysłem.

- Zamierzasz potraktować Donahure'a tak samo jak Raminoffa? - spytał z wahaniem Jeff.

- Niezły pomysł, ale on nie ma nam nic ciekawego do powiedzenia. Ktoś, kto tak dobrze zaplanował tę akcję, nie rwie się do bezpośredniego kontaktu z takim jak on. Załatwia to z pewnością przez pośrednika, albo dwóch. Ja wynajęłbym dwóch.

- A czego będziesz tam szukać?

- Nie dowiem się, póki nie znajdę.

Dla kamuflażu Ryder zmienił ubranie. Miał teraz na sobie garnitur stosowny dla poważnego biznesmena, prosto z pralni, o którego istnieniu wiedzieli jedynie członkowie rodziny. Dunne również występował w przebraniu. Włożył beret i ciemne okulary, przykleił też sobie cienki wąsik. Żadna z tych rzeczy nie pasowała do niego i wszystkie trzy czyniły go - co z niechęcią skonstatował - odrobinę śmiesznym. Ale jego szare oczy były tak samo bystre i inteligentne jak zawsze. Przyglądał się z obrzydzeniem dziwnym strojom klientów, złożonej głównie z młodzieży poniżej lub nieco powyżej dwudziestego roku życia i z miną pełną odrazy wciągnął w nozdrza zapach, który unosił się w powietrzu.

- Śmierdzi tu, jak w burdelu.

- Bywa pan w tego rodzaju lokalach?

- Tylko służbowo - uśmiechnął się. - No dobrze. Nikt nas tu nie powinien zobaczyć.

Nigdy nie wpadłbym na pomysł spotkania właśnie tutaj.

Przerwał na moment, bo jakieś stworzenie w różowych pantoflach podeszło do nich i postawiło na stoliku dwie szklanki. Kiedy kelner się oddalił, Ryder wylał ich zawartość do stojącej obok doniczki z jakąś rośliną.

- To nie może jej zaszkodzić - łyżeczka whisky rozpuszczona w wodzie! - wyjął flaszkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. - Zawsze przygotowany na najgorsze. Pańskie zdrowie.

- Doskonała. No więc?

- Po pierwsze - nasz komendant. Dla pańskiej informacji: Donahure i ja mamy odrębne zdanie w wielu kwestiach.

- Zadziwia mnie pan.

- Jest pan zapewne o wiele mniej zdziwiony niż sam Donahure. Ma na głowie masę kłopotów. Dziś wieczór stracił przeze mnie samochód, który wpadł do Pacyfiku. Skonfiskowałem mu również kilka urzędzeń stanowiących jego osobistą własność i... Przeprowadziłem wywiad z facetem, którego na mnie napuścił.

- Kapuś jest w szpitalu?

- Wymaga opieki lekarskiej. Ale w tej chwili zdaje zapewne sprawozdanie z niepowodzenia swojej misji...

- Skąd pan wie, że został nasłany przez Donahure'a?

- Sam mi to powiedział.

- Ach tak. Nie mogę powiedzieć, że przykro mi z tego powodu. Ale ostrzegam, Donahure jest niebezpieczny. A właściwie - niebezpieczni są jego przyjaciele. Wie pan, jak zachowuje się szczur złapany w pułapkę? Czy zdołał pan ustalić jakieś powiązanie między nim a sprawą San Ruffino?

- Fakty wskazują na istnienie takiego powiązania. Spróbuję później rozejrzeć się po jego domu. Zobaczymy, co tam znajdzie.

- Może się zdarzyć, że będzie u siebie.

- Co za różnica? Potem chyba pójdę porozmawiać z sędzią LeWinterem.

- To zupełnie inna ryba niż Donahure. Mówi się o nim jako o następnym prezesie Stanowego Sądu Najwyższego.

- Są z tej samej mąki. Co pan o nim wie?

- Mam jego akta - Dunne zerknął do swojej szklanki.

- Czy wynika z nich, że to drań i zaraza?

- Wolalbym być ostrożniejszy w opinii.

- Aha. A więc dorzucę coś do pańskich akt. Dziś wieczorem Donahure przyszedł do mnie z nakazem rewizji, sporządzonym pod pretekstem tak sztucznym, że jedynie nieuczciwy sędzia mógł go podpisać.

- Czy przewidziano nagrodę za odgadnięcie nazwiska?

- Nie. Co do tego, co teraz powiem, to w dwóch sprawach pańska pomoc byłaby dla mnie bardzo cenna - wyjął z koperty, którą z sobą przyniósł, dokumenty dotyczące Carltona oraz sporządzone przez siebie notatki. - Zastępca szefa ochrony San Ruffino. Jedna z siedmiu porwanych dzisiaj osób. Robi wrażenie faceta poza wszelkimi podejrzeniami.

- Wszyscy łajdacy robią takie wrażenie.

- Tak. Pracował w wywiadzie wojskowym, zanim trafił do San Ruffino. Jeszcze przedtem był odpowiedzialny za ochronę dwóch przedsiębiorstw. Ponieważ zawsze pracował dla wojska lub dla Komisji Energii Atomowej, jego przeszłość powinna stanowić otwartą księgę. Chcę mieć odpowiedź na parę pytań, które tam zapisałem, szczególnie interesują mnie jego kontakty. Nawet błahe informacje mają dla mnie wielkie znaczenie.

- Ma pan jakieś powody, żeby podejrzewać tego Carltona?

- Nie ma żadnego powodu, żeby go nie podejrzewać, co - moim zdaniem - na jedno wychodzi.

- Rutynowa sprawa. Co jeszcze?

Ryder wyjął kartkę z rozszyfrowanym stenogramem Susan, napisanym na odwrocie fotografii. Wyjaśnił majorowi, w jaki sposób odkrył tę notatkę. Dunne z uwagą przeczytał ją kilka razy.

- Widzę, że zainteresowało to pana.

- Dziwne. To zdanie o nie zmoczonych stopach. Mniej więcej raz do roku od początku naszego stulecia pewni Kalifornijczycy oczekują niechybnego powszechnego potopu. Są to, oczywiście, ludzie stuknięci.

- Stuknięci i doskonale zorganizowani przestępcy, jak Morro, czy jak mu tam, chodzący ręka w rękę?

- Nie wykluczają się w każdym razie.

- Czy FBI ma nazwiska takich maniaków?

- Naturalnie, parę tysięcy.

- Należy więc o tym zapomnieć. Gdyby chciało się pozamykać wszystkich nonkonformistów mieszkających w tym stanie, połowę ludności trzeba by trzymać za kratkami.

- Niewykluczone, że nie tę połowę - Dunne zamyślił się. - Przed chwilą mówił pan o "zorganizowanych" przestępcach. Znamy takich trochę stukniętych facetów, tworzących grupy, do których można zastosować ten przymiotnik i którym udało się utrzymać na powierzchni.

- Wywrotowcy?

- Nie, raczej dziwacy. Ale dziwacy, którzy potrafili jakoś zorganizować sensowne stowarzyszenia. Sensowne dla nich, oczywiście.

- Czy dużo jest takich grup?

- Nie zaglądałem ostatnio do tej listy. Chyba jest ich kilkaset.

- Garstka. Inaczej mówiąc, nie ma takiego kamienia, pod który byście nie zajrzeli?

- I żadnej nie zbadanej przez nas drogi. Będę miał tę listę. Ale nie to pana interesuje. Chodzi o tego osobnika, o Morro. Oczywiście, jest to fałszywe nazwisko. I, być może, facet ma uszkodzone prawe oko i dłoń. Nie powinno to być trudne. A pański czwarty punkt?

- Chodzi, majorze, o sprawę osobistą. - Ryder wyjął z kieszeni fotografię i kartkę. - Chciałbym, żeby zatroszczono się o bezpieczeństwo tej osoby.

Dunne przyjrzał się fotografii z aprobuską miną.

- Piękna młoda kobieta. Nie pana krewna, więc jaki związek...

- Peggy, moja córka.

- Ach! - Dunne nie był człowiekiem, którego łatwo można zaskoczyć. - Panna Ryder musi być bardzo piękną osobą.

- Dziękuję - Ryder uśmiechnął się. - Studiuję w San Diego. Oto jej adres, mieszkanie dzieli z trzema innymi dziewczętami, i numer telefonu. Próbowałem się z nią połączyć, ale nikt nie odpowiadał. Jestem przekonany, że jeden z pańskich ludzi błyskawicznie odkryje, gdzie ona się podziewa. Chciałbym, żeby dowiedziała się o tym, co się stało, zanim usłyszy to w telewizji lub w radio w jakiejś zatłoczonej dyskotecie.

- To żaden problem. Ale to nie wszystko, prawda? Powiedział pan "zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo".

- Mają już moją żonę. Jeśli Donahure jest zamieszany w tę sprawę - a będę o tym wiedział za godzinę - Morro i jego przyjaciele mogą mnie przestać lubić.

- Pańska prośba jest dosyć niecodzienna.

- Okoliczności są również niecodzienne. Czy ma pan dzieci, majorze?

- Do diabła, tak! Ile lat ma pańska córka?

- Osiemnaście.

- Tak jak moja Jane. To, co pan robi, sierżancie, to zwykły szantaż uczuciowy. Dobrze! Zajmę się tym. Ale pan wie, że mam czynnie współpracować z Donahure'em i że stawia mnie pan w trudnej sytuacji?

- A ja, jak pan myśli, w jakiej sytuacji się znalazłem? - przerwał na widok pantalonów zatrzymujących się przy stoliku.

- Czy pan nazywa się Green?

- Jak to odgadłeś?

- Ktoś prosi do telefonu tęgiego pana w ciemnym garniturze. Nikt poza panem nie odpowiada temu opisowi. Telefon jest tutaj.

- Dobrze zbudowany, a nie tęgi, mój mały - powiedział Ryder do słuchawki. - Co nowego?

- Był tu Raminoff, ale już wyszedł. Służący go odwiózł. Jeszcze krwawił. Pewnie są u łapiducha.

- Donahure jest u siebie?

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Raminoff przez całe pięć minut konferował ze służącym.

- Spotkamy się za pięć minut na rogu Czwartej i Hawthorne.

Ryder nie zdążył nawet usiąść, gdy różowe pantalone wezwały go po raz drugi.

- Jeszcze jeden telefon, panie Green.

Minutę później Ryder usiadł obok Dunne'a i wydobyl flaszke, żeby znów napełnić szklanki.

- Miałem dwie rozmowy - oznajmił. - Pierwsza - wiadomość, że szpicel rzeczywiście złożył raport Donahure'owi. Druga - z Johnem Aaronem. Zna go pan?

- Chodzi o tego faceta z "Examinera"? Tak, znam go.

- Associated Press i Reuter depeszują jak najęci. Jakiś typ zadzwonił do nich, żeby podać wiadomość. Nigdy nie zgadnie pan, jakim nazwiskiem się przedstawił.

- Morro.

- Brawo. Powiedział, że to właśnie on zrobił włamanie do San Ruffino i że agencje chyba jeszcze o tym nie słyszały. Dostarczył precyzyjnych danych dotyczących skradzionych ilości U-235 i plutonu i poprosił wszystkie zainteresowane strony, by zechciały porównać te dane z danymi z elektrowni. Podał również nazwiska i adresy zakładników i poprosił, żeby osoby, które są tym zainteresowane, nawiązały kontakt z rodzinami i sprawdziły, czy informacja jest ścisła.

- Dokładnie, jak to pan przepowiedział. Pański telefon musi się teraz urywać. Żadnych pogroźek? - spokój Dunne'a był zadziwiający.

- Żadnych. Myślę, że chciał jedynie dostarczyć informacji i pozostawić nam trochę czasu, żebyśmy mogli się zastanowić, co się za tym kryje.

- Czy Aaron powiedział, kiedy wiadomość zostanie podana do publicznej wiadomości?

- Nie przed upływem godziny. Stacje radiowe i telewizyjne wpadły w popłoch. Zastanowią się, czy nie jest to kaczka na kanikułę, nie chcą się przecież ośmieszyć. Nie wiedzą, czy nawet po potwierdzeniu informacji mają prawo ją rozpowszechnić. Nie chcą naruszać federalnych przepisów bezpieczeństwa. Ja osobiście nigdy nie słyszałem o tego rodzaju zakazach, ale, jak się zdaje, czekają na potwierdzenie wiadomości przez Komisję Energii Atomowej i na zielone światło od niej. Jeśli je otrzymają, informacja zostanie podana jednocześnie we wszystkich stanach, o jedenastej.

- Bardzo dobrze. Mam więc dość czasu, aby obarczyć kogoś misją odnalezienia pańskiej Peggy.

- Doceniam fakt, że nie zapomniał pan o tym. W takich okolicznościach wiele osób zapomniałoby o zajęciu się mało ważną nastolatką.

- Mówiłem już, że mam córkę w tym samym wieku. Jest pan samochodem? Jeśli podwiezie mnie pan do domu, zadzwonię natychmiast do San Diego i zlecę sprawę dwóm ludziom. Zajmie mi to nie więcej niż dziesięć minut. Wszystko odbędzie się spokojnie, bez

popłochu. Nie mógłbym tego powiedzieć o wszystkich obywatelach naszego stanu - dorzucił Dunne z zamyśloną miną. - Jestem pewien, że jutro rano będą się pocić ze strachu. Ten Morro jest cholernie przebiegły i dlatego nie należy go lekceważyć. Umiał wyciągnąć bardzo celne wnioski z naszej starej maksymy: "Lepszy diabeł, którego się zna, niż nie znany". Od tej chwili trzeba będzie mówić: "Diabeł, którego nie znamy, jest gorszy niż znany". Wszyscy zaczną szaleć.

- Z całą pewnością. Obywatele San Diego, Los Angeles, San Francisco i Sacramento zaczną zastanawiać się, które miasto ma pierwsze wyparować, a wszyscy, naturalnie, będą mieli nadzieję, że los ten spotka nie ich, lecz jedno z trzech pozostałych miast.

- Naprawdę wierzy pan w to, sierżancie?

- Nie miałem czasu zastanowić się nad tym, w co wierzę. Po prostu wyobrażam sobie, co będą myśleli inni. A jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, to tak naprawdę nie wierzę w to. Ludzie inteligentni, jak nasz przyjaciel Morro, mają zawsze jakiś cel. Zniszczenie wszystkiego, jak leci, z całą pewnością nie prowadzi do osiągnięcia tego celu. Wystarczą same groźby.

- Ja też tak uważam. Ale opinia publiczna będzie potrzebowała czasu, żeby zdać sobie sprawę - zakładając oczywiście, że kiedykolwiek na to wpadnie - iż mamy do czynienia z osobnikiem bardzo przewrotnym. A dla faceta tego pokroju atmosfera przerażenia, która od jutra ogarnie wszystkich, jest najodpowiedniejsza. Nie może liczyć na nic lepszego. Kiedyś groziła nam dżuma. Co prawda, nie zaatakowała nas, ale sama plotka wystarczyła, żeby pół stanu oszalało ze strachu. Potem była świńska gorączka - ta sama historia. A teraz wszystkich w tym stanie i na całym wybrzeżu drąży obsesja... jak to się mówi?

- Paranoidalna?

- Właśnie. Przepraszam, ale nie chodziłem na uniwersytet. Otóż to: paranoiálny strach przed możliwym trzęsieniem ziemi, które ma być najpotężniejsze ze wszystkich i być może ostateczne. A teraz mamy nowość - katastrofę nuklearną. My wiemy, a przynajmniej tak się nam zdaje, że do niczego takiego nie dojdzie. Ale niech pan spróbuje przekonać o tym ludzi! - Ryder położył na stoliku pieniądze. - Odwróci to przynajmniej ich uwagę od trzęsienia ziemi.

Ryder spotkał się z Jeffem w umówionym miejscu. Zaparkowali swe samochody w pobliżu skrzyżowania i poszli przez Hawthorne wąską, stromą i krętą drogą, po której obu stronach rosły palmy.

- Służący wrócił - oznajmił Jeff. - Sam. Sądzę więc, że Raminoff doprowadził swój nos do porządku, a może zatrzymano go na noc w pogotowiu. Służący i jego żona nie mieszkają w domu. W dolnej części ogrodu mają mały bungalow. Teraz właśnie są. I chyba zostaną aż do rana. Tędy możemy wejść na skarpe.

Wspięli się na mur i zeskoczyli na drugą stronę łamiąc parę krzaków róż. Dom Donahure'a był półkolisty i otaczał z trzech stron owalny basen. W centralnej części budynku, na parterze, znajdował się podłużny, jasno oświetlony salon. Nocą ochłodziło się i mgła zawisała nad basenem. Nie była na tyle gęsta, by obaj mężczyźni nie mogli widzieć Donahure'a, który ze szklanką w dłoni przemierzał ciężkim krokiem salon. Oszklone drzwi były otwarte na oścież.

- Idź do tamtego rogu - polecił Ryder. - Ukryj się w zaroślach. Podejdę, na ile będę mógł, do salonu. Gdy machnę ręką, spróbuj przyciągnąć jego uwagę.

Zajęli pozycje. Jeff wśród krzaków róż, Ryder po drugiej stronie basenu, w gęstym cieniu między dwoma cisami (w przeciwieństwie do Europojezcyków Kalifornijczycy nie wypychają drzew cyprysowych i cisów na cmentarze). Na dany przez ojca znak Jeff wydał z siebie coś w rodzaju jęku. Donahure znieruchomiał. Nasłuchując stanął w oszklonych drzwiach, żeby rozejrzeć się, i znów nadstawił ucha. Jeff znów jęknął. Donahure zdjął buty i zaczął skradać się po kafelkach, które pokrywały ziemię wokół basenu. Miał w ręku rewolwer. Nie zrobił nawet pięciu kroków, gdy kolba smitha-wessonowa uderzyła go tuż nad prawym uchem.

Kajdankami, należącymi zresztą do Donahure'a, przypięli go do kaloryfera. Taśmą znaną w biurku zalepili mu usta, a oczy przewiązali serwetą.

- Główne wejście jest z tyłu - powiedział Ryder. - Zejdź do bungalowu i upewnij się, czy służący i jego żona nie ruszyli się stamtąd. Wracając, zarygluj drzwi, a gdy ktoś będzie dzwonił, nie podnoś słuchawki. Zamknij wszystkie drzwi i okna. Tutaj zaciągnij zasłony i przeszukaj biurko. Ja zajmę się sypialnią. Jeśli jest coś do znalezienia, znajdziemy to w jednym z tych dwóch pokoi.

- Ciągle nie wiesz, czego szukamy?

- Nie. Ale chodzi o coś, co sprawiłoby, że uniósłbyś wysoko brwi, gdybyś znalazł to coś u siebie albo u mnie.

Ryder rozejrzał się dookoła.

- Ani śladu sejfu. A w drewnianym domu sejf nie może być ukryty w ścianie.

- Gdybym miał na sumieniu tyle, ile ma - twoim zdaniem - on, nie trzymałbym niczego w domu. Wszystko, co miałbym do ukrycia, ukryłbym w bankowym sejfie. Tak czy owak, będziesz miał przynajmniej satysfakcję, wyobrażając sobie, jak będzie go bolał łeb, gdy się obudzi. Aha! Niewykluczone, że prócz tego pokoju i sypialni jest tu jeszcze gabinet. To częste w tego typu domach.

Ryder przytaknął i wyszedł z salonu. Gabinetu nie było. Pierwsza sypialnia była najwidoczniej nie używana. Druga należała do Donahure'a. Ryder zapalił małą latarkę, zasłonił starannie okna i zaświecił górną lampę przy łóżku.

Pokój świadczył dobitnie o sumienności służącego, co ułatwiło Ryderowi zadanie. Po kwadransie starannych i metodycznych poszukiwań niczego nie znalazł. Dokonał jednak interesującego odkrycia. Jedna z szaf ściennych stanowiła istny arsenał. Wypełniały ją rewolwery, pistolety, strzelby myśliwskie i karabiny, nie licząc obfitości amunicji. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego - wśród obywateli Ameryki jest wielu fanatyków broni, gromadzących prywatne kolekcje, na które przeznaczają czasem cały pokój w swym domu. Ale w kolekcji Donahure'a dwa egzemplarze przykuły uwagę Rydera. Były to lekkie pistolety maszynowe o nietypowym kształcie, jakich nie znajdzie się w żadnym ze sklepów w Stanach Zjednoczonych. Ryder wziął oba pistolety i pudełko amunicji odpowiedniego typu, a do kompletu - trzy pary ze wspaniałej serii kajdanek, które Donahure porozwieszał na specjalnych haczykach. Złożył następnie swój łup na łóżku i poszedł obejrzeć łazienkę, w której nic go nie zaskoczyło. Zebrał więc broń z łóżka i poszedł do Jeffa, do salonu.

Donahure, z podbródkiem zwisającym na piersiach, zdawał się spać. Ryder wpakował mu niezbyt łagodnie lufę pistoletu w splot słoneczny. Komendant rzeczywiście spał. Jeff siedział za biurkiem i przeglądał jedną z szuflad.

- Masz coś? - zapytał Ryder.

- Tak - Jeff miał zadowoloną minę. - Mam słaby start, ale kiedy się już do czegoś zabiorę...

- Co to znaczy: słaby start?

- Biurko było zamknięte. Minęło trochę czasu, zanim znalazłem klucz. Był na dnie kabury Grubaska - Jeff położył na stole gruby pakiet banknotów, ułożonych w osiem oddzielnych kupek, z których każda ściśnięta była gumką.

- Setki banknotów, ale wyłącznie o małych nominałach.

Po diabła mu takie ilości banknotów?

- Sam się nad tym zastanawiam. Masz rękawiczki?

- Teraz zadajesz mi to pytanie?! Czy mam rękawiczki?! Mam maski, a właściwie kaptury, bo kazałeś mi je wziąć. A teraz, kiedy wszędzie pozostawiałem odciski - ty zresztą także - pytasz o rękawiczki!

- Odciski naszych palców nie mają najmniejszego znaczenia. Donahure nie będzie na tyle bezczelny, żeby wnieść skargę i zgłosić zniknięcie całej forsy, którą zabierzemy. Spytałem o rękawiczki, bo chciałem, żebyś zaraz policzył te banknoty, nie zamazując odcisków, które mogą na nich być. Nie zwracaj uwagi na stare banknoty, mogą być na nich setki odcisków, ale być może są tu także nowe. Przelicz je, biorąc każdy za lewy dolny róg. Większość ludzi, także kasjerzy, liczy banknoty, ujmując je za prawy górny.

- Gdzie znalazłeś te zabawki?

- W sklepie z zabawkami pana Donahure'a. Zawsze chciałem mieć jedną z tych maszynek - pomyślałem sobie, że ty też.

- Nie brak ci rozmaitych pukawek.

- Ale takich nie mam. Nigdy ich nawet nie widziałem, tyle co na rysunkach.

- O co chodzi?

- Będziesz zaskoczony. Nie można ich nabyć w Stanach Zjednoczonych. Jesteśmy przekonani, że produkujemy najlepsze karabiny na świecie. Brytyjczycy myślą to samo o swoich, Belgowie zresztą też. Ale wszyscy wiedzą, że tylko te są najlepsze. Lekkie, zabójczo skuteczne, można je rozebrać w ciągu kilku sekund i ukryć. To idealna broń dla terrorystów. Tę prawdę odkryli swoim kosztem żołnierze brytyjscy w Irlandii Północnej.

- IRA ma takie?

- Ma, ten karabin nazywa się Kałasznikow. Jeśli ktoś goni cię nocą, mając w ręku tę broń, z noktowizorem, równie dobrze możesz od razu sam palnąć sobie w łeb. Tak się w każdym razie mówi.

- Radziecki?

- Aha.

- Katolicy i komuniści niezbyt się kochają.

- Ci, którzy używają ich w Irlandii Północnej, są protestantami - grupa ekstremistów oficjalnie wykluczona z IRA. Nie ma to zresztą większego znaczenia dla tych, którzy zaopatrują ich w broń.

Jeff wziął do ręki jeden z pistoletów, obejrzał go, popatrzył na Donahure'a, który ciągle był nieprzytomny, i pytająco spojrzął na Rydera.

- Tego nie wiem - powiedział ojciec. - Wszystko, co wiem o naszym koleźce, to fakt, że jest Amerykaninem w pierwszym pokoleniu.

- I pochodzi z Irlandii Północnej?

- Tak. To pasuje bardzo dobrze. Prawdopodobnie za dobrze.

- Donahure jest komunistą?

- Nie musimy widzieć czerwonego pod każdym łóżkiem. To nie przestępstwo - przynajmniej od zejścia ze sceny McCarthy'ego. Ale nie sądzę - Donahure jest zbyt głupi i samolubny, aby interesować się jakąkolwiek ideologią, co nie znaczy, rzecz jasna, że nie wzięłby ich pieniędzy. Policz forszę i sprawdź jeszcze biurko, a ja rozejrzę się po pokoju.

Po paru minutach Jeff podniósł rozjaśnioną twarz.

- To się robi ciekawe - osiem paczek po tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów - razem dziesięć tysięcy.

- Myliłem się. Teraz ma osiem lewych kont. Zgadza się - ciekawe, ale nie ma się czym podniecać.

- Nie? W każdej jest parę nowych banknotów i z tego, co widziałem, są w seriach. I są to banknoty dwudolarowe wydane w rocznicę dwusetlecia.

- To ciekawe. Te, które niewdzięczna Ameryka zbojkotowała. Mennica ma całe kontenery tego dobra, ale w obiegu jest ich niewiele. Jeśli są w seriach, FBI powinna je namierzyć bez większych problemów.

Nie znaleźli już nic więcej, toteż pięć minut później opuścili lokal, uwalniając zaczynającego jęczeć Donahure'a z kajdanek, knebla i opaski.

Major Dunne był jeszcze w swoim biurze i prowadził rozmowę przez dwa telefony jednocześnie.

- Jeszcze nie w łóżku? - zapytał Ryder, kiedy Dunne odłożył w końcu słuchawkę.

- Nie. I nie mam szans, żeby się w nim znaleźć tej nocy. Ale mam towarzyszy niedoli - w całym stanie ogłoszono pogotowie. Wszyscy zdolni do działania agenci mają być w dyspozycji. Dane o Morro zostały przekazane dalekopisami lub są przekazywane w tej chwili - na cały kraj. Poczyniłem niezbędne kroki, żeby uzyskać wykaz organizacji zrzeszających nawiedzonych facetów, ale będę go miał dopiero jutro! Jeśli chodzi o Peggy, to już się nią zajęli.

- Naszą Peggy? - spytał Jeff Rydera.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Porywacze przekazali Reuterowi i Associated Press oświadczenie - żadnych gróźb, jedynie wykaz skradzionych materiałów i nazwiska

zakładników. Ma być puszczone o jedenastej - zerknął na zegarek - czyli za pół godziny. Nie chciałem, żeby twoja siostra doznała szoku, słysząc o porwaniu matki w telewizji czy radio. Major Dunne uprzejmie zajął się tym.

Jeff przyjrzał się im po kolei.

- Właśnie mi to przyszło do głowy - mruknął - czy pomyślałeś sobie, że Peggy może być w niebezpieczeństwie?

- Pomyślał - Dunne był nader precyzyjny i oszczędny w słowach - o to także się zatroszczono.

Zerknął z zainteresowaniem na broń w rękach Rydera.

- Późna pora na zakupy.

- Pożyczyliśmy je od naszego przyjaciela Donahure'a.

- Ach! Jak on się czuje?

- Nieprzytomny. Zresztą, nie ma wielkiej różnicy między jego normalnym stanem a obecnym. Uderzył się głową o kolbę pistoletu.

- To straszne! - oznajmił Dunne wesoło. - Jakiś szczególny powód, żeby zabrać to ze sobą?

- To radzieckie kałasznikowy? Mógłby pan sprawdzić w Waszyngtonie, czy wydano jakieś specjalne pozwolenie, otwierające tej broni granice naszego państwa? Bardzo w to wątpię.

- Nielegalne posiadanie broni? Donahure stałby się natychmiast byłym komendantem policji.

- To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, wkrótce zrzeknie się tego stanowiska.

- Komunista?

- Mało prawdopodobne. Chociaż... Na każdego jest podobno cena.

- Chciałbym dostać te zabawki, jeśli można.

- Przykro mi, znalezione należy do znalazcy. Poza tym, czy przyznałby się pan przed ławą przysięgłych, że był pan współnikiem kradzieży z włamaniem? Niech pan nie robi takiej wstrząśniętej miny. Jeff ma dla pana mały podarunek - Jeff położył na stole plik banknotów. - Dokładnie dziesięć tysięcy dolarów. Należą do pana. Ile tam jest nowych dwudolarówek, Jeff?

- Czterdzieści.

- To manna z nieba! - wykrzyknął Dunne z szacunkiem. - Jutro w południe będę miał adres banku, nazwisko kasjera i osoby podejmującej te pieniądze. Szkoda, że nie mogliście od razu dowiedzieć się nazwiska wystawcy czeku.

- Donahure spał. Ale pójdę go później zapytać.

- Niech pan nie kusi losu, sierżancie!

- Nie będę. Mam nieszczęście znać szefa policji dłużej niż pan. To fanfaron. Stwierdzenie, że tego pokroju ludzie są tchórzami, jest banałem nie zawsze zgodnym z prawdą. Ale w jego przypadku jest to prawda. Ot, na przykład jego twarz. Okropność, ale to jedyna, jaką ma, i prawdopodobnie nawet mu się ona podoba. Widział, co się stało tej nocy z głową jego zaufanego.

- Mm - zadowolenie zniknęło z twarzy Dunne'a i zastąpiła je troska, której przyczyną nie były zresztą słowa Rydera. - A co z tym? Jak mam wyjaśnić posiadanie dziesięciu tysięcy dolarów?

- Skąd się one wzięły?

- Fakt - Jeff również wyglądał na zatroskanego. - Nie pomyślałem o tym.

- To proste. Donahure dał je panu.

- On?

- Pomijając fakt, że ma coś z pół miliona nielegalnych dochodów ukrytych na siedmiu czy ośmiu fałszywych kontach, wszyscy wiemy, że - generalnie biorąc - jest to porządny, uczciwy i honorowy człowiek, do głębi zainteresowany dobrem współrodaków, niezłomnie strzegący prawa i bezlitośnie zwalczający korupcję, gdziekolwiek unosi ona swój ohydny łeb. Przyszli do niego przedstawiciele włamywaczy, próbując go przekupić, aby torpedował śledztwo wszelkimi możliwymi sposobami. Opracowaliście więc wspólny plan napchania ich fałszywymi informacjami, a Donahure, naturalnie, oddał te pieniądze w bezpieczne ręce na przechowanie. Jest pan pełen podziwu dla niezłomnego charakteru tego człowieka.

- Niesamowite. Zapomniał pan tylko o jednym. Wystarczy, że on temu zaprzeczy.

- Przecież na wszystkich, a szczególnie na tych nowych banknotach, zostawił swoje odciski palców! Albo potwierdzi tę opowieść, albo będzie musiał udokumentować, skąd miał u siebie dziesięć tysięcy gotówką. Jak pan myśli, co wybierze?

- Ma pan bardzo pokrętny umysł - przyznał z uznaniem Dunne.

- Stara zasada. Posłać złodzieja, aby złapał złodzieja - uśmiechnął się Ryder. - Kiedy pan, albo ktokolwiek inny, będzie dotykał tych banknotów, proszę unikać dotykania prawego górnego rogu. Powinny się tam znajdować odciski palców, szczególnie na dwudolarówkach.

- Musi tu być jakieś dwa tysiące banknotów. Spodziewa się pan, że będę badał odciski palców na wszystkich?

- Pan lub ktoś inny.
- Cóż, dziękuję. Coś jeszcze?
- Ma pan tu zestaw daktyloskopijny?
- Oczywiście. Dlaczego pan pyta?
- Och, sam nie wiem! - powiedział Ryder. - Nigdy nie wiadomo, kiedy takie coś może się przydać.

Sędzia LeWinter mieszkał w niezwykle imponującym domu, jak przystało na człowieka, o którym się mówi, że ma zostać prezesem Sądu Najwyższego Kalifornii. W promieniu kilku kilometrów wzdłuż wybrzeży Złotego Stanu można znaleźć o wiele więcej przykładów stylów architektonicznych niż gdziekolwiek indziej. Ale wśród wszystkich tych budowli dom LeWintera należał do wyjątkowych.

Był on wierną kopią typowego domu z Alabamy z czasów poprzedzających wojnę secesyjną: olśniewająca biel tynków, portal o kolumnach sięgających drugiego piętra, balkony. Wokół - obfitość magnolii, dębów i krzewów, które wyglądały, jakby klimat Kalifornii nie bardzo im odpowiadał. Tak imponującą rezydencję, nie był to bowiem zwykły dom, mógł zajmować jedynie filar prawniczej uczciwości. Zawsze można się jednak pomylić.

Ryder i jego syn potwierdzili tę prawdę raz jeszcze, kiedy otworzyli drzwi sypialni, nie racywszy - trzeba to przyznać - najpierw zastukać. Luminarz prawa znajdował się w łóżku, ale nie sam, co wcale nie znaczyło, że kobietą, która spoczywała u jego boku, była jego żona. Siwowłosa, bardzo opalony sędzia doskonale pasował do wielkiego, złoczonego łoża z epoki wiktoriańskiej, ale tego samego nie dałoby się powiedzieć o jego towarzysze, damie już na pierwszy rzut oka wątpliwej cnoty, wyzywająco wymalowanej, nazbyt młodej, która - co nie ulega żadnej wątpliwości - lepiej czułaby się w ramionach tego, komu nieobce jest środowisko marginesu społecznego. Obydwoje byli zaskoczeni, a osłupienie malujące się na ich twarzach, jak również komicznie wytrzeszczone oczy nie były niczym zadziwiającym, jeśli zważyć, że nagle znaleźli się w obliczu dwóch zamaskowanych i uzbrojonych osobników. Twarz dziewczyny przybierała stopniowo wyraz lęklivego poczucia winy, podczas gdy twarz sędziego, jak można się było tego spodziewać, stopniowo stawała się portretem urażonej dumy. Jego reakcję również łatwo było przewidzieć:

- Kim, do diabła, jesteście?

- Na pewno nie jesteśmy pańskimi przyjaciółmi. Tego może pan być pewien - powiedział Ryder. - Wiemy, kim pan jest. A kim jest ta młoda dama?

Nie przejmując się ciszą, która nastąpiła po tym pytaniu, zwrócił się do Jeffa:

- Perkins! Wziąłeś aparat?

- Zapomniałem.

- Szkoda. Jestem pewny, że ten pan byłby zachwycony, gdybyśmy wysłali zdjęcia jego żonie, by przekonać ją, że mąż wcale nie cierpi z powodu jej nieobecności - sędzia nie rezygnował z demonstrowania postawy urażonej niewinności, ale Ryder nie zwracał na to najmniejszej uwagi. - Perkins, odciski.

Jeff nie był ekspertem w tej materii, ale niedawno opuścił akademię i pamiętał jeszcze sporo z wykładów. LeWinter powoli tracił tupet i sprawiał wrażenie, jakby sytuacja zaczęła go przerastać. Nie protestował więc i nie stawiał najmniejszego oporu. Kiedy Jeff skończył, rzucił okiem na dziewczynę, później na ojca, który zawahał się, a wreszcie skinął potakująco głową. Podczas gdy dziewczyna powierzyła bez protestu swoje palce Jeffowi, Ryder uspokoił ją.

- Nikt pani nie skrzywdzi. Jak się pani nazywa?

Zacisnęła wargi i odwróciła głowę. Ryder westchnął, wziął do ręki torebkę, która tylko do niej mogła należeć, otworzył ją i wysypał zawartość na stół. Spośród rozsypanych przedmiotów wydobył kopertę, na której było napisane:

“Bettina Ivanhoe, 388 Soth Naple”. Przyjrzał się przerażonej dziewczynie o słowiańskich rysach.

- Ivanhoe. Ivanov byłoby bliższe prawdy. Rosjanka?

- Nie urodziłam się tutaj.

- Założę się, że rodzice też nie.

Nie odpowiedziała, toteż spokojnie przejrzał resztę rozsypanych na stoliku drobiazgów. Jego uwagę zwróciły dwie fotografie. Na każdej widniała ona i LeWinter. A więc nie była jednorazowym gościem. Fakt, że dzieliła ich różnica czterdziestu lat, nie dziwił ich, ani jego. Upuścił fotografię.

- Szantaż? - zapytał LeWinter, usiłując nadać swojemu głosowi brzmienie pogardliwe, ale za mało wigoru w to włożył. - Wyłudzenie?

- Zaszantażuję pana na śmierć, jeśli jest pan tym, o kim myślę! Zresztą, w takim wypadku zabiję pana bez próby szantażu - oznajmił Ryder lodowatym tonem. - Przyszedłem w innej sprawie. Gdzie jest pański sejf i gdzie ma pan klucze do niego?

LeWinter roześmiał się drwiąco, lecz w jego głosie dało się słyszeć ulgę.

- Mały złodziejaszek?

- Cóż za nieeleganckie określenie, jak na człowieka pańskiego formatu!

Ryder wyjął z kieszeni nóż, odblokował ostrze i zbliżył się do dziewczyny.

- A więc, panie LeWinter?

Sędzia skrzyżował ramiona z miną wyrażającą nieugiętość.

- Kwiat rycerskości południa - Ryder rzucił nóż Jeffowi, który przyłożył go zrećźnie do podwójnego podbródka LeWintera i lekko przycisnął ostrze.

- Ma czerwoną krew - powiedział. - Dokładnie taką samą, jak wszyscy. Czy powinienem był wysterylizować ostrze?

- Trochę niżej i bardziej na prawo - rzekł Ryder. - Tamtędy przebiega tętnica szyjna.

Jeff cofnął nóż. Wąskie ostrze zakrwawione było jedynie na długości około centymetra, ale patrząc na LeWintera, którego twarz utraciła wszelki wyraz nieugiętości, można by pomyśleć, że za chwilę tryśnie z niej rzeka krwi.

- Sejf jest w moim gabinecie - powiedział zachrypniętym głosem.

- A klucz? - zapytał Ryder.

- W mydle do golenia.

- Dziwne miejsce do przechowywania kluczy, jak na uczciwego człowieka. Jakże interesująca musi być zawartość sejfu!

Ryder wszedł do łazienki i w kilka sekund później wrócił z kluczem.

- Gdzie jest służba?

- Nie mam.

- Pewnie, że nie. Ileż zajmujących opowieści musiałaby wtedy wysłuchać żona! Wierzysz mi, Perkins?

- Nie.

- Ja też nie.

Wydobył z kieszeni trzy pary kajdanek, które do niedawna stanowiły własność szefa policji. Jedną umocował nadgarstek dziewczyny do kolumny łóżka. Druga posłużyła mu do przymocowania lewego nadgarstka LeWintera do innej kolumny. Trzecia para, odpowiednio przełożona przez pręty łóżka, posłużyła do połączenia lewej ręki Bettiny z prawą sędziego. Jako knebli użyli poduszek. Przed zawiązaniem knebla sędziemu Ryder spytał:

- Taki hipokryta jak pan, który spędza życie na wygłaszaniu przemówień przeciwko handlarzom bronią z Waszyngtonu, powinien mieć o sobie parę sztuk broni. Gdzie?

- W moim biurku.

Jeff zaczął przeprowadzać dokładną rewizję sypialni, Ryder zaś zszedł piętro niżej, do gabinetu, i otworzył szafę z bronią. Nie było w niej ani jednego kałasznikowa. Jego uwagę przyciągnął pistolet szczególnego typu. Nigdy nie widział podobnego. Owinął go w chusteczkę i wsunął do jednej z obszernych kieszeni płaszcza.

Sejf był masywny - metr dwadzieścia na sześćdziesiąt centymetrów - musiał ważyć ponad ćwierć tony i został skonstruowany w dość odległej przeszłości, w epoce, kiedy włamywacze nie znali jeszcze wyrafinowanej techniki, którą dysponują dzisiaj. Zamek był dość zwyczajny i gdyby sejf stał wolno, Ryder otworzyłby go bez chwili wahania. Ale ten osadzony był w ścianie. Ryder wrócił więc do sypialni, zdjął LeWinterowi knebel i wyciągnął nóż.

- Gdzie znajduje się wyłącznik sejfu?

- Jaki wyłącznik?

- O wiele za szybko powiedział pan, gdzie jest klucz. Zależało panu, abym otworzył ten pański sejf.

Po raz drugi LeWinter skrzywił twarz w grymasie wywołanym bardziej strachem niż bólem, kiedy nóż Rydera zagłębiał się w skórę na jego szyi. Ale nie powiedział ani słowa.

- Pytam jeszcze raz: gdzie jest wyłącznik? Ten, który włącza lub wyłącza sygnał alarmowy w biurze szeryfa?

Tym razem LeWinter był bardziej uparty w swoim milczeniu, ale w końcu uległ. Ryder zszedł znowu na dół, przesunął klapkę nad drzwiami gabinetu i znalazł wyłącznik, bardzo prostego typu. Wyłączył go i otworzył sejf. Wewnątrz znajdowała się szafka zawierająca teczki, które były zawieszane na dwóch metalowych szynach. Zgromadzone dokumenty dotyczyły spraw, które LeWinter prowadził. Na wielu z nich widniał podpis sekretarki, panny Ivanhoe. Uwagę Rydera przykuły trzy przedmioty, leżące na wyższych półkach sejfu, które z całkowitym spokojem skonfiskował. Jednym był notatnik ze spisem nazwisk i numerów telefonów, drugim - oprawne w skórę wydanie "Ivanhoe" sir Waltera Scotta, trzecim - również notatnik, w skórzanych zielonych okładkach.

Jak na notes, była to spora książeczka (mniej więcej formatu A#5), zaopatrzona w solidny mosiężny zamek, który z pewnością pohamowałby zapędy jakiegoś urwisa albo zwykłego ciekawskiego. Ryder przeciął skórzany grzbiet i zobaczył kartki notatnika, ale nie dowiedział się z nich niczego, gdyż pokryte były cyframi, a nie literami. Nie tracił czasu na zgłębianie szyfru. Nie miał zielonego pojęcia o kryptografii. Ale FBI ma bardzo wyspecjalizowane służby deszyfracji, które są w stanie odczytać każdy dokument, z wyjątkiem wysoce skomplikowanych szyfrów wojskowych. Fachowcy z FBI mogliby

osiągnąć sukces i w tej dziedzinie, jeśli tylko mieliby wystarczająco dużo czasu. Ryder zerknął na zegarek. Była za minutę jedenasta.

Zastał Jeffa przy metodycznym przetrząsaniu kieszeni szytych na miarę garniturów LeWintera. LeWinter oraz jego sekretarka nadal leżeli wygodnie. Ryder nie zwracał na nich uwagi i włączył telewizor. Nie szukał jakiegoś określonego kanału - wszystkie musiały nadawać ten sam program. Nie patrzył na ekran. Zresztą zdawał się nie patrzeć na nic konkretnego, choć pilnie dbał, aby leżąca na łóżku para nie umknęła mu z pola widzenia.

Prezenter, który chyba tylko przez przypadek ubrany był w ciemny garnitur i także krawat, przybrał posepny ton komentatora pogrzebów. Tymczasem podał tylko fakty. Późnym popołudniem dokonano kradzieży w elektrowni San Ruffino, a przestępcom udało się zbiec. Zabrali ze sobą zakładników i materiały rozszczepialne, z których można wyprodukować broń. Następnie poinformował o ilości skradzionych materiałów, a także podał nazwiska i adresy zakładników. Nie udało się zidentyfikować osoby, która dostarczyła tych informacji, ani ich pochodzenia, ale ich autentyczność nie podlega dyskusji, co zresztą potwierdziły władze. Te same władze uruchomiły aparat ścigania.

- Zwykła paplanina - pomyślał Ryder. - Nie dysponują żadnym śladem, który umożliwiłby im rozpoczęcie poszukiwań. - Wyłączył telewizor i zerknął na Jeffa.

- Zauważyłeś coś, Perkins?

- To samo, co ty. Wyraz twarzy naszego Casanovy nie zmienił się w dostrzegalny sposób. Prawdę mówiąc, nie zmienił się wcale.

Ryder przyjrzał się LeWinterowi i przez chwilę zamyślił się głęboko.

- Mam pomysł - oświadczył - na waszych wybawców. Przyślę reportera i fotografa z "Globu", żeby was uwolnili.

- To ciekawe - mruknął Jeff. - Wydaje mi się, że tym razem Don Juan zmienił wyraz twarzy.

Rzeczywiście: opalona cera LeWintera poszarzała, a oczy, nagle rozszerzone, omal nie wyskoczyły z orbit.

"Glob" to dziennik, który można przeglądać, nie umiejąc czytać. Specjalizuje się on w artystycznych portretach bardzo roznegliżowanych pań, w niewinnych zdjęciach przedstawiających wielkich tego świata w sytuacjach co najmniej kompromitujących, a w każdym razie niegodnych takich osobistości. Natomiast dla tych, którzy potrafią czytać, przeznaczone są plotki, stanowiące odpowiednik wypraw krzyżowych przeciw naruszaniu moralności. Bez szczególnej wyobraźni można było odgadnąć, że wrażliwość sędziego została urażona już samym wspomnieniem "Globu", a jeszcze bardziej myślą, że na

tytułowej stronie tego pisma może ukazać się nie retuszowane, znacznie powiększone zdjęcie, przedstawiające go w towarzystwie pani, której jedynym strojem jest para kajdanek. Można było mieć do "Globu" pełne zaufanie - fotografia zajęłaby całą tytułową stronę, pozostawiwszy jedynie niewiele miejsca na pikantny podpis.

Ryder wraz z synem zszedł do gabinetu i polecił Jeffowi:

- Rzuć okiem na te akta sądowe. Może znajdziesz w nich coś interesującego. Muszę zadzwonić.

Wykręcił numer i czekając na zgłoszenie się abonenta, przebiegał wzrokiem listę osób i numerów telefonów, którą zabrał z sejfu. Kiedy w słuchawce usłyszał czyjś głos, poprosił, aby wezwano do telefonu pana Jamiesona, kierownika nocnej zmiany w centrali telefonicznej. Pan Jamieson zgłosił się prawie natychmiast.

- Tutaj Ryder. Chciałbym prosić pana o informację ważną i poufną. - Jamieson kultywując pewne złudzenia dotyczące ważności swej osoby lubił, kiedy inni te złudzenia podbudowywali. - Mam tutaj pewien numer. Wydaje mi się, że jest to prywatny telefon Hartmana, ale nie jestem tego pewny, a w książce telefonicznej jego nazwisko nie figuruje. Czy mógłby pan to sprawdzić i podać mi jego adres?

- Oczywiście, skoro to takie ważne! - Jamieson był najwyraźniej podniecony.

- Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak mi na tym zależy. Czy słyszał pan już wiadomość?

- San Ruffino? Tak, usłyszałem o tym przed chwilą. Paskudna sprawa.

- Bardziej niż może się panu wydawać.

Czekał cierpliwie, kiedy Jamieson prowadził poszukiwania.

- Zgadza się numer i nazwisko. Bóg wie, czemu zastrzeżony. Proszę zapisać adres: 118 Rowena.

Ryder podziękował i odwiesił słuchawkę.

- Kim jest ten Hartman - spytał Jeff.

- To miejscowy szeryf. Ten sejf jest podłączony do jego biura. Nie zauważyłeś czegoś tam na górze?

- Wiem, o co pytasz.

- Jak to?

- Gdyby tak nie było, nie mówiłbyś o tym.

- Zwróciłeś uwagę, jak szybko LeWinter wskazał mi skrytkę z kluczem do sejfu? Czy nie łączysz tego z szeryfem Hartmanem? Nic ci to nie mówi?

- Niewiele. A raczej nic dobrego.

- Rzeczywiście, nic dobrego. Musi być bardzo niewielu ludzi, do których LeWinter ma tyle zaufania, by przystać na to, że zastaną go w tak skandalicznej i kompromitującej sytuacji. Szeryf Hartman musi być jedną z takich osób. Widocznie LeWinter wie, że Hartman będzie trzymał język za zębami. Istnieje więc między nimi jakiś związek.

- LeWinter może mieć jakiegoś przyjaciela na tym świecie?

- Dyskutujmy nad tym, co jest możliwe, a nie nad tym, co jest prawie niemożliwe. Szantaż? Mało prawdopodobne. Gdyby sędzia szantażował Hartmana, to dzisiejsza historia byłaby dla szeryfa jedyną okazją, żeby raz na zawsze ukreślić mu łeb, więc LeWinter nie podjąłby takiego ryzyka. Nie można, oczywiście, wykluczyć tego, że LeWinter sam padł ofiarą szantażu, ale jakoś nie wyobrażam go sobie w tej roli. Widzę ich raczej jako współników w jakimś bardzo zyskownym szwindlu, gdyż inaczej uczciwy sędzia nie kompromitowałby się jakimiś układami z byle szeryfem. Wszystko, co wiem, to fakt, że LeWinter jest draniem. Nie mam pojęcia, co to za jeden, ten Hartman, ale zapewne też nie jest wiele wart.

- Jako uczciwe, choć chwilowo bezrobotne gliny jesteśmy zobowiązani do zbadania, na czym polega szwindel tutejszego szeryfa. Chyba weźmiemy się za to w wypróbowany sposób? - Ryder skinął potakująco głową. - Donahure może zaczekać?

- Zaczeka. Doczytałeś się czegoś?

- Za diabła, nic mi nie przychodzi do głowy. Te wszystkie: "w świetle załączników" i "skądinąd jest oczywiste", czy: "mamy podstawę domniemywać" przerastają mój umysł.

- To zapomnij o tym. Nawet LeWinter nie opisywałby swoich wspomnień czy szwindli językiem prawniczym.

Ryder raz jeszcze skorzystał z telefonu.

- Aaron? Tu sierżant Ryder. Proszę sobie za dużo nie wyobrażać, ale co by pan powiedział, gdyby jeden z waszych fotografów pstryknął zdjęcie pewnego prominenta w kompromitującej sytuacji?

Odpowiedź Aarona świadczyła o niezrozumieniu sprawy. Ton jego głosu był nie tyle chłodny, co nie dowierzający.

- Zdziwiał mnie pan, sierżancie. Wie pan doskonale, że "Examiner" nie jest brukowcem.

- Szkoda. Myślałem, że zainteresują was drobne słabostki sędziego LeWintera.

LeWinter, obok Donahure'a, był na szczycie listy osób krytykowanych we wstępniakach "Examinera".

- Ach! - krzyknął teraz Aaron, przejawiając nagle zainteresowanie. - Co porabia w tej chwili ten stary kozioł?

- Odpoczywa. Jest w łóżku. Ze swoją sekretarką, która mogłaby być jego wnuczką. Kiedy mówię, że jest w łóżku, mam na myśli, że jest z nią w łóżku. Jest do niej przykuty kajdankami. A oboje przykuci są do łóżka.

- O Boże! - Aaron z trudem tłumił śmiech. - To bardzo mnie zaintrygowało, sierzancie, ale jednak obawiam się, że nie będziemy mogli tego opublikować.

- Nikt nie prosi, żebyście cokolwiek publikowali. Wystarczy, że wykonacie zdjęcie.

- Rozumiem - powiedział Aaron po krótkim namyśle. - Chce pan jedynie wiedzieć, że zdjęcie zostało wykonane.

- Tak jest. Byłbym szczęśliwy, gdyby pańscy chłopcy spełnili obietnicę, którą mi dałem, że przyślę do niego reporterów z "Globu".

Tym razem Aaron nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu.

- LeWinter chyba oszaleje z radości!

- Dosłownie oszaleje! Dziękuję bardzo. Pański fotograf z łatwością się tu dostanie - drzwi są otwarte. Zostawiam kluczyki od kajdanek na biurku.

Zgodnie z obietnicą Dunne nie ruszył się z biura.

- Jak idzie? - zapytał Ryder.

- Nijak. Odkąd podano wiadomość, prawie nie daje się wyjść na miasto, centrala zablokowana. Co najmniej sto osób widziało przestępców, jak zawsze - w stu różnych miejscowościach. A co u pana?

- Sam nie wiem. Potrzebujemy pańskiej pomocy. Po pierwsze: oto odciski palców sędziego LeWintera.

- Pozwolił je zdjąć? - zapytał z niedowierzaniem Dunne.

- Można to tak nazwać.

- Niech pan posłucha, Ryder. Ostrzegalem pana. Jeśli zaatakuje pan tę starą wronę, czekają pana poważne kłopoty. Donahure ma potężnych przyjaciół, ale tylko tutaj. LeWinter zaś ma poparcie tam, gdzie się to liczy: w Sacramento. Chyba nie użył pan wobec niego przemocy?

- Broń Boże. Zostawiliśmy go leżącego spokojnie w łóżku, całego i zdrowego.

- Rozpoznał was?

- Nie. Byliśmy zamaskowani.

- To już lepiej! Jakbym miał za mało kłopotów na głowie! czy zdajecie sobie sprawę, jakie gniazdo szerszeni rozgrzebaliście? I wiecie, na kim się to w końcu skrupi? Na mnie. Spróbuję odgadnąć - dodał przymykając oczy - kim będzie następna osoba, która zadzwoni do mnie.

- Nie będzie to LeWinter. Jego swoboda ruchów jest w tej chwili odrobinę ograniczona. Prawdę mówiąc, zostawiliśmy go przykutego kajdankami do łóżka i do jego sekretarki. Byli właśnie w łóżku, kiedy tam weszliśmy. Ona jest Rosjanką.

Dunne przymknął oczy. Kiedy przyswoił sobie już wszystko, co usłyszał, i uzbroił się przeciwko wszystkiemu, co mógł jeszcze usłyszeć, zapytał ostrożnie:

- Co jeszcze?

- To właśnie jest bardzo interesujące - odparł Ryder, wyjmując z kieszeni owinięty w chusteczkę pistolet. Położył go na stole. - Zadaję sobie pytanie, po co uczciwemu sędziemu spluwa z tłumikiem. Czy mógłby pan sprawdzić odciski palców na nim? Mam również odciski palców tej dziewczyny. A to notes z zaszyfrowanymi notatkami. Przypuszczam, że klucz do szyfru znajduje się w tym egzemplarzu "Ivanhoe". Może FBI zdoła to złamać. I na koniec, ma pan tu jego notatnik z numerami telefonów. Mogą okazać się interesujące, chociaż niewykluczone, że tak nie będzie. Nie miałem ani czasu, ani sposobu, żeby to zbadać.

- Coś jeszcze mógłbym dla pana zrobić? - zapytał Dunne sarkastycznym tonem.

- Chciałbym uzyskać kopię akt LeWintera.

- Tylko dla personelu FBI.

- No wie pan? - jęknął Jeff. - Po tej całej harówce, którą odwaliliśmy za was?

Wszystkie ślady podsunęliśmy wam pod nos...

- No dobrze. Ale niczego nie obiecuję. Dokąd teraz?

- Na spotkanie z kolejnym stróżem prawa.

- Z góry wam współczuję. Znam go?

- Nie. Ja też nie. Nazywa się Hartman. To musi być jakiś nowy. Mieszka w Redbank.

Miejscowy glina.

- Cóż takiego uczynił ten nieszczęśnik, że naraził się na wasze zainteresowanie?

- Jest kumplem LeWintera.

- To wyjaśnia wszystko.

Hartman mieszkał w małym, bezpretensjonalnym bungalowu na skraju miasta. Jak na dom kalifornijski, była to prawie nora - nie było przy nim basenu.

- Musiał dopiero niedawno zwąchać się z LeWinterem - orzekł Ryder.

- Słowo daję, masz rację. Ten przynajmniej nie ugania się za przepychem. Drzwi są otwarte, czy zastukamy?

- Nie wygłupiaj się.

Zastali Hartmana siedzącego przy stole w małym gabinecie. Był to dobrze zbudowany mężczyzna, który musiał mieć chyba ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ale nikt już tego nie sprawdzi - szeryf Hartman nie zdołał się nigdy podnieść - ktoś bowiem starannie naciął miękki czub pocisku, który wszedł w jego ciało przez lewy policzek, rozsadzając mu cały tył głowy. Przeszukiwanie budynku nie miało sensu. Kimkolwiek była osoba, która się tutaj zjawiała, z całą pewnością zadbała o to, by nie pozostał żaden ślad mogący rzucić podejrzenie na osobę trzecią - lub osoby trzecie.

Pobrali odciski palców nieboszczyka i opuścili dom.

Rozdział V

Tej nocy ziemia zadrżała. Nie cała Ziemia, oczywiście, ale spora część mieszkańców południowej Kalifornii mogła to tak odebrać. Wstrząs nastąpił dwadzieścia pięć minut po północy, a jego skutki dało się odczuć na północy aż do Merced w Dolinie San Joaquin; na południu do Oceanside, między Los Angeles a San Diego; na zachodzie - na całej pustyni Mojave; na wschodzie zaś - aż w Dolinie Śmierci.

Mimo że w samym Los Angeles nie odnotowano żadnych szkód, to wstrząs został zauważony przez wszystkich, którzy akurat nie spali. Był też na tyle silny, że obudził wielu spośród tych, którzy zdążyli już zasnąć. W pozostałych metropoliach, jak San Francisco, Oakland, San Diego i Sacramento - wstrząs nie zwrócił uwagi ludzi, choć niewielkie trzęsienie ziemi o sile trzech i dwóch dziesiątych stopnia w skali Richtera zostało odnotowane przez czułe sejsmografy.

Ryder i Jeff siedzieli właśnie w salonie mieszkania sierżanta, gdy zobaczyli, że kołysze się żyrandol (co trwało dobre dwadzieścia sekund), a jego odchylenie sięga dziesięciu centymetrów. Dunne, który nadal był w swoim biurze, odczuł wstrząs, ale nie zwrócił na niego żadnej uwagi, bo przeżył ich już za wiele, a tego wieczora miał głowę zaprzątniętą zupełnie czym innym. LeWinter, ubrany już - podobnie jak jego sekretarka - wyczuł wstrząs gdy stał przed otwartą klapą swego sejf, którego pozostałą zawartość przeglądał z pewnym zaniepokojeniem. Nawet Donahure, mimo że bardzo bolała go głowa, a umysł miał odrobinę zamglony działaniem whisky, mgliście uświadomił sobie fakt trzęsienia ziemi. I chociaż fundamenty Adlerheimu były solidnie osadzone w twardych skałach Sierra Nevady, skutki trzęsienia ziemi dla zamku były bardziej dotkliwe niż dla innych obiektów. Stało się tak, ponieważ epicentrum wstrząsu znajdowało się nie więcej niż dwadzieścia kilometrów od niego. A co ważniejsze, zjawisko zostało zarejestrowane przez sejsmografy zainstalowane w jednej z piwnic (dawniej przechowywano w niej wino), które von Streicher wydrążył w skale, oraz przez dwa inne urządzenia, przewidujące ulokowane przez Morro w jego dwóch rezydencjach, usytuowanych w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od Adlerheimu.

Wstrząsy zostały zarejestrowane również przez instytucje, które - można powiedzieć - miały o wiele bardziej uzasadnione, niż miał Morro, powody interesowania się takimi zjawiskami. Należały do nich: Biuro Badań Sejsmograficznych, Kalifornijski Departament Zasobów Wodnych, Kalifornijski Instytut Technologii, Centrum Sejsmograficzne Krajowego Ośrodka Dozoru Geologicznego. Te dwie ostatnie instytucje, niewątpliwie

najważniejsze, były usytuowane w takich miejscach, które gwarantowały ich zniszczenie w przypadku, gdyby poważne trzęsienie ziemi dosięgło Los Angeles czy San Francisco. Instytut Technologii znajdował się w Pasadenie, a Ośrodek Dozoru Geologicznego w Menlo Park. Ośrodki koordynujące pracę wszystkich czterech instytutów były w stałym kontakcie i wystarczyło im parę minut, by zlokalizować z absolutną precyzją epicentrum wstrząsu.

Ale Benson był spokojnym i ociężałym mężczyzną tuż po sześćdziesiątce. Z wyjątkiem oficjalnych uroczystości, których starał się unikać, nosił niezmiennie garnitur z szarej flaneli i trykotową szarą koszulę z krótkimi rękawami, doskonale pasującą do siwych włosów, które zwieńczały jego okrągłą, spokojną i na ogół uśmiechniętą twarz. Był dyrektorem Wydziału Sejsmologicznego Kalifornijskiego Instytutu Technologii, profesorem dwóch uniwersytetów oraz posiadaczem takiej ilości doktoratów i różnych tytułów naukowych, że jego koledzy dla ułatwienia zwracali się do niego zawsze per Alec. W Pasadenie uważano go za najlepszego sejsmologa na świecie i chociaż Rosjanie i Chińczycy kwestionowali zasadność tego poglądu, to jednak fakt, że na każdej międzynarodowej konferencji poświęconej sejsmologii zawsze wysuwali jego kandydaturę na przewodniczącego obrad, wart był odnotowania.

Ten powszechny szacunek Benson zawdzięczał głównie temu, że nigdy nie chełpił się swą pozycją, a kolegów z całego świata pytał o zdanie równie często, jak oni jego.

Jego pierwszym asystentem był profesor Hardwick, spokojny i nie rzucający się w oczy naukowiec, mający jednak dorobek równie okazały, jak Benson.

- Tak więc - powiedział Hardwick - jedna trzecia ludności Kalifornii musiała odczuć ten wstrząs. Mówiono już o nim w telewizji i w radiu, a jutro napiszą o nim w drugich wydaniach wszystkich porannych gazet. W Kalifornii jest około dwóch milionów sejsmologów-amatorów. Co im powiem? Prawdę?

Tym razem Alec Benson nie uśmiechnął się. Przyglądał się w zamyśleniu kilku naukowcom znajdującym się w pokoju, którzy stanowili mózg bardzo doświadczonego zespołu. Patrzył na ich twarze, na których nie dało się wyczytać ani aprobaty, ani niechęci. Widać było, że czekają, aby Benson powiedział im, co mają robić. Westchnął.

- Nikt bardziej niż ja nie podziwia Jerzego Waszyngtona i jego odważnej szczerości, ale przecież nie możemy powiedzieć im prawdy. Będzie to małe kłamstwo w dobrej sprawie, które nie zaciąży zbyt ciężko na moim sumieniu. Cóż zyskalibyśmy, podając prawdę? Wprawilibyśmy naszych kalifornijskich współobywateli w jeszcze większe przerażenie. Jeśli ma się zdarzyć coś poważniejszego, to i tak się zdarzy - i nic na to nie poradzimy. Zresztą, nie mamy najmniejszego dowodu, że jest to zapowiedź groźniejszego wstrząsu.

- Żadnego ostrzeżenia, żadnej poszlaki, nic? - zapytał Hardwick z powątpiewaniem w głosie.

- Co to ma do rzeczy?

- W tym rejonie nigdy nie było żadnego poważnego trzęsienia ziemi.

- To nie ma znaczenia. W tym miejscu nawet bardzo silny wstrząs nie miałby znaczenia. Zniszczenia w terenie i straty w ludziach byłyby nieznaczące, bo to rejon słabo zaludniony. Największe trzęsienie ziemi w Kalifornii z 1872 roku, które zdarzyło się w Owens Valley, spowodowało raptem śmierć może sześćdziesięciu osób. Trzęsienie w Arvin-Tehachapi, z 1952 roku miało siłę siedmiu i siedmiu dziesiątych stopnia, a zginęło wówczas może tuzin osób. Gdyby ten wstrząs nastąpił w okolicy Uskoku Inglewood-Newport, to wtedy mówiłbym co innego, bo przesunięcie płyt tektonicznych w tym rejonie, które spowodowało wstrząs w Long Beach w 1933 roku, przebiegało dokładnie pod Los Angeles. W tej sytuacji - ciągnął Benson - myślę, że nie należy wywoływać wilka z lasu.

Hardwick, wahając się, przytaknął.

- A więc powiemy, że to wszystko przez ten nieszczęsny i Bogu ducha winny Uskok Białego Wilka.

- Tak. Zredagujemy uspokajający komunikat dla środków masowego przekazu. Przypomnimy im nasz program EPSP. Powiemy, że wszystko przebiega zgodnie z naszymi przewidywaniami i że intensywność tego wstrząsu prawie się zgadza z naszą oceną przemieszczania się szczeliny.

- Zwrócimy się bezpośrednio do stacji telewizyjnych i radiowych?

- Nie. Do agencji. Nic nie powinno sugerować, że przywiązujemy zbyt wielką wagę do naszego odkrycia.

- A etyczna strona tego zagadnienia? - wtrącił Preston, jeden ze starszych asystentów.

- Z naukowego punktu widzenia masz rację - odparł Benson. - Ale to się da usprawiedliwić względami humanitarnymi.

Jednomyślność zebranych wyraźnie świadczyła, jak wielkim prestiżem cieszył się Benson.

W wielkim refektarzu Adlerheimu Morro wkładał tyle samo pogody ducha i dobrej woli, co Alec Benson, żeby uspokoić przestraszonych zakładników.

- Mogę was zapewnić, panie i panowie, że nie ma najmniejszych powodów do niepokoju. Przyznaję, że był to paskudny wstrząs, najsilniejszy, jaki przeżyliśmy tutaj, ale nawet tysiąc razy silniejszy nie wyrządziłby nam nic złego. Poza tym, jak wiecie z telewizji, w całym stanie nie było żadnych szkód. Jesteście odcytani i na tyle inteligentni, żeby wiedzieć, iż trzęsienia ziemi są groźne dla budowli, których fundamenty znajdują się na sztucznych wzniesieniach, podmokłych gruntach - nawet gdy są osuszone, oraz na bagnach. Nasze fundamenty są wykute w kilkukilometrowej skale. A pasmo Sierra Nevada stoi tu od milionów lat i wątpię, żeby zniknęło dzisiejszej nocy. Wątpię, żebyście gdziekolwiek indziej znaleźli bezpieczniejsze miejsce na wypadek trzęsienia ziemi - Morro popatrzył z uśmiechem na słuchaczy i pokiwał z zadowoleniem głową, widząc, że jego słowa odniosły pożądany skutek. - Nie wiem jak wy, ale ja nie mam zamiaru marnować snu przez taką drobnostkę. Życzę wam dobrej nocy.

Kiedy Morro wszedł do swego gabinetu, uśmiech całkowicie zniknął z jego ust. Abraham Dubois siedział za biurkiem Morro ze słuchawką w jednej dłoni, a z ołówkiem w drugiej. Wpatrywał się w mapę Kalifornii.

- No i? - zapytał Morro.

- Nie jest dobrze - powiedział, odkładając słuchawkę i wskazując ołówkiem miejsce na mapie. - Tutaj. Dokładnie tutaj.

Wziął linijkę i odmierzył odległość.

- Mówiąc precyzyjnie, epicentrum znajdowało się osiemnaście i pół kilometra od Adlerheimu. To niezbyt dobrze, panie Morro.

- Tak, nie najlepiej - zgodził się Morro, opadając na jeden z foteli. - Nie sądzisz, Abrahamie, że to swoista ironia losu? To, że z całej Kalifornii wybraliśmy właśnie to miejsce i że trzęsienie ziemi nastąpiło o dwa kroki od naszych drzwi, mówiąc obrazowo?

- Rzeczywiście. Sprawdzalem wielokrotnie. Ale - dodał Dubois uśmiechając się - i tak dobrze, że nie wybraliśmy jakiegoś wygasłego wulkanu, który okazałby się nie tak bardzo wygasły, jakby na to wyglądał. Nie mamy wyboru ani czasu. Tutaj jest nasza baza wypadowa. I doskonała dla niej przykrywka. Tu mamy naszą zbrojownię oraz nadajnik wysokiej częstotliwości, jedyny, jakim dysponujemy. Wszystkie jaja są w jednym koszyku i jeżeli teraz zechcemy przenieść ten koszyk, to może się okazać, że zostanie tylko trochę brudnych stłuczek, nie nadających się nawet na omlet.

- Idę spać. Ale nie wydaje mi się, żebym rano obudził się z innym zdaniem niż twoje - powiedział Morro wstając. - Nie możemy pozwolić, żeby taki nieprawdopodobny zbieg okoliczności pokrzyżował nasze plany i przygotowania. Kto może cokolwiek przewidzieć?

Równie dobrze przez kolejne sto lat może tu nie być trzęsienia ziemi. Przecież od stuleci nie było tu żadnych wstrząsów, a przynajmniej nikomu o nich nie wiadomo. Śpij dobrze.

Ale Dubois spał źle - z tej prostej przyczyny, że w ogóle się nie położył. Morro natomiast spał, ale ledwie godzinę. Obudził się, kiedy Dubois zapalił lampę w jego pokoju i potrząsnął go za ramię.

- Przepraszam - stwierdził z miną bardziej radosną niż ta, którą prezentował godzinę wcześniej - lecz zarejestrowałem na wideokasie dziennik telewizyjny i sądzę, że powinieś go jak najszybciej obejrzeć.

- Chodzi o trzęsienie ziemi. Dobra wiadomość czy zła?

- Nie można powiedzieć, że zła. Może nawet okaże się korzystna.

Odtworzenie taśmy trwało nie dłużej niż pięć minut. Prezenter - młody, pełen werwy mężczyzna - był w godnej podziwu formie, jak na kogoś, kto wstał z łóżka o tak niechrześcijańskiej porze, jak trzecia nad ranem. Za jego plecami wisiała wielka plastyczna mapa. Od czasu do czasu obracał się i ze zręcznością godną Toscaniniego wodził po niej cienką pałeczką.

Zaczął od podania zwięzłych informacji dotyczących właśnie tego ostatniego trzęsienia ziemi: rejonów, w których dało się odczuć, stopnia lęku przeżywanego przez mieszkańców tych okolic, a także zapewnił, że nie spowodowało ono żadnych szkód. Potem mówił dalej:

- Zgodnie z oświadczeniami osób najbardziej kompetentnych, należy uważać ten wstrząs za niecodzienny wypadek, a nie za początek następnych wstrząsów. Według wiarygodnych informacji, pochodzących z kół sejsmologicznych, doszło tu zapewne do pierwszego trzęsienia ziemi, świadomie zaplanowanego i wywołanego przez człowieka.

Jeśli ta informacja jest prawdziwa, to byłaby to przełomowa data w dziejach kontrolowania trzęsień ziemi, pierwszy udany eksperyment EPSP, co dla Kalifornijczyków jest wspaniałą wiadomością. Dla porządku przypomnę, że EPSP to skrót nazwy Programu Zapobiegania Przesunięciom Sejsmicznym. Jest to zapewne jedna z najbardziej przewrotnych i nieścisłych nazw wymyślonych przez naukowców w ostatnich latach. Przez "przesunięcie" rozumie się ocieranie, przesuwanie i wszelkie ruchy ziemi, występujące w chwili gdy jedna z ośmiu lub dziesięciu płyt tektonicznych, na której pływają kontynenty, uderza, nasuwa się z góry lub z dołu albo też ociera się o inną. Nazwa tego programu jest zwodnicza, bo sugeruje możliwość kontrolowania wstrząsów przez zapobieganie owym przesunięciom. W gruncie rzeczy chodzi o coś wręcz przeciwnego. Chodzi o kontrolowanie wstrząsów, a przynajmniej większych trzęsień ziemi, przez doprowadzenie do przesunięć

płyt. Ale w taki sposób, aby cały proces przebiegał nieustannie, odciążając ziemię i prowadząc do serii słabych i niegroźnych wstrząsów przez umożliwienie płytom tektonicznym łagodnych przesunięć. Taka możliwość modyfikacji trzęsień ziemi przez zwiększenie ich częstotliwości pojawiła się zupełnie przypadkowo. Ktoś, z sobie tylko znanych powodów, wypompuwał zużytą wodę w głęboką szczelinę koło Denver i odkrył - ku swemu zdumieniu - że wywołało to serię mikrowstrząsów. Bardzo słabych, ale niewątpliwie kwalifikujących się do nazwy wstrząsów tektonicznych. Od czasu tego zdarzenia przeprowadzono serię doświadczeń - zarówno laboratoryjnych, jak i w terenie - które wykazały, że odporność na tarcie w szczelinie zmniejszyła się, kiedy zmniejszono występujące w niej naprężenie podłużne.

Inaczej mówiąc, zwiększając ilość cieczy w szczelinie, zmniejsza się ten opór, zmniejszanie zaś jej ilości zwiększa opór. Jeśli między dwiema płytami tektonicznymi pojawia się naprężenie, można je zredukować wtłaczając ciecz, co wywołuje lekkie wstrząsy, których siłę dość skutecznie można kontrolować przez odpowiednie dawkowanie tłoczony cieczy. Zostało to udowodnione przed kilku laty przez naukowców Instytutu Nadzoru Geologicznego, którzy przeprowadzili doświadczenia na polach naftowych w Rangeley w stanie Kolorado, wpompowując i wypompowując - na zmianę - ciecz do opróżnionych odwiertów. Mogli w ten sposób jakby włączać i wyłączać trzęsienie ziemi. Jesteśmy więc winni wdzięczność naukowcom z naszego stanu, którzy pierwsi zastosowali tę teorię w praktyce. Na tym odcinku - ciągnął prezenter, który zdawał się czerpać wielką przyjemność ze swojego pokazu, a teraz stuknął pałeczką w mapę, wskazując linię biegnącą od granicy meksykańskiej do Zatoki San Francisco - wykonano w wybranych rejonach - wzdłuż linii biegnącej z południowego wschodu na północny zachód - otwory o głębokości sięgającej aż dwunastu tysięcy metrów. Wykonano je przy użyciu potężnych, specjalnie skonstruowanych świdrów. Wszystkie otwory zostały umieszczone nad uskokiem tektonicznym w miejscach poprzednio dotkniętych przez jedno z najpotężniejszych trzęsień ziemi. Łącznie wykonano dziesięć takich dziur - ciągnął dalej prezenter, wskazując kolejne lokalizacje, począwszy od południa. Naukowcy wykonali następnie wiele doświadczeń przy użyciu rozmaitych mieszanek wody z naftą, ułatwiających tarcie. Gwoli ścisłości, nie były to prawdziwe mieszanki, gdyż nafta nie łączy się z wodą. Zaczęli od wstrzykiwania nafty, potem mieszanki, którą nazywają błotem, i dopiero to wszystko tłoczyli na samo dno za pomocą wody pod wysokim ciśnieniem.

Przerwał, na chwilę zawiesił dramatycznie głos, wpatrując się w kamerę, potem odwrócił się, przytknął koniec pałeczki do punktu usytuowanego przy południowym

krańcu Doliny San Joaquin i - nie odrywając pałeczki od mapy - obrócił się znów twarzą do kamery, i oznajmił:

- Właśnie w tym miejscu, co trzeba podkreślić, o pierwszej dwadzieścia pięć nafta prawdopodobnie została wstrzyknięta w ziemię - jest to czterdzieści, może pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Bakersfield. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed dwudziestu laty nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi. Licząc od południa, jest to miejsce szóstego otworu wykonanego przez naszych sejsmologów. Proszę państwa, poznacie teraz nazwę sprawcy dzisiejszej tragedii: Uskok Białego Wilka! - oznajmił z dziecinnym uśmiechem. - A teraz, moi państwo, wiecie o tej sprawie tyle samo, co ja, czyli niewiele, ale nie bójcie się. Jestem pewien, że najlepsi sejsmolodzy dostarczą wam w najbliższych dniach mnóstwa szczegółów.

Dubois i Morro wstali bez słowa, spojrzeli na siebie, a potem podeszli do wciąż rozłożonej na stole mapy.

- Jesteś pewien, że triangulacja jest właściwa?

- Nasi trzej sejsmolodzy mogą na to przysiąc.

- I nasi trzej geniusze zgodnie lokalizują epicentrum w Uskoku Garlocka, a nie w Uskoku Białego Wilka?

- Raczej wiedzą, co robią. To chłopcy niezwykle dobrzy w swoim fachu. A my praktycznie siedzimy dokładnie nad Uskokiem Garlocka!

- Nadzór Sejsmologiczny, Instytut Technologii, Ośrodek Badań Geologicznych i Bóg jeden wie ile innych placówek. Jak to możliwe, żeby wszystkie popełniły ten sam błąd, skoro z pewnością współpracują ze sobą?

- Oni nie popełnili żadnego błędu - stwierdził stanowczo Dubois. - Nasz rejon ma najlepsze urządzenia na świecie, a ludzie, którzy tu pracują należą do najlepszych ekspertów na kuli ziemskiej.

- Więc kłamią?

- Tak.

- Dlaczego?

- Miałem za mało czasu, żeby to przemyśleć - w tonie Dubois zdawała się brzmieć prośba o przebaczenie tego błędu. - Sądzę, że zrobili to z dwóch powodów. Kalifornia jest opętana strachem, że prawie na pewno, prędzej czy później, a według niektórych znakomitości sejsmologicznych może to się zdarzyć już wkrótce, nastąpi wielki wstrząs, w porównaniu z którym trzęsienie ziemi w San Francisco z 1906 roku będzie drobnym i niewartym wzmianki fajerwerkiem. Jest więcej niż prawdopodobne, że władze próbują

osłabić ten lęk, oznajmiając, że dzisiejsze trzęsienie było dziełem człowieka. Z drugiej strony, ci wszyscy przemądrzali sejsmolodzy żyją w ciągłym lęku, że łowią ryby w mętnej wodzie - niezbyt dokładnie wiedząc, co robią. Nie są do końca pewni, czy manipulując przy rozmaitych uskokach, mimowolnie nie wywołają czegoś, czego nie potrafili przewidzieć. Jak chociażby wstrząs w Uskoku Garlocka, gdzie nie mieli żadnego otworu. Natomiast swoje urządzenia wiertnicze mają na Przełęczy Tejon, nad Uskokiem San Andreas. A we Frazier Park, koło Fortu Tejon, Uskok San Andreas krzyżuje się z Uskokiem Garlocka. Sądzę więc, że ta obawa naukowców jest całkowicie realna. Gdyby tak było, wstrząs z dzisiejszej nocy mógłby się powtórzyć, może nawet na większą skalę, i wątpię, by nam się to spodobało.

Morro uśmiechnął się z przymusem.

- Miałeś więcej czasu, aby to przemyśleć, niż ja - powiedział. - Wydaje mi się, że mówiłeś coś o wykorzystaniu tego na naszą korzyść.

Dubois uśmiechnął się w odpowiedzi i skinął głową.

- Trzecia w nocy jest doskonałą porą na szklaneczkę tego wspaniałego Glenfiddicha - powiedział.

- Dla uzyskania natchnienia?

- Właśnie. Myślisz, że powinniśmy oczyścić sumienie tych szanownych naukowców? Żeby już się nie bali, że opinia publiczna może powiązać niespodziewane trzęsienie ziemi - a zwłaszcza trzęsienie, które zachodzi w takim miejscu - z ich nieodpowiedzialnymi doświadczeniami? Chodzi ci o to, żeby powiedzieć ludziom prawdę?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie mogę się doczekać napisania tego komunikatu - uśmiechnął się Morro.

Ryder nie uśmiechał się po przebudzeniu - zaklął bez złości, ale za to z głębokim zaangażowaniem, i podniósł słuchawkę. Dzwonił Dunne.

- Przykro mi, że pana obudziłem.

- Nic nie szkodzi. Udało mi się przespać prawie trzy godziny.

- Ma pan szczęście, bo ja w ogóle się nie kładłem. Widział pan ten program tuż przed trzecią?

- O Uskoku Białego Wilka?

- Jeszcze bardziej interesujący komunikat zostanie nadany za pięć minut. Na wszystkich kanałach.

- O co tym razem chodzi?

- Myślę, że wrażenie będzie mocniejsze, jeśli sam pan to obejrzy. Zadzwoń potem.

Ryder odłożył słuchawkę, potem podniósł ją znowu, żeby zadzwonić do zaspanego Jeffa, któremu oznajmił, że zaraz będzie w telewizji interesujący program. Klnąc bez przerwy, przeszedł do salonu i włączył telewizor. Prezenter - był to ten sam radosny koleżka, którego widział trzy godziny temu - przystąpił do sprawy bez żadnych wstępów:

- Otrzymaliśmy kolejny komunikat od tego samego Morro, który wczoraj wieczorem twierdził, że jest autorem włamania do elektrowni atomowej San Ruffino i kradzieży paliwa nuklearnego. Nie mamy najmniejszych powodów, żeby podawać w wątpliwość jego autorstwo, gdyż ilości, które, jak twierdzi, ukradł, odpowiadają dokładnie stwierdzonym brakom. Nasza stacja nie może, oczywiście, gwarantować autentyczności tego komunikatu, gdyż nie jesteśmy w stanie ustalić, czy pochodzi on od tej samej osoby. Może to tylko żart. Ponieważ jednak inne stacje i agencje otrzymały to samo oświadczenie, przekazane dokładnie w ten sam sposób co poprzednie, to zakładamy, że komunikat jest autentyczny. Nie do nas natomiast należy sprawdzenie, czy podane w nim informacje są wiarygodne. Oto treść najświeższego komunikatu:

“Ludność Kalifornii padła ofiarą machinacji, polegającej na tym, że stanowe autorytety sejsmologiczne z całą premedytacją okłamały ją. Trzęsienie ziemi, które miało miejsce o godzinie pierwszej dwadzieścia pięć nad ranem, nie nastąpiło, jak się twierdzi, w Uskoku Białego Wilka. Można to łatwo sprawdzić, porozumiewając się z właścicielami prywatnych sejsmografów, które działają w wielu miejscach stanu. Żaden z nich nie ośmieliłby się podać w wątpliwość autorytetu oficjalnych instytucji stanowych, ale zestawienie ich indywidualnych oświadczeń z łatwością wykaże, że oficjalne instytucje kłamią. Spodziewam się, że ten komunikat spowoduje masowe potwierdzenie moich słów.

Powodem, dla którego te instytucje kłamały, jest ich chęć zażegnania niepokoju przed spodziewanym wstrząsem o bezprecedensowej sile, a także obawa, by obywatele stanu nie skojarzyli wstrząsów w regionach oddalonych od miejsc, w których jest realizowany program EPSP, z ich kontrowersyjnymi próbami ingerowania w aktywność skorupy ziemskiej. Mogę ich uspokoić co do tego ostatniego zagadnienia. Nie oni są odpowiedzialni za dzisiejszy wstrząs, tylko ja. Epicentrum tego wstrząsu znajduje się nie w Uskoku Białego Wilka, ale w Uskoku Garlocka, który obok Uskoku San Andreas jest największy na terenie stanu, a ponieważ biegnie równolegle i bardzo blisko Uskoku Białego

Wilka, sejsmologowie z łatwością mogli pomyśleć, że źle odczytali dane swoich sejsmografów lub że ich instrumenty były rozregulowane. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, że wywołam ten niewielki wstrząs, gdyż według źródeł historycznych w tych okolicach nigdy trzęsienia ziemi nie było. Niewielka bomba atomowa, którą zdetonowałem o pierwszej dwadzieścia pięć miała cel czysto doświadczalny; chodziło o stwierdzenie, czy zadziała, czy nie. Rezultaty eksperymentu są zachęcające.

Być może wiele osób nie zechce mi wierzyć. Ale nikt w tym stanie, ani w całym kraju, nie będzie żywił najmniejszych wątpliwości, kiedy jutro dokonam drugiej eksplozji atomowej, której miejsce i porę podam w późniejszym terminie. Ta bomba została już zainstalowana i ma moc jednej kilotony, czyli taką samą, jak bomba, która zniszczyła Hiroszimę”.

- To wszystko - oznajmił prezydent, który tym razem nie pozwolił sobie na najmniejszy uśmiech. - Nie można wykluczyć, że to żart, ale być może - stoimy przed przerażającą perspektywą. Byłoby ciekawe rozważyć skutki oraz intencje...

Ryder wyłączył telewizor. Stać go było na samodzielne rozważania. Zaparzył kawę i w przerwach między poranną toaletą i ubieraniem się wypił kilka filiżanek. Zapowiadał się bardzo długi dzień.

Pił właśnie czwartą kawę, kiedy zadzwonił Dunne, przepraszając, że nie zrobił tego wcześniej.

- Wrażenie było niesamowite. Mam tylko jedno pytanie: czy sejsmolodzy rzeczywiście nas okłamali?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A ja mam.

- To może być prawdą. Nie mam bezpośredniej linii z Pasadeną, ale mam połączenie z naszym biurem w Los Angeles. Siedzi tam bardzo zmartwiony Sassoon. Pan nie jest tu bez winy. Chce nas zobaczyć. O dziewiątej. Niech pan przyjedzie ze swoim synem jak najszybciej.

- Jest dopiero za dwadzieścia siódma.

- Chciałbym najpierw powiedzieć panu parę rzeczy bez świadków.

- Wszędzie dookoła ktoś podsłuchuje - jęknął Ryder. - Człowiek nie może już liczyć na poszanowanie życia prywatnego w tym stanie!

Ryder z synem przyjechali do Dunne'a kilka minut po siódmej. Po majorze - elokwentnym, czujnym, sprawnym jak zawsze, nie było widać śladów bezsennej nocy. Był sam w gabinecie.

- Żadnych mikrofonów? - burknął Ryder.

- Kiedy zostawiam tu podejrzanych, to owszem. Teraz nie.

- Gdzie się podział wielki biały wódz?

- Sassoon wciąż siedzi w Los Angeles. Jak już mówiłem, jest bardzo nieszczęśliwy.

Po pierwsze, wszystko to zdarzyło się na jego terenie. Po drugie, z Waszyngtonu przybywa dyrektor FBI. Po trzecie, CIA zwęszyła sprawą i chce włączyć się do akcji. A jak wszyscy doskonale wiedzą, FBI i CIA nie rozmawiają ze sobą, a jeśli nawet rozmawiają, to słychać chrzęst kruszonego lodu.

- W jaki sposób udało im się włączyć do akcji?

- Dojdę do tego. Na razie przelecimy się helikopterem w kierunku Pasadeny. Szef podał godzinę dziewiątą i spotkamy się z nim punktualnie o dziewiątej.

- FBI - zauważył łagodnym tonem Ryder - nie ma żadnej władzy nad byłym policjantem.

- Nawet nie zadam sobie trudu, żeby powiedzieć "proszę". Stado dzikich koni nie zatrzymałoby pana - Dunne ułożył starannie papiery na swoim biurku. - Kiedy pan i Jeff spokojnie sobie odpoczywaliście, my ciężko pracowaliśmy przez całą noc. Chce pan robić notatki?

- Nie ma potrzeby. Jeff służy mi za bank informacji. Potrafi zidentyfikować ponad tysiąc tablic rejestracyjnych w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

- Bardzo chciałbym, żebyśmy musieli zajmować się jedynie tablicami rejestracyjnymi. Po pierwsze: nasz przyjaciel Carlton, zastępca szefa ochrony elektrowni, który został porwany wczoraj, kiedy skradziono paliwo jądrowe. Mamy tutaj przygotowane coś w rodzaju jego dossier. Był kapitanem w wywiadzie wojskowym, w bazie NATO w Niemczech. Nic szczególnego. Nie ma na sumieniu żadnej afery szpiegowskiej czy kontrwywiadowczej w stylu płaszczka i szpady. Wygląda na to, że przeniknął do komórki komunistycznej wśród niemieckich pracowników cywilnych bazy. Nie udowodnione podejrzenie o zbyt zażyłe stosunki z nimi. Nie zgodził się na przeniesienie do liniowego batalionu pancernego. Złożył rezygnację. Nikt go do tego nie zmuszał. Nikt nie wywierał na niego żadnych nacisków. Można powiedzieć, że armia nie stanęła na jego drodze. Kiedy armia mówi, że nie było sprawy, to nie było.

- Ale jest ślad powiązań komunistycznych?

- Wystarczający tylko dla CIA. Nie można wejść do Pentagonu, żeby nie nadzieć się na jakiegoś z ich agentów. Wystarczy czerwony dym spod łóżka, a już łapią za swoje cyjankowe pistolety, czy co tam teraz wymyślili. Co się tyczy jego referencji, jako specjalisty od ochrony, to pracował w siłowni jądrowej w stanie Illinois. Ma stamtąd znakomitą opinię. Szef ochrony tej elektrowni kontrolował wszystkie jego kontakty. Carlton ma również referencje z elektrowni należącej do Brown's Perry, filii Tennessee Valley Authority w Decator, w stanie Alabama. Ale Carlton nigdy tam nie pracował. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem i nie w służbie ochrony. Może pełnił inną funkcję i pod innym nazwiskiem, ale to mało prawdopodobne. Trzeba przy okazji dodać, że w czasie, kiedy rzekomo tam przebywał, wybuchł w elektrowni straszliwy pożar. Ale z całą pewnością nie on był podpalaczem, tylko jakiś technik, który szukał przecieku, trzymając w ręku zapaloną świecę. No i w końcu trafił na ten przeciek.

- Skąd Carlton miał te referencje? - zapytał Jeff.

- Sfalszował.

- Więc Ferguson, szef ochrony w San Ruffino, nie zweryfikował ich?

- Przyznaję, że tego nie zrobił - odparł Dunne, który przez chwilę miał zmęczony głos. - Ferguson również pracował kiedyś w tej elektrowni. Twierdzi, że Carlton orientował się w tylu szczegółach dotyczących tego zakładu, nie wyłączając owego pożaru, że sprawdzenie go uznał za zbędne.

- Skąd Carlton miał informacje na temat pożaru?

- Nie było to tajemnicą. Opinia publiczna wiedziała o wszystkim.

- Jak długo miał niby pracować w tej elektrowni? - zapytał Ryder.

- Piętnaście miesięcy.

- Mógł więc zniknąć na tak długo?

- Sierżancie Ryder, człowiek, który ma dostateczne umiejętności, może zniknąć w tym kraju na piętnaście lat i nigdy się nie ujawnić.

- Może zmienił kraj? Mógł trzymać paszport w domu.

Dunne spojrział na Rydera, skinął głową i zanotował coś na kartce.

- Waszyngton sprawdził - podjął - w archiwum Komisji Energii Atomowej przy 1717 Street; notują tam nazwiska osób, które mają dostęp do fiszek i kartotek dotyczących instalacji atomowych. Nikt nigdy nie szukał informacji na temat San Ruffino, bo żadnych informacji tam nie ma. Wyciągnąłem więc z łóżka doktora Jablonsky'ego. Z początku nie chciał mówić. Musiałem więc użyć kilku gróźb, jakimi zwykle dysponuje FBI, i w końcu

przyznał, że zamierzają wybudować w San Ruffino reaktor samopowielający. Podlegałby on, oczywiście, Komisji Energii Atomowej. To absolutna tajemnica.

- A więc Carlton jest naszym człowiekiem?

- Tak. Ale nic nam to nie daje, bo zamelinował się razem z Morro.

Dunne zajrzał do innej kartki.

- Chciał pan mieć wykaz wszystkich zorganizowanych i, jak pan to powiedział, działających organizacji nawiedzonych lub ekscentryków z całej Kalifornii. Oto on. Mówiłem o kilkuset, ale w rzeczywistości jest ich tylko sto trzydzieści pięć. Ale i tak trzeba stu lat, żeby zbadać je wszystkie. Poza tym jeśli oni są tak przebiegli i dobrze zorganizowani, jak nam się wydaje, to muszą funkcjonować pod dobrą osłoną.

- Możemy tę listę zawęzić. Po pierwsze, to musi być jakaś duża grupa. Powstała stosunkowo niedawno i wyłącznie do przeprowadzenia tej operacji. Powiedzmy, że w ciągu ostatniego roku.

- Same liczby i daty - stwierdził Dunne z rezygnacją, robiąc dalsze notatki. - Nie złości pana cała ta robota, którą musimy odwalić? Teraz kolej na naszego przyjaciela Morro. Nikogo nie zdziwi fakt, że ani policja, ani nikt inny nic nie wie na temat mężczyzny z opaską na oku i z okaleczonymi dłońmi.

- Notatka Susan - wtrącił Jeff patrząc na ojca. - Przypomnij sobie. Napisała "Amerykanin?" - Ze znakiem zapytania.

- Właśnie. A więc, majorze, proszę sobie jeszcze zanotować, żeby skontaktować się z Interpolem w Paryżu.

- Zgoda, zanotowałem. Co się tyczy banknotów, które znaleźliście u Donahure'a, to była łatwa robota. Wystarczyło obudzić połowę dyrektorów banków i kasjerów z naszego okręgu. Zostały podjęte w lokalnym oddziale Banku Amerykańskiego cztery dni temu przez młodą kobietę w ciemnych, wielkich okularach i z długimi jasnymi włosami.

- Ma pan na myśli kogoś o doskonałym wzroku i w blond peruce?

- Mniej więcej. Niejaka Jean Hart, mieszkająca przy 800 Cromwell Ridge. Pod tym adresem rzeczywiście mieszka pani Jean Hart. Ma jakieś siedemdziesiąt lat i nie posiada nawet konta w banku. Kasjer nie liczył banknotów. Zadowolił się podaniem jej dziesięciu paczek po tysiąc dolarów.

- Które Donahure rozłożył potem na osiem kupek, żeby wpłacić je w ośmiu różnych bankach. Trzeba pobrać odciski palców.

- Już to zrobiono. Jeden z moich chłopców, z pomocą pańskiego przyjaciela Parkera - który, jak pan, nie przepada szczególnie za Donahure'em - skończył je badać równo o trzeciej w nocy.

- Był pan naprawdę zalatany.

- Nie ja. Ja siedziałem tutaj zajęty podwyższaniem rachunków telefonicznych. Ale miałem czternastu mocnych chłopców, którzy przez całą noc pracowali dla mnie. Musiałem w tym celu przeczesać pół Kalifornii. Na banknotach znaleziono też całkiem wyraźne odciski Donahure'a. I - co bardziej interesujące - odkryto na nich również bardzo wyraźne odciski LeWintera.

- Bo on jest płatnikiem. A co z jego pistoletem?

- Nic. Nie jest zarejestrowany. Ale to nie jest podejrzane. Sędziowie stale otrzymują pogróżki, więc muszą się bronić. Z broni ostatnio nie strzelano - lufa jest zakurzona. Jeśli chodzi o tłumik, to wiele to mówi o osobowości LeWintera, ale nie można za to nikogo powiesić.

- A co z aktami FBI dotyczącymi LeWintera? Wciąż nie chce mi pan ich pokazać?

- Nie ma w nich nic ciekawego. Nic nie wiadomo na temat jego powiązań ze światem przestępczym. A jego notatnik z numerami telefonów też nie zawiera niczego interesującego. Wynika z niego, że LeWinter zna wszystkich polityków i burmistrzów w tym stanie.

- A mówił pan, że nie ma powiązań ze światem przestępczym. Coś jeszcze?

- Jesteśmy bardzo niezadowoleni, podobnie jak policja, z niektórych wyroków wydanych przez niego w ciągu ostatnich lat - podjął Dunne, zaglądając do notatek. - Skazywał na ciężkie kary wrogów swoich kumpli, a kary lekkie, a nawet bardzo lekkie, rezerwował dla przyjaciół swych kumpli. Ale on sam, powtarzam, nie ma żadnych powiązań z żadnym przestępcą.

- Przekupstwo?

- Nie ma na to żadnego dowodu, ale jak inaczej można ocenić jego wyrokowanie? W każdym razie jest mniej naiwny niż jego protegowany, Donahure. Nie ma kont w lokalnych bankach pod fałszywymi nazwiskami. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Od czasu do czasu kontrolujemy jego korespondencję, nie otwierając jej jednak.

- Jesteście równie dobrzy jak KGB.

- Dostaje czasem korespondencję z Zurychu - oznajmił Dunne, nie zrażając się tą uwagą - ale on nigdy nie wysyła tam listów. Inaczej mówiąc, doskonale się maskuje.

- Forse wpłaca najprawdopodobniej przez pośredników na konto numerowe.

- Nie widzę innej możliwości. Nie ma najmniejszej nadziei, żebyśmy w tej kwestii coś znaleźli. Banki szwajcarskie przestają być tajemnicze jedynie w przypadku skazanych przestępców.

- A egzemplarz "Ivanhoe", który miał w swoim sejfie? I notatnik z zaszyfrowanym tekstem?

- Wydaje się, na pierwszy rzut oka, że jest to zestaw numerów i adresów, głównie w Kalifornii i Teksasie, oraz czegoś, co przypomina komunikaty meteorologiczne. Właśnie trwa rozszyfrowywanie. Właściwie nie my to robimy, ale Waszyngton. My nie mamy specjalisty od rosyjskiego.

- Rosyjskiego?

- Tak. Dość prosta kombinacja - ale chyba tylko dla nich - doskonale znanego rosyjskiego szyfru. Czyli znowu mamy ślad czerwonych. To może oznaczać wszystko i nic, ale, jak sądzę, jest to powodem zainteresowania CIA. Jestem pewien, że wielu waszyngtońskich kryptografów jest w ten czy inny sposób na liście płac CIA.

- A jego sekretarka jest Rosjanką. Może być jego szyfrantką?

- Gdybyśmy byli w jednym z wielu miłych krajów na tym świecie, miałbym ją już tu i wyciągnął z niej prawdę w ciągu dziesięciu minut. Niestety, nie jesteśmy. A Donahure ma, lub raczej miał, radziecką broń.

- Kałasznikowy. Pozwolenie wwozu?

- Brak. Oficjalnie nie mamy takiej broni w kraju, choć, oczywiście, Pentagon ją ma. Parę innych organizacji także, ale nie przyznają się, skąd ją dostali. Anglicy, oczywiście, też ją mają, bo skonfiskowali uzbrojenie IRA.

- A Donahure jest w drugim pokoleniu Irlandczykiem.

- Jakbym miał jeszcze mało zmartwień - jęknął Dunne, łapiąc się za głowę. - A tak na marginesie, to czego on szukał w pańskim domu?

- W końcu do tego doszedłem - Ryder nie wyglądał na zbyt ucieszonego tym wnioskiem. - Jak mi się da trochę czasu, to w końcu dodam dwa do dwóch. Przyszedł nie dlatego, że obaj z Jeffem byliśmy za dobrzy dla jego człowieka i pozbawiliśmy go prywatnej własności, włącznie z furgonetką. Nie przyszedł też po to, co zabrałem z San Ruffino, bo nie wiedział, że coś wzięłem, a nawet nie miał czasu tam pójść. Nie miał też czasu, aby wstąpić również do LeWintera, po nakaz, a zresztą nie zdobyłby się na to, bo znając prawdziwy powód, LeWinter odmówiłby albo wręcz kazałby go zlikwidować.

- Mówiłem, że boli mnie głowa - przypomniał łagodnie Dunne, który stopniowo tracił wigor.

- Sądzę, że porządna rewizja w domu lub w biurze Donahure'a ujawniłaby plik nakazów in blanco, podpisanych przez LeWintera. Mógł więc wpisać sobie na nich cokolwiek. Powiedziałem mu, co zawiera jego dossier. I po to przyszedł. Było to tak oczywiste, że na to nie wpadłem, a działał tak głupio, bo sam to wymyślił - tylko jemu zależało, żeby znaleźć swą teczkę.

- Obaj mogli się już ulotnić.

- Nie sądzą. Nie wiedzą, że wszystkie dowody są w naszych rękach. Donahure, sam będąc złodziejem, z miejsca założył, że tylko tacy sami złodzieje mogli mu ukraść pieniądze i broń, i na pewno nie będzie się tym chwalić. LeWinter też prawdopodobnie nie uciekł. Ale najpierw ciężko się przeraził zniknięciem notesu i pobraniem odcisków palców. Ale gdy się zorientuje, a zapewne stanie się to szybko, że ani jego zdjęcie, ani jego sekretarki nie pojawiło się na okładce "Globu", zrobi dyskretny wywiad, z którego dowie się, iż ci dwaj, którzy go uwolnili, nie są tam zatrudnieni i dojdzie do nieuchronnego wniosku, że chodzi o szantaż. Najprawdopodobniej, aby powstrzymać go przed przyjęciem stanowiska prezesa Sądu Najwyższego Kalifornii. Sam pan powiedział, że ma potężnych przyjaciół, a taki człowiek musi mieć także potężnych wrogów. Natomiast szantażystów to on się tak bardzo nie przestraszy - oni się nie poznają na rosyjskich szyfrach. Fakt - zdjęto mu odciski palców, ale gliny nie chodzą przecież w maskach. Oni najpierw aresztują. A szantażystami potrafi zająć się sam - prawo kalifornijskie jest wobec nich nader ostre, a LeWinter jest tutaj prawem.

- Mogłeś mi o tym powiedzieć - wtrącił z wyrzutem Jeff.

- Myślałem, że sam na to wpadłeś.

- I to wszystko wiedział pan wcześniej, zanim zajął się pan nimi? - spytał Dunne. - Jak na przeciętnego gliniarza, jest pan przebiegły. Mógłby się pan załapać do FBI. Ma pan jeszcze jakieś pomysły?

- Niech pan założy podsłuch w telefonie LeWintera.

- To nielegalne. Kongres ostro zabrał się do tego rodzaju praktyk. Głównie dlatego, że kongresmani są przerażeni myślą, że można by założyć podsłuch w ich telefonach. Zajmie mi to godzinę albo nawet dwie.

- Doceni pan chyba fakt, że będzie pan drugim podsłuchującym LeWintera?

- Drugim?!

- Jak pan myśli? Dlaczego zginął szeryf Hartman?

- Bo mógłby zacząć mówić? Bo był to nowy człowiek, jeszcze nie znający ich układów, który próbował wycofać się, zanim będzie za późno?

- To także. Spróbuję to panu wyjaśnić. Otóż Morro ma podsłuch podłączony do telefonu LeWintera. Zadzwoiłem od LeWintera do centrali telefonicznej, aby ustalić adres Hartmana, bo nie mogłem go znaleźć w książce telefonicznej. Prawdopodobnie dlatego, że mieszkał tu od niedawna. Ktoś podsłuchiwał moją rozmowę i dotarł do Hartmana przede mną i Jeffem. Nawiasem mówiąc, szukanie pocisku, który go zabił, nic nie pomoże. To była kula dum-dum, która trafiła w ścianę z cegieł, rozrywając się tak, że nie da się nic z niej wyciągnąć. Balistycy nie są czarodziejami. Nie można od nich żądać, żeby dysponując tym, co z tej kuli pozostało, zidentyfikowali broń, z której ją wystrzelono.

- Powiedział pan, że "ktoś" udał się do Hartmana?

- Może Donahure. Właśnie odzyskiwał świadomość, kiedy od niego wychodziliśmy. Równie dobrze mógł to być jakiś nie znany nam współnik z półświatka. Raminoff nie był przecież jedyny.

- Czy podał pan przez telefon swoje nazwisko?

- Musiałem. Bez tego nie uzyskałbym informacji.

- Więc Donahure wie, że był pan u LeWintera, i LeWinter też się o tym dowie.

- Nigdy w życiu. Mówiąc o tym LeWinterowi, musiałby mu wyznać, że założył u niego podsłuch albo że zrobił to ktoś inny, a on, Donahure, jest o tym poinformowany. A poza tym dzwoniłem stamtąd do Aarona z "Examinera" - gdyby tak było, LeWinter już by o tym wiedział. Ta rozmowa nie była chyba podsłuchiwana. Nasz podsłuchujący przyjaciel tak się śpieszył, usłyszawszy nazwisko Hartmana, że nie miał czasu podsłuchać drugiego telefonu.

- Jednym słowem - powiedział Dunne z miną dosyć szczególną, mogącą nawet wyrazić prawie szacunek - pomyślał pan o wszystkim.

- Chciałbym, żeby tak było. Ale, niestety, nie jest.

Zadzwoił jeden ze stojących na biurku telefonów. Dunne słuchał z zaciśniętymi wargami i twarzą pozbawioną wyrazu. Potrząsnął kilka razy głową i powiedział:

- Tak, zajmę się tym - i odłożył słuchawkę. Potem spojrzał w milczeniu na Rydera, który siląc się na obojętność, spytał:

- Mówiłem przed chwilą, że nie pomyślałem o wszystkim. Mają Peggy?

- Tak.

Jeff gwałtownie zerwał się z krzesła, które runęło do tyłu. Był bardzo blady.

- Peggy! Co się stało z Peggy?!

- Porwali ją.

- Jak to porwali?! Przecież obiecał pan! I to pańskie zasrane FBI!

- Dwaj ludzie z tego zasranego FBI zostali postrzeleni i są w szpitalu - odparł Dunne spokojnie. - Jeden z nich jest w stanie krytycznym. Na szczęście Peggy nic się nie stało.

- Siadaj, Jeff - odezwał się Ryder, nadal zachowując spokój.

- Powiedzieli mi, żebym się nie wtrącał.

- Tak. Czy rozpoznalby pan ametyst, jaki nosi na palcu lewej ręki? - wzrok Dunne'a był smutny. - Zwłaszcza, jak twierdzą, gdyby był nadal na tym palcu?

Jeff podniósł krzesło, ale nie usiadł na nim. Stał z dłońmi tak zaciśniętymi na oparciu krzesła, jakby chciał to oparcie zmiażdżyć. Jego głos był dziwnie chrapliwy.

- O Boże! Nie siedź tak! Ojciec! To nieludzkie! Chodzi o Peggy! O Peggy! Nie możemy tak siedzieć! Ruszajmy! Możemy tam zaraz być.

- Spokojnie, Jeff. Gdzie możemy być zaraz?

- W San Diego.

Tym razem głos Rydera był poirytowany.

- Nigdy nie będziesz prawdziwym policjantem, Jeff, dopóki nie nauczysz się myśleć jak policjant. Peggy, San Diego. Wpadła po prostu w ich sieć. A my musimy znaleźć pająka, który też usadowił się w środku tej sieci. Znaleźć go i zabić. Ale on nie siedzi w San Diego.

- Więc pojedę sam! Nie możesz mnie zatrzymać! Jeśli chcesz tu siedzieć...

- Zamknij się! - głos Dunne'a był teraz ostry, ale zaraz złagodniał. - Wiemy, że to twoja siostra, i to młodsza. Ale San Diego to nie jakaś zabita dechami wieś. To drugie co do wielkości miasto w stanie. Setki policjantów detektywów i naszych ludzi przeprowadza tam teraz regularne polowanie. A są to fachowcy, natomiast ty nie jesteś fachowcem w polowaniu na ludzi. Nawet nie znasz tego miasta. Co masz nadzieję zrobić, czego oni by nie zrobili? - ton głosu Dunne'a był coraz łagodniejszy. - Twój ojciec ma rację. Nie wolałbyś od razu zabić pająka, w samym sercu sieci?

- Pewnie że tak - Jeff siadł, ale jego drżące ręce wyraźnie świadczyły, że ledwie panuje nad sobą. - Pewnie że tak. Ale dlaczego ojciec? Dlaczego dobrali się do niego przez Peggy?

- Ponieważ się go boją - odparł Dunne. - Znają jego reputację i wiedzą, że nigdy się nie poddaje. A najbardziej boją się tego, że twój ojciec działa poza prawem. LeWinter, Donahure, Hartman, a także Raminoff to są cztery elementy w ich maszynie, a on trafił na nich w ciągu ostatnich godzin. Nikt działający zgodnie z prawem nigdy nie dotarłby do żadnego z nich.

- Dobra, ale w jaki sposób?

- To proste - westchnął Ryder. - Powiedziałem, że Donahure nigdy nie odważyłby się powiedzieć, że byłem u LeWintera. Ale powiedział to temu, który kazał mu założyć podsłuch u LeWintera. Dopiero teraz, gdy jest za późno, dotarło do mnie, że on sam jest zbyt tępy.

- Kto to jest?

- Głos w telefonie, najprawdopodobniej łącznik Morro. I ja nazwałem Donahure'a durniem! Ciekawe, kim ja jestem? - zapalił papierosa. - Stary, dobry sierżant Ryder, zawsze dbający o zabezpieczenie tyłów.

Rozdział VI

Złociste poranki nie należały do rzadkości w Złotym Stanie, a ten akurat był tego potwierdzeniem. Był cichy, bezwietrzny, przezroczysty i piękny. Słońce stało wysoko na błękitnym niebie, pozbawionym najmniejszej chmurki.

Ze szczytów gór widać było pogrążoną w delikatnej mgielce Dolinę San Joaquin aż po lśniące w słońcu szczyty i doliny Masywu Nadbrzeżnego. Był to wspaniały i zapierający dech w piersiach widok. Wręcz upojny i grzejący serca wszystkich, z wyjątkiem szaleńców, krótkowidzów, nieuleczalnych mizantropów, a także więźniów osadzonych za ponurymi murami Adlerheimu. Ale widok z zachodniego skrzydła zamku, wysoko ponad dziedzińcem, był bardzo deprymujący z psychologicznego punktu widzenia, a to z powodu potrójnych zasieków z drutu kolczastego z ich niewidzialnym ładunkiem dwóch tysięcy voltów.

Susan Ryder nie odczuwała więc żadnych takich wzruszeń. Wprawdzie nic nie mogło odebrać jej urody, ale jednak była blada i zmęczona. Jej oczy podkreślały ciemnoniebieskie cienie - nie spała tej nocy dłużej niż kwadrans. Obudziła się nagle, tknięta strasliwym przeczuciem, że oto wydarzyło się coś o wiele gorszego niż ich pobyt w zamku. Ciężar na sercu jest nie tylko psychicznym, ale również fizycznym odczuciem i właśnie nie mogła sobie z nim poradzić. Już nie była tą słoneczną i radosną ekstrawertyczną duszą każdego towarzystwa. Oddałaby cały świat za możliwość dotknięcia dłoni i spojrzenia w oczy męża, który zawsze dawał jej bezgraniczne poczucie bezpieczeństwa.

Czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. To była dłoń Julie Johnson, która miała mocno zaczerwienione oczy. Susan objęła ją i przytuliła do siebie. Milczały, bo cóż mogły sobie powiedzieć?

Tylko one dwie stały na tarasie. Pięcioro innych zakładników spacerowało po dziedzińcu, najwyraźniej bez żadnego celu, również w całkowitym milczeniu. Być może każdy z nich pragnął być sam na sam ze swoimi myślami, a może dopiero teraz zrozumieli powagę sytuacji. Z drugiej jednak strony otoczenie, w jakim się znajdowali, mogło skutecznie zniechęcić do porannych grzeczności nawet największego gadułę.

Dźwięk dzwonka dobiegający z głównego hallu nadszedł jak zbawienie. Susan i Julie ostrożnie zeszły po kamiennych schodach bez poręczy i przysiadły się do współtowarzyszy. Podano śniadanie, tak wykwintne, że nie przyniosłoby ujmy nawet najlepszemu hotelowi.

Ale oprócz Healeya i Bramwella, którzy jedli z apetytem, pozostali ledwie wypili łyk kawy i zjedli kęs tostów. Atmosfera panująca na sali przypominała Ostatnią Wieczerzę.

Zakładnicy właśnie kończyli to, czego właściwie żaden z nich nie zaczął, kiedy do hallu weszli Morro i Dubois, uśmiechnięci i promieniujący zadowoleniem, rozdzielający "dzień dobry" oraz nadzieję, że ich goście mieli spokojną noc. Skończywszy grzeczności, Morro uniósł ze zdumieniem brwi.

- Widzę, że dwóch naszych nowych gości jest nieobecnych - profesor Burnett i doktor Schmidt. Achmed! Poproś, aby byli tak uprzejmi i dołączyli do nas.

Obaj fizycy zrobili to po pięciu minutach. Ubrania mieli tak pomięte, jakby w nich spali, co zresztą w rzeczy samej było prawdą. Obaj byli nie ogoleni i mieli zaczerwienione oczy, o co Morro mógł winić tylko siebie, wszakże barki w pokojach były obficie zaopatrzone. Trudno go przecież było winić za to, iż nie wiedział, że świetnej reputacji naukowej obu fizyków towarzyszy równie zasłużona reputacja wyznawców Bachusa.

- Chciałem państwa prosić o drobiazg. O podpisy - odezwał się Morro po stosownej chwili milczenia. - Abraham?

Dubois skinął głową i obszedł stół, kładąc przed każdym napisany na maszynie list, zaadresowaną kopertę i długopis.

- Co to, do cholery, znówu znaczy? - pytającym był, rzecz jasna, profesor Burnett. Jego powszechnie znana gwałtowność była dzisiaj wzmocniona potężnym kacem. - To jest kopia listu, który ostatniej nocy napisałem do żony.

- Słowo w słowo. Wystarczy podpisać.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to zrobię!

- W gruncie rzeczy jest mi to obojętne - stwierdził Morro. - Prośba o napisanie tych listów była gestem uprzejmości umożliwiającym powiadomienie waszych bliskich, że czujecie się dobrze i jesteście bezpieczni. Proszę podpisywać po kolei i oddać długopisy Abrahamowi. Dziękuję. Wygląda pani na zawiedzioną, pani Ryder.

- Zawiedzioną? - Susan posłała mu uśmiech, ale nie należał on do jej najmiłszych uśmiechów. - Dlaczego miałabym być zawiedziona?

- Z powodu tego - położył przed nią zaadresowaną kopertę - co pani tu napisała. To pani pismo?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Morro odwrócił kopertę i Susan, czując suchość w gardle, zauważyła, że oba boki zostały rozcięte. Morro rozłożył kopertę na stole i wskazał mały, szary prostokąt na środku tylnej strony.

- Papier jest czysty, rzecz jasna, lecz istnieją takie środki chemiczne, które ujawniają nawet niewidoczne znaki. Wprawdzie i przewidująca żona policjanta nie nosi ze sobą atramentu sympatycznego, ale i na to są sposoby. Ten fragmencik ma podłoże z kwasu octowego, najczęściej stosowanego przy wyrobie aspiryny, lecz również występującego w niektórych lakierach do paznokci. Pani, jak widzę, używa lakieru bezbarwnego. Sierżant Ryder, z tego co wiadomo, jest wysokiej klasy specjalistą w swym fachu i powinien na tyle dobrze panią znać, żeby spodziewać się czegoś takiego. W ciągu paru minut po otrzymaniu listu miałby tę kopertę rozłożoną w laboratorium policyjnym na czynniki pierwsze. To jest stenografia. Co tam jest napisane, pani Ryder.

- Adlerheim - odparła matowym głosem.

- Bardzo brzydko. Zaskakująco, sprytnie, proszę to nazwać, jak się pani podoba, ale brzydko.

- Co chce pan ze mną zrobić?

- Co zrobić? Czternaście dni o chlebie i wodzie? Nie sądzę. Nie prowadzimy wojny z kobietami. Myślę, że i tak została pani wystarczająco ukarana tym, że pomysł się nie udał. Profesorze Burnett i wy, panowie - wskazał ręką Schmidta, Healeya i Bramwella - byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli mi towarzyszyć.

Zaprowadził ich do drugiego pokoju, znajdującego się obok jego studia. Nie było w nim żadnego okna, trzy ściany zajmowały metalowe szafy, a czwarta była zawieszona barokowymi obrazami w monumentalnych ramach. Między obrazami wisiało też ciężkie, masywne lustro. Można było podejrzewać, że obrazy stanowiły jedną z kolekcji von Streichera. Na środku pokoju stał duży stół, otoczony krzesłami i zasłany stosem papierów. Na samym wierzchu leżał jakiś duży schemat. Przy jednym z rogów stołu stał obficie zaopatrzonej barek na kółkach.

- Wdzięczny byłbym, panowie - odezwał się Morro - gdybyście wyświadczyli mi grzeczność. Zapewniam was, że nie będzie to wymagało wysiłku z waszej strony. Bądźcie tak uprzejmi, przyjrzyjcie się tym planom i powiedzcie mi, co o nich sądzą.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to zrobimy! - warknął Burnett normalnym, czyli wściekłym tonem. - Mówię za siebie, oczywiście.

- Obejrzyj je pan - uśmiechnął Morro.

- Tak? Po torturach?

- Nie bądźmy dziećmi. Obejrzy je pan z dwóch powodów. Po pierwsze - z naukowej ciekawości. No i także dlatego, że chyba chcecie dowiedzieć się, dlaczego tu jesteście.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi. Nie słyhać było przekręcania klucza, co uspokoiło zakładników. Hydraulicznie otwierane zasuwki działają przecież całkowicie bezgłośnie.

Wszedł do studia oświetlonego jedynie dwiema żarówkami. Dubois siedział przed szklanym ekranem, całkowicie przezroczystym i wychodzącym na sąsiedni pokój od tyłu weneckiego lustra. Powstała w ten sposób przestrzeń o grubości dwóch centymetrów, z której wypompowano powietrze, nie tyle po to, żeby ocieplić otwór, ile po to, aby uniemożliwić naukowcom słuchanie rozmów prowadzonych w studiu. Natomiast podsłuch tamtej strony nie nastęczał żadnych trudności, a to dzięki przemyślnemu systemowi czterech doskonale zamaskowanych mikrofonów, zainstalowanych w sąsiednim pokoju. Były one podłączone do głośnika umieszczonego nad głową Dubois i do magnetofonu stojącego obok niego.

- Nie nagrywaj wszystkiego - odezwał się Morro. Większość będzie prawdopodobnie nie do powtórzenia, a przynajmniej niezrozumiała. Chodzi o sens ich wypowiedzi.

Obserwowali czterech mężczyzn niezbyt pewnie rozglądających się wokół. Wreszcie Burnett i Schmidt spojrzeli na siebie i tym razem na ich twarzach nie było wahania. Podeszli do barku. Burnett, jak zwykle, wybrał Glenfiddich, zaś Schmidta zadowolił Gordon Gin. Nastąpiła krótka cisza, podczas której obaj uczeni szczerze pokrzepiali swoje nadwątlone siły i koili poddane nieustannym stresom systemy nerwowe. Healey obserwował ich spod oka, po czym podzielił się z pozostałymi paroma równie rzeczowymi, jak dosadnymi myślami na temat Morro, które ten ostatni niewątpliwie kazałby Dubois wyciąć z taśmy.

- On ma rację - mówił Healey. - Niech go cholera weźmie. Zerknąłem tylko na to, co leży tam na samym wierzchu i dziwnie mnie to ciekawi, chociaż cholernie nie lubię wścibskości. Poza tym chcę, do diabła, wiedzieć, co my tu robimy.

Burnett zbliżył się do stołu i przez jakieś trzydzieści sekund oglądał leżący na wierzchu schemat. W takim czasie umysł fizyka, nawet skacowanego, jest w stanie sporo sobie przyswoić. Spojrzał potem na pozostałych, ale nagle z niemałym zdziwieniem spostrzegł, że trzyma w dłoni puste naczynie, toteż pośpieszył najpierw naprawić ten błąd. Uzbrojony w pełną szklankę whisky, stwierdził, podnosząc ją do góry:

- To nie jest lekarstwo na mojego kaca, panowie, bo ten ciągle mnie dręczy. Piję, żeby się solidnie przygotować na to, co znajdziemy w tych papierach, a czego się bardzo obawiam. Obejrzymy to, panowie?

W sąsiednim pokoju Morro poklepał Dubois po ramieniu i wyszedł.

Barrow ze swą okrągłą, pełną i niewinną twarzą oraz błękitnymi oczami wyglądał na pastora lub raczej na biskupa. Był szefem FBI, człowiekiem, którego jego ludzie obawiali się prawie tak samo, jak przestępcy. Pasją jego życia było umieszczanie tych ostatnich za kratkami na tak długo, jak na to pozwalało prawo, albo na dłużej, jeśli okazywało się to możliwe. Sassoon - szef kalifornijskiej sekcji FBI był wysoki, ascetyczny i sprawiał przekonujące wrażenie, jakby o wiele lepiej czuł się na uniwersytecie. Dlatego też wielu kalifornijskich przestępców niezmiernie żałowało, iż ulegli owemu pozorowi. Crichton, jako jedyny z obecnych, wyglądał tak, jak powinien wyglądać człowiek jego profesji: potężny, z masywnymi ramionami atlety, złamanym nosem i zimnymi, szarymi oczami. Był szefem CIA. On i Barrow darzyli się serdecznym i gorącym uczuciem, które jednak trudno byłoby nazwać miłością, co zresztą doskonale odpowiadało stosunkom łączącym obie, reprezentowane przez nich instytucje.

Alec Benson, któremu towarzyszył profesor Hardwick, przyjrzał się kolejno wszystkim trzem, po czym spojrzał na Dunne'a i obu Ryderów.

- Kto by pomyślał, Arturze - zwrócił się do Hardwicka - że spotka nas taki zaszczyt. Trzech najwyższych funkcjonariuszy z FBI i jeden z CIA. Święto dla naszego wydziału. No cóż, z trudem, ale mogę jeszcze zrozumieć ich obecność tutaj. Proszę się nie gniewać, panowie, ale wy dwaj jesteście tu nie na miejscu. Jesteście przecież, darujcie mi to sformułowanie, zwykłymi policjantami, jeżeli w ogóle tacy istnieją.

- Profesorze - odparł Ryder - jest cała masa zwykłych policjantów, ale my nie jesteśmy nawet zwykłymi policjantami. Jesteśmy zwykłymi eks-policjantami.

Benson uniósł brwi, Barrow zaś spojrzał pytająco na Dunne'a.

- Sierżant Ryder i jego syn, policjant Ryder - pośpieszył ten ostatni z wyjaśnieniem - zrezygnowali wczoraj ze służby. Mieli do tego ważne prywatne powody. Obaj zaś wiedzą o dziwnych okolicznościach otaczających tę sprawę znacznie więcej niż któryś z nas. I dokonali już znacznie więcej niż my, bo prawdę mówiąc, niczego dotąd nie zrobiliśmy, co zresztą nie może nikogo zdziwić, jako że cała sprawa wypłynęła dopiero wczoraj

wieczorem. Żona i córka sierżanta zostały porwane i są przetrzymywane przez Morro jako zakładniczki.

- Jezu! - westchnął Benson, który stracił swój obojętny wyraz twarzy. - Moje przeprosiny i wyrazy ubolewania. To raczej my nie mamy prawa tu przebywać - spojrzał na Barrowa, który był wśród nich najwyższym stopniem oficerem śledczym, i dodał: - Jesteście tutaj, żeby ocenić, czy Kalifornijski Instytut Technologii, reprezentujący pozostałe instytuty stanowe, a przede wszystkim czy ja, jako ich rzecznik, że tak powiem, jesteśmy winni wprowadzenia w błąd opinii publicznej. Mówiąc brutalnie, chcecie sprawdzić, czy kłamałem w żywe oczy.

Nawet Barrow zawahał się przez moment. Sam należał do niepospolitych ludzi i potrafił rozpoznać równie niepospolitego człowieka, gdy go spotkał. Poza tym był świadom ogromnej sławy, jaką się cieszył Benson.

- Czy to możliwe - spytał - że ten wstrząs został wywołany wybuchem bomby atomowej?

- Owszem, ale też całkowicie niemożliwe do sprawdzenia. Sejsmografy nie są w stanie określić przyczyny rejestrowanego wstrząsu. Na ogół nie jesteśmy nawet do końca pewni źródła wstrząsu. My, Francuzi i Anglicy, ogłaszamy nasze wybuchy próbne, ale pozostali członkowie tak zwanego Klubu Atomowego nie są już tak skrupulatni. Mimo to można niektóre rzeczy określić z pewną dokładnością. Kiedy Chińczycy dokonali próbnego wybuchu o mocy jednej megatony - co, jak zapewne wiecie, oznacza odpowiednik wybuchu miliona ton TNT, radioaktywna chmura dotarła nawet do USA. Chmura była nieduża, unosiła się wysoko i nikomu nie zagrażała, ale wykryto ją z łatwością. To było w listopadzie 1976 roku. Trzęsienia ziemi natomiast prawie zawsze mają wtórną falę.

Był tylko jeden, klasyczny już wyjątek, i to także, co jest dość dziwne, w listopadzie 1976 roku. Stacje sejsmiczne w Szwecji i w Finlandii zanotowały u wybrzeży Estonii trzęsienie ziemi o sile zaledwie czterech stopni w skali Richtera. Niektórzy uczeni byli zdania, że wstrząs został wywołany podwodnym wybuchem na dnie Bałtyku. Spór trwa zresztą do dzisiaj, a Rosjanie, oczywiście nie uznali za stosowne udzielić żadnych wyjaśnień.

- Przecież trzęsienia ziemi nie zdarzają się w tych okolicach - stwierdził Barrow.

- Ja nie próbuję pana pouczać w dziedzinie prawa.

- FBI przyznaje się do błędu - Barrow uśmiechnął się jak rasowy aktor.

- Tak więc nie mogę wam powiedzieć, czy ten Morro naprawdę dokonał wybuchu jądrowego, czy nie - spojrzal na Hardwicka. - Sądziysz, Arturze, że jakikolwiek szanujący się seismolog mógłby inaczej odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie.

- No to ma pan swoją odpowiedź. Ale przecież nie o to chciał mnie pan spytać. Chciał pan wiedzieć, czy my - lub raczej ja - podaliśmy prawdziwe miejsce epicentrum wstrząsu. Czy naprawdę było ono w Uskoku Białego Wilka, czy, jak twierdzi Morro, w Uskoku Garlocka. No cóż, panowie. W tej sprawie skłamałem w żywe oczy.

- Dlaczego? - spytał po chwili milczenia Crichton, znany ze swej lakoniczności.

- Dlatego że w tamtej sytuacji wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Dziś jestem tego samego zdania - Benson pokiwał głową. - Szkoda, że ten Morro się wtrącił i wszystko popsuł.

- Dlaczego? - Crichton znany był również ze swego uporu.

- Postaram się to wyjaśnić. Pan Sassoon, pan Dunne i panowie policjanci, przepraszam, eks-policjanci, zrozumieją mnie bez trudu. Gorzej będzie z panem i Barrowem.

- Dlaczego? - wydawać by się mogło, że Crichton jest także człowiekiem o dość ograniczonym słownictwie, ale Benson powstrzymał się od komentarza.

- Dlatego że oni są Kalifornijczykami, a wy dwaj nie.

- Zawsze się tego obawiałem - uśmiechnął się Barrow. - Wybrany stan. Potem zostanie wam tylko secesja.

- Bo to naprawdę jest wybrany stan, ale nie w tym sensie, w jakim pan myśli - stwierdził poważnie Benson. - Jest to jedyny stan w unii, w którym każdy inteligentny mieszkaniec myśli o jutrze. Nie w znaczeniu, co będzie jutro, ale czy w ogóle będzie jutro. Kalifornijczycy żyją w ciągłym strachu lub w rezygnacji. Bo prędzej czy później nadejdzie moment, w którym nastąpi to najgorsze.

- To najgorsze? Trzęsienie ziemi? - uzupełnił Barrow.

- O dewastującej sile. Ten lęk pojawił się tak naprawdę dopiero w 1976 roku - chyba już trzeci raz wymieniam ten rok. Był to bardzo zły rok, w którym myśli mieszkańców tego stanu skierowały się na sprawy, o których woleliby w ogóle nie myśleć. - Benson zajrzał do kartki z notatkami. - Czwartego lutego w Gwatemalii - siedem i pół stopnia w skali Richtera. Dziesiątki tysięcy zabitych. Szóstego maja we Włoszech - sześć i pół w skali Richtera. Setki zabitych, olbrzymie straty materialne, a trochę później w tym samym roku ponowne trzęsienie ziemi, które ostatecznie zniszczyło resztki ocalałych poprzednio

budynków. Szesnastego maja - radziecka część Azji Centralnej, siedem i pół stopnia. Liczba zabitych i straty nie znane. Rosjanie niechętnie przyznają się do takich rzeczy. Dwudziestego siódmego lipca - Tangshan w Chinach - osiem i dwie dziesiąte stopnia w skali Richtera, sześćset tysięcy zabitych i drugie tyle rannych - bo ten wstrząs nastąpił w gęsto zaludnionej okolicy, obejmując nawet Pekin i Teintsin. Miesiąc później, na samym południu Filipin - osiem stopni. Olbrzymie zniszczenia i nie znana liczba ofiar, ale szacuje się ją na dziesiątki tysięcy. Trzęsienie ziemi spotęgowała wówczas fala przyływu, bo wstrząs nastąpił pod wodą. W listopadzie Filipiny dotknęło jeszcze jedno, słabsze trzęsienie na północy, o sile sześć i osiem dziesiątych. Brak dokładnych danych. Poza tym kolejne wstrząsy: znów na Filipinach, jeden w Iranie, pięć w Chinach i dwa w Japonii. Najgorszy z nich nastąpił w Turcji, gdzie zginęło pięć tysięcy osób.

I wszystkie wstrząsy, z wyjątkiem tych z Grecji i Włoch, zostały wywołane przez płytę Pacyfiku, której ruchy tworzą wokół oceanu tak zwany Pierścień Ognia. Obszarem, który nas szczególnie interesuje, jest Uskok San Andreas. W tym właśnie obszarze północno-wschodnia część płyty tektonicznej Pacyfiku ociera się o trącą w kierunku zachodnim płytę amerykańską. Prawdę mówiąc, miejsce, w którym teraz obradujemy, w sensie geologicznym nie jest częścią Ameryki i nie trzeba specjalnej wyobraźni, żeby stwierdzić, że w niezbyt odległej przyszłości ta część odłączy się zupełnie od naszego kontynentu. Pewnego dnia płyta tektoniczna Pacyfiku uniesie zachodnie wybrzeże Kalifornii, tworząc z niej nową Atlantyde. Miejsce, w którym się teraz znajdujemy, leży zaledwie kilka kilometrów na zachód od Uskoku San Andreas, który przechodzi dokładnie pod pasmem San Bernardino. Wystarczy lekki wstrząs, podskok i płyniemy na wschód. Dla równowagi muszę dodać, że znajdujemy się prawie w tej samej odległości od Uskoku Newport-Inglewood, który był przyczyną trzęsienia ziemi w Long Beach w 1933 roku. Jesteśmy również niewiele dalej od Uskoku San Fernando, który spowodował, jak pamiętacie, ten przykry wypadek w lutym 1972 roku. Z sejsmologicznego punktu widzenia tylko szalenie chciałby zamieszkać w hrabstwie Los Angeles. Mam nadzieję, że jest to dla was krzepiąca myśl.

Benson rozejrzał się po twarzach słuchaczy, ale żaden z nich nie sprawiał wrażenia, jakby czuł się pokrzepiony.

- Nie powinniśmy więc dziwić się, że ludzie zwracają się ku myślom o duszy. Że coraz częściej zastanawiają się, kiedy nadejdzie ich czas. Znajdujemy się dokładnie nad Pierścieniem Ognia i nasza kolej może nadejść w każdej chwili. Nie jest to myśl, z którą żyje się wesoło. I nikt nie usiłuje pamiętać o trzęsieniach ziemi, które już się wydarzyły.

Mieliśmy w przeszłości tylko cztery naprawdę silne wstrząsy. Dwa z nich miały aż osiem i trzy dziesiąte stopnia w skali Richtera. Myślę o Owens Valley w 1872 roku i o San Francisco w 1906. Ale ludzie nie o nich myślą. Ludzie obawiają się monstrualnego trzęsienia ziemi, a w całej historii zanotowano tylko dwa takie zdarzenia. Oba o sile ośmiu i dziewięciu dziesiątych stopnia w skali Richtera, co znaczy, że każde było sześciokrotnie silniejsze niż to, które zniszczyło San Francisco - Benson potrząsnął głową. - Wstrząs o sile dziesięciu stopni jest teoretycznie możliwy, ale nawet umysł naukowca nie jest w stanie wyobrazić sobie zniszczeń, jakie coś takiego mogłoby wywołać.

Oba te olbrzymie wstrząsy nastąpiły, może niezupełnie przypadkowo, również w 1906 i 1933 roku. Pierwszy w Japonii, a drugi w Ekwadorze. Nie będę wam, panowie z Waszyngtonu, opisywał ich skutków, bo zaraz wsiądziecie w pierwszy samolot lecący na wschód. Zarówno Ekwador, jak i Japonia leżą dokładnie w obrębie Pierścienia Ognia. Podobnie jak Kalifornia. Dlaczego więc tym razem nie ma być to nasza kolej.

- Ten pomysł z samolotem zaczyna mi się coraz bardziej podobać - stwierdził Barrow. - A co się stanie, jeśli to najstraszniejsze zdarzy się naprawdę?

- Zniżając głos do żałobnej tonacji, muszę przyznać, że długo nad tym myślałem. Jeżeli nastąpi w miejscu, w którym teraz siedzimy, to wtedy obudzi się pan rano - choć nie należy oczywiście zapominać, że w rzeczywistości martwi nie mogą się obudzić - i zobaczy pan Pacyfik w miejscu, w którym kiedyś leżało Los Angeles, a samo miasto spocznie na dnie tego, co dawniej nazywano Zatoką Santa Monica i Kanałem San Pedro. Szczyty gór San Gabriel mogą się zwalić dokładnie w to samo miejsce. Gdyby wstrząs nastąpił na morzu...

- Niby jak mógłby się zdarzyć na morzu - ton głosu Barrowa był jakby mniej jowialny - przecież ten uskok przecina Kalifornię.

- Ale wychodzi od strony wschodniej do morza. Na południe od San Francisco omija Golden Gate i znowu wraca pod ląd stały dalej na północy. Takie monstrualne trzęsienie ziemi od strony Golden Gate byłoby również interesujące w skutkach. Na początek zniknęłoby San Francisco i prawdopodobnie cały półwysep, na którym leży. Hrabstwo Marin spotkałby ten sam los, ale prawdziwe straty...

- Prawdziwe straty? - odezwał się wreszcie Crichton.

- Tak. Prawdziwe straty wywołałaby olbrzymia fala oceaniczna, która wdarłaby się w Zatokę San Francisco. A kiedy mówię: olbrzymia, to mam na myśli dokładnie to, co mówię. Mieliśmy taki przykład na Alasce, gdzie trzęsienie ziemi podniosło poziom wody o ponad sto metrów. Gdyby to się zdarzyło u nas, Richmond, Berkeley, Oakland i wszystko aż do

San Jose zostałyby zatopione. Góry Santa Cruz stałyby się wyspą. A - co jeszcze gorsze, bo zawsze może być coś gorszego, panie Crichton - rolnicze serce Kalifornii, jej dwie słynne doliny: Sacramento i San Joaquin również zostałyby zalane. A znaczna część tych obszarów leży poniżej poziomu stu metrów. - Benson jakby się nagle zamyślił. - Przedtem nie zastanawiałem się nad tym zbyt, ale chyba nie chciałbym mieszkać również w stolicy, bo przecież dopadnie ją fala idąca przez Dolinę rzeki Sacramento. Może teraz zaczynacie rozumieć, panowie, dlaczego razem z moimi kolegami staramy się odwracać myśli ludzi od takich podejrzeń.

- Chyba tak - Barrow spojrział na Dunne'a. - Co pan o tym sądzi? Oczywiście jako Kalifornijczyk.

- Jestem nieszczęśliwy.

- Zgadza się pan z tym rozumowaniem?

- Czy się zgadzam? Ja idę jeszcze dalej. Mam nieprzyjemne wrażenie, że profesor Benson nieco łagodzi pewne fakty.

- Przyznaję, że są jeszcze inne czynniki - odparł Benson. - W ciągu ostatnich lat ludzie zaczęli grzebać w dokumentach, a kiedy zapoznali się z ich treścią, to zaczęli żałować, że to uczynili. Weźmy, na przykład, północną część Uskoku San Andreas. Wiemy, że w tym rejonie doszło do wielkiego trzęsienia ziemi w 1833 roku. W tych czasach nie umiano jeszcze oznaczać siły wstrząsów. Wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco wypadło w tym samym rejonie w sześćdziesiąt osiem lat później. W 1957 roku było kolejne w Daly City, ale o sile zaledwie pięciu i siedmiu dziesiątych. Z geologicznego punktu widzenia było ono mało znaczące. Jeżeli wolno mi się tak wyrazić, to od siedemdziesięciu jeden lat na północy nie zdarzyło się żadne trzęsienie z prawdziwego zdarzenia. Być może, bardzo się już spóźnia. W południowej części San Andreas nie było większego wstrząsu od 1857 roku, czyli od stu dwudziestu lat. Dozór triangulacyjny wykazał, że Płyta Pacyfiku przesuwa się pięć centymetrów rocznie w kierunku północno-wschodnim w stosunku do Płyty Amerykańskiej. Do trzęsienia ziemi dochodzi wtedy, gdy jedna z nich jakby przeskakuje do przodu w stosunku do drugiej. To nazywamy uskokiem poziomym. Uskok z 1906 roku liczył od czterech i pół do pięciu metrów. Jeżeli policzymy teraz po pięć centymetrów rocznie, to otrzymamy nagromadzony potencjalnie uskoki rzędu ponad sześciu metrów. Jeżeli przyjmujemy takie założenie, a nie wszyscy się z nim zgadzają, to okaże się, że w Los Angeles już dawno powinno nastąpić wielkie trzęsienie ziemi.

Co się zaś tyczy środkowych obszarów San Andreas, to nigdy nie odnotowano tam żadnych wstrząsów i Bóg jeden raczy wiedzieć, od jak dawna akumuluje się tam ta siła.

Oczywiście, to ostatnie może nastąpić również gdzie indziej, ot choćby w Uskoku Garlocka, który jest drugi co do wielkości w tym stanie, a który milczy już od stuleci - Benson uśmiechnął się. - To by nawet było niezłe, panowie. Monstrum z Uskoku Garlocka. Trzecią sprawą, która zaczyna zajmować myśli ludzi, jest fakt, że uznane sławy naukowe zaczęły o tym mówić głośno - w prasie, w radiu i w telewizji. To, czy powinni o tym mówić, czy też nie, jest sprawą ich etyki i sumienia. Osobiście wolę o tym nie mówić, ale to nie znaczy, że muszę mieć zawsze rację.

Bardzo poważny fizyk, Peter Franken, sądzi, że następne trzęsienie ziemi będzie miało gigantyczną siłę, i otwarcie przewiduje od dwudziestu tysięcy do miliona ofiar śmiertelnych. Sądzi również, że jeżeli wstrząs nastąpi wzdłuż centralnej części San Andreas, to fale sejsmiczne zmiotą z powierzchni ziemi zarówno Los Angeles, jak i San Francisco. To są jego słowa. Dlatego nikogo nie powinno dziwić, że Kalifornia jest największym na ziemi konsumentem leków uspokajających i tabletek nasennych.

Weźmy taki plan awaryjny, opracowany przez władze San Francisco. Wiadomo, że na wypadek takiej tragedii rozmieszczono w różnych miejscach wokół miasta co najmniej szesnaście składanych z prefabrykatów szpitali polowych. Co wybitniejsi uczeni wyjaśniają dość mętnie, że w przypadku poważniejszego trzęsienia ziemi większość z nich i tak ulegnie zniszczeniu, a jeżeli na dodatek miasto zostanie zatopione lub cały półwysep zostanie odcięty od stałego lądu, to wszystkie one będą bezużyteczne.

Z kolei inni uczeni dają zarówno Los Angeles, jak i San Francisco co najwyżej pięć lat istnienia. Niektórzy mówią nawet o dwóch latach. Jeden z sejsmologów twierdzi wręcz, że Los Angeles ma niecały rok życia. Oszust czy Kasandra? Nikt taki. Jest to jedyna osoba, której powinno się słuchać uważnie. Nazywa się James H. Whitcomb i pracuje w Kalifornijskim Instytucie Technologii. To najlepszy obecnie specjalista od przewidywań trzęsień ziemi. Poprzednie jego prognozy sprawdziły się z nadzwyczajną precyzją. To kolejne trzęsienie nie musi wcale nastąpić w Uskoku San Andreas, ale może nadejść bardzo szybko.

- Pan mu wierzy? - spytał Barrow.

- Powiedzmy, że nie mrugnąłbym nawet okiem, gdyby teraz nagle zwałił się nam na głowę sufit. Zakładając oczywiście, że miałbym czas na mrugnięcie okiem. No cóż, jestem przekonany, że wcześniej lub później Los Angeles zostanie zrównane z ziemią.

- A jak zareagowano na tę przepowiednię?

- Przeraziła większość ludzi. Niektórzy uczeni po prostu wzruszyli ramionami i przestali się interesować Whitcombem. Przewidywanie trzęsień ziemi jest wciąż jeszcze

raczkującą dyscypliną naukową. Niektórzy mówią, że z trudem można ją nazwać nauką. Co interesujące, Whitcomb został natychmiast postraszony procesami sądowymi przez przedstawicieli władz miejskich Los Angeles, którzy twierdzili, że podważa on wiarygodność prawa własności. Zostało to umieszczone w oficjalnych sprawozdaniach - Benson westchnął. - Wszystko to jest częścią tego, co nazywamy "syndromem "Szczęk"". Pamiętajcie ten film. Nikt, kto miał jakiś interes w okolicy, nie chciał uwierzyć w istnienie rekina-ludojada. Albo na przykład to, co się zdarzyło przed kilkunastu laty w japońskiej miejscowości Matsushiro. Tamtejsi uczeni przewidzieli dokładną datę i czas trzęsienia ziemi. Miejscowi hotelarze grozili im Bóg wie czym. A trzęsienie ziemi nastąpiło zgodnie z zapowiedzią naukowców.

- I co się stało?

- Hotele się zawaliły. Biznes to biznes. Powiedzmy, że doktor Whitcomb przewidzi trzęsienie ziemi w Uskoku Newport-Inglewood. Z pewnością nastąpi wtedy zamknięcie Wyścigów Ciężarówek w Hollywood Park, który leży prawie dokładnie nad uskokiem. Nikt przecież nie pozwoli na uwięzienie dziesiątków tysięcy ludzi w śmiertelnej pułapce. Mija tydzień, drugi i nic. Czy potraficie sobie wyobrazić, jakiego odszkodowania zażądano by od doktora Whitcomba?

A "syndrom "Szczęk"" jest bliskim kuzynem "syndromu strusia". Schowaj głowę w piasek. Udaj, że nie ma niebezpieczeństwa, a ono samo zniknie. Ale coraz mniej ludzi wyznaje już tę zasadę, toteż w wielu miejscach strach zaczyna się niebezpiecznie upodabniać do hysterii. Opowiem wam w związku z tym historyjkę. Nie moją, lecz pewnego pisarza o nazwisku R. L. Stevens.

Jeżeli dobrze pamiętam, nazywała się ona "zakazany wyraz". Ktoś w Kalifornii wydał prawo zakazujące rozpowszechniania jakichkolwiek informacji dotyczących trzęsień ziemi. W wyniku wstrząsów tektonicznych stan stracił prawie połowę ludności. Granice stanowe zostały otoczone przez policję, a ludziom nie wolno było wyjeżdżać do innych stanów. Pewna para została aresztowana za publiczne użycie wyrazu "wstrząs". I zastanawiam się, kiedy ta narastająca histeria doprowadzi nas naprawdę do uchwalenia takiego prawa. Wtedy znajdziemy się od razu w środku orwellowskiego "Roku 1984".

- I co było dalej? - spytał Barrow.

- To nieważne. Uciekli do Nowego Jorku, który był przeludniony powyżej wszelkich norm, i zostali aresztowani przez Służbę Kontroli Urodzeń za publiczne użycie słowa "miłość". Zawsze musieli przegrać. Podobnie jak my nigdy nie wygramy. Co mamy robić? Ostrzegać? Mówić o zagładzie? Przepowiadać koniec świata? A może nie ostrzegać? Może

lepiej jednak nie doprowadzać ludzi do skrajnego przerażenia? Dla mnie istnieje tylko jedno pytanie. Jak można przeprowadzić ewakuację trzech milionów ludzi na podstawie jakiejś tam przepowiedni? To jest wolny kraj. Jak można zamknąć gdzieś dziesięć milionów Kalifornijczyków, mieszkających w rejonach nadbrzeżnych, i trzymać ich w obozach, Bóg wie jak długo, w oczekiwaniu na spełnienie się tej przepowiedni? Co z nimi w ogóle zrobić? W jaki sposób zmusić ich do opuszczenia domów, skoro tu mają pracę, przyjaciół? A przecież gdzie indziej nie znajdą ani domu, ani pracy, ani przyjaciół. Tutaj mieszkają, żyją i tutaj będą musieli mieszkać i żyć. I nawet jeżeli ma to nastąpić raczej szybciej niż później, to tutaj właśnie umrą. Skoro i tak czekają na śmierć, to sądzę, że należy im się maksymalnie dużo spokoju. Jesteśmy jak pierwsi chrześcijanie w rzymskich lochach. Wiemy, że to tylko kwestia czasu, że i tak wywloką nas na arenę, gdzie czekają lwy. I bezustanne przypominanie o tym nikomu nie pomoże. A przecież nadzieja jest nieśmiertelna.

No cóż. Takie jest moje zdanie i stanowisko w tej sprawie. Skłamałem im w żywe oczy i mam zamiar dalej tak kłamać. Każde stwierdzenie posądzające nas o pomyłkę zostanie z całą stanowczością zdementowane. I nie oznacza to, panowie, że żyję kłamstwem. Oznacza to tylko, że żyję wiarą. Sądzę, że wyraziłem się jasno. Czy zgadzacie się ze mną?

Barrow i Crichton spojrzeli na siebie, potem na Bensona, i jednocześnie skinęli głowami.

- Dziękuję wam, panowie. A co do tego maniaka Morro, to w niczym nie mogę być wam pomocny. To już, obawiam się, jest wasz problem - zamilkł na chwilę. - Groźenie wybuchem bomby atomowej czy czymś w tym rodzaju - tego jeszcze nie było. Przyznam się, że jako zaniepokojony obywatel bardzo chciałbym wiedzieć, co on naprawdę zamierza. Wierzycie mu?

- Sami nie wiemy - odparł Crichton.

- Żadnych przypuszczeń co do jego celów?

- Żadnych.

- Wojna nerwów, zagrożenie, strach. Próbuje was przestraszyć, mając nadzieję, że wpadniecie w panikę i popełnicie coś nie przemyślanego.

- Bardzo możliwe - stwierdził Barrow - tylko że wciąż nie wiemy, czemu mamy przeciwdziałać.

- Nie ma ryzyka, dopóki nie zdetonuje tego świństwa pod moim biurkiem lub w jakiejś zamieszkaney okolicy. Gdybyście dowiedzieli się o miejscu i czasie tej zapowiadanej demonstracji, to czy mogę prosić o miejsce w pierwszym rzędzie?

- Pana prośba została przyjęta - odparł Barrow. - Na pewno pana zaprosimy. Czy jeszcze coś macie, panowie?

- Tak - odezwał się Ryder. - Czy można będzie pożyczyć coś do czytania na temat trzęsień ziemi. Interesują mnie zwłaszcza najnowsze materiały.

Wszyscy spojrzeli na niego zaniepokojeni, wszyscy z wyjątkiem Bena.

- Z całą przyjemnością, sierżancie. Proszę podać tę wizytówkę bibliotekarce.

- Mam pytanie, profesorze - odezwał się Dunne. - Czy ta akcja o skrótce EPSP zmniejszy skutki lub opóźni nadejście tego trzęsienia ziemi, którego się wszyscy spodziewacie?

- Gdyby ją rozpoczęto przed pięciu laty, to może by tak było. My właściwie dopiero zaczęliśmy. Potrzeba nam trzech, czterech lat, żeby otrzymać jakieś konkretne rezultaty. Ale mam przecucie, że to monstrum uderzy wcześniej. Ono się już czai, gdzieś tam za drzwiami.

Rozdział VII

O dziesiątej trzydzieści tego samego dnia Morro wszedł ponownie do swego gabinetu. Dubois nie siedział już przed ekranem, ale zajął miejsce przy biurku Morro. Przed nim wolno obracały się taśmy dwóch magnetofonów. Wyłączył je i podniósł głowę.

- Skończyli radzić? - spytał Morro.

- Dwadzieścia minut temu. Deliberują teraz na inne tematy.

- Pewnie radzą, jak nas powstrzymać?

- O czym innym mogliby mówić? Od jakiegoś czasu przestałem słuchać. Nie byłiby w stanie powstrzymać nawet opóźnionego w rozwoju pięciolatka. Nawet nie są w stanie mówić spójnie, a co dopiero myśleć racjonalnie.

Morro podszedł do ekranu obserwacyjnego i włączył znajdujący się nad jego głową głośnik. Cztery fizycy siedzieli, a mówiąc ściślej, rozłożyli się wokół stołu, na którym stały butelki, co oszczędzało im trudu wstawania i chodzenia do barku. Słuchali Burnetta - twarz nabiegła mu krwią od alkoholu, gniewu lub z obu powodów naraz. Jego głos brzmiał bełkotliwie.

- Niech ich diabli porwą. Do piekła i z powrotem. Spójrzcie na siebie. Najlepsze mózgi w tym kraju. W każdym razie za takich się nas uważa. Najtęższe mózgi w zakresie fizyki jądrowej. Czy naprawdę opracowanie planu zapobieżenia, tak właśnie - zapobieżenia diabelskim machinacjom tego potwora Morro przekracza nasze możliwości? Ja dalej twierdzę, że...

- Zamknij się - westchnął Bramwell. - Słyszymy to już po raz czwarty.

Nalał sobie trochę wódki, rozparł się na swoim fotelu i przymknął oczy. Healey oparł się łokciami o stolik i zakrył oczy dłońmi. Schmidt wpatrywał się bezmyślnie przed siebie, tonąc w oparach dżinu. Morro wyłączył głośnik.

- Nie wiem, czy to Burnett, czy Schmidt - powiedział - wydają się być na jednakowym etapie popadania w obłąd. Dziwią mnie także Healey i Bramwell. Są względnie trzeźwi, ale i tak widać, że nie są sobą. W ciągu tych siedmiu tygodni, które tu razem spędziliśmy, zachowywali się dość poprawnie.

- Przez te siedem tygodni przeżyli największy wstrząs nerwowy w ich życiu. Pewnie nigdy nie mieli okazji przejść przez coś takiego.

- Wiedzą? To chyba zbędne pytanie.

- Od samego początku podejrzewali. Po kwadransie wiedzieli z całą pewnością. Przez resztę czasu próbowali znaleźć jakiś błąd, jakikolwiek błąd w tym projekcie. A wszyscy czterej wiedzą, jak się produkuje bomby wodorowe.

- Widzę, że montujesz ich wypowiedzi. Jak długo to jeszcze potrwa?

- Powiedzmy, dwadzieścia minut.

- A jeśli ci pomogę?

- Dziesięć.

- No to za kwadrans zaaplikujemy im kolejny wstrząs, i to taki, który znacznie, jeśli nie zupełnie, ich otrzeźwi.

Kwadrans później czwórka fizyków została wprowadzona do gabinetu. Morro usadowił ich w głębokich fotelach, obok których stały stoliki ze szklankami. W gabinecie było jeszcze dwóch derwiszów w długich strojach. Morro nie był pewien reakcji czterech mężczyzn. Derwisze mogli w każdej chwili wydobyć ingramy z fałd swoich szat, zanim któryś z fizyków zdołałby wstać ze swego miejsca.

- No cóż - stwierdził Morro - Glenfiddich dla profesora Burnetta, dzin dla doktora Schmidta, wódka dla doktora Bramwella i bourbon dla doktora Healeya - Morro lubił budzić zaufanie. Kiedy ich wprowadzono, Burnett i Schmidt mieli wyraz wściekłości na twarzach, Bramwell był zamyślony, a Healey wyglądał, jakby zaczynał wszystko rozumieć. Patrzyli podejrzliwie i z lekkim zdziwieniem.

- Skąd, do diabła, wiedział pan, co pijemy? - Burnett jak zwykle atakował.

- Jesteśmy spostrzegawczy. Staramy się wam przypodobać. Jesteśmy też zapobiegliwi. Pomyśleliśmy sobie, że wasze ulubione wzmacniacze mogą być pomocne w przezwyciężeniu szoku. Ale do rzeczy. Co wymyśliliście po obejrzeniu tych planów.

- A gdybyś tak pan poszedł do diabła? - spytał Burnett.

- Któregoś dnia wszyscy możemy się u niego spotkać. Powtarzam jednak pytanie.

- A ja odpowiem.

- W końcu przecież powiecie mi. I dobrze o tym wiecie.

- W jaki sposób zamierza pan zmusić nas do mówienia? Torturami? - w głosie Burnetta nie słyhać już było uniesienia, ale pogardę. - Nie możemy powiedzieć panu czegoś, czego sami nie wiemy!

- Tortury?! Mój Boże. Mógłbym może je zastosować, ale, szczerze mówiąc, będę potrzebował później. Tortury? Nie przyszło mi to do głowy. A tobie, Abrahamie?

- Nie, Morro - Dubois zastanawiał się przez chwilę. - Ale to jest jakaś myśl.

Podszedł do Morro i szepnął mu coś na ucho. Morro wyglądał na zaszokowanego.

- Znasz mnie przecież, Abrahamie - powiedział - i wiesz, że nie walczę z niewinnymi.
- Cholerny hipokryto! - głos Burnetta był zachrypnięty. - To po co zabrałeś kobiety?
- Ależ...

Bramwell wtrącił znużonym głosem:

- Jest to rodzaj bomby. To oczywiste. Być może jest to schemat bomby atomowej. Ta myśl przyszła nam natychmiast do głowy, wzięwszy pod uwagę pańską skłonność do kradzieży materiałów rozszczepialnych! Ale liczba takich, którzy mogą naprawdę wyprodukować bombę atomową, jest bardzo ograniczona. My do tych wybrańców nie należymy. Jeśli chodzi o tych, którzy naprawdę potrafią zaprojektować bombę wodorową, to ja osobiście takiego nie spotkałem. My zajmowaliśmy się zastosowaniem fizyki jądrowej dla celów pokojowych. Healey i ja zostaliśmy porwani z laboratorium, które produkowało wyłącznie elektryczność. Burnett i Schmidt, o ile nam wiadomo, zostali porwani w San Ruffino. Na miłość boską, wie pan doskonale, że nie produkuje się bomb wodorowych w elektrowniach!

- Bardzo sprytnie - powiedział Morro niemal z uznaniem w głosie. - Pan stoi twardo na ziemi, a raczej mocno siedzi w fotelu. To wystarczy. Abrahamie, puść ten fragment, który wybraliśmy. Ile czasu to zajmie?

- Trzydzieści sekund.

Dubois przycisnął klawisz magnetofonu, cofnął taśmę, nie spuszczając wzroku z licznika, a następnie włączył dźwięk.

- Pierwszy idzie Healey - powiedział.

Healey: - Więc nie ma najmniejszej wątpliwości?

Schmidt: - Najmniejszej. Nie miałem jej zresztą od chwili, kiedy spojrzałem na te cholerne rysunki.

Bramwell: - Okablowanie, materiały izolacyjne, detonator, instalacja. Wszystko jak trzeba. Ostateczna twoja opinia, Burnett?

Burnett (dziwnie przytłumiony, po chwili przerwy): - Przepraszam panów, musiałem sobie łyknąć. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że jest to "Ciotka Sally" we własnej osobie. Szacunkowa moc - trzy i pół megatony. Mniej więcej czterysta razy większa niż moc bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. Dobry Boże! Pomyśleć, że razem z Willim Aachenem urządziliśmy zabawę z szampanem w nocy, kiedy skończyliśmy ten projekt.

Dubois wyłączył magnetofon, a Morro oznajmił:

- Jestem przekonany, że mógłby pan odtworzyć ten plan z pamięci, gdyby zaszła taka potrzeba. Jest pan bardzo przydatnym człowiekiem, warto takiego mieć pod ręką.

Czterej fizycy wyglądali jak pogrążeni w głębokim śnie. Nie sprawiali wrażenia sparaliżowanych, ale zdawało się, że nic do nich nie dociera. Morro podszedł do okna i wciskając czarny przycisk oświetlił pokój, w którym cała czwórka przeglądała plany. Przyjrzał im się bez satysfakcji, bez tryumfu czy zadowolenia. Morro przyglądał im się obojętnie.

- Wyraz waszych twarzy powiedział nam więcej, niż chcieliśmy wiedzieć. - Gdyby czwórka mężczyzn nie była zupełnie przytłoczona sytuacją, w jakiej się znaleźli, i dziecinną łatwością, z jaką zostali oszukani, to z pewnością doceniliby, że postępowanie Morro, który oczywiście wciąż ich potrzebował - nie było niczym innym, jak zwykłą próbą uczynienia ich współwinnymi przez wywołanie w nich poczucia bezsilności i beznadziejności. - Nagranie nam pomogło. Prawdę mówiąc, byłoby to pierwszą rzeczą, której bym się na waszym miejscu spodziewał. Niestety, ludzie obdarzeni genialnymi umysłami są jak małe dzieci. Abrahamie, ile trwał cały montaż rozmowy?

- Siedem i pół minuty.

- Niech się nią rozkoszują do końca. Zajmę się helikopterem. Za chwilę wrócę.

Wrócił po dziesięciu minutach. Trzej fizycy siedzieli bezwładnie wciśnięci w fotele, na ich twarzach malowała się gorycz, przygnębienie i rezygnacja. Natomiast Burnett, jak należało się spodziewać, próbował podnieść swoje morale przy pomocy Glenfiddicha, którego zasoby zdawały się być niewyczerpane.

- Jeszcze jedno małe zadanie, panowie. Chciałbym, aby każdy z was złożył krótkie oświadczenie, że jestem w posiadaniu pełnego zestawu planów niezbędnych do wyprodukowania bomby wodorowej o mocy rzędu jednej megatony. Proszę nie podawać jej parametrów ani kryptonimu - "Ciotka Sally". Dziecinne nazwy, jakimi obdarzacie te zabawki, stanowią kolejny dowód ubóstwa wyobraźni uczonych, którzy ją tracą, gdy tylko zapuszczą się poza teren swojej specjalności. A nade wszystko nie róbcie żadnej aluzji do faktu, że profesor Burnett jest współkonstruktorem, wraz z profesorem Aachenem, tej bomby.

- Dlaczego mamy zachować w tajemnicy wszystkie te cholerne informacje - zaczął Schmidt - skoro chce pan rozgłosić wszystko inne na cały świat.

- Zrozumiecie to w ciągu najbliższego dnia lub dwóch.

- Schwytał pan nas w pułapkę, ośmieszył, upokorzył, a przede wszystkim posłużył się nami, jakbyśmy byli zwykłymi pionkami - mruknął Burnett, zaciskając zęby. - Ale nie może pan popychać człowieka za daleko. A my jesteśmy jeszcze ludźmi!

Morro westchnął, zrobił mały ruch dłonią, wyrażający znużenie, potem otworzył drzwi i wpuścił do swego biura Susan Ryder i Julie Johnson, które rozejrzały się po pokoju. Robiły wrażenie zdziwionych, ale nie przejawiały strachu czy zaniepokojenia.

- Niech pan da mi ten cholerny mikrofon! - krzyknął Burnett i nie czekając na zezwolenie Dubois, chwycił leżący na stole mikrofon magnetofonu. - Gotów? - dorzucił agresywnym tonem.

- Gotów.

Chociaż przeniknięty emocją, której jedyną przyczyną był gniew, głos Burnetta był wyrazisty i płynny, bez śladu tego, że od czasu śniadania, którego i tak nie zjadł, zdążył wypić prawie całą butelkę Glenfiddicha. Nie wiadomo, czy mówiło to więcej o samym profesorze, czy raczej o produkcie.

- Mówi profesor Andrew Burnett z San Diego. Nikt nie próbuje naśladować mojego głosu. Wzorce mojego głosu są w systemie ochronnym uniwersytetu. Ten pieprzony Morro jest w posiadaniu kompletnego zestawu planów bomby wodorowej o mocy rzędu megatony. Lepiej będzie, jeśli mi uwierzycie, a także doktorom Schmidtowi, Healeyowi i Bramwellowi. Dwaj ostatni są uwięzieni w tym cholernym domu od siedmiu tygodni. Powtarzam, na miłość boską, wierzcie mi. To są kompletne plany tej bomby, etap po etapie, bez żadnych braków. Co więcej - dorzucił po chwili milczenia - ten sukinsyn mógł już taką bombę wyprodukować.

Morro skinął na Dubois, który zatrzymał magnetofon i powiedział:

- Pierwsze i ostatnie zdanie, panie Morro.

- Zostaw je - uśmiechnął się Morro. Dzięki temu nie będzie trzeba porównywać głosu z wzorcami. W tych dwóch zdaniach można odnaleźć cały charakterystyczny smaczek barwnych wypowiedzi profesora Burnetta. Dasz radę to skopiować, Abrahamie? Głupie pytanie. Panie pozwolą ze mną.

Wyprowadził je na zewnątrz i zamknął drzwi.

- Czy mógłby pan nas oświecić? - spytała Susan. - To znaczy, chciałabym wiedzieć, co się tu dzieje?

- Oczywiście, miłe panie. Otóż nasi przeuczeni fizycy śpiewali dziś dla mnie chórem. Oczywiście nie wiedzieli o tym. Podobnie jak nie zdawali sobie sprawy, że nagrywam ich

rozmowę. Pokazałem im pewne plany. I przekonałem ich, że naprawdę znam tajemnicę budowy bomby wodorowej. Teraz przekonują o tym resztę świata. To proste.

- To dlaczego porwał pan tych ludzi?

- Są dla mnie wciąż bardzo ważni, również na przyszłość, ale to był główny powód.

- A po co sprowadził nas pan do gabinetu?

- Co?! Pani jest dociekliwa.

- Po prostu chcę się stąd wydostać - Julie potrząsnęła głową z miną, jakby się miała zaraz rozplakać.

- Co ci jest? - spytała Susan.

- Doskonale wiesz, co mi jest. Rozumiesz przecież, dlaczego nas tam wprowadził. Ci mężczyźni nie chcieli mówić. I dlatego nas tam ściągnął.

- Oczywiście, że na to wpadłam - odparła Susan. - Czy pan albo ten przerażający olbrzym wykręcalibyście nam ręce, abyśmy krzyczały? A może ma pan tu jakieś lochy? W takich zamkach zawsze można znaleźć jakieś lochy, a w nich żelazne łoża i Bóg wie jakie urządzenia tortur. Panie Morro, czy pan łamie ludzi kołem?

- Przerażający olbrzym? Też coś. Abraham byłby dotknięty, gdyby to usłyszał. Droga pani. Bezpośrednia próba przymusu jest zawsze mniej skuteczna od metod pośrednich. Jeżeli tylko ludzie są w stanie uwierzyć w coś bez nacisku, jest to zawsze o wiele skuteczniejsze niż każda próba udowodnienia im tego.

- A gdyby pan musiał im udowodnić? - Morro milczał. - Czy kazałby pan nas torturować?

- Nawet by mi to do głowy nie przyszło.

- Nie wierz mu. Nie wierz - powiedziała Julie drżącym głosem - to potwór i kłamca.

- Jest potworem. To prawda - Susan mówiła spokojnie, jakby z zamyśleniem. - Może być również kłamcą. Ale w tym przypadku wierzę mu. To dziwne.

- Sama nie wiesz, co mówisz - stwierdziła Julie z pewną desperacją w głosie.

- Myślę, że wiem. I sędzę, że pan Morro nie będzie już nas potrzebował.

- Jak możesz tak mówić?

Morro spojrzał na Julie.

- Pewnego dnia będzie pani równie mądra i wrażliwa jak pani Ryder - powiedział. - Ale najpierw musi pani poznać sporo ludzi i nauczyć się rozpoznawać ich charaktery. Pani Ryder wie, że każdy, kto by panie dotknął choćby palcem, musiałby odpowiadać bezpośrednio przede mną. I wie również, że ja nigdy bym tego nie zrobił. Przekona ona,

oczywiście, tych niedowiarków i więcej już nie będę mógł użyć tej groźby. Zresztą, nie będzie takiej potrzeby.

Morro uśmiechnął się: - Boże! To znowu zabrzmiało jak groźba. Powiedzmy raczej, że żadna krzywda się paniom nie stanie.

Julie zerknęła na niego - w jej oczach wciąż czaiły się strach i podejrzliwość, a potem gwałtownie odwróciła wzrok.

- No cóż, młoda damo - powiedział Morro. - Próbowałem. Nie mogę pani o to winić. Nie słyszała pani tego, co powiedziałem rano podczas śniadania. Nie prowadzimy wojen z kobietami. Nawet potwory muszą przecież żyć ze swoją potworną świadomością - odwrócił się od nich i odszedł.

Susan patrzyła za nim przez chwilę.

- I w tym właśnie leży źródło jego samozniszczenia - mruknęła.

- Nie rozumiem - Julie spojrzała na nią. - Co powiedziałaś?

- Nic, Julie. Nic. Gadam do siebie. Chyba i mnie to miejsce zaczyna działać na nerwy - odparła, pewna jednak, że to nieprawda.

- To strata czasu - Jeff był w złym humorze i było mu wszystko jedno, co powiedzą inni. Musiał prawie krzyżeć, żeby zagłuszyć warkot helikoptera. - Nic. Głupie akademickie gadanie na temat trzęsienia ziemi i godzina stracona w biurze Sassoona. Nie dowiedzieliśmy się niczego.

Ryder podniósł wzrok znad notatek, które właśnie studiował, i powiedział najłagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć przy takim hałasie:

- Nie jestem tego taki pewien. Odkryliśmy, że nawet najbardziej uznani naukowcy są w stanie mijać się z prawdą, jeśli uznają to za konieczne. I dowiedzieliśmy się, a w każdym razie ja, interesujących rzeczy na temat trzęsień ziemi i ich syndromów. Co do Sassoona, to nikt nie sądził, że dowie się czegokolwiek od niego. Jakim cudem, skoro on sam nic nie wie? To on dowiedział się różnych rzeczy od nas.

- Na Boga! Oni mają Susan, porwali Peggy, a wszystko, co jesteś w stanie zrobić, to siedzieć tu i przeglądać ten stos idiotyzmów, jakby...

Dunne pochylił się w stronę Jeffa. Na jego twarzy zaczynały pojawiać się skutki bezsennej nocy.

- Jeff - powiedział - zrobisz coś dla mnie?

- Jasne!

- Zamknij się!

Na biurku Dunne'a leżał stos papierów. Major przyjrzał im się bez najmniejszego entuzjazmu, położył obok teczkę, otworzył szufladę, wydobyl butelkę trunku i spojrzal pytajaco na Rydera i jego syna. Ryder uśmiechnął się, ale Jeff potrząsnął głową. Był wciąż jeszcze urażony. Trzymając w dłoni szklanke, Dunne otworzył male drzwi za biurkiem. W maleńkim pomieszczeniu stalo polowe lozko.

- Nie jestem nadczołowiekiem, choc fama o ludziach z FBI glosi, ze moga nie spac po piec nocy - powiedzial. Delege, jeden z moich zastepcow, bedzie odbieral telefony. Mozna dzwonic do mnie przez caly czas, ale lepiej, zeby powod byl wazny.

- Na przyklad trzesienie ziemi?

Dunne uśmiechnął się, usiadł i przejrzał dokumenty, które trafily na biurko podczas jego nieobecności. Odsunął czesc z nich na bok, zatrzymujac opasla koperte. Przecial ja i zerknal do srodka.

- Zgadnijcie, co to jest?

- Paszport Carltona.

- Niech pana diabli wezma. Tak czy inaczej, jestem bardzo zadowolony, ze sa tacy, ktorzy cos tu robia.

Wyjal paszport z koperty, przejrzal go i podal Ryderowi.

- Niech mnie lichu - powiedzial.

- Intuicja. Wazna cecha porzadnego detektywa - Ryder przegladal paszport dokladniej niz Dunne.

- Dzwone - dodal po chwili - ale wpisy obejmuja tylko okres czternastu miesiecy z pietnastu, podczas ktorych Carlton zniknal z pola widzenia. Klasyczny przypadek Jasia Wędowniczka. Los Angeles, Londyn, New Delhi, Singapur, Manila, Hongkong, znowu Manila, Singapur, jeszcze raz Manila, Tokio, Los Angeles. Zakochal sie w tajemnicach Dalekiego Wschodu. Glownie w Filipinach - podal paszport Jeffowi.

- Co pan o tym sadi? - zapytal Dunne.

- Nic. Spalem troche dluzej niz pan, ale widocznie i tak za malo. Umysl mam nieco sniety. Wlasnie tego potrzeba mnie i mojemu umyslowi: snu. Moze budzac sie bedę miał przeblysk natchnienia, ale nie zalozyłbym się o to.

Odwiózł Jeffa do domu.

- Idziesz spać?

- Prosto do łóżka.

- Kto pierwszy wstanie, budzi drugiego.

Jeff skinął potakująco głową, ale nie poszedł prosto do łóżka. Z okna salonu patrzył na ulicę - doskonale widział alejkę prowadzącą do budynku, w którym mieszkał ojciec.

Podobnie jak jego syn, Ryder nie poszedł od razu spać. Zadzwoił na komisariat i poprosił do telefonu Parkera.

- Dave? Żadnych "ale". Za dziesięć minut spotykamy się w "Delmino".

Podszedł do gazowego grzejnika, wyciągnął go nieco bardziej na środek, wydobył zieloną, owiniętą w plastik teczkę, która była ukryta za piecykiem, wszedł do garażu, wsunął dossier pod tylne siedzenie, usiadł za kierownicą i wyjechał tyłem na ulicę. Kiedy tylko Jeff zobaczył wyłaniający się wóz ojca, pobiegł do swojego garażu, uruchomił samochód, poczekał, aż ojciec odjedzie i ruszył za nim. Ryderowi musiało się piekielnie spieszyć. Zanim dotarł do pierwszego skrzyżowania, pędził siedemdziesiątką, prawie dwukrotnie przekraczając dozwolone przepisami trzydzieści pięć mil na godzinę. Ale w całym mieście nie było policjanta, który by nie znał starego peugeota i jego właściciela i który byłby na tyle głupi, żeby zatrzymać sierżanta Rydera, kiedy ten pędzi do swoich obowiązków. Ryder zdążył przejechać na zielonym świetle, ale Jeffa zatrzymało czerwone i stał jeszcze, gdy peugeot przejeżdżał już przez następne światła, które również zmieniły się na czerwone, kiedy Jeff do nich dojechał. Gdy mógł w końcu ruszyć, peugeot zniknął. Jeff zaklął i zatrzymał się.

Parker siedział w "Delmino" na swoim stałym miejscu i pił whisky. Drugą szklanekę przygotował dla Rydera, który w tym momencie uświadomił sobie, że od wczoraj nic jeszcze nie jadł.

- Gdzie jest Grubasek? - zapytał bez wstępów.

- Cierpi na wapory. Z przyjemnością mogę ci zakomunikować, że jest u siebie i ma migrenę.

- Nic dziwnego. Kolba trzydziestki ósemki jest dość twarda. Może uderzyłem go silniej, niż mi się wydawało. Wtedy sprawiało mi to pewną przyjemność. Za dwadzieścia minut poczuje się jeszcze gorzej. Dziękuję, Dave, znikam.

- Chwileczkę! Więc to ty walnąłeś Donahure'a? Opowiadaj.

Ryder krótko i z odrobiną zniecierpliwienia zrelacjonował wydarzenia ubiegłej nocy, ku wielkiemu zachwytowi Parkera.

- Dziesięć tysięcy dolarów! Dwa radzieckie automaty i twoje dossier. No, to nasz były szef jest ugotowany! Ale posłuchaj, John, mimo wszystko są granice tego, co możesz zrobić sam, działając poza prawem.

- Nie ma granic - powiedział Ryder, kładąc swoją dłoń na dłoni Parkera. - Dave! Oni mają Peggy!

Przez krótką chwilę Parker zdawał się nie rozumieć, potem jego oczy stały się lodowate. Po raz pierwszy Peggy usiadła mu na kolanach, gdy skończyła cztery lata i odtąd robiła to regularnie. Miała wtedy złośliwy i bardzo zbijający z tropu zwyczaj: opierała się łokciem na ramieniu Parkera, kładąc podbródek na swojej małej dłoni i w tej pozycji wpatrywała się w niego z odległości dziesięciu centymetrów od jego twarzy. Czternaście lat później ładna brunetka, jak zawsze złośliwa, dalej trwała przy swoim dziecięcym zwyczaju, szczególnie wtedy, kiedy chciała wydobyć jakieś ustępstwo od ojca, gdyż wyobrażała sobie, niesłusznie, że schlebiając Parkerowi, budzi zazdrość ojca.

Parker milczał, ale jego spojrzenie wiele mówiło.

- Wczoraj w nocy w San Diego - dodał Ryder - postrzelili dwóch agentów FBI, którzy jej pilnowali.

- Idę z tobą.

- Nie. Jesteś w dalszym ciągu policjantem. Zobaczysz, co zrobię Grubasowi, i będziesz musiał mnie aresztować.

- Właśnie oślepiłem.

- Proszę cię, Dave. Może łamię prawo, ale pozostaję jednak jego obrońcą i muszę mieć przynajmniej jedną osobę w służbie prawa, na którą mógłbym liczyć. Mam tylko ciebie.

- Okay. Ale jeśli cokolwiek stanie się Peggy albo Susan, rezygnuję z roboty.

- Zostaniesz przyjęty z otwartymi ramionami w szeregi bezrobotnych.

Parker i Ryder wyszli z baru. Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, młody Meksykanin o obfitych wąsach sięgających mu aż do szczęki, wstał od sąsiedniego stolika, podszedł do telefonu, wsunął do szczeliny dziesiątkę i wykręcił numer. Przez całą minutę nikt nie podnosił słuchawki. Wykręcił raz jeszcze ten sam numer, ale bez rezultatu. Pogrzebał w kieszeniach i podszedł do kontuaru rozmiąć pieniądze. Wrócił do telefonu i wykręcił tym razem inny numer. Zrobił dwie takie bezowocne próby i kiedy spoglądał na zegarek, z jego twarzy można było wyczytać bezradność. Ale za trzecim razem miał więcej szczęścia. Do kogoś, kto się zgłosił, powiedział coś po hiszpańsku - głos miał cichy i nerwowy.

Poza, w jakiej szef policji, Donahure, zasnął, niewiele miała wspólnego z estetyką. Leżał ubrany, na brzuchu, a jego lewa ręka zwisała do samej podłogi, dotykając szklanki whisky. Włosy miał w nieładzie, a po policzkach spływał mu nie, jak można się było spodziewać, pot, ale woda, wyciekająca z worka z lodem, który Donahure położył sobie na głowie. Zapewne stan uśpienia, wywołujący dźwięczne chrapanie, nie był spowodowany wielkim guzem, ale wypitą whisky, gdyż człowiek, który stracił przytomność od ciosu w głowę, nie zadzwoni potem do biura, mówiąc, że będzie przez cały dzień nieobecny, po to, aby zapaść z powrotem w nieświadomość, spowodowaną tymże uderzeniem. Ryder położył na ziemi zieloną teczkę, którą przyniósł ze sobą, chwycił pistolet Donahure'a i, nie okazując ani śladu delikatności, szturchnął nim właściciela.

Donahure burknął coś, poruszył się, pokręcił głową, przesuając worek z lodem i z wysiłkiem otworzył jedno oko. Jego pierwszą reakcją musiał być odruch człowieka, który wpatruje się w długi ciemny tunel. Kiedy to pierwsze wrażenie z wolna minęło, obraz, który zastąpił w jego zamglonym umyśle tunel, stał się obrazem lufy jego własnej czterdziestki piątki. Gdy podniósł wzrok ponad lufę, jego otwarte oko zdołało zogniskować się na twarzy Rydera. Wówczas nastąpiły jednocześnie dwa zjawiska: otworzył żwawo drugie oko i jego normalna karnacja, oscylująca między brązem a pąsem, przeszła nagle w burą szarość.

- Siadaj - powiedział Ryder.

Donahure nie ruszył się. Jego obwisłe policzki dygotały nerwowo. Kiedy Ryder chwycił go za włosy i zmusił do przyjęcia pozycji pionowej, wydał bolesny ryk. Oczywiście, znaczna część włosów przylepiła mu się do guza na głowie i ból poruszył gruczoły łzowe Donahure'a, powodując łatwy do przewidzenia skutek; jego nabiegłe krwią oczy stały się nagle podobne do dwóch złotych rybek w słoiku z mętną wodą.

- Czy wiesz, jak prowadzi się przesłuchanie w krzyżowym ogniu pytań, Grubasku? - zapytał Ryder.

- Tak.

- Nie. Nie wiesz. Ale ci pokażę. Tego nie ma w żadnym podręczniku, ale obawiam się, że to i tak do niczego ci się już nie przyda. W porównaniu z moim przesłuchaniem to, któremu zostaniesz poddany na ławie oskarżonych, będzie niemal przyjemnością. Kto ci płaci, Donahure?

- Co, na miłość boską...?

Zawył z bólu i przycisnął dłonie do twarzy. Wsunął do ust dwa palce, wyjął wybity ząb i rzucił go na ziemię. Lewy policzek miał przecięty na zewnątrz i w środku. Krew spływała mu aż na brodę. Ryder ciężko przyłożył mu lufę colta do twarzy. Teraz zaś przekładał colta do lewej ręki.

- Kto ci płaci, Donahure?

- Gdzie, do diabła...?

Ponowny krzyk i ponowna przerwa w konwersacji, gdy Donahure łapał się za drugi policzek. Krew płynęła mu strumieniem z ust i wsiąkała w koszulę. Ryder przełożył rewolwer znów do prawej dłoni.

- Kto ci płaci, Donahure?

- LeWinter.

Nazwisko ledwie można było usłyszeć wśród dziwnego bulgotu, który wydobył się z ust Donahure'a. Musiał przełknąć krew. Ryder przyglądał mu się bez śladu współczucia.

- Za co?

Tym razem bełkot wydobywający się z ust Donahure'a był zupełnie niezrozumiały.

- Za odwracanie głowy? - dodał Ryder.

Donahure potwierdził lekkim skinieniem głowy. W jego oczach nie było nienawiści, tylko strach.

- Za niszczenie dowodów, które mogłyby obarczać winnych i za fabrykowanie dowodów przeciwko niewinnym?

Znów skinięcie.

- Ile forsy na tym zarobiłeś, Donahure? W ciągu tych wszystkich lat, wliczając w to szantaże?

- Nie wiem.

Ryder podniósł broń.

- Dwadzieścia tysięcy, może trzydzieści - powiedział pośpiesznie Donahure.

Potem raz jeszcze zawył. Z jego nosem stało się to samo, co z nosem Raminoffa.

- Nie powiem, żeby ta zabawa była dla mnie równie niemiła, jak dla ciebie, bo musiałbym skłamać - oznajmił Ryder. - Sprawia mi ona wielką przyjemność i jestem gotów ciągnąć ją przez parę godzin. Ty nie wytrzymasz, oczywiście, nawet dwudziestu minut, a nie chcę, żeby twoja gęba zmieniła się w galaretkę. Ale najpierw połamię ci wszystkie palce po kolei - Ryder był całkowicie zdecydowany zrobić to, co obiecywał, a straszliwe przerażenie, które można było wyczytać z tego, co pozostało z twarzy Donahure'a, wskazywało, że ów wie, co go czeka. - Ile?

- Nie wiem ile. Setki.

- Tysięcy.

Donahure przytaknął. Ryder podniósł teczkę w plastikowych okładkach, wydobył z niej dossier i pokazał je Donahure'owi.

- W sumie pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w siedmiu bankach, na siedem różnych nazwisk. To się mniej więcej zgadza?

Donahure znów kiwnął głową. Ryder wsunął papiery do plastikowej teczki. Skoro tyle wynosiła działka Donahure'a, to ile musiał odłożyć LeWinter w Zurychu?

- Ostatnia wypłata - dziesięć tysięcy dolarów. Za co to było?

Donahure był tak sparalizowany bólem i przerażeniem, że nawet nie przyszło mu do głowy zapytać, skąd Ryder wie o tej sumie.

- Gliny - wymamrotał.

- Na co poszły te łapówki?

- Na przecięcie wszystkich linii telefonicznych stąd do domu Fergusona. Za uszkodzenie jego policyjnego nadajnika. Za oczyszczenie szos.

- Za oczyszczenie szos? Żeby nie było żadnych patroli na trasie furgonetki porwanej przez gangsterów?

Donahure raz jeszcze potwierdził. Wyraźnie łatwiej było mu kiwać głową, niż mówić.

- Jezu, co za dobrane towarzystwo. Później spytam o nazwiska. Kto ci dał te radzieckie karabiny?

- Karabiny? - mała zmarszczka ukazała się w miejscu oddzielającym brwi Donahure'a od jego włosów. Znak, że przynajmniej część jego mózgu zaczęła funkcjonować. - To ty je wzięłeś? I forse? I to ty... - dotknął tyłu głowy.

- Zadałem ci pytanie - przypomniał mu Ryder. - Kto ci je dał?

- Nie wiem.

Donahure podniósł do góry ręce jednocześnie z Ryderem podnoszącym broń.

- Możesz mi zmasakrować całą twarz. I tak nie wiem. Znalazłem je po powrocie do domu. Jakiś głos powiedział mi przez telefon, że mogę je zatrzymać.

- A ten głos miał jakieś nazwisko?

- Nie.

Ryder nie wątpił w prawdziwość słów Donahure'a. Przecież nikt, mający choć trochę oleju w głowie, nie popełniłby szaleństwa, jakim było wyjawienie w podobnej sytuacji swego nazwiska.

- Ten sam głos kazał ci podłączyć podsłuch do telefonu LeWintera?

- Skąd to, do diabła, wiesz...? - Donahure przerwał, ale tym razem nie dlatego, że otrzymał cios lub że takiego ciosu się obawiał, ale dlatego, że krew, która spływała przez usta i nos, utrudniała mu oddychanie. Mógł w końcu wyskomleć wśród spazmów: - Tak.

- Morro, czy to ci coś mówi?

- Morro? Jaki Morro?!

Skoro Donahure nie znał łącznika Morro, z całą pewnością nie słyszał nic o samym Morro.

Jeff pojechał najpierw do "Redox" przy Bay Street, speluny, w której ojciec wyznaczył spotkanie Dunne'owi. Nikt, kto odpowiadałby rysopisowi Rydera nie zjawiał się tu, a w każdym razie tak go zapewniono. Stamtąd udał się do biura FBI. Zgodnie z tym, co powiedział Dunne, powinien tam być niejaki Delage. I rzeczywiście. Ale był również Dunne. Najwidoczniej nie poszedł spać i przyglądał się Jeffowi zaskoczony.

- Znowu?! Co się stało?

- Czy był tu mój ojciec?

- Nie. A co się stało?

- Kiedy wróciliśmy do siebie, powiedział, że idzie spać, ale po trzech czy czterech minutach wyszedł z domu. Pojechałem za nim. Sam nie wiem, dlaczego. Miałem wrażenie, że jest z kimś umówiony i grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Straciłem go z oczu na jednym ze skrzyżowań.

- Bałbym się raczej o tego kogoś, z kim miał się spotkać - odparł Dunne i dorzucił po chwili wahania: - Mam dla was kilka nie najlepszych wiadomości. Dwaj agenci z FBI, postrzeleni tej nocy w San Diego, byli cały czas pod działaniem środków uśmierzających ból. Jeden z nich przed chwilą obudził się i powiedział, że pierwszą osobą, która została wczoraj zraniona, nie był on ani jego kolega, lecz Peggy. Postrzelili ją w lewe ramię.

- Nie!

- Obawiam się, że tak, chłopcze. Znam doskonale agenta, który to powiedział. Nie jest to facet, który się myli.

- Ale skoro jest ranna, to powinien się nią zająć lekarz. Trzeba ją zawieźć do szpitala, powinna mieć...

- Jeff, bardzo mi przykro, ale niczego więcej nie wiemy. Nie zapominaj, że porywacze zabrali ją ze sobą.

Jeff otworzył usta, żeby coś powiedzieć, potem nagle obrócił się na pięcie i wyszedł. Pojechał prosto do "Delmino", ulubionego miejsca spotkań policjantów z komisariatu. Tak, sierżant Parker i Ryder byli tu niedawno. Nie, barman nie miał pojęcia, dokąd poszli.

Jeff pojechał do komisariatu i zastał Parkera w towarzystwie sierżanta Dicksona.

- Widziałeś ojca? - spytał.

- Tak, a co się stało?

- Wiesz, gdzie teraz jest?

- Tak. Ale co się stało?!

- Po prostu powiedz mi.

- Nie jestem wcale przekonany, czy powinienem ci to powiedzieć.

Przyjrzał się Jeffowi. Wyczytał w jego oczach upór i stanowczość.

- Jest u Donahure'a - odparł niechętnie. - Ale nie jestem pewien... - przerwał, bo Jeffa już nie było. Parker spojrział na Dicksona i wzruszył ramionami.

Ryder powiedział prawie towarzyskim tonem:

- Słyszałeś, że moja córka została porwana?

- Nie! Przysięgam na Boga.

- W porządku. A może wiesz, w jaki sposób ktoś mógł zdobyć jej adres w San Diego?

Donahure zaprzeczył, potrząsając głową, ale w jego oczach pojawił się na moment jakby błysk. Ryder otworzył rewolwer i upewnił się, że iglica znajduje się naprzeciwko jednej z dwóch pustych komór bębena. Zamknął broń, zmusił Donahure'a do wciśnięcia tłustego palca wskazującego prawej dłoni między kadłub a spust, sam chwycił za lufę colta i powiedział:

- Na trzy skręcam ręce. Raz...

- Ja, ja!

- Skąd go wzięłeś?

- Tydzień lub dwa temu. Wyszedłeś na obiad...

Ryder przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- I zostawiłem notes z adresami w szufladzie biurka. A ty, oczywiście, przepisałeś parę nazwisk i adresów. Powinienem połamać ci palce już tylko za to. Ale gdybym ci je połamał, nie mógłbyś podpisać zeznania.

- Zeznania?

- Nie jestem już policjantem. To będzie zatrzymanie obywatelskie. Całkiem legalne. Aresztuję cię, Donahure, za kradzież, korupcję, sprzeniewierzenia, łapówki i za morderstwo pierwszego stopnia.

Donahure nie powiedział ani słowa. Jego twarz była bardziej jeszcze szara niż zwykle, głowę wcisnął w ramiona. Ryder powąchał lufę rewolweru.

- Niedawno z niego strzelano - otworzył bębenek. - Brak dwóch naboí. Ale ponieważ wkładamy ich zawsze tylko pięć do bębena, to znaczy, że ostatnio została wystrzelona tylko jedna kula.

Wyjął z bębena jeden z pocisków i zadrapał jego czubek paznokciem.

- Kula z miękkim czubem, jak ta, która rozwalila głowę szeryfa Hartmana. Założyłbym się, że tamta doskonale pasuje do tej lufy.

Ryder dobrze wiedział, że sprawdzenie tego faktu było niemożliwe, ale albo Donahure o tym nie wiedział, albo był zbyt zmaltretowany, żeby myśleć.

- No i - dodał Ryder - pozostawiłeś odciski swoich palców na klamce, co było bardzo nierozważne.

- To facet, który do mnie telefonował...

- Zachowaj to dla sędziego.

- Nie ruszaj się! - powiedział ostry głos za plecami Rydera.

Ryder dożył swoich lat, ponieważ dokładnie wiedział, co należy robić w każdej chwili. Teraz pomyślał, że w tej sytuacji najlepszą rzeczą będzie wykonanie polecenia. Zastygł w bezruchu.

- Rzuć rewolwer!

Ryder upuścił rewolwer, z tym mniejszym żalem, że trzymał go za lufę, a bębenek był szeroko otwarty.

- Teraz odwróć się powoli i spokojnie.

- Musiał być wychowywany na najgorszych filmach serii B - pomyślał Ryder - ale nie czyni go to mniej niebezpiecznym. - Obrócił się powoli i spokojnie. Niespodziewany gość miał czarną chustę zawiązaną wokół twarzy tuż pod oczami, czarny garnitur, czarną koszulę, biały krawat, a w kieszonce marynarki białą chusteczkę. Ten typ musiał naprawdę oglądać tylko serię B, i to na dodatek z lat trzydziestych.

- Donahure nie stanie przed sędzią, ale ty staniesz przed Stwórcą. Nie zdążysz nawet odmówić modlitwy - słownictwo pasowało do postaci.

- Teraz ty rzuć broń! - wtrącił jakiś głos od progu.

Zamaskowany typ był młodszy od Rydera, gdyż nie wiedział, co powinien zrobić w sytuacji, w jakiej się nagle znalazł. Obrócił się na pięcie i strzelił na wyczucie w kierunku postaci stojącej w drzwiach. Zważywszy okoliczności, był to dobry strzał, bo udało mu się drasnąć górną część prawego rękawa Jeffa. Riposta Jeffa była bez porównania skuteczniejsza. Mężczyzna zgiał się i runął na podłogę. Ryder przyklęknął przy nim.

- Celowałem w dłoń - stwierdził niepewnie Jeff - ale chyba spudłowałem.

- Spudłowałeś. Za to trafiłeś w serce - odparł Ryder odwiązując maskę. - Co za wstyd! Lennie Konopka przekroczył Wielką Linie.

- Lennie Konopka? - Jeff był wyraźnie wstrząśnięty.

- Tak. To taki śpiewający ptak zwany inaczej Makolągwą. No cóż, gdziekolwiek Lennie w tej chwili śpiewa, nie przypuszczam, żeby towarzyszyły mu harfy.

Nie przestając mówić, Ryder spojrział w bok, wyprostował się, chwycił rewolwer, który Jeff trzymał w dłoni, i strzelił - wszystko jednym płynnym ruchem, jak na zwolnionym filmie.

Po raz kolejny tego wieczora Donahure zawył z bólu, a colt, który podniósł w momencie interwencji Lenniego, upadł z powrotem na podłogę, wraz z resztkami małego i czwartego palca dłoni szefa policji.

- Uspokój się - powiedział Ryder. - Jeszcze będziesz w stanie podpisać zeznanie. I do oskarżenia o zabójstwo dołączymy jeszcze próbę zabójstwa.

- Jeszcze jedna lekcja? - spytał Jeff.

- Mimo wszystko dziękuję - Ryder poklepał go po ramieniu.

- Nie chciałem go zabić.

- Bez zbędnych łez nad Lenniem. To handlarz heroiną. Śledziłeś mnie?

- Próbowałem. Parker w końcu powiedział mi, gdzie jesteś. Ale w jaki sposób znalazł się tutaj ten typ?

- No właśnie. Jeśli chcesz zobaczyć detektywa w szczytowej formie, to zaczekaj zawsze na zakończenie całej akcji, żeby zadać mu pytanie. Myślałem, że mój telefon jest na podsłuchu, więc zadzwoniłem do Parkera i spotkałem się z nim w "Delmino". Nie przyszło mi do głowy, że mogą zamelinować tam kapusia.

- Więc to dlatego nie chciałeś, żebym poszedł z tobą? - spytał Jeff, patrząc na Donahure'a. - Wpadł na ciężarówkę?

- Samookaleczenie. Od tej chwili zawsze będziesz mile widziany. Przynieś jakieś ręczniki z łazienki. Nie chciałbym, żeby wykrwawił się na śmierć, zanim zasiądzie na ławie oskarżonych.

Jeff zawahał się. Musiał powiedzieć, co się stało z Peggy, ale bał się trochę o życie Donahure'a.

- Niezbyt dobre nowiny, tato - wykrztusił w końcu - wczoraj w nocy postrzelono Peggy.

- Postrzelono? - Ryder zacisnął wargi w wąską, białą linię. Popatrzył na Donahure'a i jego dłoń zacisnęła się na rewolwerze Jeffa. Ale udało mu się opanować. - Ciężko?

- Nie wiem. Sądzę, że dosyć poważnie. Została zraniona w lewe ramię.

- Idź po ręczniki - Ryder chwycił za telefon i połączył się z sierżantem Parkerem. - Dave? - zapytał. - Przyjeżdżaj natychmiast. Weź karetkę i doktora Hinkleya. - Hinkley był policyjnym chirurgiem. - I młodego Kramera, żeby odebrał zeznanie. Poproś też majora Dunne'a, żeby przyjechał. Dave! Peggy została w nocy zraniona. W ramię - Ryder odłożył słuchawkę.

Parker przekazał polecenia Kramerowi, potem poszedł na górę do porucznika Mahlera. Mahler popatrzył na niego takim samym wzrokiem, jakim przyglądał się życiu: znużonym i pełnym jadu.

- Jadę do Donahure'a - oznajmił Parker - coś się tam stało.

- Co?

- Nie wiem. Zdaje się, że potrzebna będzie karetka.

- Kto tak powiedział?

- Ryder.

- Ryder! - wykrzyknął Mahler, odpychając krzesło i wstając. - Co Ryder robi u Donahure'a?

- Nie powiedział. Sądzę, że chciał chwilę porozmawiać z Donahure'em.

- Wsadzę go za to i osobiście przejmę sprawę.

- Chciałbym pojechać z panem, poruczniku.

- Zostaniecie tutaj. To rozkaz, sierżancie Parker.

- Bez obawy, poruczniku - Parker położył swoją odznakę na biurku Mahlera. - Nie przyjmuję już rozkazów.

Wszyscy przybyli jednocześnie: dwóch sanitariuszy, Kramer, major Dunne i doktor Hinkley, który - co wynikało z sytuacji - kroczył na czele tego orszaku. Niski, wysuszony, z żywymi oczami, był może nie tyle zgorzkniały, ile pełen swoistej, cynicznej rezygnacji. Rzucił najpierw okiem na mężczyznę leżącego na podłodze.

- Panie Boże! Lennie Konopka. Czarny dzień Ameryki! - przyjrzał się bliżej białemu krawatowi z obramowaną czerwienią dziurką, która go zdobiła. - Uszkodzenie mięśnia sercowego. W naszych czasach choroby serca zabierają coraz młodszych. Szef policji, Donahure!

Podszedł do Donahure'a, usiadł na jego łóżku, podtrzymując ostrożnie lewą ręką poplamiony krwią ręcznik, którym Donahure miał owiniętą prawą dłoń. Hinkley niezbyt łagodnie go odwinął.

- O rany! A gdzie reszta jego dwóch palców?

- Próbował mnie zastrzelić - powiedział Ryder. - Oczywiście od tyłu.

- Ryder - porucznik Mahler miał w pogotowiu kajdanki - jesteście aresztowani.

- Niech pan schowa to świństwo, jeśli nie chce pan robić z siebie wariata i nie chce pan zostać oskarżony o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Dokonuję, lub raczej dokonałem, całkowicie legalnego obywatelskiego aresztowania tego człowieka. Oskarżam go o kradzież, sprzeniewierzenia, korupcję, łapownictwo, próbę zabójstwa i morderstwo. Mogę udowodnić zasadność tych wszystkich głównych oskarżeń, a on sam do wszystkiego się przyzna. Poza tym jest współwinnym zranienia mojej córki.

- Pańska córka jest ranna? - Dziwne, ale ta wiadomość bardziej poruszyła Mahlera niż oskarżenie o morderstwo. Schował kajdanki. Maniak dyscypliny w głębi duszy był przecież człowiekiem.

- Donahure chciałby złożyć zeznanie - poinformował Ryder Kramera - ale ponieważ w tym momencie cierpi na drobną wadę wymowy, ja to opowiem zamiast niego, a on tylko podpisze. Udziel mu zwyczajowego pouczenia o jego prawach i powiedz mu, że to zeznanie może być użyte przeciwko niemu. Zresztą, sam wiesz, co robić.

Niecałe cztery minuty wystarczyły Ryderowi, by złożyć zeznanie, a kiedy skończył, nie było w pokoju nikogo, wliczając w to Mahlera, kto nie potwierdziłby dobrowolności tych zeznań.

Major Dunne wziął Rydera na bok.

- Dobra, ugotował pan Donahure'a. Ale chyba nie uszło pańskiej uwagi, że jednocześnie ugotował pan siebie? W tym kraju nie można aresztować człowieka nie formułując oskarżeń, jakie się przeciwko niemu wysuwa. A te oskarżenia muszą zostać ogłoszone publicznie.

- Czasem jestem pełen podziwu dla radzieckiego systemu prawnego.

- Właśnie. Tak więc za kilka godzin Morro będzie o tym wiedział. A on ma w swoim ręku Susan i Peggy.

- Nie wydaje mi się, żebym miał duży wybór. Ktoś w końcu musiał zacząć coś robić. Nie zauważyłem zbytniej aktywności policji, FBI czy CIA.

- Cuda zajmują nam trochę czasu - Dunne był zniecierpliwiony - na razie oni mają pańską rodzinę.

- Tak. I zaczynam się nad tym zastanawiać. To znaczy nad tym, czy one naprawdę są w niebezpieczeństwie.

- Jezu! W niebezpieczeństwie! Oczywiście, że są. Na litość boską, człowieku! Pamiętaj, co się stało Peggy.

- Wypadek. Mogliby ją zabić, skoro doszli tak blisko. Martwy zakładnik nie jest atutem dla nikogo.

- Sądzę, że mógłbym nazwać pana zimnokrwistym skurwysynem, ale w to nie wierzę. Wie pan coś, czego ja nie wiem?

- Nie. Zna pan te same fakty, co ja. Tylko ja mam przeczucie, że ktoś nas puścił w kanał. Że idziemy śladem, którym oni chcą, żebyśmy szli. Powiedziałem wczoraj Jablonsky'emu, iż nie wierzę, że porwano fizyków w celu zmuszenia ich do zbudowania bomby. Porwano ich z zupełnie innego powodu, a skoro tak, to nie wierzę również, że kobiety były potrzebne, żeby przekonywać ich do jej budowy. No, ani po to, żeby wyrzucić presję na mnie. Zresztą, dlaczego mieliby się bać mnie na zapas?

- Co pana trapi, Ryder ?

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego Donahure ma, czy raczej miał, te kałasznikowy. On sam chyba dokładnie tego nie wie.

- Nie rozumiem.

- Niestety, sam siebie nie bardzo rozumiem.

Dunne milczał przez chwilę. Potem spojrzał na Donahure'a, wykrzywił się na widok nabrzmiałej twarzy byłego komendanta policji i mruknął:

- Kto następny skorzysta z pańskich usług? LeWinter?

- Jeszcze nie teraz. Mamy w rękę wystarczająco dużo, żeby go przesłuchiwać, ale nie dość, żeby go aresztować na podstawie niczym nie popartego oświadczenia człowieka, który nie został jeszcze skazany. A w przeciwieństwie do Donahure'a to chytry lis, który niczego nie wyjawia. Sądzę, że za godzinę lub dwie porozmawiam z jego sekretarką. Muszę się zdrzemnąć.

Zadzwonił telefon. Jeff podniósł słuchawkę i podał Dunne'owi. Ten słuchał przez chwilę, po czym zwrócił się do Rydera:

- Chyba musi pan odłożyć drzemkę na jakiś czas. Następny komunikat od naszych przyjaciół.

Rozdział VIII

Delage znajdował się w gabinecie Dunne'a w towarzystwie mężczyzny, którego Ryderowie nigdy nie widzieli. Młody, szeroki w ramionach, jasnowłosy, ubrany w garnitur z szarej flaneli, o kroju wystarczająco obszernym, by ukryć broń, którą nosił przy sobie. Na nosie miał wielkie słoneczne okulary, uwielbiane przez agentów ochraniających prezydentów i głowy państw.

- Leroy z San Diego - stwierdził Dunne. - Utrzymuje łączność z Waszyngtonem w sprawie kodu LeWintera. Utrzymuje także kontakt z elektrownią Komisji Energii Atomowej w Illinois, sprawdzając znajomości Carltona. Leroy zorganizował również zespół zajmujący się nawiedzonymi dziwakami. Coś nowego, Leroy?

- Może będę miał coś późnym popołudniem - powiedział Leroy, potrząsając głową.

- O czym nie chciałeś mówić przez telefon? - podjął Dunne, odwracając się od Delage'a. Po co ta tajemniczość?

- Za chwilę nie będzie już tajemnicy. Agencje prasowe już to dostały, ale Barrow kazał im się zamknąć - skinął głową w stronę magnetofonu. - Nagraliśmy to bezpośrednio z Los Angeles. Durrer z ERDA dostał chyba to nagranie poza nami.

Nacisnął przycisk. Rozległ się łagodny głos wykształconego człowieka, mówiącego po angielsku bez amerykańskiego akcentu.

“Nazywam się Morro. Jak wielu spośród was już wie, jestem odpowiedzialny za napad na San Ruffino. Mam wiadomości od paru wybitnych ludzi nauki i proponuję uważne ich wysłuchanie. W waszym dobrze pojętym interesie. Proszę słuchać uważnie”.

Dunne podniósł rękę i Delage wyłączył magnetofon.

- Czy ktoś poznaje ten głos? - zapytał Dunne, ale nikt nie zareagował. - Czy ktoś jest w stanie rozpoznać jego akcent? Czy to może wam pomóc w ustaleniu czegoś, co może wyjawiać pochodzenie Morro?

- Europa? Azja? - powiedział Delage. - Cały świat. Równie dobrze może to być Amerykanin mówiący z obcym akcentem.

- Dlaczego nie zapytacie o to ekspertów? - spytał Ryder. - W którymś z uniwersytetów w Kalifornii musi być jakiś profesor albo wykładowca, który rozpozna ten akcent. Czyż nie wmawiają nam, że w tym stanie uczą wszystkich ważniejszych języków i większości języków mniej ważnych?

- Racja. Może Barrow lub Sassoon już o tym pomyśleli. Nadamy im tę sprawę.

Dał Delage'owi znak, żeby uruchomił magnetofon. Teraz głos był chrapliwy i pełen oburzenia:

“Tutaj profesor Andrew Burnett z San Diego. Nikt nie usiłuje naśladować mojego głosu. Wzorzec mego głosu jest w archiwum ochrony uniwersytetu. Jakiś sukinsyn, który nazywa się Morro...”

Burnett kontynuował swoją wściekłą tyradę. Potem przyszła kolej na Schmidta, który robił wrażenie mniej oburzonego. Healey i Bramwell byli znacznie bardziej umiarkowani, ale wszystkie cztery oświadczenia miały wspólną cechę: były niezwykle przekonujące.

- Czy mamy im uwierzyć?

- Ja im wierzę - pewność Delage'a była absolutna. - Słucham tego już czwarty raz. Ich głosy wskazują, że nie byli pod wpływem narkotyków ani nie stosowano wobec nich przymusu czy czegoś takiego. Zwłaszcza Burnett. Takiej złości nie da się podrobić. Jeżeli, oczywiście, tych czterech jest naprawdę tymi, za których się podają. Zresztą, to nagranie nada i radio, i telewizja. A setki ich kolegów i studentów mogą potwierdzić, czy to naprawdę oni. Megatona? To odpowiednik miliona ton TNT, prawda? Cholerne świństwo.

- Ten komunikat wyjaśnia częściowo to, o czym rozmawialiśmy u Donahure'a - powiedział Ryder do Dunne'a. - Porwali fizyków, żeby potwierdzić istnienie planów i śmiertelnie nas przestraszyć. Nas i całą Kalifornię. I chyba udało im się to?

- Zastanawia mnie tylko to - powiedział Leroy - że nie wspomnieli ani słowem, o co im chodzi.

- To zastanowi wszystkich - odparł Ryder. - To taki psychologiczny chwyt: doprowadzić wszystkich do bladego strachu.

- Skoro mowa o strachu, to chyba dopiero zaczną straszyć - Delage ponownie uruchomił magnetofon i znowu rozległ się głos Morro:

“Post scriptum: Władze twierdzą, że trzęsienie ziemi, które odczuliśmy dzisiejszego ranka w południowej części stanu, miało epicentrum w Uskoku Białego Wilka. Jak już mówiłem, jest to kłamstwo. Ja jestem za to odpowiedzialny. Żeby dowieść, że władze stanowe kłamią, dokonam następnej eksplozji atomowej jutro rano o godzinie dziesiątej. Bomba jest już na swoim miejscu. Położenie zostało specjalnie wybrane tak, żebym mógł ją stale nadzorować. Wszelka próba odnalezienia bomby lub zbliżenia się do niej zmusi mnie do spowodowania natychmiastowego wybuchu za pomocą zdalnie kierowanego zapalnika. Radzę wszystkim nie zbliżać się do tego miejsca na odległość mniejszą niż dwadzieścia kilometrów, inaczej nie biorę odpowiedzialności za niczyje życie. Jeżeli ktoś jednak tam się

pojawi, a nie będzie nosił specjalnie przyciemnionych okularów, to nie biorę odpowiedzialności za jego wzrok. Miejsce, o którym mówię, znajduje się w górach Nevada, dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Skull-Peak, w miejscu zetknięcia Płaskowyżu Yucca i Płaskowyżu Francuzów. Bomba ma moc rzędu jednej kilotony. Jest to mniej więcej moc bomb, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki”.

Delage wyłączył magnetofon. Po trzydziestu sekundach milczenia Dunne powiedział w zamyśleniu:

- To było miłe z jego strony. Wykorzystuje poligon stanowy USA. Jak już pan powiedział, co, u diabła, on chce osiągnąć? I czy ktokolwiek w tym pokoju wierzy w to, co on powiedział?

- Ja wierzę mu całkowicie - oznajmił Ryder. - Wierzę, że bomba jest już na miejscu. Wierzę, że wybuchnie o podanej godzinie i wierzę, że nie możemy nic zrobić, aby temu zapobiec. Wierzę też, że jedyne, co można zrobić, to pilnować, żeby różni narwańcy nie próbowali się tam dostać. To jest właściwie zadanie dla drogówki.

- Jeśli chodzi o ścisłość - wtrącił Jeff - to tam nie ma żadnych dróg. Tylko pustynia.

- To nie jest robota dla nas - stwierdził Dunne - wojsko, Gwardia Narodowa, czołgi, transportery opancerzone, jeepy, kilka phantomów dla odstraszenia amatorów latania. Nie będzie problemu z zablokowaniem tej okolicy. Sądzę, że wszyscy będą raczej nawiewać w drugą stronę. Interesuje mnie tylko: dlaczego? Szantaż i groźby. Zgoda. Ale po co? Po co? Człowiek jest tak cholernie bezsilny. I nic nie można zrobić. Żadnego śladu, nic.

- A ja wiem, co mogę - oznajmił Ryder. - Pójdę spać.

Transportowy helikopter “Sikorsky” wylądował na dziedzińcu zamku, ale żadna z osób siedzących w jadalni nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Helikopter, który stanowił prawie jedyne źródło zaprowiantowania Adlerheimu, startował i lądował na okrągło i wszyscy przyzwyczaili się już do jego ogłuszającego warkotu. Wszyscy jednak, włączając w to zarówno strażników, zakładników, jak i Morro oraz Dubois, mieli uwagę zaprzątniętą przede wszystkim tym, co przedstawiano w telewizji. Spiker, z dłońmi splecionymi w geście szlachetnej rezygnacji i takąż miną, zakończył prezentację nagrań czwórki fizyków i puścił właśnie tekst samego Morro. Pilot helikoptera, ubrany w czerwony kombinezon, wszedł do jadalni i zbliżył się do Morro, który machnięciem ręki nakazał mu

usiąść. Morro był zainteresowany nie tyle swoim głosem, ile raczej sprawiał wrażenie rozbawionego wysłuchiowaniem komentarzy i obserwowaniem twarzy zebranych.

Kiedy telewizja skończyła przekazywanie komunikatu, Burnett obrócił się do Schmidta i powiedział na cały głos:

- I co? Nie mówiłem? Ten facet jest zwykłym szaleńcem!

Stwierdzenie to nie zrobiło żadnego widocznego wrażenia na Morro.

- Jeżeli mówi pan o mnie, profesorze - stwierdził - a zakładam, że mnie właśnie miał pan na myśli, to jest to bardzo niemiłosierny pogląd. W jaki sposób doszedł pan do takiego wniosku?

- Po pierwsze, nie ma pan żadnej bomby atomowej...

- Co gorsza, dochodzi pan do głupich wniosków. Nigdy nie twierdziłem, że mam bombę atomową. Mówiłem o urządzeniu atomowym. Skutki są, oczywiście, identyczne. A moc osiemnastu kiloton nie może nikogo pozostawić obojętnym.

- To tylko pana słowa - stwierdził Bramwell.

- Jutro, minutę po godzinie dziesiątej, wyświadczyście mi ponownie tę grzeczność i złożycie swoje przeprosiny.

- Nawet gdyby takie urządzenie rzeczywiście istniało - Bramwell nie był już taki pewny siebie - to co za sens detonować je w środku pustyni?

- To przecież oczywiste: żeby udowodnić ludziom, iż naprawdę mam takie urządzenie. A jeżeli uwierzą mi raz, to co ich powstrzyma od uwierzenia, że dysponuję nieograniczonym arsenałem atomowym? W ten sposób tworzy się atmosferę - najpierw niepewności, potem obawy, która zamienia się w paniczny strach. Następnym krokiem jest terror.

- A ma pan więcej takich urządzeń?

- Zaspokoję naukową ciekawość waszej czwórki wieczorem.

- W co, na Boga, usiłuje pan grać? - spytał Schmidt.

- Ani nie usiłuję, ani nie gram. Obywatele tego stanu, by nie powiedzieć: całego świata, wkrótce się o tym przekonają.

- I na tym polega ten chwyt? Niech sobie wyobrażają, co im się żywnie podoba? Niech wymyślają niestworzone hipotezy, niech sobie wyobrażają najgorsze? Wtedy im się powie, że to najgorsze wcale nie jest jeszcze takie straszne w porównaniu z rzeczywistością? To o to chodzi!

- Wspaniale, panie Schmidt. Naprawdę świetnie. Skorzystam z pańskich słów w mojej następnej wypowiedzi. Wyobrażajcie sobie, co się wam żywnie podoba. Wymyślajcie

niestworzone hipotezy. Wszystko co najgorsze. Ale czy jesteście w stanie sobie wyobrazić, że wasze najgorsze koszmary są niczym w porównaniu z rzeczywistością? Dziękuję. Oczywiście całą zasługę przypiszę sobie.

Morro wstał, podszedł do pilota helikoptera, pochylił się nad nim i wysłuchał wyszeptanego do ucha raportu. Potem pokiwał głową, wyprostował się i podszedł do Susan.

- Pani pozwoli ze mną, pani Ryder - powiedział.

Prowadził ją jakimś długim korytarzem.

- Co się stało, panie Morro? - spytała. - A może to ma być niespodzianka? Może szok? Pan chyba uwielbia szokować ludzi. Najpierw zaszokował nas pan porwaniem, potem zaszokował pan naszych fizyków swoim planem bomby wodorowej, a teraz szokuje pan miliony ludzi w całym stanie. Czy panu to sprawia przyjemność?

- Nie sądzę - odparł Morro po chwili zastanowienia. - Szoki, które musiałem dotąd zaaplikować, były nieuniknione, bo służą realizacji moich planów. Nie traktuję ich jednak jako sposobu na uprzyjemnianie sobie życia. Zastanawiam się właśnie, w jaki sposób to pani powiedzieć. Bo zaraz przeżyje pani szok. Niezbyt wielki, bo sprawa nie jest aż tak poważna. Mam tutaj pani córkę. Została ranna. Nic poważnego. Wyjdzie z tego bez szwanku.

- Moja córka! Peggy! Tutaj! Na Boga! Co ona tu robi! W jaki sposób została ranna?

Zamiast odpowiedzi Morro otworzył drzwi do małego przejścia prowadzącego do czegoś, co wyglądało - i było tym w rzeczywistości - jak domowy szpitalik. Z trzech stojących w środku łóżek zajęte było tylko jedno. Leżała w nim blada dziewczyna o długich, czarnych włosach, które stanowiły jedyny widoczny znak różniący ją od matki. Usta Peggy rozchyliły się, a oczy rozwarły szeroko ze zdziwienia, kiedy wyciągnęła do niej prawą rękę. Bandaże owijające jej lewe ramię były teraz doskonale widoczne. Matka i córka wymieniały okrzyki, uściski, szepty i słowa pocieszenia. Morro trzymał się z daleka, powstrzymawszy skinieniem głowy mężczyznę, który właśnie wszedł do środka. Nowo przybyły ubrany był w biały kitel, w rękę trzymał czarną torbę, a na szyi kołysał mu się stetoskop. Nawet i bez tych wszystkich utensyliów słowo "lekarz" było wypisane wielkimi literami na jego czole.

- Jak twoje ramię, Peggy? - spytała Susan. - Bardzo cię boli?

- Teraz już nie. Właściwie tylko trochę.

- Jak to się stało?

- Zostałam trafiona, kiedy mnie porywali.

- Rozumiem. Postrzelili cię w trakcie porwania. - Susan zamknęła na chwilę oczy, potrząsnęła głową i spojrzała na Morro. - To oczywiście pana sprawka.

- Mamo - przerwała jej Peggy z wyrazem kompletnego niezrozumienia na twarzy. - Co się dzieje? Gdzie jestem? Co to za szpital...

- Nie jesteś w szpitalu. To prywatna rezydencja pana Morro. Człowieka, który napadł na elektrownię w San Ruffino, który porwał ciebie i który porwał mnie.

- Ciebie?

- Pan Morro - oznajmiła z goryczą Susan - nie jest człowiekiem pozbawionym polotu, nie robi niczego na małą skalę. Ma tutaj jeszcze ośmiu zakładników.

- Niczego nie rozumiem - Peggy opadła na poduszki.

- Ta młoda pani jest zmęczona, proszę pana - zauważył lekarz, dotykając lekko ramienia Morro.

- Zgadzam się z panem. Pani Ryder, ramię pani córki wymaga opieki. Doktor Hituschi jest wysoce kwalifikowanym chirurgiem - przerwał przyglądając się Peggy. - Naprawdę jest mi bardzo przykro. Czy zauważyła pani coś szczególnego w wyglądzie napastników?

- Tak - Peggy zadrżała lekko. - jeden z nich, ten niższy, nie miał lewej dłoni.

- A miał jakąkolwiek protezę?

- Jakby dwa zakrzywione palce, zrobione z metalu i zakończone gumą.

- Zaraz wrócę - Susan pozwoliła Morro wyprowadzić się na korytarz i dopiero tam ze złością wyswobodziła ramię z jego uścisku. - Musiał pan to zrobić temu biednemu dziecku?

- Strasznie tego żałuję. To piękne dziecko.

- Nie prowadzi pan wojny z kobietami! - Morro powinien się zapaść pod ziemię, ale jakoś nie przyszło mu to do głowy. - Po co pan ją tu przywiózł?

- Nie krzywdzę kobiet i nie pozwalam ich krzywdzić. To był wypadek. Przywiozłem ją tu, bo sądziłem, że lepiej będzie się czuła w towarzystwie matki.

- A więc lubi pan szokować ludzi, opowiadać brednie, a w dodatku jest pan hipokrytą!

Morro wciąż nie zapadał się pod ziemię.

- Pani wzburzenie jest zrozumiałe, ale myli się pani we wszystkich trzech punktach. Sprowadziłem ją tutaj również dlatego, że potrzebuje odpowiedniej opieki medycznej.

- Cóż złego stało się ze szpitalami w San Diego?

- A ja pani przypominam, że szpital oznacza policję. Jak pani myśli, ilu jest niskich Meksykanów z protezą zamiast lewej dłoni? Dopadliby go w godzinę, a mnie po paru

następnych. Obawiam się, że nie mogłem sobie na to pozwolić! Nie mogłem jej także zostawić moim przyjaciółom, bo nie umieją opatrywać ran, a to z psychologicznego i medycznego punktu widzenia byłoby dla niej niewskazane. Jak tylko doktor skończy swoje zabiegi, wydam polecenie, aby przeniesiono ją do pani pokoju, żebyście mogły mieszkać razem.

- Jest pan dziwnym człowiekiem - stwierdziła Susan. Morro spojrział na nią obojętnie, odwrócił się i odszedł.

Ryder obudził się o wpół do szóstej po południu, mniej wypoczęty, niż powinien być. Spał źle. Dręczony nie tyle obawami o los swojej rodziny, ile niemożliwością sprecyzowania kilku myśli, które od dłuższego już czasu błąkały się po zakamarkach jego mózgu. Co do rodziny, to żywił coraz mocniejsze przekonanie - i coraz bardziej irracjonalne - że właściwie na pewno nie groziło jej tak wielkie niebezpieczeństwo, jak początkowo sądził.

Wstał, przygotował sobie kawę i kanapki i pochłoniął je, przeglądając dokumentację dotyczącą trzęsień ziemi, którą wypożyczył z Pasadeny. Ani kawa, ani dokumentacja w niczym mu nie pomogły. Wyszedł z domu i zadzwonił do FBI. Telefon odebrał Delage.

- Czy jest major Dunne? - spytał Ryder.

- Śpi jak kamień. Czy to coś pilnego?

- Niech śpi. Ma pan coś dla mnie?

- Leroy chyba ma.

- Co się dzieje pod 888 South Maple?

- Nic ciekawego. Wścibiśki sąsiad. Stary kozioł o kaprawych ślepiach, który chętnie zawarłby bliższą znajomość z Bettiną Ivanhoe (zakładając, że takie jest jej nazwisko) - twierdzi, że nie poszła dziś do pracy. Przez całe popołudnie nie wychodziła z domu.

- Jest tego pewny?

- Foster - człowiek, który jej pilnuje i który większość czasu spędził krążąc wokół tylnego wyjścia, potwierdza to.

- Macie więc świadka?

- Prawdopodobnie z lornetką. Wyszła tylko po południu. Zaraz na rogu jest supermarket. Wróciła, niosąc parę toreb z zakupami. Foster skorzystał z tego, żeby ją sobie obejrzeć, i doszedł do wniosku, że stary kozioł nie jest taki głupi. Podczas nieobecności dziewczyny Foster wszedł do jej mieszkania i założył podsłuch w jej telefonie.

- No i...?

- Ani razu nie dzwoniła. Podśluch u naszego przyjaciela sędziego dał lepsze rezultaty. Rozmawiał dwa razy. Ale tylko druga rozmowa była interesująca. Za pierwszym razem dzwonił do biura, że zatrzymało go w domu silne lumbago i że trzeba wysłać do sądu zastępcę. Drugi raz dzwoniło do niego. To był bardzo enigmatyczny telefon. Ktoś mu powiedział, że lumbago powinno go męczyć jeszcze przez parę dni i że potem wszystko pójdzie dobrze.

- Skąd dzwoniło?

- Z Bakersfield.

- Dziwne.

- Dlaczego?

- Blisko Uskoku Białego Wilka, gdzie miało znajdować się epicentrum trzęsienia ziemi.

- Skąd pan to wie?

- To się nazywa wykształcenie. Przez grzeczność biblioteki uniwersyteckiej. Telefonowano z budki?

- Tak.

- Dziękuję. Wkrótce zajrzę do was.

Wrócił do siebie i zadzwonił do Jeffa. Nie miał mu do powiedzenia nic, co mogłoby zainteresować podsłuchujących. Obudził go. Poprosił, żeby przyszedł i kazał mu zmienić ubranie. Czekając na niego, również się przebrał.

Jeff przyjrzał się krytycznie wymiętemu, jak zwykle, ubraniu ojca, spojrzał na swój odprasowany garnitur i stwierdził:

- Nikt nie może cię posądzić o elegancję. Mamy być znowu w przebraniu?

- Coś w tym stylu. Dlatego zamierzam po drodze zadzwonić do Parkera i poprosić, żeby również przyjechał do FBI. Delage twierdzi, że mogą coś dla nas mieć. Będziemy mieli wieczorem przyjemność przesłuchania pewnej damy, chociaż nie sądzę, żeby ona również odebrała to jako przyjemność. Nazywa się Bettina Ivanhoe, Ivanov lub coś w tym stylu. I rozpoznałaby nasze ubrania. Nie może poznać naszych twarzy, ale zapewne rozpozna głosy. Dlatego chcę uprzedzić Parkera i poprosić go, by gadał za nas.

- A co będzie, jeśli zechcemy ją zapytać o coś szczególnego?

- Dlatego właśnie my też tam idziemy, właśnie na wypadek czegoś takiego. Ustalimy jakiś znak. Powiemy jej, że wzywają nas do radiowozu. To zawsze wypala z ludźmi

mającymi coś na sumieniu. A jak dobrze wypali, to ona może nawet gdzieś zadzwonić po pomoc. A jej telefon jest na podsłuchu.

- Gliny to łobuzy!

Ryder spojrzał na syna, ale nic nie powiedział. Nie musiał.

- Zaczniemy od Carltona - powiedział Leroy. - Szef ochrony elektrowni w Illinois, gdzie Carlton pracował, nie znał go zbyt dobrze, podobnie inni członkowie personelu, a w każdym razie żaden z tych, którzy tam dotychczas pracują, gdyż w ciągu dwóch lat wielu zmieniło miejsce pracy. Należy raczej do typów pilnujących swoich tajemnic.

- Nie ma w tym nic złego - oznajmił Ryder. - Niczego nie lubię bardziej niż pilnowanie własnego nosa. Ale, oczywiście, po służbie. Są jakieś ślady?

- Tylko jeden, ale za to dość dobry. Szef ochrony - nazywa się Daimler - odnalazł dawną gosposię Carltona, która twierdzi, że bardzo się przyjaźnił z jej synem i że często wyjeżdżali razem na weekendy. Nie wie, dokąd jeździli, ale Daimler sądzi raczej, że nie chce jej się mówić.

Jej się nieźle powodzi, czy powodziło, bo jej mąż zostawił po sobie niezłą rentę. Wynajmuje pokoje, bo większość tych pieniędzy idzie na dżin i na karty. Tylko to ją zresztą interesuje.

- Czuły mężulek.

- Prawdopodobnie zginął w bójce. Daimler zaproponował - ale bez entuzjazmu - że pójdzie i pogada z nią. Podziękowałem mu. Wolę wysłać naszych ludzi. Odznaka FBI robi większe wrażenie. Pójdę tam wieczorem. Chłopak wciąż mieszka z matką.

- To wszystko, nie licząc tego, co sama matka powiedziała na jego temat. Że to kawał religijnego fanatyka, którego powinno się trzymać w zamknięciu.

- Zdrowy instynkt macierzyński. Coś jeszcze?

- Kod LeWintera. Zidentyfikowaliśmy prawie wszystkie numery telefonów. Większość jest z Kalifornii i Teksasu. Znaczna część abonentów to osoby, jak się zdaje, bardzo szacowne. Ale, tak na oko, ich powiązania z takim ważnym sędzią jak LeWinter wydają się dziwaczne.

- Mam sporo przyjaciół i znajomych, którzy nie są gliniarzami - odezwał się Jeff - i żaden z nich, o ile wiem, nie oglądał od środka sali sądowej, nie wspominając o więzieniu.

- Zgoda, ale tu mamy do czynienia z poważnym prawnikiem albo kimś, kto na pierwszy rzut oka się nim wydaje, i listę ludzi, którzy są przeważnie inżynierami dość wąskich specjalności: chemik, metalurg, geolog, a także - co ciekawsze - wiertniczy i specjalista od materiałów wybuchowych.

- To dziwna grupa, zgadzam się - stwierdził Ryder. - Może LeWinter postanowił zainwestować w ropę? Stary lis zgromadził pewnie wystarczająco dużo, żeby sfinansować coś takiego. Ale to chyba jest zbyt naciągane. Może raczej są to nazwiska ludzi, z którymi się zetknął przy dawnych sprawach. Może byli wzywani jako biegli sądowi?

- Nie uwierzy pan, ale sami na to wpadliśmy - uśmiechnął się Leroy. - Sprawdziliśmy listę jego spraw cywilnych i okazało się, że ma na koncie sporo procesów związanych głównie z ropą naftową. Zajmował się jej wydobywaniem, zbytem, zatruciem środowiska naturalnego, trustami morskimi i Bóg wie czym jeszcze. Zanim został sędzią, pracował jako adwokat - i to znany. Czego zresztą można się było po nim spodziewać.

- Poszlaki, poszlaki - odparł Ryder.

- Sam go pan nazwał starym lisem. Jak mówiłem, wyrobił sobie doskonałą reputację wśród firm naftowych, które wyraźnie naruszyły przepisy i czekały, aż sędzia LeWinter udowodni coś przeciwnego. Liczba wygranych spraw, w które zamieszane są firmy naftowe, jest olbrzymia. Ale ta wiadomość nie prowadzi do niczego. On siedzi w nafcie od dwudziestu lat i nie bardzo wiem, jak to można połączyć z naszą sprawą.

- Ani ja - stwierdził Ryder. - Z drugiej strony, mógł się do tego przygotowywać już od lat. Ale to za bardzo naciągane. A co z łamaniem kodu tej Ivanhoe? Mówiono mi, że Waszyngton czyni postępy.

- Być może, ale nabrali wody w usta. Wydaje się, że wszystko skupia się wokół Genewy.

- Czy mógłby mnie pan oświecić - Ryder starał się być cierpliwy - o ile pana oświecono - co, u diabła, ma wspólnego Genewa z kradzieżą atomową w Stanach?

- Nie mogę, bo nie puścili pary z gęby. To ta zawiść między agencjami.

- Za chwilę pan powie, że to ta przekłeta CIA wpycha wam kij w szprychy - stwierdził z sympatią Ryder.

- Już wepchnęła. Nie dość, że działają w zaprzyjaźnionych krajach i na dodatek bez wiedzy zaprzyjaźnionych rządów, to jeszcze teraz zaczynają się wpychać do neutralnej Szwajcarii.

- Przecież tam nie działają.

- Oczywiście, że nie. Ci wszyscy agenci włóczący się po ONZ, WHO i Bóg wie ilu organizacjach międzynarodowych to tylko wytwór wyobraźni. Ponoć szwajcarskie powietrze tak działa. Szwajcarzy tak bardzo się o nich troszczą, że pilnują, aby cały czas byli w cieniu. A jak pada, to trzymają nad nimi parasole.

- To brzmi gorzko. Mam nadzieję, że w tym przypadku przestaniecie się kłócić. Czy Interpol znalazł już coś na temat tego Morro?

- Nie. Musi pan pamiętać, że połowa ludności tej planety nigdy nawet nie słyszała tego słowa. Gdybyśmy mieli chociaż najmniejsze pojęcie, skąd pochodzi ten facet...

- A taśmy z nagraniami? Mieliście je wysłać do ekspertów.

- Owszem, ale jeszcze za wcześnie na wyniki. Mamy dopiero cztery odpowiedzi. Zdaniem jednego z tych panów nie ma najmniejszej wątpliwości, że ten człowiek pochodzi z Bliskiego Wschodu. Podaje nawet precyzyjnie miejsce - Bejrut. Ale przecież w Bejrucie spotykają się wszystkie narody świata - z Bliskiego Wschodu, Dalekiego Wschodu, Afryki - trudno się domyślić, na czym on opiera swoje stwierdzenie. Drugi powiedział, ale nie przysięgając, że może to być Hindus. Według trzeciego, Morro przybył z południowo-wschodniej Azji. A ostatni, który spędził dwadzieścia lat w Japonii, twierdzi, że zawsze rozpozna kogoś, kto nauczył się angielskiego w Japonii.

- Moja żona określiła go jako barczystego faceta, metr osiemdziesiąt wzrostu - zwrócił uwagę Ryder.

- Nie ma wielu Japończyków odpowiadających temu opisowi. Zaczynam tracić zaufanie do Uniwersytetu Kalifornijskiego - westchnął Leroy. - Poza sprawą Carltona nie dokonaliśmy wielkich postępów, a nawet i w to zaczynam wątpić. Ale może będziemy mieli coś bardziej zachęcającego do zaoferowania, gdy zabierzemy się za stowarzyszenia nawiedzonych, o których mieliśmy zebrać informacje. Chciał pan mieć grupy istniejące co najmniej rok i dość liczne. Nie twierdzą, że nie ma pan racji, ale przyszło nam na myśl, że może to być grupa istniejąca dłużej i niezbyt liczna, do której przeniknął Morro i jego przyjaciele. Oto lista. Prawdopodobnie nie jest ona pełna. Nie ma prawa, które kazałoby się im wszystkim rejestrować. Sądzę jednak, że jest ona na tyle kompletna, na ile to jest możliwe. Oczywiście, w ramach tak krótkiego czasu, jaki mieliśmy na jej sporządzenie.

Ryder spojrział na kartkę i podał ją Jeffowi. Sam poszedł powiedzieć parę słów wychodzącemu właśnie Parkerowi, a następnie wrócił do Leroya.

- Jeśli chodzi o datę założenia i przybliżoną liczebność grup, lista jest w porządku, ale nie mówi, na jakim punkcie ci faceci są nawiedzeni.

- Czy to może być istotne?

- Skąd mam wiedzieć? - Ryder był lekko poirytowany, co było dość zrozumiałe. - Może dać mi pomysł albo ślad powiązania z naszą sprawą. Sam przecież tego nie wymyślę.

Z miną prestidigitatora Leroy wyciągnął drugą kartkę.

- Oto czego pan szuka - spojrział na kartkę z odrazą. - Są tak cholernie pokrętni w swoich przekonaniach i programach, że nie sposób było tego zmieścić na jednej kartce. Wszyscy są szalenie rozwlekli, by nie rzec: gadatliwi, jeśli chodzi o swe ideały.

- Czy w tym zestawieniu są maniacy religijni?

- Dlaczego pan pyta?

- Carlton miał być związany lub był związany z jakimś maniakiem. Zgadzam się, że to skojarzenie jest bardzo odległe, ale tonący chwytą się brzytwy.

- Wydaje mi się, że pomylił pan przysłowia - stwierdził uprzejmie Leroy - ale rozumiem, co pan ma na myśli - spojrział na kartkę. - Większość tych organizacji to grupki religijne, jak można było zresztą oczekiwać. Ale znaczna część istnieje od dawna. Zdążyli nawet zdobyć pewne uznanie. I trudno ich nazwać dziś po prostu nawiedzonymi. Wyznawcy Zen, grupy Guru Hinduskich, Zoroastrianie i kilka czysto kalifornijskich grup zdobyły już taką renomę, że za publiczne nazwanie ich nawiedzonymi groziłby panu proces sądowy.

- Niech pan ich nazywa, jak chce - Ryder wziął kartkę i wpatrywał się w nią, bardziej powodowany wiarą w cud niż rozsądkiem. - Nie mogę wymówić połowy nazw - poskarżył się - a tym bardziej zrozumieć ich znaczenia.

- Ten stan jest bardzo kosmopolityczny - Ryder spojrział podejrzliwie na Leroya, którego twarz była doskonale obojętna.

- Borundianie, Koryntianie. Sędziowie. Rycerze Kalwarii. Błękitny Krzyż. Błękitny Krzyż?

- Nie mają nic wspólnego ze szpitalnictwem.

- Poszukiwacze?

- To nie jest grupa wokalna.

- 1999?

- To data końca świata.

- Ararat?

- Grupa dysydencka względem grupy 1999. Zainstalowali się w miejscu postoju arki Noego. Pracują z grupą o nazwie Objawienie w górach Sierra. Budują arkę na intencję przyszłego potopu.

- Mogą mieć rację, jeśli wierzyć profesorowi Bensonowi. Będą tylko musieli poczekać jeszcze jakiś milion lat. Spory kawałek Kalifornii ma zniknąć w Pacyfiku. No, mamy! Grupa licząca ponad stu członków i istniejąca zaledwie od ośmiu miesięcy. Świątynia Allacha.

- Muzułmanie. Mają swoją siedzibę też w Sierra Nevada. Ale trochę niżej. Niech pan da sobie spokój. Sprawdziliśmy ich.

- I co z tego? Carlton jest pomyłonym maniakiem.

- Jeśli określa pan muzułmanina jako pomyłonego, to dlaczego nie nazwać tak katolików?

- Tak go określiła gospodyni. Pewnie każdy, kto wchodzi do kościoła, jest według niej pomyłony. A Morro może pochodzić z Bejrutu. Tam są muzułmanie.

- I chrześcijanie. Przez cały 1976 rok wyrzynali się nawzajem. Ja też badałem ten trop. To ślepy zaulek. Morro może być Hindusem, a Carlton był w Indiach. Hindus to nie muzułmanin. Morro może również pochodzić z południowo-wschodniej Azji. Carlton był w Singapurze, Hongkongu i Manili. Mamy więc buddystów i katolików. Carlton był również w Japonii, Morro może pochodzić stamtąd. Tam obowiązującą religią jest szintoizm. Nie może pan tak po prostu dopasować religii do swojej teorii. Nie ma dowodów, że Carlton był w Bejrucie. Mówiłem przecież, że ich sprawdziliśmy. Szef policji przysięga, że...

- To powinno wystarczyć, żeby ich bezzwłocznie aresztować.

- Nie wszyscy szefowie policji są jak Donahure. Ten nazywa się Curragh i jest powszechnie szanowany. Gubernator Kalifornii osobiście patronuje tej grupie. Dali dwa miliony dolarów; dobrze mówię, dwa miliony na działalność dobroczynną.

- W porządku. Przekonał mnie pan - powiedział Ryder, podnosząc rękę. - A gdzie jest siedziba tych pomyleńców?

- Jakiś zamek... Adlerheim.

- Ach tak, wiem. Byłem tam! To dzieło chorej wyobraźni bogatego świra, nazwiskiem von Streicher - zamilkł na chwilę. Każdy, kto wybiera sobie to miejsce na siedzibę, musi być stuknięty, obojętne, czy jest muzułmaninem, czy nie.

Ryder milczał przez jakiś czas, potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale jednak zmienił zamiar.

- Żałuję, że nie mogę panu pomóc - powiedział Leroy.

- Dziękuję. Jeśli pan pozwoli, zabiorę te listy. Wraz z dokumentacją na temat trzęsień ziemi powinny mi dać jakiś punkt wyjścia.

Wyszli z biura. Korzystając z tego, że Parker poszedł przodem, Jeff zapytał ojca:

- No, wykrztuś to z siebie. Co chciałeś powiedzieć?

- Kiedy się spojrzy na odległości w naszym stanie, to widać, że Adlerheim leży o dwa kroki od Bakersfield. Stamtąd LeWinter otrzymał ten tajemniczy telefon.

- Czy to coś znaczy?

- To może znaczyć, że dzisiaj jestem w nastroju do wyciągania pochopnych wniosków. Byłoby rzeczą interesującą dowiedzieć się, czy Adlerheim ma bezpośrednie połączenie z Bakersfield. - Po drodze Ryder wprowadził Parkera w temat, jak tylko mógł najpełniej.

South Maple było krótką, pustą, okoloną drzewami, przyjemną i cichą uliczką, zabudowaną domkami w stylu pseudohiszpańsko-marokańskim. Dwieście metrów od celu Ryder podjechał do nie rzucającego się w oczy czarnego wozu. Siedzący za kierownicą mężczyzna przyjrzał mu się podejrzliwie.

- To pan musi być George Foster - stwierdził Ryder.

- A pan musi być Ryder. Zawiadomiono mnie o pańskim przybyciu.

- Jest pan cały czas na podsłuchu?

- Nie muszę. To bardzo sprytne urządzenie. Gdy ktoś podnosi słuchawkę, to tu zaczyna brzęczeć. Magnetofon włącza się automatycznie.

- Porozmawiamy z nią i postaramy się wyjść na chwilę. Może wtedy panikować i dzwonić gdzieś.

- Będę to miał dla was.

Bettina Ivanhoe mieszkała w zadziwiająco przyjemnym domu. Małym w porównaniu z rezydencją LeWintera czy Donahure'a, ale wyraźnie świadczącym, że jego gospodyni, jak na dwudziestojednoletnią sekretarkę, radzi sobie zaskakująco dobrze. Albo że ktoś robi to zaskakująco dobrze za nią. Stała w drzwiach, patrząc zaskoczona na trzech mężczyzn.

- Policja - powiedział Parker. - Czy możemy z panią porozmawiać?

- Policja? No cóż, chyba tak. To znaczy, chciałam powiedzieć, oczywiście.

Zaprowadziła ich do salonu. Siadła z podwiniętymi nogami na fotelu, a mężczyźni usadowili się na krzesłach. Wyglądała uroczo, pociągająco i stosownie do miejsca, co o niczym nie świadczyło. Ale też wyglądała równie uroczo, pociągająco, choć bardzo nie na miejscu, gdy leżała przykuta do LeWintera w jego własnym łóżku.

- Czy... czy popadłam w jakieś kłopoty?

- Mamy nadzieję, że nie - Parker miał głos brzmiący jednocześnie ciepło, uspokajająco i władczo - zbieramy jedynie informacje, które mogłyby być nam pomocne. Zajmujemy się aferą korupcyjną, w którą zamieszanych jest wielu cudzoziemców i paru wysoko postawionych urzędników w tym stanie. Rok czy dwa lata temu Koreańczycy z Korei Południowej rozdawali miliony. Ot tak, z dobroci serca, teraz zajęli się tym Rosjanie. Sama pani rozumie, że nie mogę więcej powiedzieć.

- Tak, oczywiście, że rozumiem - było oczywiste, że nic nie rozumie.

- Jak długo pani tu mieszka?

- Pięć miesięcy - w głosie dało się wyczuć ostrożność. - Dlaczego pan pyta?

- Pytania to moja specjalność - Parker rozejrzał się wokół. - Urocze miejsce. A czym się pani zajmuje?

- Jestem sekretarką.

- Jak długo?

- Dwa lata.

- A poprzednio?

- Szkoła w San Diego.

- Uniwersytet? - zdziwił się Parker, a kiedy przytaknęła skinieniem głowy, kontynuował: - Przerwała pani studia? Dlaczego? Oblała pani? Proszę nie zapominać, że możemy to sprawdzić!

- Nie mogłam sobie poradzić finansowo.

- Co takiego? - Parker wyglądał na zaskoczonego i rozejrzał się dookoła. - I po dwóch latach początkująca sekretarka może sobie pozwolić na takie mieszkanie? Starsze stażem sekretarki zadowolili się muszą jednym pokojem lub mieszkać z rodzicami. Oczywiście! Rodzice! Muszą być bardzo opiekuńczy, by nie rzec: wspaniałomyślni.

- Moi rodzice nie żyją.

- Przykro mi - nie brzmiało to tak, jakby rzeczywiście było mu przykro. - Więc ktoś inny musi być nader wspaniałomyślny.

- Nie zostałam o nic oskarżona - opuściła nogi na podłogę - i nie odpowiem na żadne pytania, nie porozumiawszy się ze swoim prawnikiem.

- Sędzia LeWinter nie odbiera dzisiaj telefonów. Cierpi na lumbago.

Tym razem trafił. Opadła na fotel. Wyglądała teraz jak wcielenie bezbronności i niewinności. Mogła wprawdzie udawać, ale chyba jednak była załamana. Parkerowi zrobiło się jej żal, ale nie okazywał tego po sobie.

- Jest pani Rosjanką?
- Nie. Nie.
- Tak. Tak. Gdzie się pani urodziła?
- We Władywostoku - poddała się.
- Gdzie są pochowani rodzice?
- Żyją. Wrócili do Moskwy.
- Kiedy?
- Cztery lata temu.
- Dlaczego?
- Myślę, że ich odwołano.
- Byli naturalizowani?
- Tak, dawno temu.
- Gdzie pracował ojciec?
- Burbank.
- Zakłady Lockheeda, jak sądzę?
- Tak.
- W jaki sposób otrzymała pani tę pracę?
- Z ogłoszenia. Szukano amerykańskiej sekretarki znającej język rosyjski i chiński.
- Chyba było niewiele kandydatek?
- Tylko ja.
- Sędzia LeWinter ma więc prywatnych klientów?
- Tak.
- Rosjanie i Chińczycy?
- Czasami potrzebowali tłumacza w sądzie.
- A poza sądem?
- Czasami - padło po chwili wahania.
- Wojskowe dane. Oczywiście, rosyjski, i to szyfrem.
- Tak - głos był ledwie głośniejszy niż szept.
- Coś o pogodzie?
- Skąd pan wie? - strach rozszerzył jej oczy.
- Czy nie wie pani, że jest to zdrada? Czy wie pani, jaka jest kara za zdradę?

Oparła ramię na poręcz fotela, podtrzymując głowę. Milczała.

- Lubi pani LeWintera? - spytał Ryder. Wyglądało na to, że jego głos nie wzbudził w niej żadnych skojarzeń z poprzedniej nocy.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - głos jej drżał, ale ton nie pozostawiał cienia wątpliwości.

Ryder wstał, wskazując głową drzwi.

- Pójdziemy do wozu połączyć się z górą. Za minutę lub dwie będziemy z powrotem - poinformował ją Parker.

- Ona nienawidzi LeWintera, a ja ciebie - powiedział Ryder do Parkera, gdy byli na zewnątrz.

- To razem jest nas dwóch.

- Jeff, sprawdź czy ten facet w wozie coś podsłuchał, choć wiem, że marnujemy tylko twój czas.

- Biedne, wystraszone dziecko - potrząsnął głową Parker, gdy Jeff był już przy samochodzie. - Wyobraź sobie, że byłaby to Peggy.

- To właśnie miałem na myśli. Jej stary jest z pewnością szpiegiem, najprawdopodobniej przemysłowym. Został odwołany, a teraz wisi nad jej głową wraz z matką. Jedno jest pewne: szantażują ją, jak chcą. Możemy naszym superszpiegom z CIA poradzić, żeby się wypchali. Ona jest inteligentna. Sądzę, że doskonale pamięta wszystkie te raporty o pogodzie.

- Ona ma już dość. A co będzie z jej starymi?

- Nic. Jeśli przecieknie wiadomość o jej aresztowaniu czy nagłym zniknięciu. Sami zrobiliby to samo.

- Tak się nie postępuje w naszej wspaniałej amerykańskiej demokracji.

- Oni nie wierzą w naszą wspaniałą amerykańską demokrację.

Poczekali do powrotu Jeffa, który przyjrzał im się podejrzliwie i potrząsnął głową.

- Należało się tego spodziewać - mruknął Ryder - nasze biedactwo nie ma do kogo dzwonić.

Wrócili do pokoju. Bettina siedziała nieruchomo, patrząc na nich obojętnie. Jej brązowe oczy były podpuchnięte, a na policzkach widać było ślady łez, których nawet nie próbowała ukryć.

- Wiem, kim jesteście - powiedziała, patrząc na Rydera.

- To ma pani nade mną przewagę, bo ja nigdy pani nie widziałem. Zamierzamy panią przewencyjnie zatrzymać. To wszystko.

- Wiem, co to znaczy. Szpiegostwo, zdrada, przewencyjny areszt.

Ryder złapał ją za rękę, postawił gwałtownym szarpnięciem na nogi, złapał za ramiona.

- Jesteśmy w Kalifornii, a nie na Syberii. Areszt prewencyjny oznacza, że zamierzamy cię trzymać w bezpiecznym miejscu, dopóki to się nie skończy. Żadnych oskarżeń - ani teraz, ani później. Nie ma podstaw, aby cię o coś oskarżyć. I przyrzekamy, że żadna krzywda ci się nie stanie. Ani teraz, ani później. - Doprowadził ją do drzwi, które otworzył na oścież. - Jeżeli chcesz, możesz sobie iść. Spakuj swoje rzeczy, znieś do samochodu i wyjedź. Ale tam na zewnątrz jest zimno i ciemno i będziesz sama. Jesteś za młoda, żeby być sama.

Spojrzała na drzwi, odwróciła się, wzruszyła ramionami i znów spojrzała na Rydera.

- Zawieziemy cię w bezpieczne miejsce, w którym będziesz razem z policjantką, a nie z jakimś potworem, który ma cię pilnować. Będzie to młoda, ładna dziewczyna. Jak znam mojego syna, to postara się o to z całą dokładnością, żeby nie powiedzieć: z przyjemnością. - Jeff uśmiechnął się szeroko i zapewne ten uśmiech bardziej ją przekonał niż cokolwiek innego. - Będzie, oczywiście, uzbrojona straż na zewnątrz przez dwa lub trzy dni. Nie dłużej. Spakuj więc rzeczy na trzy dni. Chcemy tylko zaopiekować się tobą.

Uśmiechnęła się wreszcie, skinęła głową i wyszła z pokoju.

- Zawsze się zastanawiałem, jak ci się udało poderwać Susan - uśmiechnął się Jeff - i właśnie zaczynam...

- Foster wciąż siedzi w wozie - stwierdził zimno Ryder. - Bądź uprzejmy zapytać go, dlaczego jeszcze tu jest.

Jeff, ciągle się uśmiechając, wyszedł.

Healey, Bramwell i Schmidt zebrali się u Burnetta po kolacji, która, jak wszystkie posiłki w Adlerheim, była doskonała. Przebiegała jednak w posępnym nastroju, tym bardziej, że nie było na niej Susan, która jadła ze swoją ranną córką. Także Carlton nie zjawił się przy stole, ale ledwie ten fakt odnotowano, gdyż zastępca szefa ochrony z San Ruffino zrobił się niezwykle mało towarzyski, ponury, zamknięty w sobie i skryty. Wszyscy sądzili, że ciężko przeżywa swoje błędy i porażkę. Zjadłszy więc pośpiesznie i w posępnym milczeniu, wyszli z jadalni, kiedy tylko uznali, że nie narusza to zasad grzeczności - i teraz Burnett podejmował ich - jak zawsze szczerze - doskonałym Martelem.

- Kobiety nie są normalne - stwierdził Burnett tonem, jakby anonsował to przekonanie.

- Jakie kobiety? - spytał ostrożnie Bramwell.

- A jakie są? - zdumiał się Burnett. - Ale w tym konkretnym przypadku chodzi o panią Ryder.

- Wydaje mi się czarująca - wtrącił Healey.

- Czarująca? Z pewnością. Piękna? Też prawda. Ale nie zrównoważona. Kobieta nie może przystosować się do czegoś takiego - pokazał ręką dookoła. - To wszystko przez to. Kobiety tego nie wytrzymują. Poszedłem do niej po obiedzie, żeby zobaczyć, jak czuje się jej córka, złożyć wyrazy współczucia i tak dalej. To cholernie piękna dziewczyna. Leży tam cała postrzelona - słuchając go, można było dojść do wniosku, że pacjentka została podziurawiona jak sito. - Cóż, jestem raczej spokojny z natury - Burnett wydawał się szczerze nieświadomy swojej reputacji - ale muszę stwierdzić, że straciłem cierpliwość i powiedziałem, co myślę o Morro. Że to zimnokrwisty morderca, którego powinno się natychmiast zastrzelić, i niebezpieczny wariat, kwalifikujący się, co najmniej, do natychmiastowej izolacji. Nie uwierzycie, ale się ze mną nie zgodziła - przez krótką chwilę kontemplował ogrom pomyłki w ocenie jej charakteru, a potem potrząsnął głową, jakby ta myśl przestała go zajmować. - Zgodziła się co do postawienia go przed sądem, ale stwierdziła, że jest łagodny, a nawet czasami uprzejmy dla innych. I to powiedziała inteligentna, jak sądziłem, wysoce inteligentna kobieta.

Burnett potrząsnął głową, był albo zaskoczony swym brakiem spostrzegawczości, albo też wyobrażał sobie, jaka może okazać się przy bliższym poznaniu reszta rodzaju żeńskiego. Wypił swoją brandy, ale wyraźnie bez przyjemności. - No i pytam was, panowie: co wy na to?

- To, że jest maniakiem, nie ulega wątpliwości - Bramwell był pewien swego - ale nie jest amoralnym wariatem. Jeśli byłby, to zamiast wysadzić tę zabawkę na pustyni z parogodzinny ostrzeżeniem - zakładając, że ją ma, a co do tego akurat jesteśmy zgodni - zrobiliby to bez ostrzeżenia na Wilshire Boulevard.

- Pierdoły - zdenerwował się Burnett, spoglądając w pustą szklankę. - Szczytowa perwersja wynikająca ze szczególnego szaleństwa. - Burnett popatrzył znów w pustą szklankę i ruszył do barku. - Mnie o tym nic nie przekona. Nie lubię być banalny, ale zapamiętajcie, panowie, moje słowa.

Zapamiętywali je w milczeniu aż do chwili, gdy weszli Morro i Dubois. Pierwszy albo nie zauważył, albo całkowicie zignorował wzbudzony wyraz twarzy Burnetta i niechęć na twarzach pozostałych.

- Przepraszam, że przeszkadzam wam, panowie, ale wieczory są tutaj odrobinę posępne i myślę, że z przyjemnością obejrzyjecie coś, co pobudzi waszą naukową ciekawość.

Jestem przekonany, że będziecie zaskoczeni, powiedziałbym nawet: oszołomieni tym, co Abraham i ja chcemy wam zademonstrować. Czy zechcecie mi, panowie, towarzyszyć?

- A jeśli odmówimy? - Burnett nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z okazji do zaatakowania.

- Wasze prawo. A raczej pańskie prawo, profesorze, bo coś mi się wydaje, że pańscy koledzy będą bardziej zainteresowani i z przyjemnością opowiedzą panu, co widzieli. Oczywiście, możecie odmówić wszyscy. Nikogo nie będę zmuszał.

- Zawsze byłem wścibski - Healey wstał. - Pańskie posiłki są wspaniałe, ale poziom rozrywki równa tu się zeru. W telewizji nic nie ma, co nie znaczy, że zwykle jest w niej coś ciekawego. Może tylko szczegóły ewakuacji Płaskowyżu Yucca i spekulacje na temat pana następnego celu i pańskich prawdziwych motywów. Czym pan się kieruje, panie Morro?

- O tym porozmawiamy później. A teraz, panowie, ci z was, którzy chcą...

Chcieli wszyscy, łącznie z Burnnettem.

Na korytarzu oczekiwali ich dwaj derwisze w białych szatach. Nie poruszyło to nadmiernie fizyków, bo nie było to żadną nowością. Nie ulegało wątpliwości, że w fałdach swoich sukni ukrywają, jak zwykle, swoje ulubione ingramy. Również niezwykłą był fakt, że jeden z nich miał ze sobą magnetofon. Jak zwykle, pierwszy zgłosił zastrzeżenia Burnett.

- Co znowu wykombinował pański pokrętny mózg, Morro? Po co ten cholerny magnetofon?

- Żeby zrobić nagrania - wyjaśnił cierpliwie Morro. - Pomyślałem, że może chciałby pan, jako pierwszy, poinformować swoich współobywateli, co tutaj posiadamy i jakie konsekwencje wynikają z tego dla nich. W ten sposób położymy kres temu, co doktor Healey nazwał przerażającymi spekulacjami, i opinia publiczna pozna wreszcie przerażającą rzeczywistość. Prawie na pewno strach zastąpi wówczas bezmyślna panika, jakiej nie zaznał dotychczas żaden kraj. To jest usprawiedliwione, ponieważ pozwoli zrealizować to, czego pragnę. A co ważniejsze dla was, pozwoli mi to zrealizować mój cel, oszczędzając życie milionom ludzi. Ich śmierć jest jednak całkowicie możliwa, jeśli odmówicie współpracy - jego spokojny głos był przepojony zdecydowaniem. - Kiedy człowiek staje w obliczu rzeczy niewyobrażalnych, ucieka zwykle w niewiarę i upór.

- Jest pan całkowicie i kompletnie szalony - po raz pierwszy ton głosu Burnetta nie był ani rozzłoszczony, ani wojowniczy, ale, podobnie jak głos Morro, przepojony wiarą we własne słowa. - A jeśli odmówimy, jak pan to określa, współpracy? To co, tortury? Kogo im pan podda - nas czy kobiety?

- Pani Ryder powie panu, że z mojej strony nic im nie zagraża. Pan jest czasami niepoprawny, profesorze. A co do tortur, to jedynie sumienie będzie was torturować aż do śmierci. Myśl, że mogliście uratować niezliczone istnienia ludzkie, ale postanowiliście tego nie robić.

- Mówiąc po prostu - podsumował Healey - ludzie mogliby nie uwierzyć panu, sądząc, że pan blefuje, ale nie będą tak myśleli, jeśli chodzi o nas.

- Rani to - uśmiechnął się Morro - moją miłość własną, ale dokładnie to miałem na myśli.

- Chodźmy więc i sami się przekonajmy, dokąd doprowadziło go szaleństwo.

Winda była niezwyklej konstrukcji. Jej podłoga miała wymiary metr na półtora, ale sufit dzieliło od niej co najmniej trzy i pół metra. Na twarzach fizyków malowało się zdziwienie. Morro wyjaśnił z uśmiechem, kiedy winda zaczęła osuwać się w dół:

- Przyznaję, że kształt tej windy jest niecodzienny, ale za chwilę sami zrozumiecie dlaczego.

Winda zatrzymała się, drzwi się otworzyły i ośmiu mężczyzn weszło do kwadratowego pokoju i powierzchni sześciu metrów. Ściany i sufit wyglądały na wykute w skale, ale podłogę stanowił gładki beton. Przy jednej ze ścian stał rząd hartowanych lub nierdzewnych, nie sposób tego ustalić, arkuszy stalowej blachy. Przy drugiej ścianie stały blachy niewątpliwie aluminiowe. Pomieszczenie wyglądało jak zwykły warsztat mechaniczny, wyposażony w tokarki, prasy, wiertarki, cęgi, palniki acetylenowe, stojaki ze lśniącymi narzędziami.

- W fabryce samochodów nazywa się to warsztatem blacharskim. Tutaj wykonujemy pojemniki. Więcej nie muszę panom na ten temat mówić.

Przez całą długość sufitu biegła metalowa szyna, z której zwisały łańcuchy. Ciągnęła się ona także przez następne pomieszczenie, w którym stał długi stół, z blatem okolonym metalową taśmą. Po obu stronach stołu wznosiły się zabezpieczone kratami półki ze stalowymi pojemnikami, starannie od siebie odsuniętymi i ustawionymi w regularnych odstępach. Morro nawet się nie zatrzymał.

- Pluton po lewej stronie, U-235 po prawej - oznajmił, prowadząc ich do trzeciego, mniejszego pokoju. - Oto warsztat elektryczny. Ale to na pewno was nie zainteresuje - powiedział idąc dalej. - Zafascynuje was natomiast następny pokój. Trzymając się dalej terminologii z fabryki samochodów, można to nazwać działem montażu.

Morro nie mylił się. Czterech fizycy byli zafascynowani jak nigdy w życiu. Nie szczegółami warsztatu. Od samego początku, ku ich przerażeniu i wbrew nadziei, która ich

dotąd nie opuszczała, ich uwagę przykuła prawa półka, a raczej to, co się na niej znajdowało. Stało na niej dziesięć cylindrów podtrzymywanych przez stalowe uchwyty w pozycji pionowej, o wysokości trzech metrów i średnicy dwunastu centymetrów. Były one pomalowane czarną olejną farbą i na tym tle rzucały się w oczy dwie czerwone opaski, każda grubości dwóch centymetrów, które otaczały cylindry w jednej trzeciej i w dwóch trzecich wysokości. Przy końcu szeregu dwa uchwyty były puste. Morro przyjrzał się kolejno czterem fizykom. Z twarzy każdego z nich można było wyczytać to samo: konsternację przechodzącą w pełną rezygnacji pewność. Natomiast twarz Morro nie wyrażała nic - ani radości, ani tryumfu, ani zadowolenia. Była zupełnie obojętna. Zdawało się, że cisza trwa całą wieczność. W wyjątkowo stresowej sytuacji nawet kilka sekund nabiera innego znaczenia, które nie może być mierzone zwykłym zegarkiem. Minęło dwadzieścia sekund, zanim Healey przerwał tę ciszę. Jego twarz była szara. Udało mu się otrząsnąć z transu. Spojrzał na Morro i chrapliwym głosem stwierdził:

- To zły sen.

- To nie jest zły sen. Ze snu można się przebudzić. Od tego nie uda się uwolnić. To jest właśnie ta przerażająca rzeczywistość. Koszmar na jawie, jeśli chcecie.

- "Ciotka Sally" - głos Burnetta był równie chrapliwy jak Healeya.

- "Ciotki Sally" - poprawił go Morro - jest ich dziesięć. Jest pan wspaniałym wynalazcą, profesorze. A to są owoce pańskiej myśli. Szkoda, że nie dane było panu nacieszyć się nimi w szczęśliwszych okolicznościach.

- Z ciebie jest kawał sukinsyna! - oczy Burnetta płonęły nienawiścią.

- Może pan sobie oszczędzić wysiłku, i to z dwóch powodów. Pańskie oświadczenie jest zbędne, gdyż, jak pan powinien już wiedzieć, obelgi nie wywołują na mnie żadnego wrażenia.

Za cenę herkulesowego wysiłku Burnett opanował swój gniew i przyglądając się podejrzliwie Morro, wycedził:

- Muszę powiedzieć, że te urządzenia wyglądają jak "Ciotka Sally".

- Co pan chce zasugerować, profesorze Burnett?

- Sugeruję, że to wszystko jest kawałem. Gigantycznym blefem. Sugeruję, że całe to żelastwo, które zgromadził pan tutaj, jest tylko wystawą. Że są to modele w skali jeden do jednego. Sugeruję, że właśnie oszukuje pan moich kolegów i próbuje pan oszukać także mnie, by skłonić nas do oznajmienia całemu światu, że naprawdę jest pan w posiadaniu broni jądrowej, podczas gdy w rzeczywistości to tylko zwykłe makiety, takie cylindry można zamówić w stu różnych warsztatach w całym stanie. Nie mógł pan zdobyć

komponentów elektronicznych, bardzo skomplikowanych i unikatowych, bo to wzbudziłoby natychmiast podejrzenie. Nie jest pan inżynierem, Morro. Żeby wyprodukować tutaj składniki tej broni, trzeba by dysponować całym zespołem wysoko wyspecjalizowanych ludzi, tokarzy, modelarzy, frezerów, monterów. To specjaliści, których bardzo trudno znaleźć, którzy są bardzo wysoko opłacani i którzy nie naraziliby swojej kariery, pracując dla przestępcy.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Morro. - To interesujące, ale, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nieco śmieszne.

Burnett nie odpowiadał, więc Morro przeszedł przez pomieszczenie i skierował się w stronę wielkiej, stalowej płyty, osadzonej na jednej ze ścian. Nacisnął przycisk i płyta obróciła się z cichym zgrzytem, odsłaniając żelazną siatkę, za którą było widać sześciu mężczyzn, z których dwóch oglądało telewizję, dwóch czytało, a dwóch grało w karty.

Cała szóstka obróciła głowy w ich kierunku. Ich twarze były blade i wychudzone i wyrażały coś, co nie było ani nienawiścią, ani strachem, ale jakąś mieszaniną jednego i drugiego.

- Czy tych właśnie ludzi miał pan na myśli? - zapytał Morro, ciągle bez cienia satysfakcji czy tryumfu w głosie. - Jeden z nich jest formiarzem, drugi tokarzem, dwaj to frezerzy, piąty jest monterem, a ostatni elektrykiem, a raczej specjalistą od elektroniki. Może - dorzucił, zwracając się do sześciu mężczyzn - zechcecie potwierdzić, że jesteście technikami wyspecjalizowanymi w wymienionych przeze mnie dziedzinach?

Cała szóstka patrzyła na Morro w milczeniu. Ale zaciśnięte wargi i pełne twarze mówiły same za siebie. Morro wzruszył ramionami.

- Dobrze, dobrze. Czasami tak się zachowują. Irytująca, choć chwilowa tylko odmowa współpracy. Ściśle mówiąc, nigdy nie nauczyli się współpracować jak należy.

Morro przeszedł przez pomieszczenie, wszedł do czegoś w rodzaju boksu, który służył za biuro, i podniósł słuchawkę telefoniczną. Nie było słyhać, co mówi. Poczekał w pomieszczeniu do chwili, gdy wszedł jakiś nie znany dotąd mężczyzna. Morro poprowadził go w kierunku grupki fizyków.

- Przedstawiam wam Lopeza - powiedział.

Lopez był niskim, okrągłutkim mężczyzną o pulchnej twarzy, niskim czole, czarnych wąsach i włosach i poczciwym uśmiechem, sprawiającym wrażenie przyklepionego na stałe do jego warg. Ukłonił się bez słowa, uśmiech nie zniknął z jego twarzy przez cały czas.

- Rozczarowałeś mnie nieco, Lopez - uśmiech Morro dorównywał uśmiechowi Lopeza. - I pomyśleć, że płacę ci tak wspaniałą pensję.

- Jestem niepokieszony, senor - jeśli tak rzeczywiście było, to maskował to doskonale - powie mi pan, w czym zawiodłem?

Morro wskazał na sześciu mężczyzn po drugiej stronie siatki. Teraz w wyrazie ich twarzy strach zastąpił nienawiść.

- Nie chcą odpowiadać na moje pytania.

- Spróbuję nauczyć ich dobrych manier, senor Morro - powiedział Lopez z westchnieniem - ale nawet Lopez nie jest czarodziejem.

Nacisnął inny przycisk i drzwi z siatki otworzyły się. Z coraz bardziej rozradowanym uśmiechem Lopez skinął na jednego z mężczyzn.

- Chodź, Peters. Przejdziemy do mojego pokoju i porozmawiamy chwilę, dobrze?

Język mężczyzny natychmiast się rozwiązał.

- Nazywam się John Peters - wyrecytował jednym tchem - jestem frezerem.

Nie można się było mylić co do powodów przerażenia, które łatwo było wyczytać z jego twarzy i które dźwięczało w jego głosie. Czterej fizycy spojrzeli po sobie z konsternacją.

- Nazywam się Conrad Bronowski - powiedział drugi. - Jestem elektrykiem.

Z tą samą precyzją każdy z czterech pozostałych wymienił swoje imię, nazwisko i specjalność.

- Dziękuję panom - powiedział Morro, naciskając kolejno oba przyciski i spoglądając pytająco na fizyków, gdy tymczasem drzwi, a potem stalowa płyta zamykały dostęp do sąsiedniego pomieszczenia.

Ale Burnett i jego koledzy nie zwracali najmniejszej uwagi na Morro. Wpatrywali się w Lopeza.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał Schmidt.

- Lopez? To ich przewodnik i nauczyciel. Sami mogliście, panowie, stwierdzić, w jaki sposób reagują na jego uprzejmość i dobry humor. Dziękuję, Lopez.

- Do pańskich usług, senor Morro.

Z wielkim trudem Burnett oderwał wzrok od Lopeza, żeby skierować go na Morro.

- Ci mężczyźni przypominają ludzi, których widziałem w obozach koncentracyjnych. Na robotach przymusowych. A ten człowiek jest ich strażnikiem i oprawcą. Nigdy nie widziałem takiego przerażenia na ludzkiej twarzy.

- Jest pan nieuprzejmy i niesprawiedliwy. Lopez bardzo troszczy się o los swych bliskich. Tych sześciu mężczyzn, przynajmniej, jest tu nie z własnej woli, ale zostaną...

- Zostali porwani?

- Skoro tak pan woli... Ale chciałem właśnie powiedzieć, że wkrótce wrócą do swoich rodzin. Cali i zdrowi.

- Widzicie - Burnett odwrócił się do reszty - tak właśnie powiedziała pani Ryder: miły, uczynny, troszczący się o innych. Jest pan cholernie piekielnym hipokrytą.

- To sprawa kija i marchewki, profesorze. Nic więcej. A gdybyśmy tak zaczęli już nasze nagranie?

- Chwileczkę - wtrącił się Healey, na którego twarzy niepewność zastąpiła przerażenie. - Zakładając, że ci ludzie są tymi, za których się podają lub za których ten oprawca kazał im się podać, to jest niemożliwe, żeby zmontowali mechanizm tych urządzeń bez kierownictwa w osobie najwyższej klasy fizyka, specjalisty od fizyki jądrowej. To skłania mnie do sądu, że ci rzekomi robotnicy poddani zostali praniu mózgu po to tylko, żeby powiedzieli nam to, co przed chwilą usłyszeliśmy.

- Sprytne - odparł Morro - ale powierzchowne. Gdybym chciał, aby sześciu ludzi powiedziało to, co przed chwilą usłyszeliśmy, to z całą pewnością skorzystałbym ze współpracy moich wyznawców, którzy odegraliby znakomicie tę rolę i w dodatku nie musiałbym odwoływać się do perswazji ani do tortur. Czyż nie tak, doktorze Healey?

Przygnębiony wyraz twarzy Healeya zdawał się mówić, że ten argument przekonał go. Morro, z westchnieniem świadczącym o rezygnacji, zapytał:

- Lopez, czy zechciałbyś uprzejmie zostać w biurze?

Lopez uśmiechnął się odrobinę szerzej, jakby cieszyła go myśl o tym, co go czeka, i wszedł do wnęki, z której Morro po niego dzwonił. W tym czasie Morro ustawił czterech fizyków przed następnymi stalowymi drzwiami, umieszczonymi w innej ścianie. Nacisnął jeden przycisk, otwierający automatycznie drzwi, a potem drugi, otwierający siatkę zabezpieczającą, która znajdowała się za nimi.

Cela była niezbyt dobrze oświetlona, wystarczająco jednak, żeby można było zobaczyć starszego mężczyznę, który spoczywał w zniszczonym fotelu, jedynym meblu kojarzącym się w odległy sposób z komfortem. Miał on białe, kędzierzawe włosy, wychudzoną i niewiarygodnie pomarszczoną twarz, a zamiast ubrania - łachmany, które zwisały na jego równie wynędzniałym jak twarz ciele. Miał zamknięte oczy i wydawał się spać. Gdyby nie widoczne od czasu do czasu pulsowanie żył na jego dłoniach, można by sądzić, że nie żyje.

- Poznajecie go? - zapytał Morro, wskazując na śpiącego.

Czterej mężczyźni przyjrzeni się śpiącemu i nie rozpoznali go. Potem Burnett podniósł wzrok na Morro i powiedział z pogardą:

- A więc to tak wygląda pański atut? Mistrz, który czuwał nad wyprodukowaniem rzekomych bomb atomowych? Chyba zapomniał pan, że znam wszystkich czołowych fizyków w tym kraju. I nigdy w życiu nie widziałem tego człowieka.

- Ludzie się zmieniają - oznajmił Morro łagodnie.

Wszedł do celi i potrząsnął ramieniem starca, aż ten podniósł powieki - oczy miał zamglone i nabiegłe krwią. Chwytnąjąc go pod ramię, Morro zdołał skłonić go do podniesienia się z fotela i krok za krokiem prowadził do głównego pomieszczenia w oślepiające światło reflektorów.

- Może teraz go poznacie?

- To kolejny błąd? - burknął Burnett przyjrząwszy się mężczyźnie, a potem potrząsnął głową. - Powtarzam, że nigdy w życiu go nie widziałem.

- To doprawdy smutne, że niektórzy ludzie zapominają o swoich dobrych przyjaciółach - stwierdził Morro. - A jednak zna go pan doskonale, profesorze. Niech pan sobie wyobrazi, że ten pan waży, powiedzmy, trzydzieści kilo więcej, że nie ma zmarszczek na twarzy, a włosy ma ciemne. I proszę się dobrze zastanowić, profesorze, proszę się dobrze zastanowić.

Burnett był skupiony. Nagle jego badawcze spojrzenie zastygło, twarz straciła wszelki wyraz i śmiertelnie pobladła. Potem chwycił mężczyznę za ramiona.

- Boże wszechmogący! Willi Aachen! Willi Aachen! Na miłość boską! Co oni z tobą zrobili?!

- Mój stary Andy! - szepnął ten, którego słaby głos pasował do wyglądu. - Jak się cieszę, że znów cię widzę!

- Co oni z tobą zrobili, Willi?

- Nie widzisz? Porwali mnie - powiedział Aachen, drżąc i zmuszając się jednocześnie do uśmiechu. - I skłonili do pracy dla nich.

Burnett chciał się rzucić na Morro, ale nie zdążył nawet przebyć połowy drogi. Wielkie łapy Dubois opadły z tyłu na jego ramiona. Burnett był mocno zbudowany i gniew dał mu na moment herkulesową siłę, ale nie miał większej szansy wyrwać się z monstrualnego uścisku.

- To na nic - szepnął ze smutkiem Aachen - to nic nie da, Andy. Jesteśmy bezsilni.

Burnett przestał się szamotać, pojmując, że to na nic, ale dysząc z emocji, zapytał po raz drugi:

- Co oni z tobą zrobili? Jak? Kto?

Zapewne w odpowiedzi na niewidzialny znak Morro ukazał się w tym momencie Lopez, który stanął tuż obok Aachena. Aachen natychmiast go dostrzegł i odruchowo zrobił krok do tyłu, unosząc ramię, jakby chciał osłonić twarz, nagle wykrzywioną w spazmie przerażenia. Morro, który ciągle trzymał go za ramię, uśmiechnął się do Burnetta.

- Jakże naiwni, dziecinni i bezmyślni potrafią być nawet najbardziej inteligentni ludzie! Istnieją jedynie dwa egzemplarze planów "Ciotki Sally", które zostały opracowane przez profesora Aachena i przez pana. Oba egzemplarze są ukryte w podziemiach budynku Komisji Energii Atomowej. Wie pan doskonale, że są tam nadal. A zatem mogłem te plany uzyskać jedynie od dwóch ludzi w Ameryce. W tym momencie obaj stoją przede mną. Zrozumiał pan wreszcie?

Burnett w dalszym ciągu miał trudności z oddychaniem.

- Znam profesora Aachena. Znam go lepiej niż ktokolwiek. Nikt nie mógł zmusić go do współpracy z panem. Nikt! Nikt!

Nieruchomy uśmiech Lopeza stał się odrobinę szerszy.

- Senor Morro! Może odbyłbym małą rozmówkę z profesorem Burnettem w moim pokoju? Myślę, że dziesięć minut wystarczy.

- Zgoda. To powinno wystarczyć, aby go przekonać, że każdy będzie dla mnie pracował.

- Nie! Nie! - wykrzyknął Aachen, bliski hysterii. - Nie idź tam! Na miłość boską, Andy! Lepiej uwierz Morro! Ten potwór - szepnął patrząc z przerażeniem na Lopeza - jest zdolny do najstraszliwszych tortur, najbardziej piekielnych, jakich żaden człowiek zdrowy na umyśle nie zdoła sobie wyobrazić! Na Boga, Andy, nie bądź szaleńcem. Ten osobnik złamie cię, tak jak złamał mnie!

- Ja jestem przekonany - powiedział Healey. Podeszedł do Burnetta i chwycił go za ramię, dokładnie w chwili, gdy Dubois go puścił. Spojrzał na Schmidta i Bramwella, potem znów na Burnetta.

- Wierzmy wszyscy trzej. Wierzmy całkowicie. Po co dać się torturować we współczesnym odpowiedniku średniowiecznych machin, skoro nie służy to niczemu? Dowód już mamy. Boże drogi! Nie byłeś w stanie poznać starszego przyjaciela, którego widziałeś dziesięć tygodni temu. Czyż nie jest to dowód wystarczający? A tych sześć chodzących trupów techników? Czyż to nie jest kolejny dowód? Jeśli te "Ciotki Sally" są naprawdę bombami, musiał pan zaprojektować urządzenia niezbędne do ich eksplozji. Zapalnik może być uruchomiony przez mechanizm zegarowy albo drogą radiową. Wykluczam mechanizm zegarowy, gdyż zmuszałby pana do podjęcia decyzji

nieodwracalnych, a z trudem wyobrażam sobie, żeby taki człowiek jak pan pogodził się z czymś nieodwracalnym. Przypuszczam więc, że zdecydował się pan na zapalnik uruchamiany impulsem radiowym.

- Ho! Ho! - powiedział Morro z uśmiechem. - Tym razem, doktorze Healey, nie zadowolili się pan rozumowaniem powierzchownym. I, oczywiście, ma pan rację. Proszę za mną, panowie.

Zaprowadził ich do małej wnęki, z której przed chwilą telefonował. W jej ścianie były trzecie metalowe drzwi, ale tych nie otwierało się przez naciśnięcie guzika. Obok drzwi znajdowała się mała, mosiężna, bardzo błyszcząca płytką o wymiarach dwadzieścia pięć centymetrów na piętnaście. Morro przyłożył do niej dłoń z rozłożonymi palcami i drzwi łagodnie się rozsunęły.

Prowadziły do maleńkiego pomieszczenia o wymiarach mniej więcej dwa metry na dwa. Przy ścianie naprzeciwko drzwi stał mały stolik, na którym znajdował się niezwykle prosty nadajnik radiowy, wyposażony w tarczę z podziałką i pokrętło do regulacji. Na wierzchu umieszczono czerwony przycisk, osłonięty kopułką z plastiku. Do jednego z końców stołu przymocowany był cylinder wysoki na dwadzieścia centymetrów i o połowę mniejszej średnicy. Na wierzchu znajdowała się korbka.

Drugi koniec cylindra połączony był za pomocą izolowanego kabla z zaciskiem na bocznej ścianie nadajnika. Drugi zacisk połączony był przewodem z akumulatorem stojącym na podłodze, a trzeci - z gniazdkiem w ścianie.

- Urządzenie prawie dziecinne, proszę panów. Całkiem zwyczajny nadajnik, ale o niezwykłym przeznaczeniu. Jest zaprogramowany za pomocą swoistego kodu na ustaloną długość fal. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek zduplikuje ten sam kod i na tej samej długości fal, jest tak astronomicznie małe, że można je pominąć. Z drugiej strony, jak panowie widzicie, jesteśmy zabezpieczeni przed przerwą w dopływie prądu. Mamy prąd z sieci, ale mamy też akumulator i ręczny generator.

Mówiąc to, wskazał cylinder z korbką, potem dotknął palcem kopułki, która chroniła czerwony przycisk.

- Aby uruchomić to urządzenie, wystarczy odkręcić plastikową kopułkę, obrócić przycisk o dziewięćdziesiąt stopni i wcisnąć go.

Wyprowadził fizyków z pomieszczenia, położył znowu dłoń na mosiężnej płytce i patrzył, jak zamykają się przesuwane drzwi.

- Tutaj nie wystarczy już zwykły guzik. Ktoś niedbały mógłby się o niego oprzeć przypadkowo.

- Jedynie nacisk pana dłoni może uruchomić te drzwi? - zapytał Healey.

- Nie wyobrażacie sobie chyba, panowie, że ta płytką jest tylko bardziej skomplikowanym przyciskiem? A więc? Przystępujemy do nagrywania?!

- Jeszcze jedna sprawa - powiedział Burnett, wskazując na rząd "ciotek Sally". Na końcu półki są dwa puste miejsca. Dlaczego?

- No - Morro uśmiechnął się bez wyrazu. - - Już myślałem, że nigdy o to nie zapytacie.

Czterej fizycy siedzieli wokół stołu w pokoju Burnetta, kontemplując kieliszki z koniakiem oraz przyszość tym samym, zrozumiale zasmuconym, spojrzeniem.

- Powiedziałem wam, żebyście zapamiętali moje słowa - powiedział ciężkim głosem Burnett.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Nawet ta sala kontrolna mogłaby być gigantycznym oszustwem - stwierdził Schmidt, który czepiał się najmniejszego źdźbła nadziei.

Nikt mu nie odpowiedział, podobnie jak przed chwilą Burnettowi.

- I ja mówiłem, że nie jest aż tak amoralny jak prawdziwy szaleniec - podjął Burnett - że, gdyby był naprawdę szaleńcem, dokonałby eksplozji bomby atomowej na Wilshire Boulevard!

Znowu nikt nie zabrał głosu. Burnett wstał i oznajmił:

- Wrócę za chwilę, panowie.

Peggy nadal leżała w łóżku, ale wyglądała o wiele lepiej niż zaraz po przybyciu do Adlerheimu. Jej matka siedziała na krześle przy niej. Burnett stał z kielichem brandy w dłoni. Nie przyniósł go ze sobą. Pierwszą rzeczą, którą zrobił po wejściu do pokoju, było uchylenie barku. Stał za nim z łokciami opartymi o blat, patrząc apokaliptycznym wzrokiem i przemawiając apokaliptycznym głosem. W kieliszku był oczywiście Armageddon, a czarny anioł unoszący się w powietrzu miał towarzyszyć ogłoszeniu faktów.

- Nie będziecie się, panie, spierać z naszym jednomyślnym oświadczeniem, że siedzimy na takim ładunku nuklearnym, który wystarczy do zrobienia największej dziury w ziemi, jaką może wykonać ręka człowieka, albo do wystrzelenia nas wszystkich na orbitę. Odpowiednik trzydziestu pięciu milionów ton konwencjonalnego ładunku wybuchowego powinien wywołać niezły huk, prawda?

To była noc milczenia i pytań bez odpowiedzi.

Jego wzrok padł na Susan.

- Miły, łagodny, ludzki, troskliwy. Tak pani o nim powiedziała. Może nawet przejść do historii jako najbardziej zimny i bezwzględny potwór wszechświata. Siedmiu mężczyzn pod nami, których torturował - czy kazał torturować - co doprowadziło ich do skrajnej agonii i złamało moralnie! I gdzież ten miły dżentelmen umieścił brakującą bombę atomową? Trochę zmniejszony odpowiednik "Ciotki Sally", o mocy raptem półtorej megatony? To coś jest siedemdziesiąt pięć razy silniejsze niż bomby, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki. Wybuchając na wysokości trzech kilometrów, zniszczyć może natychmiast połowę ludności Kalifornii. Ci, którzy nie wyparują, zostaną zabici przez promieniowanie i pożary. Ale skoro ta bomba jest już na miejscu, to musiała zostać umieszczona albo na ziemi, albo pod ziemią. Skutki jej wybuchu i tak będą przerażające. Powiedzcie mi więc, gdzie według was to wcielenie cnót chrześcijańskich mogło ją umieścić, żeby nie zagrozić bożym owieczkom?

Wciąż wpatrywał się w Susan, ale ona nie patrzyła na niego. Nie unikała też jego wzroku. Była zaszokowana, jak wszyscy pozostali. Nic nie rozumiała i nic nie widziała.

- A więc mam sam wam to powiedzieć?

Była to wciąż noc milczenia.

- Los Angeles!

Rozdział IX

Następnego ranka odsetek ludzi nieobecnych w pracy był najwyższy w całych dziejach Kalifornii. Prawdopodobnie tak samo sytuacja przedstawiała się w pozostałych stanach i, w mniejszym może stopniu, w wielu cywilizowanych krajach całego świata, gdyż telewizyjny przekaz z zapowiedzianej eksplozji atomowej na Płaskowyżu Yucca był transmitowany na żywo przez satelity. Europa była ledwo dotknięta tą plagą - choć nie mniej przejęta samą groźbą - ze względu na przesunięcie czasu. Większość pracujących była już w swoich domach.

Ale w Kalifornii absencja była prawie pełna. Nawet instytucje służby publicznej, przedsiębiorstwa komunikacyjne i policja musiały funkcjonować, zadowolając się niewielką liczbą pracowników. Mógłby to więc być dzień błogosławiony dla przestępców, w szczególności dla złodziei i włamywaczy, gdyby nie fakt, że oni także zostali w domach.

Nie wiadomo, czy to ostrożność, lenistwo, czy też niedostępność Płaskowyżu Yucca albo możliwość obejrzenia wszystkiego w telewizji sprawiły, że jeden na dziesięć tysięcy Kalifornijczyków nie podjął próby udania się na miejsce eksplozji. Ci, którzy podjęli taką próbę - a takich śmiałków było najwyżej dwa tysiące - zostali natychmiast zatrzymani przez wojsko, Gwardię Narodową i policję, które ze śmieszną łatwością wykonywały rozkaz utrzymania cywilów w ustalonej odległości dziesięciu kilometrów od miejsca eksplozji.

Wśród widzów znaleźli się najwięksi stanowi naukowcy, a zwłaszcza - co było zrozumiałe - specjaliści od atomistyki i trzęsień ziemi. Dlaczego właśnie ci ostatni się tam zjawili, nie było do końca jasne, bo wybuch, podmuch i promieniowanie, wywołane wybuchem osiemnastokilatonowego ładunku atomowego, były doskonale znane od trzydziestu lat. Większość z nich nie widziała, oczywiście, wybuchu jądrowego osobiście, ale prawdziwa przyczyna ich przybycia leżała gdzie indziej. Przeklinana lub wielbiona, ale przecież wieczna ciekawość zawsze była główną motywacją wszystkich naukowców. Więc oni po prostu musieli to zobaczyć. Mogli, oczywiście, zostać przed telewizorami w domach, ale prawdziwy naukowiec to taki, który wszystko musi sam sprawdzić.

Wśród tych, którzy zostali u siebie, byli również major Dunne, który siedział w biurze, oraz sierżant Ryder, który był w domu. Aby znaleźć się na miejscu eksplozji należało, nawet helikopterem, przebyć około ośmiuset kilometrów tam i z powrotem; Dunne uważał to za stratę czasu, który można było poświęcić na śledztwo, Ryder natomiast - za stratę czasu, który mógł poświęcić na myślenie. Jeff Ryder najpierw chciał lecieć na miejsce wydarzeń, ale kiedy ojciec zapytał go lodowatym tonem, w jaki sposób sterczenie

tam mogłoby pomóc rodzinie, postanowił zostać. Tym bardziej że ojciec chciał, aby Jeff mu pomógł. Poprosił syna o napisanie na maszynie wszystkich informacji, choćby pozornie nic nie znaczących, dotyczących śledztwa, włącznie z przypomnieniem, w miarę możliwości, szczegółów wszystkich rozmów. Jeff wysiłał w tym celu swoją nadzwyczajną pamięć, jak tylko mógł. Od czasu do czasu patrzył z wyrzutem na ojca, który zajmował się pozornie bezmyślnym kartkowaniem otrzymanych od profesora Bensona materiałów dotyczących trzęsień ziemi.

Za dziesięć dziesiątą Jeff włączył jednak telewizor. Ekran pokazywał niebieskawą połąć najzupełniej nie zagospodarowanej pustyni. Było to tak nudne, że komentator starał się, jak mógł, skompensować to wrażenie dokładnym i zapierającym dech w piersiach opisem tego, co się działo na ekranie. Był to szlachetny, choć z góry skazany na przegraną wysiłek, jako że na ekranie absolutnie nic się nie działo. Poinformował on widzów, że kamera znajduje się na Płaskowyżu Francuzów w odległości dziesięciu kilometrów od spodziewanego epicentrum wybuchu, na południowy wschód od owego miejsca. Miał więc nadzieję, że kogoś naprawdę interesuje, z jakiego kierunku kamera pokazuje obraz. Powiedział również, że urządzenie atomowe musi z całą pewnością być głęboko zakopane w ziemi, a więc nie należy się spodziewać ognistej kuli, o czym każdy wiedział już od kilku godzin. Mówił także, że telewizja używa filtru, co mógł dostrzec każdy, kto nie był daltonistą. Oznajmił wreszcie, że jest za dziesięć minut dziesiątą, jakby był jedynym człowiekiem w całej Kalifornii, który miał zegarek. Musiał on, oczywiście, coś mówić, ale to, co mówił, było bardzo mało lotne jak na próbę przygotowania widzów na coś, co mogło stać się historycznym wydarzeniem. Jeff spojrzął na ojca z rozpaczą. Ryder nie patrzył na nic ani niczego nie słuchał. Nie kartkował już książki, ale wpatrywał się całkiem bezmyślnie w jakąś stronę. Odłożył wreszcie podręcznik i sięgnął po telefon.

- Tato - powiedział Jeff - za trzydzieści sekund się zacznie.

- Aha - Ryder odstawił telefon i posłusznie zaczął wpatrywać się w ekran.

Komentator mówił teraz tym spiętym, prawie histerycznym tonem na głębokim wdechu, którego używa się do pobudzenia emocji na ostatnich metrach wyścigów samochodowych. W tym przypadku ton był zupełnie nie na miejscu. Lepszy byłby czyjś spokojny i wyważony głos, bo nadchodzące wydarzenie było tak emocjonujące, że nie trzeba było już niczego pobudzać. Komentator zaczął teraz odliczanie, począwszy od trzydziestu sekund, i z każdą odliczaną sekundą podnosił głos. Cały efekt został zaprzepaszczonej z powodu źle chodzącego zegarka - prezentera albo Morro. Urządzenie wybuchło czternaście sekund przed czasem.

Dla widzów od dawna przyzwyczajonych do oglądania eksplozji atomowych na ekranach telewizorów lub w kinach, dla zblazowanych ludzi, znudzonych widokiem rakiet wystrzeliwanych z Przylądka Canaveral, wizualny efekt tego wybuchu był w jakiś dziwny sposób pozbawiony finału. Kula ognia była znacznie większa, niż zapowiedziano. Białoniebieski błysk był tak intensywny, że wielu widzów zmrużyło lub wręcz musiało zamknąć oczy. Ale słup dymu, ognia i pyłu wzbijający się w błękitne niebo Nevady, tym błękitniejsze, że kolor był wzmocniony filtrami nałożonymi na kamery, a kończący się grzybem radioaktywnej chmury, dokładnie powtarzał znany wszystkim scenariusz. Dla mieszkańców centralnej Amazonii ten tytaniczny spazm zapowiadałby bez wątpienia koniec świata. Dla bardziej wyrobionej publiczności był to spektakl niemodny i przestarzały. Gdyby zdarzył się na jednym z atoli Pacyfiku, najprawdopodobniej większość ludzi nie zadałaby sobie trudu obejrzenia go.

Ale eksplozja nie nastąpiła na jednym z odległych atoli Pacyfiku, a zamiarem Morro nie było dostarczenie Kalifornijczykom rozrywki, mającej oderwać ich od codzienności. Jego zamiarem było przesłanie im mrozącego krew w żyłach ostrzeżenia czy złowieszczej groźby. Tym bardziej przerażającej, że nie enigmatycznej, lecz wyraźnie określonej groźby niewyobrażalnej klęski, która spadnie na nich według woli tego, kto zainstalował bombę atomową i wywołał jej eksplozję. Bardziej przyziemnym celem było pokazanie, że istnieje człowiek, który dotrzymuje danego słowa i potrafi spełnić swoje groźby. I jeśli to było zamiarem Morro, a trudno było sądzić, że chodzi mu o coś innego, to udało mu się to w takim stopniu, w jakim sam się nie spodziewał. Wsączył przerażenie w serca znacznej większości Kalifornijczyków i począwszy od tego momentu, praktycznie w całym stanie istniał jeden tylko temat rozmów: kiedy i gdzie ten nieobliczalny szaleniec uderzy znowu i jakie mogą być motywacje jego czynów. Temat ten miał być osią rozmów jeszcze dokładnie dziewięćdziesiąt minut. Po upływie tego czasu opinia publiczna miała uzyskać nareszcie coś konkretnego i określonego jako powód do zmartwień. Mówiąc dokładniej, część Kalifornii miała przejść od stanu nie całkiem nieuzasadnionej obawy do zwykłej paniki.

- No tak - Ryder wstał - nigdy nie wątpiliśmy, że ten człowiek dotrzymuje słowa. Nie jesteś zadowolony, że nie straciłeś czasu i zrezygnowałeś z obejrzenia w terenie tej widowiskowej dywersji psychologicznej? Jemu chodziło o przyciągnięcie uwagi. O nic więcej. Odwróci to przynajmniej uwagę ludzi od podatków i waszyngtońskich krętactw.

Jeff nie odpowiedział. Właściwie nawet nie słyszał słów ojca. Wpatrywał się w grzyb atomowy, który rozrastał się coraz bardziej na niebie Nevady i słuchał odpowiednio ponurego komentarza, opisującego z mnóstwem szczegółów to, co każda osoba obdarzona

nawet resztką jednego oka mogła zobaczyć sama. Ryder potrząsnął ze smutkiem głową i podniósł słuchawkę telefonu. Zgłosił się major Dunne.

- Coś nowego? - zapytał Ryder. - Proszę pamiętać, że mój telefon jest na podsłuchu.
- Coś się rusza.
- Interpol?
- Coś się rusza.
- Kiedy?
- Pół godziny.

Ryder odłożył słuchawkę, potem zadzwonił do Parkera, umówił się z nim w FBI za trzydzieści minut, usiadł, przeżuwał przez chwilę myśl, że zarówno Dunne, jak Parker uznali realność groźby Morro za coś tak oczywistego, że żaden z nich nawet nie skomentował wydarzenia, a potem wrócił do lektury. Upłynęło pięć minut, zanim Jeff wyłączył telewizor, z irytacją przyjrzał się ojcu, usiadł za stołem, wystukał kilka słów na maszynie, a potem zapytał jadowitym tonem:

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?
- Ani trochę. Ile stron już napisałeś?
- Sześć.
- Za kwadrans pojedziemy do Dunne'a - odparł Ryder, wyciągając rękę, by zabrać kartki. - Coś się ruszyło albo właśnie zaczyna się ruszać.
- Co?
- Może zapomniałeś, że jeden z ludzi Morro ma na głowie kask ze słuchawkami podłączonymi do telefonu?

Jeff, nadęty, wrócił do pracy, podczas gdy Ryder zaczął spokojnie czytać jego notatki.

Wyraźnie wypoczęty Dunne, który wreszcie przespał całą noc, czekał na Jeffa, Rydera i Parkera. Natomiast towarzyszący mu Delage i Leroy wyglądali na mocno niewyspanych.

- Dwaj oddani agenci, którzy myślą, że świetność ich szefa minęła - powiedział Dunne wskazując na swoich adiutantów - całą noc byli na nogach. Co znaczy, że ci oddani agenci - Dunne pokazał na papiery leżące na biurku - zbierali ploteczki tu i tam. Przynieśli trochę pożytecznych informacji i trochę śmieci. Co sądzicie o pokazie Morro?

- Robi wrażenie. Co pan znalazł?

- Nuansę konwersacji na światowym poziomie nie są, jak widzę, pana mocną stroną, sierżancie - Dunne westchnął. - Mam raport Daimlera.

- Szef ochrony elektrowni w Illinois?

- Tak. Ale pamięć pana nie opuszcza. Ani Jeffa. Przeczytałem właśnie jego notatki. Powiada on, że Carlton kontaktował się z jakąś ekscentryczną grupą. Wysłaliśmy więc tam chłopca, który przepytał syna gospodyni Carltona, bo - jak mówiłem - wolę, aby tymi rzeczami zajęli się nasi ludzie. Nie powiedział nic ważnego. Był zaledwie na dwóch lub trzech zebraniach i dał sobie spokój. Miał dosyć pieprzenia bez sensu - tak powiedział.

- Jak się oni nazywali?

- Damasceńscy Wyznawcy. Nic o nich nie wiadomo. Nigdy nie byli wpisani na żadną listę kościołów lub sekt religijnych. Rozwiązali się po pół roku.

- Ale mieli jakąś religię? Modlili się, mieli chociażby jakieś posłanie?

- Nie modlili się, ale rzeczywiście mieli posłanie. Głosili wieczne potępienie wszystkich chrześcijan, żydów, buddystów i wyznawców szintoizmu. W gruncie rzeczy - o ile mogłem się zorientować - wszystkich, którzy nie są damasceńczykami.

- Niezbyt oryginalne. Czy na ich liście figurowali muzułmanie?

- To dziwne, ale nie - oznajmił Dunne, zajrzawszy do notatki. - Dlaczego pan pyta?

- Zwykła ciekawość. Czy syn gospodyni potrafiłby rozpoznać któregoś z nich?

- Byłoby to trafne. Damasceńczycy nosili maski, płaszcze i kaptury, jak Ku-Klux-Klan. Z tym, że ci ubierali się na czarno.

- A jednak mieli z tamtymi coś wspólnego. Ku-Klux-Klan niezbyt chyba przepada za Żydami, katolikami i Murzynami. Tak więc nie można ich zidentyfikować.

- Nie. Ale syn gospodyni powiedział naszemu agentowi, że jeden z nich był najwyższym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widział - olbrzym, ponad metr dziewięćdziesiąt i bary jako koń pociągowy.

- Czy zauważył coś szczególnego w jego głosie?

- Nasz agent uważa, że powinno się go zamknąć do czubków.

- Ale Carlton nie był czubkiem. Co z Morro?

- Chodzi ci o jego akcent? Otrzymaliśmy wiele raportów przesłanych przez - jak ich nazwiemy - lingwistów z całego stanu. Mamy już trzydzieści osiem, a ciągle napływają nowe opinie. Wszyscy ci eksperci gotowi są zaryzykować swoją reputację. Faktem jest, że dwudziestu ośmiu spośród nich twierdzi, iż akcent wskazuje na pochodzenie z południowo-wschodniej Azji.

- Tak? Próbowali przynajmniej precyzyjniej to określić?

- Więcej nie pisali.

- To również interesujące. A Interpol?

- Nic od nich nie ma.

- Czy ma pan wykaz wszystkich miejsc, w których sprawdzali? - Dunne rzucił okiem na Leroya, który skinął potakująco głową. - Na przykład Filipiny?

- Nie - Leroy zajrzał do wykazu.

- Niech pan spróbuje połączyć się z Manilą. Niech szukają w regionie Cotabato na Mindanao.

- Co jest czym?

- Mindanao to największa wyspa na Filipinach, leżąca całkiem na południu, a Cotabato to jeden z portów tej wyspy. Być może, Manila nie zainteresuje się tym, co się dzieje w Cotabato, położonym w odległości prawie tysiąca kilometrów w linii prostej, a tysiąca pięciuset drogą. Należy jednak próbować.

- Rozumiem - Dunne zamilkł na chwilę. - Wie pan coś, czego my nie wiemy?

- Nie. Są duże szanse, że robię z siebie idiotę. Chodzi o przypadkową zbieżność opartą na groteskowo małym prawdopodobieństwie. LeWinter?

- Jedna rzecz jest niesłychanie dziwna. Pamięta pan, że w notesie z adresami LeWinter zanotował numery telefonów wielu osób, z którymi, według naszych wyobrażeń, nie mógł pozostawać w żadnych stosunkach towarzyskich lub zawodowych. Byli to inżynierowie wiertacze, specjaliści od sprzętu do poszukiwań ropy. W sumie czterdzieści cztery osoby. Z sobie tylko znanych powodów Barrow wyznaczył po jednym agencie FBI na każdego, aby ich przesłuchać.

- Czterdziestu czterech! To mnóstwo ludzi!

- Szacunkowo licząc, mamy w FBI osiem tysięcy ludzi w całym kraju - Dunne starał się być cierpliwy. - Jeśli Barrow zdecydował się oddelegować pół procent swych ludzi do tej sprawy, to jego prawo. Ważne jest to, że dwudziestu sześciu z nich wróciło z tym samym zaskakującym rezultatem. Powiedziałbym, że nawet oszałamiającym. Dwudziestu sześciu ludzi, których nazwiska figurują w notatniku LeWintera, zniknęło. Żony, dzieci, rodziny, przyjaciele - nikt nic nie wie. I co pan na to?

- To jest również interesujące.

- Interesujące, interesujące! To wszystko, co ma pan do powiedzenia?

- No cóż. Jak sam pan powiedział, jest cholernie dziwne.

- Ryder, jeśli ma pan jakiś ślad albo jeśli coś pan ukrywa...

- Utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, tak?

- Właśnie.

- Myślałem, że jestem kompletnym durniem, Dunne. Teraz wiem, że pan nim jest - nastąpiła krótkka, ale bardzo krępująca cisza. - Oczywiście, że utrudniam. Ilu członków pańskiej rodziny Morro trzyma u siebie? - znów chwila ciszy. - Mam zamiar pogadać z naszym przyjacielem LeWinterem. A raczej on będzie gadał ze mną! Jest rzeczą równie widoczną, jak ta ręka przed pańskim nosem, że LeWinter przygotował tę listę dla Morro i że Morro kupił tych dwudziestu sześciu facetów albo ich porwał. A pańscy agenci mogliby owocnie popracować nad kryminalną przeszłością tych osób. LeWinter to powie. Choćby miał przy tym umrzeć.

Zimna i spokojna zaciętość głosu Rydera zmroziła wszystkich obecnych w pokoju. Jeff spojrzął na ojca, jakby go zobaczył po raz pierwszy. Parker oglądał sufit. Delage i Leroy spoglądali na Dunne'a, ten zaś na swoją dłoń, którą w końcu otarł czoło.

- Może nie jestem sobą. Może udzieliło się to wszystkim. Przepraszam. Następną rzeczą, o którą nas pan oskarży, będzie to, że jesteśmy bandą głupawych nieudaczników. Na Boga! Sierżancie! Są granice przekraczania prawa. Zgoda, miał tę listę zaginionych. Tuzin innych ludzi może mieć podobne listy z zupełnie niewinnych powodów. Operuje pan przypuszczeniami. Bez śladu dowodu, choćby pośredniego, o powiązaniach LeWintera z Morro.

- Nie potrzebuję dowodów.

Dunne ponownie otarł pot z czoła.

- Właśnie pan oświadczył w obecności trzech urzędników rządowych, że jest pan gotów użyć tortur dla uzyskania informacji.

- Kto mówił o torturach? Powiedzmy, że będą to klasyczne objawy zawału. Miał mi pan do powiedzenia dwie rzeczy o LeWinterze. To była ta pierwsza. A druga?

- Jezus! - Dunne był załamany - Delage, ty masz te dane. Ja muszę trochę pomyśleć.

- Cóż! - Delage nie wyglądał na szczęśliwszego od swojego szefa - panna Ivanhoe zaczęła mówić. Jest w tym jakiś związek z Genewą. Wygląda to na fragment powieści science-fiction, ale i tak jest pouczające. Największe kraje tego świata, dokładniej mówiąc: trzydzieści krajów, uczestniczą w konferencji rozbrojeniowej w Genewie.

- I tak mam cały ranek do dyspozycji - wtrącił Ryder.

- Przepraszam. To co mówiła, nie miało dla nas sensu, więc skontaktowaliśmy się z ERDA. Asystent doktora Durrera przyjechał i przejrzał notatki z tego, co powiedziała panna Ivanhoe. Nie miał trudności z ich zrozumieniem. To ekspert.

- Nie mam natomiast wolnego popołudnia.

- Niech mi pan pozwoli się wygadać, dobrze? Napisał dość krótki raport w tej sprawie.

- Tajny?

- Odtajniony. O, tu: "od dawna przyjęto, że wojna nuklearna, nawet w ograniczonej skali, stanie się przyczyną hekatomb, inaczej mówiąc: milionów trupów. Agencja ds. Rozbrojenia i Kontroli Zbrojeń doszła parę lat temu do wniosku, że przyczyną tych zgonów może być jeszcze coś innego, nie związanego bezpośrednio z wojną. Duża liczba eksplozji jądrowych o mocy megatony może zniszczyć powłokę ozonu, która osłania ziemię przed śmiertelnym promieniowaniem ultrafioletowym wysyłanym przez słońce.

Wiele osób wciąż żyje w przekonaniu, że ozon to jest to, co wdychają nad morzem. Ozon w rzeczywistości jest pewną formą tlenu, posiadającą trzy atomy zamiast dwóch, i naprawdę może być wdychany nad morzem, gdzie powstaje w wyniku procesu elektrolizy wody, ale tylko po wyładowaniach elektrycznych w powietrzu, na przykład po burzy. Ozon w postaci naturalnej występuje natomiast jedynie w niższych warstwach stratosfery na wysokości od piętnastu do pięćdziesięciu kilometrów.

Nadmiar ciepła wywołany eksplozjami jądrowymi powoduje zmieszanie atomów tlenu i azotu. Tak powstały tlenek azotu zostaje unoszony z chmur atomowych do góry, co z kolei powoduje dobrze znaną reakcję chemiczną, zmieniającą strukturę atomową azotu, transformującą go w normalny tlen, który nie daje żadnej osłony przed promieniowaniem ultrafioletowym. To zaś tworzy dziurę w powłoce ozonowej, wystawiając znajdujący się pod nią obszar na bezpośrednie działanie słońca.

Wciąż niejasne są dwa możliwe skutki tej sytuacji. Po pierwsze..."

Delage przerwał, ponieważ zadzwonił telefon. Leroy podniósł słuchawkę, wysłuchał uważnie i podziękował rozmówcy.

- Sam nie wiem, czy powinienem dziękować mu za ten telefon - powiedział. - Dzwonili z lokalnej stacji telewizyjnej. Wygląda na to, że Morro chce kuć żelazo, póki gorące. Ma następny komunikat. Ogłosi go o jedenastej, czyli za osiem minut. Komunikat ten będzie nadany w telewizji i w radio, na wszystkich kanałach. I sądzę, że na całe Stany też.

- Cóż za wyjątkowy ranek! - powiedział Dunne. - Wart zapamiętania. Ciekawe, dlaczego nie uzgodnili tego z FBI. Powinniśmy coś wiedzieć wcześniej niż inni.

- Ma pan im to za złe? - spytał Ryder. - A co FBI zrobiło, aby nie dopuścić do eksplozji? Teraz to sprawa ogólnonarodowego bezpieczeństwa, a nie zwykłe śledztwo FBI.

Od kiedy to przysługuje wam prawo ogłaszania stanu wojennego? Stacje telewizyjne, uważają - jak wszyscy w tym kraju - że FBI może im naskoczyć - spojrzal na Delage'a. - Mówił pan, po pierwsze...

- Ryder! Jest pan pozbawionym serca sukinsynem - oznajmił Dunne. I sądząc po tonie głosu, naprawdę tak uważał.

Delage spojrzal z nieszczęśliwą miną na Dunne'a, który ukrył twarz w dłoniach. Zerknął więc ponownie do swoich notatek.

- Po prostu nie wiemy, co się stanie. Konsekwencje mogą być żadne albo tragiczne. Po prostu możemy wszyscy opalić się na heban. Równie dobrze jednak promieniowanie ultrafioletowe może wykończyć całą ludzkość, zabić wszystkie rośliny i zwierzęta. Formy morskie i podziemne powinny przeżyć. Nie możemy tego sprawdzić - Delage podniósł wzrok znad notatek - to mi się podoba, a panu?

- Rozważymy to później - odparł Ryder. - A po drugie?

- No cóż. Nie wiadomo, czy taka dziura pozostanie w jednym miejscu, czy będzie zmieniać swoje położenie i rozmiary. Reakcje chemiczne w stratosferze są wielką niewiadomą i zupełnie nie dają się przewidywać. Możliwa jest reakcja łańcuchowa, która doprowadzi do zniszczenia wielkich obszarów lądu. Istnieje wręcz możliwość, że niektóre kraje rozpoczęły już takie eksperymenty w odległych regionach.

- Ma pan na myśli Syberię? - spytał Parker.

- Nie wiadomo. Jest całkiem możliwe, że taką dziurę można wywołać sztucznie i że będzie ona stabilna. Ale to czyste domysły. I tutaj zbliżamy się do obrad w Genewie. Trzeciego września 1976 roku konferencja rozbrojeniowa trzydziestu państw przygotowała projekt dokumentu dla Zgromadzenia Ogólnego ONZ, zakazującego wszelkich doświadczeń wojskowych związanych z modyfikacjami środowiska naturalnego człowieka. Jak można się było spodziewać, ONZ wciąż rozważa ten projekt. Projekt sformułowany jest w punktach, wyszczególniających dziedziny zakazane dla doświadczeń wojskowych, jak: trzęsienia ziemi...

- Trzęsienia ziemi - powtórzył Ryder w zamyśleniu.

- Właśnie. Wywoływanie fali przyptywów...

- Przyptywów... - Ryder sprawiał wrażenie kogoś, kto nagle zaczął coś rozumieć.

- Tak mam tu napisane. Potem jest jeszcze nierównowaga ekologiczna, zmiany pogody i klimatu, zmiany prądów morskich, naruszanie warstwy ozonowej w atmosferze. Delegat amerykański w Genewie, pan Joseph Martin, uważa, że zatwierdzenie tego projektu stworzy bardzo silny hamulec dla rozwoju wszelkich technik zmiany otoczenia

naturalnego przy pomocy środków technicznych. Pan Martin zdaje się jednak zapominać, że jedynym efektem podpisania porozumienia SALT było umożliwienie Rosjanom, w imię świętego słowa detente, rozpoczęcia prac nad nową generacją silniejszych rakiet balistycznych - przez chwilę przeglądał w milczeniu swoje notatki. - Mam tu jeszcze trochę czysto naukowej paplaniny, ale to, co powiedziałem, jest najważniejszym podsumowaniem wynurzeń panny Ivanhoe.

- Włącz telewizor - powiedział Dunne - została nam jeszcze minuta albo coś koło tego. Ma pan sześćdziesiąt sekund na podzielenie się z nami swoimi uwagami, sierżancie.

- Bzdury - odparł Ryder - lub jeśli chce pan wyraźniejszej...

- Zrozumiałem. A więc nie było żadnych czerwonych pod łóżkiem?

- Tego nie powiedziałem. Nie powiedziałem też, że nie wierzę w tę historię z dziurą ozonową. Nie jestem naukowcem. Twierdzę tylko, że to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. A co z tym rosyjskim szyfrem? - kiedy Ryder był wściekły, to nie hamował tego w sobie. - Czy pan naprawdę uważa, że Rosjanie - czy ktokolwiek inny - użyliby do takiej akcji niewinnej smarkuli, która będzie sypać na sam widok palca, którym chce się ją stuknąć? I po to, żeby ukryć tajemnicę, o której od dwóch lat wszyscy wiedzą? To bzdura.

- Może chcieli podłożyć nam fałszywy ślad?

- Tak. Nie.

- Zapomniał pan o "może"?

- Chciałem powiedzieć: "może". Ale zamiarem Morro jest coś innego. Może on uważa, że to tak bzdurny pomysł, że od razu wywalimy go do kosza, a on wtedy spokojnie go zrealizuje? A może nie? Może naprawdę Rosjanie maczają w tym palce? To stara historia. Trzech farmerów ścigało koniokrada w kanionie. Farmer A uważa, że koniokrad uciekł w diabły, aż na sam koniec kanionu. Farmer B uważa się za bardziej cwane niż farmer A i sądzi, że koniokrad pomyśli, iż farmer A tak właśnie będzie twierdził, i w związku z tym wdrapie się na drzewo. Farmer C uważa się za jeszcze bardziej przebiegłego niż obaj pozostali i sądzi, że koniokrad pomyśli to samo, co pomyślał farmer B i pójdzie jednak na koniec kanionu. I tak mogą się prześcigać w domysłach.

- Bardzo możliwe - dodał po chwili zastanowienia - że jest jeszcze jakieś odgałęzienie tego kanionu, o którym nikt nie wie. Tak samo jak nie wiemy, jak wygląda pierwszy kanion.

- To rzadki zaszczyt - stwierdził Dunne - usłyszeć na własne uszy, jak pracuje mózg detektywa.

Ryder zachowywał się, jakby go w ogóle nie usłyszał.

- A ten ekspert z ERDA? To musi być fizyk, skoro mówił o dziurze ozonowej w atmosferze. Gdyby Rosjanie, lub ktokolwiek inny, przeprowadzili taki eksperyment z użyciem wielu bomb, to przecież musielibyśmy o tym wiedzieć. To by się znalazło na pierwszych stronach gazet. A nic takiego nie czytałem. A wy?

Nikt nic nie odpowiedział.

- No więc nie było żadnych eksperymentów. Może Rosjanie, lub ktokolwiek inny, są tak samo przerażeni wynikiem takiego doświadczenia, jak my. Może wojna jądrowa nie będzie toczyć się na lądzie. Niektórzy twierdzą, że rozegra się w kosmosie. Nasz przyjaciel z ERDA sugeruje podwodne lub podziemne użycie broni jądrowej. Czy nie boicie się, że zmoczymy sobie nogi?

- Jestem pewien, że Morro dokładnie nam to wyjaśni - odparł Dunne.

Komentator telewizyjny, który się teraz pojawił, był znacznie starszy niż poprzedni, co nie wróżyło nic dobrego. A jeszcze gorszą wróżbą było to, że ubrany był jak na pogrzeb - w ciemny garnitur. Szanujący się kalifornijski komentator nie nałożyłby takiego nawet na własny pogrzeb. Najgorsze zaś było to, że miał minę, która zazwyczaj wróżyła, że jakiś kalifornijski superchampion dostał strasznego łupnia od kogoś z zewnątrz. Ton jego głosu doskonale współgrał z jego wyglądem.

“Otrzymaliśmy kolejny komunikat od tego bandyty Morro” - komentatorowi najwyraźniej obca była podstawa prawa anglosaskiego, według której oskarżony uważany jest za niewinnego aż do chwili ogłoszenia wyroku.

“Komunikat zawiera złowrogie ostrzeżenie, groźbę bezprecedensową, a skierowaną przeciwko wszystkim obywatelom Kalifornii. Groźbę, której nie można zbyć lekceważeniem, zważywszy to, co stało się dziś rano na Płaskowyżu Yucca. Razem ze mną są w studio eksperci, którzy później wyjaśnią nam wszystkie szczegóły. Ale najpierw oddajmy głos Morro”.

“Dobry wieczór. Ten komunikat nagrany został wcześniej”.

Jak poprzednio, głos był spokojny i odprężony, jakby mówił o ostatnich wahaniach wskaźnika Dow Jonesa na giełdzie.

“Nagrałem go wcześniej, ponieważ miałem całkowitą pewność, że wynik mojego doświadczenia na Płaskowyżu Yucca będzie pomyślny, i w momencie kiedy usłyszycie te słowa, będziecie także wiedzieli, że moja ufność nie była pozbawiona podstaw. Ta drobna demonstracja moich zasobów nuklearnych nie przyniosła żadnych szkód i nikomu nie wyrządziła krzywdy. Następną demonstracją odbędzie się na znacznie większą skalę, może dotknąć miliony osób, jeśli będą one na tyle głupie, by nie potraktować z najwyższą powagą

tego ostrzeżenia. Jestem jednak przekonany, że chętnie usłyszycie potwierdzenie moich słów na najwyższym naukowym poziomie. Profesorze Burnett?

- Ten piekielny sukinsyn ma to, o czym mówi - jak na człowieka o niewątpliwie błyskotliwym umyśle Burnett miał zadziwiająco ograniczony repertuar stosowanych epitetów. - Z odrazą uciekam się do słowa "błagam" w obliczu największego szaleńca wszechczasów, ale błagam was, byście mi uwierzyli, że dysponuje on naprawdę środkami, o których mówi. Moi koledzy i ja nie mamy co do tego żadnych złudzeń. Jest w posiadaniu co najmniej jedenastu bomb wodorowych, z których każda może zamienić całą południową Kalifornię w pustynię, równie pozbawioną życia jak Dolina Śmierci. Każda z tych bomb ma moc rzędu trzech i pół megatony, czyli jest to mniej więcej odpowiednik trzech i pół miliona ton TNT. Każda z nich jest dwięście razy silniejsza od tej, która zniszczyła Hiroszimę. A ma on jedenaście takich potworów. Sprostowanie - tutaj jest ich tylko dziesięć. Jedna jest już na miejscu. A miejsce, w którym ten szaleniec ją umieścił...

- Wyjawienie miejsca, w którym znajduje się bomba - przerwał Morro - to przywilej, który rezerwuję dla siebie. Doktorze Schmidt, doktorze Healey, doktorze Bramwell, może panowie będzie uprzejmi potwierdzić oświadczenie swojego kolegi".

Z rozmaitym natężeniem entuzjazmu, powagi i oburzenia trzej fizycy rozproszyli u słuchaczy najmniejszą wątpliwość co do autentyczności zagrożenia. Kiedy Bramwell skończył mówić, Morro znowu zabrał głos:

"A teraz najdobitniejsze potwierdzenie moich słów. Dostarczy go profesor Willi Aachen, prawdopodobnie najznakomitszy fizyk amerykański w dziedzinie fizyki jądrowej, człowiek, który osobiście nadzorował każdy etap konstrukcji tej bomby. Jak Państwo pamiętacie, profesor Aachen zniknął jakieś siedem tygodni temu. Od tego czasu pracował ze mną.

- Z tobą? Z tobą? - głos Aachena brzmiał nadzwyczaj starczo. Ty potworze! Ty... ty... nigdy bym dla ciebie nie pracował... - dalej słychać było szloch, po czym nastąpiła cisza.

- Torturowali go! - krzyknął Burnett - torturowali! Jego i sześciu porwanych techników poddali najbardziej niewyobrażalnym... - zamilkł, jakby ktoś nagle zaczął go dusić, co prawdopodobnie właśnie się stało.

- Ależ ma pan charakterek, profesorze Burnett - podjął Morro zrezygnowanym głosem. - A więc, profesorze Aachen, co się tyczy sprawności tych bomb...

- Wybuchną - powiedział Aachen słabym i wciąż drżącym głosem.

- Skąd pan to wie?

- Sam je zrobiłem - wyszeptał Aachen z głębokim znużeniem. - Jest przecież jeszcze kilka specjalistów. Mogę podać charakterystyki...

- To nie będzie potrzebne”.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, potem Morro mówił dalej.

“Dobrze. Usłyszeliście potwierdzenie faktów podanych w sposób tak jasny, że nawet najbardziej upośledzony umysłowo osobnik musi je zrozumieć. I jeszcze maleńkie sprostowanie. Choć pozostałe dziesięć bomb ma moc trzy i pół megatony każda, to ta, która jest już na swoim miejscu, ma półtorej. Muszę szczerze powiedzieć, że nie jestem pewien skutków wybuchu o sile trzy i pół megatony. Może to uwolnić siły, których uwalniania wcale nie pragnę. Przynajmniej na razie”.

Zamilkł na chwilę.

- On całkiem oszalał - powiedział Dunne z całkowitym przekonaniem.

- Może - odparł Ryder. - Jedno jest pewne: jest świetnym aktorem. Te wszystkie pauzy, efekty głosowe.

“Ta bomba ma zaledwie metr wysokości i pół metra średnicy i z łatwością zmieści się w bagażniku samochodu. Znajduje się już na dnie Pacyfiku w pewnej odległości od Los Angeles. Mówiąc dokładniej, na skraju Zatoki Santa Monica. Kiedy wybuchnie, wywoła falą wysokości, jak się oblicza, sześciu do ośmiu metrów, choć na wschodnio-zachodnich ulicach Los Angeles może osiągnąć dwukrotnie większą wysokość. Jej skutki dadzą się odczuć aż do Point Arquello na północy i do San Diego na południu. Osoby zamieszkujące wyspy, a w szczególności wyspę Santa Catalina, powinny poszukać sobie schronienia na wyżej położonych terenach. Obawiam się, że nie wiemy, czy wybuch nie wywoła wstrząsu w Uskoku Newport-Inglewood. Ale spodziewam się, że i tak ta część miasta zostanie ewakuowana.

Nie potrzebuję, jak sądzę, ostrzegać nikogo przed próbą lokalizacji tej bomby. Jej eksplozję można wywołać w dowolnym momencie i uczynię to, jeśli zostaną podjęte jakiegokolwiek próby przeszkodzenia mi. W takim przypadku eksplozja nastąpi przed przystąpieniem do ewakuacji strefy zagrożenia, a jej rezultat niewątpliwie będzie katastrofalny. Inaczej mówiąc, ktokolwiek wysłałby samolot, helikopter czy łódź, żeby dokonać poszukiwań w strefie usytuowanej między wyspami Santa Cruz i Santa Catalina, będzie bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć niezliczonych tysięcy ludzi.

Mam parę żądań. Zostaną one sformułowane dziś o godzinie pierwszej po południu. Jeśli nie zostaną spełnione dziś do północy, spowoduję wybuch bomby wodorowej, o której właśnie mówiłem, o dziesiątej rano. Jeśli mimo to nie spełni się moich żądań, pozostałe

bomby - nie jedna, lecz wszystkie pozostałe - wybuchną w bliżej nieokreślonym momencie w nocy z soboty na niedzielę”.

Tą radosną puentą zakończył się komunikat Morro. Dunne wyłączył telewizor.

Komentator zaczął przedstawiać ekspertów, ale Dunne wyłączył telewizor, twierdząc, że jeśli Morro nie jest pewien skutków wybuchu, to inni nie będą tego wiedzieli tym bardziej.

- No cóż, Ryder. Miał pan rację. Zamoczmy stopy. Wierzy mu pan?

- Jasne. A pan?

- Też. I co robimy?

- To sprawa władz. Jakichkolwiek władz. Ja jadę w góry.

- Nie mogę w to uwierzyć - wtrącił Delage.

- Jasne - odparł Dunne. - Dzięki takim jak pan podbito Zachód. Coś panu powiem. Proszę mi zostawić adres najbliższej rodziny, a panu radzę pojechać jutro na Long Beach. A jeszcze lepiej by było, gdyby kupił pan sobie bilet na prom z Cataliny - spojrzał zimno na nieszczęsnego Delage'a, a potem zwrócił się do Rydera:

- Powiedziałbym, że Los Angeles będzie strasznie zalatane w najbliższym czasie.

- Proszę na to spojrzeć z innej strony. To jest największy szok, jaki się przytrafił miastu o największym nasileniu neurozy. A teraz wszyscy dostali świetny pretekst, żeby dać swobodny upust wszystkim swoim fobiom. Apteki będą miały pełne ręce roboty.

- To jasne, Morro nie spodziewa się, żeby to drugie ostrzeżenie było wystarczające - powiedział Parker. - Bo po cóż byłyby mu wszystkie zapasowe bomby? Jego żądania muszą być astronomiczne.

- I wciąż ich nie znamy - westchnął Dunne. - Jeszcze dwie godziny! Piekielny sukinsyn! Dobrze wie, jak podsycać napięcie. Ale zastanawiam się, dlaczego nie kazał skasować na nagraniu tych aluzji do tortur. To trochę przyciemnia jego wizerunek.

- Uwierzył pan w to? - spytał Ryder.

Dunne skinął głową.

- I o to chodziło. To nie jest żadna gra, to jest rzeczywistość. Bardziej interesuje mnie to, że chyba Morro staje się za bardzo rozluźniony. A może jest tak pewny siebie, że mówi za dużo. Dlaczego zabronił Aachenowi podać szczegóły, skoro sam podał wymiary bomby? To nie jest zgodne z jego charakterem. On dotąd mówił bardzo oszczędnie, a ta wiadomość była niepotrzebna. Gdyby Aachen podał nam te dane, to byłyby one dokładne. Morro, oczywiście, nie zdradził żadnych szczegółów technicznych, ale mam dziwne przeczucie, że podane przez niego parametry nie są prawdziwe. Jeśli tak jest, to dlaczego

chce nas wprowadzić w błąd? Jest zwykle oszczędny w słowach, a powiedział coś, co nie było potrzebne. Coś mi się wydaje, że znowu chce nas w coś wpuścić.

- Zgubiłem się - przyznał Dunne. - Do czego pan zmierza?

- Sam chciałbym wiedzieć, ale sądzę, że lepiej będzie sprawdzić, jakie bomby projektował Aachen. Może pan to ustalić?

- Zadzwoń do dyrektora i spróbuję. Jak znam życie, będzie to ściśle tajne, a w niektórych firmach FBI ma ograniczone pole działania. Komisja Energii Atomowej jest właśnie jedną z takich firm.

- Nawet w przypadku ogólnonarodowego zagrożenia?

- Powiedziałem, że spróbuję.

- I może mógłby pan sprawdzić przeszłość szeryfa Hartmana. Tylko nie w aktach policji. Albo LeWinter, albo Donahure z pewnością zdążyli je sfalszować. Chodzi mi o jego prawdziwą przeszłość.

- Wyprzedziliśmy pana. Mam to u siebie.

- Dziękuję. W świetle tego, co właśnie usłyszeliśmy, co pan sądzi o moich zamiarach przespacerowania się po prawach obywatelskich LeWintera?

- LeWinter? A kto to jest LeWinter?

- Właśnie - Ryder wyszedł, a w ślad za nim Parker z Jeffem.

Zatrzymali się przed siedzibą "Examinera". Ryder wszedł do środka porozmawiać z jego wydawcą, Aaronem, i wrócił dwie minuty później z grubą kopertą w rękę.

Już w samochodzie wyjął z niej fotografię, którą pokazał Parkerowi i Jeffowi. Parker przyjrzał się jej z uwagą.

- Piękna i Bestia? Jak sądzicie? Ile "Glob" zapłaciłby nam za to arcydzieło?

LeWinter był u siebie w domu i sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego nie wychodzić na ulicę. Jeśli rozpieszczała go radość życia i zyczliwość dla bliźnich, to ukrywał to starannie. Nie czynił żadnego wysiłku, żeby ukryć swoje niezadowolenie, gdy trzech policjanci wepchnęli go do luksusowego salonu. Rozmową kierował Parker.

- Policja. Chcielibyśmy zadać panu parę pytań.

- Jestem sędzią - odparł LeWinter z chłodną godnością. - Gdzie macie nakaz?

- Był pan sędzią. Był, czy raczej jest, co za różnica. Jest pan głupcem. Kiedy chodzi o zadanie kilku pytań, niepotrzebny jest nam żaden nakaz. Jeśli już mówimy o nakazach, to mam pierwsze pytanie: dlaczego dał pan Donahure'owi nakazy rewizji podpisane in blanco? Czy nie wie pan, że jest to nielegalne? Jest pan przecież sędzią. A może pan zaprzeczy?

- Oczywiście, że zaprzeczam temu.

- To była głupia odpowiedź, jak na wykształconego sędziego. Myśli pan, że sformułowaliśmy takie oskarżenie, nie dysponując dowodami? Zapewniam pana, że mamy dowody. Są w komisariacie. Ustaliliśmy więc, że jest pan kłamcą. Każde pańskie następne oświadczenie będzie uważane za kłamstwo, dopóki go nie sprawdzimy sami. Nadal pan zaprzecza?

LeWinter milczał. Parker miał wyborną zdolność zastraszania i demoralizowania ludzi.

- Znaleźliśmy te nakazy w sejfie. W czasie przeszukiwania jego domu.

- Na jakiej podstawie?

- Przekupstwo i korupcja. Wie pan; szantaże, pobieranie trefnych pieniędzy, i opłacanie nimi nieuczciwych policjantów. Oczywiście, większą ich część zachował dla siebie - spojrzął z wyrzutem na LeWintera. - Powinien był pan nauczyć go podstawowych zasad handlu.

- O czym, do diabła, pan mówi?

- O praniu brudnych pieniędzy. Czy wiedział pan, że on miał pół miliona dolarów na ośmiu różnych kontach? Powinien być bardziej przebiegły. Ten głupiec trzymał pieniądze w tutejszych bankach, zamiast w szwajcarskich. Dlatego je mamy. Bank poszedł nam na rękę.

LeWinter słuchał z wyrazem obrażonej niewinności na twarzy.

- Jeśli pan insynuuje, że ja, zasłużony sędzia stanu Kalifornia, byłem zamieszany w jakiegokolwiek nielegalne transakcje finansowe...

- Zamknij się i zachowaj to dla prawdziwego sędziego. Niczego nie insynuujemy. My wiemy. Może zechciałby pan wyjaśnić nam, w jaki sposób dziesięć tysięcy dolarów znalezionych u Donahure'a miało pańskie odciski palców na wszystkich banknotach.

LeWinter nie zechciał udzielić wyjaśnień. Jego wzrok nie przestawał wędrować to w jedną, to w drugą stronę, nie dlatego, że myślał o ucieczce - po prostu nie był w stanie

spojrzeć w te trzy pary zimnych, oskarżających go oczu. Parker miał LeWintera na haku i nie zamierzał pozwolić mu się z niego zerwać.

- To nie jest oskarżenie, które zostało wniesione przeciwko Donahure'owi. Na pana nieszczęście. Tamten jest bowiem oskarżony o usiłowanie zabójstwa i o zabójstwo, i ma przeciwko sobie zeznania świadków oraz własne oświadczenie. Jeśli chodzi o morderstwo, to pan również zostanie oskarżony, ale za współudział w nim.

- Morderstwo?! - LeWinter musiał słyszeć to słowo setki razy w swojej sędziowskiej karierze, ale nigdy dotąd nie zabrzmiało ono w jego ustach tak mocno.

- Jest pan przyjacielem szeryfa Hartmana, prawda?

- Hartmana? - Powtórzył LeWinter, któremu coraz mniej podobał się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Tak on twierdzi. Przecież pański sejf ma urządzenie alarmowe połączone bezpośrednio z jego biurem.

- Ach! Hartman!

- Jak pan powiedział, Hartman. Widział go pan ostatnio?

LeWinter musiał zwilżyć językiem wargi, jak tylu podejrzanych, których sam przesłuchiwał.

- Nie pamiętam.

- Ale przypomina pan sobie, jak on wygląda? Nie poznałby go pan teraz. Naprawdę. Rozsadziło mu cały tył głowy. To doprawdy nieładnie z pana strony, że w ten barbarzyński sposób uszkodził pan przyjacielowi głowę.

- Pan zwariował! Oszalał! - twarz LeWintera gwałtownie zaczęła nabierać purpury.

- Nie ma pan dowodu.

- Niech się pan nie wysila. Żadnego dowodu? Każdy oskarżony tak mówi. Gdzie jest pańska sekretarka?

- Jaka sekretarka? - ostatnia zmiana kierunku ataku najwyraźniej sparaliżowała procesy myślowe sędziego.

- Boże, pomóż! - powiedział Parker, wznosząc oczy ku niebu. - A raczej niech Bóg przyjdzie panu z pomocą! Bettina Ivanhoe. Gdzie ona jest?

- Przepraszam panów - LeWinter podszedł do szafki, nalał sobie koniaku i wypił go jednym haustem. Ale chyba koniak niewiele mu pomógł.

- Może i potrzebował pan tego - stwierdził Parker - ale nie dlatego pan wstał. Potrzebuje pan czasu na myślenie. Gdzie ona jest?

- Dałem jej wolny dzień.

- Koniak panu nie pomógł. Zła odpowiedź. Kiedy rozmawiał z nią pan po raz ostatni?

- Dzisiaj rano.

- Znowu kłamstwo! Od wczorajszego wieczora jest w areszcie prewencyjnym. Pomaga policji w śledztwie. A więc nie dał jej pan wolnego dnia. Ale - dodał Parker bezlitośnie - zdaje się, że wolny dzień dał pan samemu sobie. Dlaczego nie jest pan w sądzie i nie feruje, swoim zwyczajem, nader ciekawych wyroków?

- Nie czuję się dobrze - jego wygląd wskazywał, że mówi prawdę.

Jeff zerknął na ojca, żeby zobaczyć, czy nie przerwie on tego brutalnego przesłuchania, ale Ryder przyglądał się LeWinterowi z całkowitą obojętnością.

- Nie czuje się pan dobrze? W porównaniu ze stanem, w jakim znajdzie się pan wkrótce - stając przed sądem przysięgłych jako oskarżony o morderstwo - pański obecny stan zdrowia nazwałbym kwitnącym. Został pan w domu, ponieważ jeden z pańskich szefów czy też współpracowników zadzwonił z Bakersfield i kazał panu nie wytykać nosa z domu. Proszę powiedzieć, co pana łączy z panną Ivanhoe? Wie pan, rzecz jasna, że jej prawdziwe nazwisko brzmi Ivanov?

LeWinter znów podszedł do szafki z trunkami.

- Jak długo - spytał zmęczonym głosem, prawie z rozpaczą - będzie trwało to przesłuchanie?

- Niedługo. Jeżeli powie pan prawdę. Zadałem pytanie.

- Cóż. To moja sekretarka. To wszystko.

- Nic więcej?

- Oczywiście, że nie.

Ryder pokazał LeWinterowi fotografię, którą otrzymał w redakcji "Examinera". LeWinter wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

- Ładna dziewczynka - powiedział Ryder swobodnym tonem. - Szantaż. Wyznała nam. To był tylko dodatek. Przychodziła do pana głównie po to, żeby tłumaczyć z rosyjskiego fałszywe dokumenty.

- Fałszywe?

- A więc takie dokumenty jednak istnieją. Zastanawiam się, dlaczego Morro prosił pana o sporządzenie listy inżynierów, wiertaczy i specjalistów od poszukiwań naftowych. A jeszcze bardziej zastanawiam się, dlaczego dwudziestu sześciu z tych ludzi zniknęło.

- Bóg jeden wie, o czym pan mówi...

- I pan. Nie oglądał pan dzisiaj rano telewizji?

LeWinter potrząsnął głową z ogłupiałą miną człowieka, który niczego nie rozumie.

- Tak więc - podjął Ryder - nie wie pan, być może, że jutro o dziesiątej rano wybuchnie bomba wodorowa w Zatoce Santa Monica albo gdzieś w jej pobliżu.

LeWinter nie odpowiedział nic, a jego twarz nie wyrażała niczego. Najprawdopodobniej z braku wyobraźni.

- Jak na szanowanego sędziego ma pan dziwne towarzystwo.

- To pan jest tym człowiekiem, który przyszedł tu zeszłej nocy? - opóźnienie reakcji najlepiej wskazywało na stan stresu, w jakim znajdował się umysł sędziego.

- Tak. A to Perkins. Pamięta pan Perkinsa? A to Jeff Ryder ze służby ruchu drogowego, mój syn. Jeśli tylko pan nie jest głuchy i ślepy, musiał się pan dowiedzieć, że pański przyjaciel Morro więzi dwie osoby z naszej rodziny. Jedna z tych osób, moja córka, a jego siostra, jest ranna. Jesteśmy dla pana nadzwyczaj grzeczni. A więc, LeWinter! Pomijając to, że jest pan skorumpowany do szpiku kości, że jest pan starym, lubieżnym satyrem, zdrajcą i współnikiem morderstwa, jest pan również człowiekiem oszukanym, poszkodowanym, kozłem ofiarnym, niech pan to nazwie, jak pan chce. Wrobiono pana tak samo, jak pan wrobił Donahure'a, pannę Ivanhoe i Hartmana. Posłużono się panem jak marionetką, żeby stworzyć nie istniejącą siatkę Rosjan. Chciałbym wiedzieć tylko dwie rzeczy: kto panu dał coś i komu pan to przekazał? Kto dał panu forszę, szyfr, zadanie zaangażowania panny Ivanhoe i uzyskania nazwisk dwudziestu sześciu ludzi, którzy zniknęli? I komu przekazał pan te nazwiska i adresy?

LeWinter przygryzł wargi. Jeff drgnął, kiedy zobaczył, jak ojciec podchodzi do LeWintera z rewolwerem w dłoni, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy. LeWinter zamknął oczy, podniósł ramię, jakby chciał się osłonić, cofnął się pospiesznie, zawadził stopą o róg dywanu i runął ciężko na podłogę, uderzając tyłem głowy o krzesło. Leżał tam dobre dziesięć sekund, może dłużej, zanim wreszcie powoli usiadł. Wyglądał na oszołomionego, jakby miał trudności ze zrozumieniem swojej roli w tym wszystkim. Tym razem nie udawał.

- Mam serce w bardzo złym stanie - powiedział chrapliwym głosem.

Patrząc na niego i słysząc, jak mówi, nie można było mieć co do tego żadnych wątpliwości.

- Będę płakał nad tym jutro. Czy sądzi pan, że pańskie serce wytrzyma, jeśli wstanie pan wreszcie?

Powoli, drżąc, i opierając się o stół i krzesło, LeWinter podniósł się niepewnie.

Na Ryderze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Kto zlecił to zadanie i komu pan podał te nazwiska? Czy to był ten sam człowiek?

- Zadzwońcie po lekarza! - LeWinter trzymał się za serce. - Na miłość boską! Miałem już dwa zawały!

Jego twarz wyrażała wreszcie całą gamę uczuć. Była wykrzywiona z bólu i strachu. Najwidoczniej czuł, jak uchodzi z niego życie. Ryder przyglądał mu się z obojętnością średniowiecznego oprawcy.

- Cieszę się. Nie będę miał wyrzutów sumienia, jeśli umrzesz, a na twoim ciele nie będzie żadnego śladu, kiedy przyjdą z kostnicy. Czy to był ten sam człowiek?

- Tak - rozległ się ledwie słyszalny szept LeWintera.

- Ten sam człowiek, który dzwonił z Bakersfield?

- Tak.

- Jak się nazywał?

- Nie wiem.

Ryder uniósł nieco broń. LeWinter wpatrywał się w niego z przerażeniem. - Nie wiem. Nie wiem.

- On naprawdę nie wie - po raz pierwszy odezwał się Jeff.

- Wierzę mu - Ryder nie odwrócił wzroku od LeWintera. - Opisz tego człowieka.

- Nie potrafię.

- Czy nie chcę?

- Był w kapturze. Przysięgam na Boga! Był w kapturze.

- Skoro Donahure otrzymał dziesięć tysięcy dolarów, ty musiałeś dostać o wiele więcej. Podpisałeś mu rewers?

- Nie - odparł LeWinter, dygocąc. - Powiedział, że jeśli złamię obietnicę, to skręci mi kark. Mógł to zrobić. To największy mężczyzna, jakiego widziałem.

- Ach, tak! - powiedział Ryder. Zrobił pauzę, odprężył się, uśmiechnął i ciągnął dalej bardzo zachęcającym tonem: - Może jeszcze wróci spełnić obietnicę? Ileż kłopotów by nam to oszczędziło. I jedno łóżko szpitalne - wyjął kajdanki i zatrzasnął je na dłoniach LeWintera.

- Nie ma pan nakazu aresztowania - głos sędziego był słaby i pozbawiony przekonania.

- Niech pan nie będzie naiwny i nie rozśmiesza mnie. Nie chcę żadnych skręconych karków, prób ucieczek czy samobójstwa. Nie chcę też, żebyś dzwonił w nieodpowiednie miejsca.

Ryder spojrział raz jeszcze na fotografię. - Ciężko to będzie zapamiętać. Chcę zobaczyć, jak gnijesz w san Quentin - zaczął go prowadzić do wyjścia. Stał na chwilę i spojrział na Parkera i Jeffa.

- Zwróćcie uwagę - powiedział - że ani razu nie tknąłem go nawet palcem.

- Dunne nigdy w to nie uwierzy - odparł Jeff. - Sam bym nie uwierzył.

Rozdział X

- Wykorzystałeś nas! - twarz Burnetta była blada; cały się trząsł w nieopanowanym gniewie, rozlewając Glenfiddicha na podłogę w biurze Morro. - Wykiwałeś nas, ty piekielny sukinsynu! Wspaniała robota. To sklejanie różnych taśm z nagraniami.

Morro podniósł palec, jakby mu chciał grozić.

- Profesorze! To niczego nie zmieni. Musi się pan naprawdę nauczyć lepiej nad sobą panować.

- Po co? - furia Schmidta była równie wielka, ale lepiej umiał się pohamować. Wszyscy fizycy byli razem z Morro, Dubois i dwoma strażnikami. - Nie chodzi nam o naszą reputację czy nazwiska. Myślimy o ludziach, może tysiącach ludzi. Jeżeli oni zginą, to my będziemy za to odpowiedzialni. Przynajmniej moralnie. Każdy widz, słuchacz czy czytelnik w tym stanie będzie przekonany, że bomba, którą podłożyłeś, ma moc półtorej megatony. A my wiemy, że ma trzy i pół. Ale ludzie nam uwierzą, nie mogą nie uwierzyć. I pomyślą, że myśmy wyrazili milczącą zgodę na to oszustwo, ty potworze! Dlaczego to zrobiłeś?!

- Dla efektu - Morro był nieporuszony. - Elementarna psychologia. Wybuch tych trzech i pół megatony będzie bardzo widowiskowy. Chcę, żeby ludzie zadali sobie pytanie: jeśli takie są skutki wybuchu zaledwie półtorej megatony, to jakie, na Boga, będą skutki wybuchu trzydziestu pięciu megaton? To doda wagi moim żądaniom. W klimacie terroru wszystko jest możliwe.

- Mogę uwierzyć we wszystko, jeżeli chodzi o ciebie - Burnett spojrział na wrak człowieka, który niedawno był Willim Aachenem. - Nawet w to, że gotów jesteś poświęcić tysiące istnień dla osiągnięcia efektu psychologicznego. Może i nie wie pan, jakie będą skutki wywołanej wybuchem fali przyływu, jaka będzie jej wysokość, czy wybuch wywoła trzęsienie ziemi w Uskoku Newport-Inglewood. I nie interesuje to pana. Liczy się tylko efekt.

- Myślę, że pan przesadza, profesorze. Sądzę, że co do wysokości fali, to ludzie sami założą większy margines bezpieczeństwa niż to, co ja im podałem. Co się tyczy Uskoku Newport-Inglewood, to tylko szaleniec pozostałby w tej okolicy jutro o dziesiątej. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś jutro urządzał wyścigi ciężarówek w Hollywood Park. Sądzę, że pana obawy są w większości pozbawione podstaw.

- Podstaw? To znaczy, że utonie tylko parę tysięcy ludzi?

- Nie mam powodów, żeby kochać Amerykanów - odparł Morro z kamiennym spokojem - nie byli dla mnie zbyt mili.

Nastąpiła chwila ciszy, po której odezwał się Healey.

- To gorsze, niż sądziłem. Uprzedzenia rasowe, religijne, polityczne, sam już nie wiem. Ten człowiek jest opętany manią religijną. To fanatyk.

- On ma po prostu szmergla - oznajmił Burnett, sięgając po butelkę.

- Sędzia LeWinter pragnie złożyć dobrowolne zeznanie - oznajmił Ryder.

- Naprawdę? - zapytał Dunne, patrząc na drżącego, bladego osobnika, będącego trudnym do poznania cieniem imponującego urzędnika, który tak długo dominował w sądach. - Czy to prawda, panie sędzio?

- Oczywiście - odparł Ryder niecierpliwie.

- Zwracam się do sędziego.

- Byliśmy przy tym obecni - wtrącił Parker - Jeff i ja. Nie było przymusu ani użycia siły. Sierżant Ryder dotknął sędziego dopiero w momencie zakładania kajdanek. Może nam pan wierzyć. Nie świadczylibyśmy niezgodnie z prawdą.

- To fakt. Dobrze. Delage, zaprowadź sędziego do sąsiedniego pokoju. Zaraz przyjdę go przesłuchać.

- Chwileczkę, czy dowiedział się pan czegoś o Hartmanie?

Dunne po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech.

- Raz przynajmniej mieliśmy szczęście. Zdaje się, że mieszkał w tym domu na peryferiach od wielu lat, razem ze swoją owdowiałą siostrą, co wyjaśnia, dlaczego nie było w książce telefonicznej jego nazwiska. Ale rzadko tam bywał. Częściej zaczął tam się pojawiać mniej więcej od roku. Dużo podróżował. Nigdy by pan nie zgadł, w jakiej dziedzinie pracował...

- Wiertnictwo naftowe.

- Ryder - powiedział Dunne bez cienia serdeczności - niech pana diabli porwą! Potrafi pan zepsuć największą przyjemność. Tak, ma pan rację. Hartman był majstrem na polach naftowych. Miał pierwszorzędne referencje. Skąd pan wiedział?

- Nie wiedziałem. Ani nie znałem referencji. Wie pan, co mam na myśli.

- Dwaj znani biznesmeni z Los Angeles...

- Donahure i LeWinter?

- Właśnie.

- To przy pomocy Hartmana - Ryder spojrział na LeWintera - sporządził pan tę listę inżynierów i techników, prawda? Rozporządzał pan informacjami dzięki sprawom, które prowadził pan w sądzie i dzięki kompletnym dossier, które dotyczyły towarzystw naftowych. Hartman miał natomiast bogate doświadczenie w terenie, tak?

LeWinter nie odpowiedział.

- Przynajmniej nie zaprzecza. Niech pan powie, LeWinter, czy rekrutacja ludzi to była robota Hartmana?

- Nie wiem.

- A porwania?

- Nie wiem.

- A nawiązanie z nimi takiego czy innego kontaktu?

- Tak.

- I dostarczenie tych ludzi?

- Tak przypuszczam.

- Tak czy nie?

LeWinter zebrał całą resztę godności, żeby oznajmić Dunne'owi:

- Jestem poddawany presji psychicznej.

- Jeśli ma pan ochotę tak to nazwać - odparł Dunne bez cienia sympatii. - Proszę, sierżancie! Niech pan kontynuuje.

- Tak czy nie?

- Tak, i niech diabli pana porwą!

- Tak więc Hartman z całą pewnością wiedział, dokąd ma dostarczać tych ludzi po ich zwerbowaniu, dobrowolnym lub nie. Jeśli założymy, że Morro był odpowiedzialny za ich zniknięcie, to Hartman musiał mieć bezpośrednią łączność z Morro albo przynajmniej wiedział, jak nawiązać kontakt. Musi pan przyznać mi rację.

LeWinter usiadł. Coraz bardziej upodabniał się do nieboszczyka.

- Jeśli pan tak twierdzi.

- Oczywiście pan oraz Donahure też mieliście dostęp do tego połączenia.

- Nie! - LeWinter zaprotestował gwałtownie i bez namysłu.

- No cóż. To rzeczywiście możliwe - zgodził się Ryder.

- Wierzy mu pan - zdziwił się Dunne - że nie miał bezpośredniego połączenia z Morro?

- Oczywiście. Gdyby miał, to już by nie żył. Przyjemniaczek z tego Morro. Nie tylko ukrywa swoją grę przed wszystkimi, ale jego lewa ręka nie wie, co robi prawa. Tylko

Hartman wiedział. Morro wyobrażał sobie, że Hartman jest całkowicie poza podejrzeniami. Skąd mógł wiedzieć, że dzięki urządzeniu alarmowemu, które łączyło sejf LeWintera z biurem szeryfa, trafię na ślad Hartmana? Z całą pewnością nic nie wiedział o tym połączeniu. Gdyby wiedział, to za żadną cenę nie kompromitowałby LeWintera i Donahure'a. Mimo to nie chciał ryzykować. Dał Donahure'owi i LeWinterowi dokładne rozkazy. Jeśli ktokolwiek odkryłby ślad Hartmana, jedyne go człowieka, który jest z Morro w bezpośrednim kontakcie, trzeba by Hartmana wyeliminować. To wszystko jest naprawdę bardzo proste - przyjrzał się z zamyśleniem LeWinterowi, a później Dunne'owi. - Niech pan zabierze tę podporę sprawiedliwości. Niedobrze mi się robi, kiedy na niego patrzę.

- Ładna robota, jak na początek dnia - stwierdził Dunne, kiedy Delage zniknął z LeWinterem. - Nie doceniałem pana, sierżancie. Nie sądziłem, że obejdzie się bez skręcenia mu karku. Zaczynam się zastanawiać, czy ja zdołałbym się powstrzymać.

- Albo się ktoś rodzi ze złotym sercem, albo nie. Czy ma pan już coś od Barrowa na temat bomb, nad którymi pracował Aachen po porwaniu go przez Morro?

- Dzwoniłem do niego. Powiedział, że skontaktuje się z Komisją Energii Atomowej i da mi znać. To nie jest facet, który traciłby daremnie czas, ale jeszcze nie zadzwonił. Pytał, dlaczego nas to interesuje.

- Sam właściwie nie wiem. Wydaje mi się, że Morro wodzi nas za nos, to wszystko. Intuicja. Czy otrzymał pan już informację z Manili?

Dunne spojrzął na zegarek, potem rzucił pełne irytacji spojrzenie na Rydera.

- Nie było pana dokładnie przez godzinę i pięć minut. I zwracam panu uwagę, że Manila nie leży tuż za drzwiami. Czy jeszcze mógłbym coś dla pana zrobić?

- Skoro pan - Dunne zamknął oczy - nalega. Przyjaciel Carltona, ten z Illinois, wspomniał o olbrzymie w grupie tych pomyślonych, z którymi Carlton flirtował. A LeWinter wspomniał, głosem pełnym przerażenia, że człowiek odpowiadający temu opisowi groził mu skręceniem karku. Może chodzi o tego samego typu? Nie ma w tej okolicy zbyt wielu olbrzymów.

- Jak on wygląda?

- Ponad dwa metry wzrostu, tak powiedział kumpel Carltona. Chyba nie będzie trudno ustalić, czy ktoś tego wzrostu był kiedykolwiek postawiony w stan oskarżenia lub skazany na terenie tego stanu? I chyba bez trudności można również ustalić, czy tego rodzaju facet jest członkiem któregoś z wariackich stowarzyszeń, których wykazem dysponujemy. Nie da się ukryć faceta o takim gabarycie, a zresztą nie wydaje mi się, żeby on specjalnie unikał zbyt ciekawskich spojrzeń.

- No, pozostaje jeszcze sprawa helikoptera.

- Ooo!

- Nie jakiegoś tam helikoptera, ale specjalnego helikoptera. Byłoby mi miło, gdyby pan go wytropił.

- Drobnostka - w głosie Dunne'a zabrzmiał sarkazm. - Po pierwsze, w tym stanie jest więcej helikopterów niż gdziekolwiek na świecie. Po drugie, FBI pracuje na granicy swoich możliwości.

- Na jakiej granicy, majorze? Nie jestem w nastroju do tanich dowcipów. Osiem tysięcy agentów pracujących na granicy swoich możliwości... i cóż wszyscy oni osiągnęli? Nic. Mógłbym nawet spytać, co też takiego oni wszyscy robią, a odpowiedź byłaby ta sama. Kiedy mówiłem o specjalnym helikopterze, to właśnie to miałem na myśli. Chodzi mi o ten, którym dostarczono tę bombę na Płaskowyż Yucca. A może pańskich osiem tysięcy agentów wyjaśniło już tę kwestię?

- Proszę mi to wytłumaczyć.

- Jeff - Ryder spojrzał na syna - mówiłeś, że znasz okolicę Płaskowyżu Yucca i Płaskowyżu Francuzów.

- Byłem tam.

- Samochód zostawiłby tam ślady?

- Jasne. Nie wszędzie, co prawda, bo tam jest sporo skał. Ale jest trochę piachu, błota. Są duże szanse na ślady.

- No widzi pan, majorze. Czy któryś z tych ośmiu tysięcy agentów sprawdził ślady opon? Przynajmniej tych, których nie zatarli amatorzy silnych wrażeń.

- Nie byłem tam osobiście. Delage? - Delage sięgnął bez słowa po telefon. - Helikopter? To bardzo możliwe.

- Też tak sądzę. I myślę, że na miejscu Morro tak bym właśnie załatwił wrzucenie drugiej bomby do Pacyfiku. W ten sposób można uniknąć wścibskich oczu.

- Co nie zmienia faktu, że w tym stanie jest mnóstwo helikopterów.

- Ograniczmy poszukiwania do grup fanatyków religijnych.

- Przy takim systemie szos, komu by się chciało...

- Ograniczmy się więc do gór. Pamiętaj pan, że ustaliliśmy, iż Morro i jego przyjaciele powinni siedzieć gdzieś wysoko.

- No cóż. Im bardziej ci fanatycy są krańcowi w swoich poglądach, tym wyżej się pchają. Sądzę, że niektóre grupki mogą korzystać z helikopterów. Ale to bardzo drogo

kosztuje. Helikoptery wynajmuje się na godziny, a trudno mi sobie wyobrazić, żeby wynajęty pilot zgodził się przewieźć bombę jądrową...

- A może ten pilot nie został wynajęty? Ani ten helikopter? No i jest jeszcze sprawa tych ciężarówek, którymi wywozili materiały z San Ruffino.

- Słyszałeś, Leroy? - spytał Dunne. Leroy skinął głową i również sięgnął po telefon.

- Dzięki - stwierdził Ryder - wpadnę do was. Po południu - Jeff spojrział na zegarek.

- Nie zapomnij, że za czterdzieści pięć minut Morro nada komunikat ze swoimi żądaniami.

- Wątpię, żeby warto było tego słuchać. Ty mi zresztą wszystko opowiesz.

- A ty gdzie idziesz?

- Do biblioteki publicznej. Muszę się podszkolić w historii współczesnej. Mam straszne zaległości.

- Rozumiem - Jeff spojrział na zamykające się za Ryderem drzwi, a potem przeniósł wzrok na Dunne'a. - Nic nie rozumiem. Czy on się dobrze czuje?

- Jeżeli nie - Dunne zamyślił się - to co my mamy powiedzieć?

Gdy półtorej godziny później Ryder wrócił do domu, zastał Parkera i Jeffa popijających piwo i gapiących się w telewizor. Ryder był w doskonałym humorze. Nie śmiał się całą gębą, nie uśmiechał się także szeroko i nie żartował, gdyż nie byłoby to w jego stylu. Ale jak na człowieka, z którego rodziny dwie osoby były trzymane jako zakładnicy i któremu groziło zatopienie i wyparowanie, był niezwykle spokojny. Spojrział na ekran telewizora, na którym setki jachtów, niektóre nawet na żaglach, pływały w rozmaite strony na chybił trafił i zderzały się ze sobą z częstotliwością, której dorównywała jedynie ich ślepa determinacja. Działo się to w zamkniętym sześcioma pomostami porcie. Miejsca do manewru było niezwykle mało, a wokół panował straszliwy chaos.

- O rany! To jest coś. Jak Trafalgar albo bitwa jutlandzka. W obu tych bitwach zamieszanie było podobne.

- Tato - Jeff był cierpliwy - to Marina del Rey w Los Angeles. Żeglarze usiłują wypłynąć.

- Znam to miejsce. Chłopcy z California Yacht Club i z Rey Yacht Club są w trakcie demonstrowania swych zwykłych talentów żeglarskich, żeby nie powiedzieć, swego stoicyzmu. W tym tempie będą potrzebowali tygodnia na wyjście w morze. Co za ścisk.

Przynajmniej Morro będzie miał przez to trochę kłopotów, bo to samo musi się dziać we wszystkich portach. Powiedział, że każdy statek, który pojawi się między Santa Cruz a Santa Catalina wywoła eksplozję. To nie było przemyślane oświadczenie. Za parę godzin będzie tam parę tysięcy łodzi. Każdy mógł to przewidzieć.

- Jeśli wierzyć spikerowi, to tam nie popłyną. Mogą używać kanałów San Pedro i Santa Barbara i udać się tak daleko na północ i południe, jak się da.

- Jak lemingi. Nawet w zwykłej łódce można przeżyć taką falę na otwartym morzu. Dopiero przy brzegu zaczyna się spiętrzać. A tak w ogóle, to skąd to całe zamieszanie?

- Panika - wyjaśnił Parker. - Właściciele małych łodzi chcieli je wyciągnąć na brzeg i wywieźć, ale nie było takiej możliwości, a na dodatek wyczerpały się zapasy ropy i benzyny, o czym nie wszyscy wiedzieli. Ci, którzy zatankowali, nie mogą wyjść w morze, bo blokują ich czekający na paliwo. Nie mówiąc o tych, którzy dali całą naprzód, ale zapomnieli zdjąć cumy rufowe - Parker popatrzył ze smutkiem w ekran. - Jak widać, kalifornijski mieszczuch nie nadaje się na marynarza.

- To jeszcze nic - dodał Jeff. - Uważa się nas za kraj automobilistów. Trudno w to uwierzyć. Dopiero co pokazywali ulice Santa Monica i Venice. Lądowa wersja tego, co tu. Największy korek wszechczasów. Używają samochodów jako czołgów, żeby się przebić. Kierowcy biją się między sobą. Niesamowite.

- Wszędzie byłoby to samo, na całym świecie - potrząsnął głową Ryder. - Założę się, że Morro przylgnął do ekranu w ekstazie. Wszyscy, rzecz jasna, jadą na wschód. Ojcowie miasta wydali już jakieś instrukcje?

- Nic o tym nie słyszałem.

- Wydadzą. Trzeba im tylko dać trochę czasu. To politycy. Poczekają, zobaczą, co zrobi większość, po czym powiedzą im, żeby robili to, co właśnie robią. Jest coś do jedzenia w tym domu?

- Co? - Jeff został najwyraźniej wyprowadzony z równowagi. - A tak. W kuchni są kanapki.

- Dzięki. O, to interesujące - Ryder zatrzymał się nagle. - Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności. Można mieć tylko nadzieję, że jeśli to jest wróżba, to jest ona skierowana do nas, a nie do Morro.

- Możemy czekać całą wieczność - zauważył Jeff.

- Widzicie ten dok w prawym, dolnym rogu ekranu? To dok południowo-wschodni. Najszerszy. Jeżeli się nie mylę, to właśnie on jest przyczyną wszystkich naszych kłopotów.

- Ten dok? - spytał Jeff z niedowierzaniem.

- Nazywa się Mindanao.

Minutą potem Ryder rozsiadł się wygodnie w fotelu z kanapką w jednym ręku i piwem w drugim. Spojrzał ponownie na ekran.

- To ciekawe - stwierdził.

Widok rzeczywiście był ciekawy. Trzy prywatne dwusilnikowe samoloty uczestniczyły w karambolu. Skrzydła i podwozia mieszały się z dymem pożaru.

- Łąd, morze i powietrze - oznajmił Ryder. - Znam to miejsce. To lotnisko Clover w Santa Monica. Kontroler ruchu najwyraźniej nawiał w góry.

- Na Boga! Tato! - Jeff usiłował zapanować nad sobą. - Jesteś najbardziej irytującym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi! Nie masz więc nic do powiedzenia w związku z ultimatum Morro?

- Nic a nic.

- Jezu!

- Zachowaj odrobinę rozsądku. Nie widziałem, nie słyszałem i nie czytałem niczego, co miałoby związek z tą sprawą.

- Jezu! - powtórzył Jeff. Ryder spojrzał na Parkera, który najwyraźniej szykował się do wyjścia.

- Morro był punktualny jak zwykle. Tym razem okazał się szczególnie oszczędny w słowach, ale ja będę jeszcze bardziej lakoniczny niż on. Powiedział po prostu: "Wskażcie mi rozlokowanie radarów na wschodnim i zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, jak również pasma częstotliwości, na których pracują. Podajcie mi te same informacje w stosunku do wszystkich bombowców i wojsk NATO oraz waszych satelitów szpiegowskich. W przeciwnym razie nacisnę guzik".

- Naprawdę tak powiedział?

- Powiedział trochę więcej, ale streściłem ci to, co najważniejsze.

- Bzdury. Mówiłem, że nie warto go słuchać. Oczekiwałem po nim czegoś więcej. Tak czy inaczej, wzdłuż Potomaku i wokół Pentagonu chłopcy muszą miotać się jak szaleni!

- Nie wierzysz mi?

- Jeśli wywnioskowałeś to z tego, co powiedziałem, to masz rację.

- Ależ tato...

- Żadnych "ale". To bzdury. Może powinienem zweryfikować swoją opinię o Morro. Może on doskonale wie, że jego żądania są niewykonalne. Może o to mu właśnie chodzi. Ale niech ktoś spróbuje przekonać Amerykanów, zwłaszcza w tym stanie. Zajęłoby to dużo, dużo czasu, a to jest jedyna rzecz, której nie mamy.

- Niemożliwe żądania? - spytał ostrożnie Jeff.

- Pozwól mi pomyśleć. Nasuwają się trzy możliwości, z których żadna nie ma dla mnie sensu i nie będzie miała dla Pentagonu, który nie jest bynajmniej tak głupkowaty, jak twierdzą dziennikarze z Nowego Jorku i Waszyngtonu. Po pierwsze, to kto zabroni Pentagonowi dać mu długą i przekonującą listę bzdur? Co może mu się tam wydać podejrzane, a jeśli nawet, to jak zdoła to sprawdzić? Po drugie, Pentagon wolałby widzieć, może nie z zadowoleniem, ale na pewno z mniejszą rozterką w duszy, jak z mapy świata znika Kalifornia, niż jak poddaje się pierwsza linia naszej obrony antyatomowej. Po trzecie, jeśli Morro może zniszczyć Los Angeles i San Francisco, a musimy założyć, że może, to co stoi na przeszkodzie, aby za chwilę powtórzył ten numer wobec Nowego Jorku, Chicago czy nawet Waszyngtonu, powodując tym samym to, co zrobiłby zagłuszając nasze radary? To nie ma za grosz sensu, ale pasuje do siebie.

Jeff trawił to wszystko w milczeniu.

- Z góry założyłeś w swym pokrętnym umyśle, że nie uwierzysz w to, co Morro mówi, i jesteś pewien, że nie powie on tego, co sobie założyłeś, że nie powie.

- Sprytne, sierżancie Parker. Trochę zawile, ale sprytne.

- A przed chwilą powiedziałeś, że wszystko pasuje.

- Tak właśnie powiedziałem.

- A więc wiesz coś, o czym my nie wiemy.

- Nie znam żadnych faktów, których wy nie znacie, poza tymi, które wyczytałem o trzęsieniach ziemi i o historii najnowszej, ale Jeff uważa moje lektury za dziwactwo i najchętniej posłałby mnie do psychiatry.

- Nigdy tego nie powiedziałem...

- Nie musisz mówić, żeby mi coś powiedzieć.

- Już wiem! - odezwał się Parker. - Wszyscy dobrzy detektywi mają jakąś teorię. Ty też masz swoją teorię?

- Cóż, z całą skromnością...

- Skromnością? Słońce teraz zachodzi na wschodzie! Nie mamy nawet czasu na efektowną pauzę. Mindanao?

- Mindanao.

Kiedy Ryder skończył, Parker zapytał Jeffa:

- Co o tym sądzisz?

- Ciągle staram się z tym oswoić - odparł Jeff niepewnie - to znaczy z tym, co usłyszałem. Musisz mi teraz dać trochę czasu na zastanowienie.

- Dalej, chłopcze! Pierwsze wrażenia!

- Cóż, nie widzę w tym żadnej luki, a im dłużej o tym myślę, tym mniej widzę. Myślę, że to może być prawdą.

- Spójrz na swojego starego. Czy widzisz jakieś "może" na jego twarzy?

- To nic nie znaczy. Ale i tak nie widzę w tym żadnej luki. - Jeff zamyślił się, po czym oznajmił: - To ma sens.

- Tu cię mam, John - głos Parkera brzmiał prawie jowialnie - to stwierdzenie jest najwyższym uznaniem, jakie kiedykolwiek udało ci się wyciągnąć z twojego syna. Dla mnie to też ma sens. Dalej, panowie. Majorze Dunne, wypróbujemy tę teorię na panu.

Dunne nie wysiłał się nawet, aby stwierdzić, że to ma sens, toteż od razu rozkazał Leroyowi:

- Daj mi Barrowa i przygotuj helikopter - zacierał dłonie z zadowoleniem. - Wydaje się, sierżancie, że straci pan parę piórek w Los Angeles.

- To pan je straci. Grube ryby zawsze na mnie źle działają. Pański szef wygląda na prawie normalnego, ale o Mitchellu tego nie mogę powiedzieć. Jedyną osobą, którą chciałbym zobaczyć, jest profesor Benson. Gdyby mógł pan mi to ułatwić, byłbym wdzięczny.

- Nie ma sprawy. Jeśli polecą pan z nami na północ.

- Szantaż?

- Oczywiście - Dunne spojrzał na niego przez palce wyciągniętej dłoni. - A poważnie mówiąc, to możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Pasadena leży tylko parę minut lotu od naszego biura w Los Angeles. Jeśli pan się nie zjawi, to Barrow i Mitchell dojdą do wniosku, że brak panu odwagi na spotkanie z nimi, bo sam nie jest pan przekonany. Poza tym pan może im powiedzieć to, za co mnie by od razu wyrzucono. Mogą panu zadawać bardziej dociekliwe pytania niż ja. Wiem, że powiedział mi pan wszystko, co uważa pan za istotne, ale mogą się pojawić nowe problemy, które na razie uznaje pan za nieistotne. Tutaj nie ma pan już nic do roboty, a przekonanie grubych ryb do pańskiej

teorii będzie olbrzymim sukcesem - Dunne uśmiechnął się. - Czyżby był pan tak bardzo pozbawiony serca, żeby pozbawić mnie przyjemności uczestniczenia w takim starciu?

- On się boi tylko dużych i złych wilków - podsumował Jeff, a Ryder uśmiechnął się.

Jak wszystkie pomieszczenia zaprojektowane z myślą o zapewnieniu ich użytkownikom poczucia ważności, sala konferencyjna była imponująca. Miała ona, jako jedyna w siedzibie FBI, ściany wyłożone mahoniową boazerią, zawieszono portretami osób, które wyglądały jak galeria Dziesięciu Najgroźniejszych Przystępców, ale w rzeczywistości były to podobizny dawnych i obecnych dyrektorów FBI. W sali tej znajdował się również owalny mahoniowy stół, lśniący tym specyficznym połyskiem, rzadko spotykanym na często używanych do solidnej pracy meblach. Wokół niego ustawiono dwanaście krzeseł obitych skórą, przed którymi z kolei stały na stole pojemniki na pióra i ołówki, karafka z wodą i szklanka. Dobrze zaopatrzonej barek był ukryty w jednej ze ścian za boazerią. Cały efekt psuły dwa krzesła dla stenografów, wykładane imitacją skóry, oraz bateria czerwonych, białych i czarnych telefonów. Tego dnia stenografów nie poproszono do sali, bo było to supertajne zebranie dotyczące bezpieczeństwa narodowego, a twarze dwunastu mężczyzn usadowionych za stołem odzwierciedlały ich poczucie odpowiedzialności wynikające z tego faktu.

Przy zaokrąglonym końcu stołu nikt nie siedział. Barrow, dyrektor FBI, i Mitchell, dyrektor CIA, siedzieli w takiej odległości od osi stołu, by żaden nie mógł powiedzieć, że zajmuje miejsce przewodniczącego. Niebo się mogło walić, ale nic nie było w stanie zmienić protokołu. Każdy z nich miał trzech pomocników, z których nie przedstawiono żadnego, a każdy z pomocników miał teczkę i masę papierów. Sam fakt zwołania tego zebrania świadczył dobitnie o tym, że wszystkie te papierzyska nie miały żadnego znaczenia. Każdy jednak, kto zasiada za stołem konferencyjnym, albo ma dużo papierów przed sobą, albo jest zerem. Posiedzenie otworzył Mitchell. Zdecydował o tym rzut monetą.

- Muszę najuprzejmiej poprosić, aby wyszli stąd sierżant Parker i policjant Ryder.

- Dlaczego? - spytał sierżant Ryder.

Nikt dotąd nie kwestionował poleceń Mitchella, toteż spojrzawszy zimnym wzrokiem na Rydera.

- Gdyby mi pan dał taką możliwość, to bym to wyjaśnił. To zebranie odbywa się na najwyższym szczeblu sił bezpieczeństwa narodowego, a oni nie są zaprzysiężeni. Obaj są

młodszy stopniem policjantami, którzy nie zostali przydzieleni do tej sprawy, stąd też nie mają żadnej oficjalnej władzy. Myślę, że są to rozsądne powody?

Ryder przyglądał mu się przez chwilę, po czym zwrócił się do siedzącego naprzeciwko Dunne'a tonem przesadnego niedowierzania:

- Przywiózł mnie pan tu tylko po to, abym wysłuchał tego napuszonego i aroganckiego bełkotu?

Dunne kontemplował swoje paznokcie, Jeff patrzył w sufit, Barrow także, Mitchell natomiast wyglądał na wściekłego.

- Nie sądzę, abym dobrze usłyszał, sierżancie - stwierdził lodowatym tonem, zdolnym zmrozić nawet rtęć.

- To dlaczego nie zwolni pan stołka komuś, kto dobrze słyszy? Mówiłem wystarczająco wyraźnie. Nie chciałem tu przyjechać. Znam pańską reputację i guzik mnie ona obchodzi. Jeśli wyrzuci pan Parkera i mojego syna, to tym samym wyrzuci pan mnie. Mówił pan, że nie mają oficjalnej władzy. Pan też. Mają takie samo prawo kazać panu wyjść, jak i pan im. Nie ma pan oficjalnie żadnej władzy na terenie USA. Jeśli takie proste rzeczy nie docierają do pana i jeśli nie przestanie pan denerwować ludzi, którzy uczciwie pracują, to najwyższy czas, aby ustąpił pan miejsca komuś, kto będzie w stanie to zrozumieć.

Ryder rozejrzał się po obecnych. Nikt nie wydawał się skłonny do zabrania głosu. Twarz Mitchella ściągnął grymas furii. Twarz Barrowa przybrała spokojny wyraz sędziowskiej obojętności, co było godnym najwyższego uznania przykładem samokontroli. Gdyby mógł, to zapewne tarzałby się teraz po ziemi ze śmiechu.

- Skoro więc ustaliliśmy, że co najmniej siedmiu z tu obecnych przebywa na tej sali nieoficjalnie, spójrzmy na samo dochodzenie. Pan Parker i mój syn mają niezłe osiągnięcia w tej sprawie, co potwierdzi major Dunne. Pomogli wyjaśnić morderstwo szeryfa, wsadzić za morderstwo skorumpowanego szefa policji, a za współudział w morderstwie sędziego, ogólnie uważanego za przyszęłego przewodniczącego Sądu Stanowego. Wszyscy trzej, łącznie z zamordowanym, zamieszani byli w interesującą nas sprawę i dostarczyli nam istotnych informacji.

Mitchell z wrażenia rozchylił zaciśnięte wargi. Barrow natomiast pozostał niewzruszony. Dunne najwyraźniej zdążył mu o wszystkim powiedzieć. Jasne natomiast się stało, że Barrow nie zadał sobie trudu, żeby przekazać te informacje dalej.

- A co zrobiła CIA? Powiem panu. Pośmiewisko z siebie i ze swojego dyrektora, tracąc pieniądze podatników na posyłanie agentów do Genewy, żeby węszyli wokół spraw, które są znane wszystkim od dwóch lat. A poza tym? Powiedziałbym, że nic.

- Jest pan trochę za bardzo bezkompromisowy - Barrow mógłby włożyć więcej wysiłku w swoje słowa, gdyby choć trochę zależało mu na tym.

- Zbytńia bezkompromisowość bywa jedyną metodą przekonania pewnych ludzi.

- Pańskie uwagi zostały przyjęte, sierżancie - głos Mitchella przebił się poprzez trzaskający lód. - Przybył pan, aby nas uczyć, jak mamy wykonywać swoją pracę?

- Nie jestem sierżantem. Jestem zwykłym obywatelem tego kraju i jako taki nie podlegam nikomu - Ryder miał go na haku i nie zamierzał popuszczać ani iść na kompromisy. - Nie mogę uczyć CIA czegokolwiek. Nie znam się na obalaniu zagranicznych rządów czy mordowaniu prezydentów. Nie mógłbym nauczyć niczego FBI. Wszystko, czego chcę, to chwila ciszy i grono słuchaczy, choć tak naprawdę jest mi to obojętne. Może się pan zamknąć i posłuchać tego, co chcę powiedzieć, skoro już mnie tu przywieziono, choć miałem w tej sprawie inne zdanie. Atmosfera w tym pokoju jest wysoce niemiła, żeby nie rzec: wroga, a major Dunne zna wszystkie najważniejsze szczegóły.

- Wysłuchamy pana - stwierdził bezbarwnym głosem Mitchell.

Barrow drgnął. Nie lubił Mitchella, ale odruchowo wyobraził sobie siebie w jego sytuacji.

- To mi się także nie podoba. Takiego tonu używa dyrektor w stosunku do urzędnika wezwanego na dywanik, dając mu szansę wytłumaczenia się, zanim wyrzuci go z pracy.

- Proszę - Barrow uniósł dłonie. - Wiemy już, że jest pan świetnym mówcą. Proszę wziąć pod uwagę, że nie przybyliśmy tu dla kaprysu. Będziemy słuchali z uwagą.

- Dziękuję - odparł Ryder i bez wstępów przystąpił do rzeczy.

- Wszyscy widzieliśmy ulice otaczające ten budynek. Kiedy lądowaliśmy na dachu, widzieliśmy setki ulic w podobnym stanie. Zablokowane. Zatkane. Ludzie uciekają, ogarnięci paniką. Nie ganię ich za to. Gdybym mieszkał tutaj, zrobiłbym to samo. Wierzę, że Morro dokona eksplozji swej bomby jutro o dziesiątej rano. Ja również w to wierzę. I również wierzę, że jest gotów dokonać eksplozji dziesięciu innych bomb wodorowych, które ma podobno w swoim arsenale. Nie wierzę natomiast w jego żądania. To czyste szaleństwo i on musi zdawać sobie z tego sprawę. A my powinniśmy traktować je jako pustą pogroźkę, żądanie bez sensu, które nie może zostać spełnione.

- Powinien pan wiedzieć, że tuż przed pańskim przybyciem zostały doręczone protesty Kremla i Pekinu oraz ich ambasadorów w Waszyngtonie - wtrącił Barrow -

wzywające niebo na świadka, że są niewinni jak dziewice i że jest to potworna mistyfikacja wymierzona w ich pokojową politykę przez spisek zimnowojennych kapitalistów. To pierwszy w historii przypadek, że są zgodni z sobą.

- To nie jest tylko rutynowe dementi?

- Nie. Zarzekają się teraz na wszystkie świętości.

- Nie dziwię się im. Pomysł jest niesamowity.

- Jest pan pewien tego, że dowody świadczące o powiązaniu z komunistami są fałszywe?

- Tak. Podobnie jak i pan.

- Nie byłbym tego taki pewien - odezwał się Mitchell.

- Jasne. Ostatnia rzecz, którą pan robi wieczorem, to sprawdzenie pod łóżkiem, czy nie ma tam jakiegoś czerwonego.

Mitchell ledwie się powstrzymał od zgrzytania zębami.

- Jeśli nie to, to co? - widać było, że jest przygotowany do walki na śmierć i życie, aby nie uwierzyć ani w jedno słowo Rydera.

- Cała historia ma, jak się zdaje, swój początek na Filipinach. Mam nadzieję, że wszyscy panowie wiecie, co tam się dzieje. Jeśli chodzi o mnie, mogę być kim panowie chcecie, ale na pewno nie jestem specjalistą od spraw zagranicznych. Ale czytałem o tym dość dużo. Streszczę krótko to, co wiem. Nie tyle dla was, ile dla siebie. Otóż Filipińczycy znajdują się w rozpaczliwej sytuacji finansowej. Opracowali niezwykle ambitne plany rozwoju. Ich zadłużenie stale rośnie, wydatki wojskowe przekraczają możliwości, krótko mówiąc, w skarbcu widać dno. Ale, jak wiele innych krajów, wiedzą, co robić, kiedy skarbonka jest pusta. Trzeba wyciągnąć rękę do Wujka Sama. Mają idealne położenie geograficzne - dlatego mogą wywierać presję. Filipiny to klucz militarnej strategii amerykańskiej na Pacyfiku, wielki port dla VII Floty w Subic Bay, a także ważna strategicznie baza amerykańskiego lotnictwa wojskowego. Dlatego wyspy te są uważane przez Pentagon za niezbędne i warte pieniędzy, których płacenie wielu ludzi uważa za uleganie szantażowi.

Południe Filipin, a konkretnie wyspa Mindanao. Wszyscy panowie wiecie, że w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, islam nie głosi moralnej nagany za zabijanie ludzi jako takich, ale za naganne uznaje tylko zabijanie muzułmanów. Koncepcja świętej wojny stanowi integralną część ich życia i właśnie ją prowadzą. Jest to święta wojna przeciwko prezydentowi Marcosowi i jego zdominowanemu przez chrześcijan rządowi. Uważają ją za wojnę religijną, toczoną przez uciskany lud. Czy jest to wojna słuszna, czy nie - to już nie

moja sprawa. W każdym razie jest to bardzo bolesna wojna. I myślę, że wszyscy o tym wiedzą. Natomiast nie wszyscy, być może, wiedzą, że Filipińczycy mają równie gorzkie wspomnienia o Amerykanach. Nietrudno to zrozumieć. Mimo że Kongres wypiera się tego wobec faktu dławienia od dawna swobód demokratycznych przez Marcosa, to jednak radośnie płaci za wynajem naszych baz i wydaje setki milionów dolarów w formie pomocy wojskowej. Spora część tych kwot jest skierowana przez rząd Filipin na zagładę muzułmanów, co Marcos uważa za słuszne i godziwe ze swojego punktu widzenia.

Niewielu ludzi wie, że muzułmanie z Filipin nie pałają również miłością ani do Rosjan, ani do Chińczyków czy Wietnamczyków. I to nie dlatego, że te kraje wyrządziły im kiedyś jakąś krzywdę. Po prostu dlatego, że rząd filipiński ustanowił z tymi państwami przyjazne stosunki dyplomatyczne, co muzułmanie z wyspy Mindanao automatycznie uznali za akt wrogi ze strony tych państw.

Muzułmanie desperacko potrzebują broni. Gdyby byli dobrze uzbrojeni, przynajmniej tak dobrze jak osiemdziesiąt batalionów rządowych, wyposażonych głównie dzięki uprzejmości Wujka Sama, to mogliby pokazać, co potrafią. Do zeszłego roku otrzymywali niewielkie dostawy z Libii. Ale kiedy Imelda Marcos pojechała tam i zmusiła pułkownika Kadafiego oraz jego ministra spraw zagranicznych, Ali Tureiki, do obcięcia dostaw, to i ta ostatnia deska ratunku zawiodła.

Cóż więc mieli zrobić? Nie mogli przecież ani zdobyć, ani wyprodukować broni na Filipinach. Nawet gdyby nie nienawidzili Amerykanów, to i tak Ameryka nie dostarczałaby broni rebeliantom. Nawet nie próbowali dogadać się z komunistami. A ich muzułmańscy bracia również zostawili ich własnemu losowi. Tak więc rebelianci doszli do słusznego wniosku, że każda duża firma zbrojeniowa na świecie dostarczy broni każdemu, pod warunkiem, że zapłaci prawdziwymi pieniędzmi. Pomyśleli więc o sobie. Rządy przecież robią to przez cały czas. Musieli tylko znaleźć gotówkę.

Rozwiązanie było proste: niech wrogowie zajmą się wyposażeniem ich w broń. W tym przypadku nieszczęsnym dostawcą miał być Wujek Sam. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby przy okazji udało się trochę mu dopiec. Okraść go doszczętnie, zranić, a przy okazji upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zdyskredytować Rosjan i Chińczyków, robiąc z nich zasłonę dymną. I sądzę, że właśnie w Kalifornii zaczynamy odczuwać skutki tego planu. A najbardziej przerażającą rzeczą jest to, że Koran odpuszcza grzechy każdemu muzułmaninowi, który zabije nie-muzułmanina. A jeżeli ma się spokojne sumienie, to jaka jest różnica między zabiciem jednego człowieka a milionem ludzi? Jeżeli wszystkie chwytły są dozwolone w wojnie i w miłości, to jak to musi wyglądać w przypadku świętej wojny?

- To jest interesująca hipoteza - Mitchell tonem głosu dał do zrozumienia, że jest człowiekiem dobrze wychowanym i że tolerancyjnie wysłuchał faceta mówiącego, iż księżyc jest zrobiony z zielonego sera. - Ma pan, oczywiście, jakieś dowody na poparcie tego?

- Niczego, co służyć by mogło za prawdziwy dowód. Doszedłem do tego drogą eliminacji i opierając się na poszlakach. Ale jest to jedyna teoria tłumacząca sytuację, w jakiej się w tej chwili znajdujemy.

- I twierdzi pan, że oni chcą gotówki? Jeżeli tak, to dlaczego nie szantażują rządu, domagając się pieniędzy?

- Nie wiem. Wprawdzie coś mi zaczyna świtać w głowie, ale wiem, co by pan o tym pomyślał. Po drugie, eksperci od języków uważają, że Morro pochodzi z południowo-wschodniej Azji. Po trzecie, jest pewne, że Morro jest powiązany z Carltonem, rzekomo porwanym zastępcą szefa ochrony z San Ruffino, a nie ma żadnych wątpliwości, że Carlton odwiedzał kilka razy Manilę. Po czwarte, jeżeli Morro ma jakąś słabostkę, to wydaje się nią ironiczne przybieranie pseudonimów związanych z operacją, którą prowadzi. Pierwszy etap tej operacji miał na celu zdobycie paliwa nuklearnego i może specjalnie wybrał pseudonim pochodzący od nazwy elektrowni atomowej w Morro Bay. Po piąte, nie jest to jedyne miejsce, które ma taką nazwę. Na Filipinach istnieje Zatoka Morro. Po szóste, ta zatoka znajduje się na Mindanao i stanowi główne ognisko rebeliantów. Po siódme, Zatoka Morro była w ubiegłym roku miejscem największej klęski żywiołowej w dziejach Filipin. Trzęsienie ziemi spowodowało falę, która pozbawiła życia pięć tysięcy osób, a siedemdziesiąt tysięcy dachu nad głową. Obiecano nam jutro taką falę. Założę się, że na sobotę obieca się nam trzęsienie ziemi. Myślę, że może to być piętą achillesową Morro. Byłby uszczęśliwiony, gdyby jego imię łączono z bombą atomową, falą przyływu i trzęsieniem ziemi.

- I pan to nazywa dowodami? - spytał znowu Mitchell ironicznie.

- Zgadza się, to nie są dowody. W najlepszym razie - poszlaki. Ale są bardzo ważne. Czasem nie wiadomo, gdzie szukać, dopóki nie trafi się na jakąś poszlakę. Poluje się według szczekania sfory. Albo inaczej: powiedzmy, że szukam magnetytu i wyjmuję kompas. Igła najpierw obraca się, a potem staje w miejscu. Może wskazuje kierunek, w którym należy szukać magnetytu. Ustawiam drugi kompas, który wskazuje mi ten sam kierunek. To może być zbieg okoliczności, ale sam ten fakt jest już godny uwagi. Ustawiam więc pięć kompasów i wszystkie wskazują ten sam kierunek. Przestaję zastanawiać się nad zbiegiem okoliczności. Mam siedem takich igieł, z których każda wskazuje na Mindanao -

Ryder zamilkł na chwilę. - Osobiście jestem przekonany, rozumiem jednak, że panowie potrzebują dowodów.

- Mnie pan przekonał. Choćby dlatego, że nie widzę żadnej igły wskazującej inny kierunek - oznajmił Barrow. - Byłoby jednak miło mieć jakiś dowód. Co nazwałby pan dowodem, panie Ryder?

- Jakąkolwiek odpowiedź na którekolwiek z siedmiu, o dziwo, pytań - powiedział, wyjmując z kieszeni kartkę papieru. - Skąd pochodzi Morro? Gdzie można znaleźć dwumetrowego olbrzyma, który musi być ważnym zastępcą Morro? Jakiego rodzaju bomby projektował profesor Aachen? Myślę, że Morro kłamał co do jej rozmiarów, bo przecież nie musiał ich wcale podawać - Ryder spojrział z wyrzutem na Barrowa i Mitchella. - Rozumiem, że Komisja Energii Atomowej spuściła zasłonę na ten temat. Jeśli wy obaj nie zdołacie uchylić rąbka tej tajemnicy, to kto ma to zrobić? Chciałbym też wiedzieć, czy w górach Kalifornii działają jakieś prywatne organizacje posługujące się własnym helikopterem oraz takie, które mają własne ciężarówki. Major Dunne pracuje już nad ostatnimi dwoma tematami. Ponadto chciałbym wiedzieć, czy Morro zagrozi nam trzęsieniem ziemi w sobotę. Mówiłem już, że jestem tego pewien. I w końcu chciałbym się dowiedzieć, czy poczta może sprawdzić, czy istnieje radiolinia między Bakersfield a miejscem zwanym Adlerheim.

- Adlerheim? - Mitchell stracił część swojej nieprzejeđnanej nieustępliwości. Można było dość rozsądnie założyć, że nie został dyrektorem CIA tylko dlatego, że kuzyn jego ciotki miał jakąś maszynistkę w hali maszyn. - Co to takiego?

- Znam to miejsce - powiedział Barrow - leży w Sierra Nevada. Nazywają to wariactwem von Streichera. Czy o to chodzi?

- Tak. Sądzę, że tam właśnie znajdziemy Morro. Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebym zapalił? - spytał Ryder.

Nie tylko nikt nie zgłosił najmniejszego zastrzeżenia, ale wydawało się, że nikt nie usłyszał pytania. Wszyscy byli zajęci. Zajmowali się przyglądaniem sobie wzajemnie spod przymkniętych powiek, wertowali leżące przed nimi papiery bądź rozmyślali o nieskończoności. Ryder spalił ze dwa centymetry swojego gauloise'a, zanim odezwał się Barrow:

- To niezły pomysł, panie Ryder. Po wysłuchaniu pana myślę, że nikt nie zgłosi zastrzeżeń - celowo podkreślił swoją wypowiedź, nie spoglądając w stronę Mitchella. - Zgodzi się pan ze mną, Sassoon?

- Usłyszałem dosyć, żeby nie ośmieszać się zgłaszaniem zastrzeżeń - po raz pierwszy odezwał się Sassoon. - Jestem przekonany, że pan Ryder miał swoje wskazówki - dodał z uśmiechem.

- Nie miałem niczego, o czym byście, panowie, nie wiedzieli. W tej dość zagadkowej notatce, którą napisała moja żona w czasie porwania, można przeczytać, że Morro wspomniał o miejscu, do którego jechali, że jest tam świeże powietrze i nie grozi im zamoczenie stóp. Czyli mówił o górach. Ten zamek został zajęty przez grupę muzułmanów zupełnie bezceremonialnie, co jest wyraźnym przykładem bezczelności Morro. To miejsce nazywa się teraz świątynią Allacha, jakoś tak, i oficjalnie korzysta z ochrony policji. Ten fakt znowu odpowiada przewrotnemu i ironicznemu poczuciu humoru Morro. Zamek jest właściwie nie do zdobycia od zewnątrz. Leży w pobliżu Bakersfield, skąd telefonowano do LeWintera. Są duże szanse, że mają helikopter. Wkrótce się tego dowiemy. Mógłby ktoś powiedzieć, że zgaduję i że to wszystko jest zbyt oczywiste, a to jest ostatnia rzecz, której się Morro po nas spodziewa.

- Przecież pan nie zna tego Morro? - zauważył Barrow.

- Niestety, nie.

- Ale robi pan wrażenie, jakby siedział pan w jego głowie. Mam tylko nadzieję, że nie myli się pan.

- On jest dobry we włożeniu w cudze głowy - wtrącił łagodnie Parker. - Wystarczy spytać kogokolwiek z branży. Ryder unieszkodliwił więcej przestępców niż którykolwiek inny detektyw w tym stanie.

- Miejmy nadzieję, że szczęście go jeszcze nie opuściło. Czy to wszystko, panie Ryder?

- Tak. A kiedy będzie już po wszystkim, to chciałbym, żebyście podziękowali mojej żonie. Gdyby nie zanotowała, że widzi czarną przepaskę na oku Morro, i gdyby nie zauważyła, że coś jest nie w porządku z jego dłońmi, to dalej bylibyśmy w punkcie wyjścia. Wciąż zresztą nie wiemy, czy miała rację. Poza tym jest jeszcze coś, co potwierdza pokrętne poczucie humoru Morro. Czy panowie wiedzą, dlaczego von Streicher zbudował Adlerheim w tym właśnie miejscu?

Nikt się nie odezwał.

- Założę się, że Morro zna ten powód. Otóż von Streicher miał fobię: bał się fal przyływu.

Nikt nie powiedział, bo na razie nikt nie miał nic do powiedzenia. Po jakimś czasie Barrow podniósł się i dwukrotnie nacisnął umieszczony przy jego miejscu przycisk. Drzwi otworzyły się i weszły dwie dziewczyny.

- Chce nam się pić - powiedział Barrow.

Dziewczyny podeszły do jednej ze ścian i odsunęły drewnianą boazerię.

- Nie chciało mi się pić - stwierdził Barrow po chwili, odstawiając szklankę. - Potrzebowałem czasu do namysłu. Ale wcale mi to nie pomogło.

- Ruszamy na Adlerheim? - agresja Mitchella traciła stopniowo impet. Niezdecydowanie zgłosił pod dyskusję wątpliwej jakości pomysł.

- Nie - Ryder potrząsnął głową, jakby chciał podkreślić, że ma rację. - Myślę, że mam rację. Oczywiście, mogę się mylić. W obu przypadkach mam w nosie dowody i aspekt legalny i nie sądzę, żeby ktokolwiek z tu obecnych tym się przejmował. Chodzi o zakładników i samo miejsce. Nie da się go wziąć szturmem. Jest nie do zdobycia. Jeśli Morro tam jest, to będzie strzegł zamku jak Fortu Knox. Gdybyśmy zaatakowali i napotkali opór, to mielibyśmy pewność, że on tam naprawdę jest. I co dalej? W górach nie można użyć czołgów ani artylerii. Samoloty z rakietami? To wspaniały pomysł przy trzydziestu pięciu megatonach bomb wodorowych, które tam się znajdują.

- Byłoby wielkie bum! - stwierdził Mitchell, który zaczął nabierać ludzkich cech. - Mnóstwo trupów! A razem z ofiarami opadów radioaktywnych na zachodnim wybrzeżu? Liczba ofiar sięgnęłaby milionów.

- Nie mówiąc już o dziurze w powłoce ozonowej - dodał Ryder.

- Co?

- Nic.

- Atak nie wchodzi w rachubę - wtrącił Barrow. - Tylko naczelny dowódca mógłby wydać taki rozkaz. A bez względu na przekonania polityczne, cynizm czy humanitaryzm, żaden prezydent nie zechce przejść do historii jako człowiek bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć milionów obywateli swego kraju.

- A poza tym - wtrącił Ryder - mam wrażenie, że wciąż zapominamy o najważniejszym: przecież te bomby detonuje się przez radio, a Morro będzie tam cały czas siedział z palcem na przycisku. Może bomby są już rozmieszczone w całym kraju? Wystarczy, że naciśnie ten swój przycisk. A nawet gdyby przez cały czas miał to świństwo w piwnicy, to i tak go przyciśnie. Byłby to świetny sposób zapłacenia Amerykanom za miliardy dolarów i pomoc wojskową dla Marcosa, które pomogły mu zabijać muzułmanów.

Życie Amerykanów nic dla nich nie znaczy. A w świętej wojnie ich własne życie również nie ma dla nich żadnej wartości. Oni nie mogą przegrać. Wrota rajów stoją przed nimi otworem.

Zapanowała długa cisza, którą wreszcie odważył się przerwać Sassoon.

- Robi się chłodno. Kto napije się ze mną whisky albo koniaku? - spytał.

Wszyscy przyznali, że w pokoju jest chłodno. Po chwili ciszy odezwał się Mitchell:

- To jak, do cholery, dobierzemy się do tych bomb? - spytał.

- Nie ma sposobu - odparł Ryder. - Miałem więcej czasu niż panowie, żeby się zastanowić. Te bomby będą pod stałym nadzorem. Jeśli zbliży się pan do nich, to wybuchną panu prosto w twarz. Nie chciałbym, żeby bomba o mocy trzy i pół megatony wybuchła mi prosto w twarz. - Zapalił następnego papierosa. - No cóż, nie wiem. Nie mamy się czym przejmować. Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie w sytuacji, kiedy grozi nam zagłada. Zapomnijcie o bombach. Chcemy się dostać do tego przycisku, zanim go Morro naciśnie.

- Infiltracja? - zapytał Barrow.

- A jak inaczej?

- W jaki sposób?

- Wykorzystując jego przesadną pewność siebie i kolosalną zarozumiałość.

- Jak?

- Jak? - Ryder okazał po raz pierwszy odrobinę irytacji. - Zapomina pan, że jestem tu właściwie intruzem.

- Co do mnie - rzekł Barrow - a w Stanach Zjednoczonych jestem jedynym człowiekiem, który o tym decyduje, jest pan od tej chwili pełnoetatowym i pełnoprawnym pracownikiem FBI.

- Bardzo dziękuję.

- Więc jak?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Zapadła głęboka cisza. Barrow powoli obrócił się w stronę Mitchella.

- Co zrobimy? - spytał.

- Oto całe FBI - odparł Mitchell, rzucając groźne spojrzenia wokół. - Zawsze próbują wszystko zwalić na nas. Miałem zadać panu to samo pytanie.

- Ja wiem, co zrobię - oznajmił Ryder wstając. Majorze Dunne, przypominam, że obiecał pan podrzucić mnie do Pasadeny.

Zastukano do drzwi i weszła młoda dziewczyna z kopertą w dłoni.

- Major Dunne? - zapytała.

Dunne wziął kopertę, wyjął z niej kartkę, którą przebiegł wzrokiem, a potem spojrzał na Rydera.

- Cotabato - powiedział.

Ryder usiadł. Dunne podniósł się, podszedł do Barrowa i oddał mu kartkę. Po przeczytaniu Barrow podał ją Mitchellowi, czekał aż ten skończy lekturę, potem zabrał mu ją i przeczytał głośno:

- Manila. Od szefa policji, podpisał również generał Huelva, którego znam. "Opis osobnika zwanego Morro odpowiada dokładnie poszukiwanemu przez nas i dobrze znanemu przestępcy. Potwierdzamy, że obie dłonie ma poważnie okaleczone i widzi tylko na jedno oko. Został ranny podczas nieudanej próby wysadzenia w powietrze letniej rezydencji prezydenta. Wspólnik - ogromnego wzrostu, o nazwisku Dubois, wyszedł z zamachu bez szwanku. Trzeci stracił lewą rękę. Odstrzelono mu ją podczas ucieczki".

Barrow przerwał lekturę i spojrzał na Rydera.

- Świat jest mały - powiedział ten ostatni. - Znowu mamy naszego olbrzymiego przyjaciela. Ten drugi to prawdopodobnie facet z protezą, który porwał z San Diego moją córkę.

"Prawdziwe nazwisko Morro - czytał dalej - brzmi Amarak. Śledztwo potwierdziło nasze przypuszczenia, że Amarak znajduje się w waszym kraju. To przymusowe wygnanie. Wyznaczono nagrodę za jego głowę w wysokości miliona dolarów. Urodzony w Cotabato, ognisku muzułmańskich rebeliantów na wyspie Mindanao. Amarak jest przywódcą FWNM - Frontu Wyzwolenia Narodowego Morro".

Rozdział XI

- Czasem człowiek traci wiarę w ludzkość - stwierdził ze smutkiem profesor Alec Benson. - Jesteśmy w odległości trzydziestu kilometrów od oceanu, a oni wciąż jadą na wschód. Jeśli tak można powiedzieć o samochodach poruszających się średnio półtora kilometra na godzinę. Są tutaj równie bezpieczni od fali przyływu, jak gdyby mieszkali w Kolorado, ale żaden z nich nie ma zamiaru zatrzymać się, dopóki nie rozbije namiotu na szczycie San Gabriel.

Odwrócił się od okna, wziął do ręki laseczkę i nacisnął na wyłącznik, oświetlając ścienną mapę stanu Kalifornia.

- Cóż, panowie, nasz program EPSP oznacza Program Przeciwdziałania Przesunięciom Powodującym Trzęsienia Ziemi. Zaraz wyjaśnię, gdzie postanowiliśmy dokonać wierceń i dlaczego. Odpowiedź na pytania "gdzie" i "dlaczego" jest ta sama. Jak już wyjaśniłem poprzednim razem, w skrócie chodzi o wstrzyknięcie cieczy wzdłuż uskoków geologicznych, czym można złagodzić tarcia między płytami tektonicznymi; mamy nadzieję, że dzięki temu spowodujemy mniejsze przesunięcia, wywołujące serię słabych i częstych wstrząsów, zamiast wielkich trzęsień ziemi w znacznych odstępach czasu.

Kiedy współczynnik tarcia wzrasta, wtedy poziome siły stają się zbyt wielkie i coś musi puścić. W tym przypadku jedna płyta przeskakuje w stosunku do drugiej czasami aż o sześć metrów. Wtedy mamy do czynienia z silnym trzęsieniem ziemi. Naszym głównym celem, a może powinienem powiedzieć, że mamy taką nadzieję, jest stopniowe zmniejszanie tego współczynnika tarcia - postukał laseczką w mapę. - Zacznijmy od dołu.

To jest pierwszy otwór, kiedy zaczęliśmy wiercić. Pierwszy z serii spustów, jak je nazywamy. Znajduje się on w Cesarskiej Dolinie, pomiędzy Imperialem i El Centro. W tym miejscu nastąpiło w 1915 roku trzęsienie ziemi o sile sześciu i trzech dziesiątych stopnia w skali Richtera; w 1940 roku bardzo silne trzęsienie ziemi o sile siedmiu i sześciu dziesiątych, a w 1966 roku kolejne, ale już bardzo słabe. To jest jedyny znany nam odcinek Uskoku San Andreas przebiegający w pobliżu granicy z Meksykiem - przesunął wskaźnikiem po mapie.

Kolejny otwór znajduje się w pobliżu Hemet, gdzie w 1899 roku nastąpiło silne trzęsienie ziemi, ale brak o nim danych sejsmologicznych. Tuż obok Cajon Pass, w tym samym rejonie, w 1918 roku nastąpił wstrząs o sile sześciu i ośmiu dziesiątych stopnia. To już jest Uskok San Jacinto.

Trzeci otwór znajduje się najbliżej nas, w rejonie San Bernardino. Ostatni wstrząs, o sile sześciu stopni, nastąpił tu przed siedemdziesięciu laty. Jesteśmy przekonani, że jest to uśpiony rejon, w którym wstrząs powinien był nastąpić już dawno temu. Może jest to jednak nasze przeczulenie, które bierze się z faktu, że na co dzień mamy z tym wszystkim zbyt dużo do czynienia.

- Jakie byłyby skutki takich wstrząsów? - spytał Barrow. - Chodzi mi o naprawdę silne wstrząsy.

- W każdym z trzech obszarów wstrząs musiałby uszkodzić San Diego, a w przypadku dwóch ostatnich rejonów zagroziłby bezpośrednio samemu Los Angeles - ponownie przesunął laseczką po mapie. - Następny otwór znajduje się nad uskokiem, który był dotąd uśpiony. Mamy nadzieję, że obniżenie napięć w tym miejscu może przyczynić się do zmniejszenia niebezpieczeństwa w Uskoku Newport-Inglewood, który, jak wiecie, przechodzi dokładnie pod Los Angeles. Uskok ten jest znany ze słynnego trzęsienia ziemi w 1933 roku, o sile sześciu i trzech dziesiątych w skali Richtera. Powiedziałem, że mamy nadzieję. Ale nie wiemy nic pewnego. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób oba te uskoki są ze sobą połączone, a nawet nie wiemy, czy w ogóle są połączone. Ogólnie rzecz biorąc, nie wiemy całej masy rzeczy i większość tego, co robimy, opiera się na przypuszczeniach. Nie jest natomiast przypuszczeniem, że silne trzęsienie ziemi może poważnie dotknąć Los Angeles.

Dochodzimy teraz do Tejon Pass. Ten rejon bardzo nas martwi. Od dawna nie wykazuje żadnej aktywności sejsmicznej. Dokładnie od stu dwudziestu lat, kiedy to nastąpił w tym miejscu wstrząs o największej sile w historii Południowej Kalifornii. Nie był on, co prawda, tak silny jak trzęsienie ziemi w Owens Valley w 1873 roku, bo to było najsilniejsze trzęsienie w historii stanu Kalifornia, ale nasza parafiańska mentalność nie pozwala nam uznać Owens Valley za część Południowej Kalifornii. Duże przesunięcie w tym uskoku spowodowałoby w Los Angeles dużo kłopotów. Gdybym wiedział o tym wcześniej, to wyniósłbym się z miasta. Tejon Pass znajduje się w Uskoku San Andreas i niedaleko od tego miejsca, w okolicy Frazier Park koło Fortu Tejon, przecinają się uskoki San Andreas i Garlocka. W tej okolicy nie było żadnych trzęsień ziemi o większej sile. To ostatnie, słabiutkie trzęsienie mogło być spowodowane przez naszego przyjaciela Morro. Nie mamy jednak tego jak sprawdzić. Ale z drugiej strony, nikt nie przewidywał trzęsienia w San Fernando - laseczka przesunęła się znowu po mapie.

A tutaj mamy szósty otwór. Znajduje się on w Uskoku Białego Wilka. Miejsce to było sceną...

Przerwał, bo zadzwonił telefon. Jeden z asystentów podniósł słuchawkę, rozejrzał się po zebranych i spytał:

- Major Dunne, który to z panów?

Dunne wziął słuchawkę, wysłuchał rozmówcy, podziękował mu i wyłączył się.

- Adlerheim ma niezły park transportowy - powiedział. - Nie jeden, ale dwa helikoptery, dwie ciężarówki i dżip - uśmiechnął się, spoglądając na Rydera. - Dwie igły może już pan schować, sierżancie.

Ryder pokiwał głową. Jeżeli poczuł jakieś zadowolenie, to nie okazał tego po sobie. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że był tak głęboko przekonany o słuszności swoich teorii, że fakt ich potwierdzenia zupełnie go nie wzruszył.

- Co to za historia z tymi igłami? - spytał Benson.

- Rutyna śledcza, profesorze.

- Aha. To chyba nie jest moja sprawa. Co to ja mówiłem... Aha. Biały Wilk - trzęsienie ziemi o sile siedmiu i dwóch dziesiątych stopnia w skali Richtera w 1952 roku. Najsilniejsze od 1857 roku. Jego epicentrum znajdowało się gdzieś tutaj - pokazał laseczką na mapie - między Arvin i Tehachapi - przerwał i spojrzał na Rydera. - Pan jest niezadowolony, sierżancie?

- To nie to, profesorze. Zamyśliłem się. Proszę kontynuować.

- No cóż. To bardzo zdradliwy obszar. Wiele rzeczy jest z nim bezpośrednio związanych. Cokolwiek dzieje się w Uskoku Białego Wilka, może mieć wpływ zarówno na Uskok Garlocka, jak i na Uskok San Andreas. Nie wiemy tego na pewno. Może istnieć, nawet powiązane z uskokami Santa Ynez, Mesa i Channel Islands. To bardzo atrakcyjny sejsmicznie obszar. Raporty sięgają początków XIX wieku. Ostatni silny wstrząs nastąpił w 1927 roku. Wszystko jest bardzo niepewne. Każde zakłócenie Uskoku Santa Ynez z pewnością musi zaszkodzić Los Angeles - potrząsnął głową. - Biedne Los Angeles... Miasto jest otoczone aktywnymi sejsmicznie centrami. Na naszym poprzednim spotkaniu mówiłem panom o możliwości nastąpienia potwornego wstrząsu. Gdyby przydarzył się on w San Jacinto, San Bernardino, Uskoku Białego Wilka, Tejon Pass, Santa Ynez i - oczywiście - Long Beach, to półkula zachodnia musiałaby skreślić z indeksu nazw co najmniej jedno wielkie miasto. Jeżeli nasza cywilizacja zostanie zniszczona i powstanie na jej miejscu inna, to ta nowa cywilizacja będzie mówiła o Los Angeles podobnie, jak my dzisiaj mówimy o Atlantydzie.

- Jest pan dzisiaj w sentymentalnym nastroju - zauważył Barrow.

- Niestety. To, co się wokół mnie dzieje, i pytania, którymi mnie zasypują różni ludzie, sprawiają, że nie jestem dzisiaj optymistyczny i pogodny jak zwykle. Proszę mi to wybaczyć. Między San Andreas i Parkfield drążymy w bardzo interesującym miejscu. To aktywny obszar, ciągle następują na nim słabe wstrząsy, ale - co symptomatyczne - nigdy nie zanotowano tam poważniejszego trzęsienia ziemi. Był jeden bardzo silny wstrząs w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, trochę bardziej na zachód, w San Luis Obispo, który mógł zostać wywołany przez Uskok San Andreas lub przez Uskok Nacimiento, biegnący równoległe do linii brzegowej na zachód od San Andreas - zaśmiał się bezgłośnie.

- Bardzo silny wstrząs w tym rejonie z pewnością wrzuciłby elektrownię atomową w Morro Bay do morza.

Nieco dalej na północ wierciliśmy bardzo głęboko pomiędzy Hollister i San Juan Bautista. To jeszcze jeden z uspionych obszarów. Zaraz na południe od tego miejsca Uskok Hayward skręca w prawo, biegnąc na wschód od Zatoki San Francisco, mija Hayward, Oakland, Berkeley i Richmond, a potem schodzi pod San Pablo Bay. W Berkeley uskoku przebiega dokładnie pod stadionem uniwersyteckim. Jest to dość ciekawe, bo w tym miejscu zbierają się regularnie tłumy kibiców. Wzdłuż tego uskoku nastąpiły dwa bardzo silne trzęsienia ziemi - w 1836 i 1868 roku. I do czasu trzęsienia w San Francisco w 1906 roku wszyscy uważali to poprzednie za "wielkie trzęsienie ziemi". I tam właśnie, w rejonie jeziora Temescal, wywierciliśmy dziewiąty otwór. Dziesiąty powstał w Walnut Creek nad Uskokiem Calaveras. O tym uskoku nie wiemy absolutnie nic, a więc mamy prawo podejrzewać wszystko.

- Razem dziesięć - stwierdził Barrow - i, jak sądzę, to wszystko. Mówił pan poprzednio o tym biednym Los Angeles. A co z tym biednym San Francisco?

- Cóż. To miasto jest jak dziecko wrzucone między wilki. Z punktu widzenia geologicznego i sejsmologicznego San Francisco jest miastem oczekującym na śmierć. Prawdę mówiąc, jesteśmy przerażeni samą myślą grzebania się w tamtych okolicach. Rejon Los Angeles miał siedem, można powiedzieć, historycznych wstrząsów, o których coś wiemy. Rejon zatoki miał ich szesnaście i nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie może nastąpić następny. Istniała, co prawda, propozycja, moja zresztą, żeby wiercić następny otwór koło jeziora Searsville. To niedaleko od Uniwersytetu Stanford, który mocno ucierpiał w 1906 roku; a co najważniejsze, tamtędy Uskok Pilarcitos odłącza się od Uskoku San Andreas. Uskok Pilarcitos może być pierwotną linią Uskoku San Andreas. Z pewnością tak było kilka milionów lat temu. W 1906 roku linia wstrząsu przebiegała wzdłuż niezamieszkałych górzystych rejonów. I wtedy pozbawieni skrupułów przedsiębiorcy

budowlani zbudowali miasto leżące po obu stronach uskoku. Skutki wstrząsu o sile przekraczającej osiem stopni w skali Richtera są zbyt przerażające, aby starać się je sobie wyobrazić. Proponowałem złagodzenie napięć sejsmicznych na tym obszarze, ale ludzie reprezentujący pewne nietykalne grupy interesów były przerażeni samą myślą o tym.

- Nietykalne grupy interesów? - zdziwił się Barrow.

- Właśnie - Benson westchnął. - W 1966 roku powstało tu, z inicjatywy Narodowego Centrum Badań Geologicznych, Centrum Dozoru Sejsmologicznego. Oni są bardzo przewrażliwieni, jeśli chodzi o trzęsienia ziemi.

- Interesują mnie te odwierty - wtrącił się Ryder. - Jakiej średnicy wiertła stosujecie?

- Mogłem się spodziewać takiego pytania - Benson westchnął ponownie i spojrzał wymownie na Rydera - po to tu przyjechaliście?

- No więc?

- Można stosować dowolną średnicę, byle w granicach rozsądku. Na Antarktyce wiercą trzydziestocentymetrowymi wiertłami, aby się przebić przez lód, ale tutaj wystarczą mniejsze wiertła. Jakies dwanaście, może szesnaście centymetrów średnicy, nie wiem dokładnie. Można to łatwo sprawdzić. A więc sądzicie, że nasze wiercenia mogą się obrócić w broń przeciwko nam? Bo samą falą przyływu nie można wszystkiego załatwić? A to jest przecież kraina wstrząsów tektonicznych. Dlaczego więc nie pomóc drzemiącym siłom natury i nie wywołać potężnych wstrząsów? A gdzie znaleźć lepsze punkty sprawcze niż w odwiertach, które sami wybraliśmy?

- To jest wykonalne? - spytał Barrow.

- Raczej tak.

- A jeśli... - przerwał. - Dziesięć bomb. Dziesięć dziur. To wszystko za dobrze do siebie pasuje. A jeśli oni to zrobią?

- Lepiej pomyślmy o czymś innym.

- A jeżeli?

- Jest tyle niewiadomych...

- Ale jakie jest pana zdanie, profesorze?

- Goodbye, Kalifornio! To jest moje zdanie. To musi dotknąć więcej niż połowę ludności. Może cały stan zwali się do Pacyfiku. Może nastąpi tylko seria monsturalnych trzęsień ziemi. Bo jeżeli spowoduje się wybuch jądrowy w uskoku, to musi nastąpić wielkie trzęsienie ziemi. Nie mówiąc już o opadzie radioaktywnym na obszarach nie dotkniętych

przez wstrząsy. Natychmiastowa wycieczka na wschód, i to naprawdę natychmiastowa, wydaje mi się nagle bardzo pociągającą perspektywą.

- Musiałby pan iść piechotą - wtrącił się Sassoon. - Drogi są zakorkowane, a lotniska obleżone. Linie lotnicze wysyłają tu wszystkie samoloty, które są w stanie wynająć, ale to niewiele pomaga. Maszyny czekają w powietrzu na wolny pas startowy, żeby wylądować. A kiedy już lądują, to na każde miejsce czeka stu pasażerów.

- Jutro sytuacja się poprawi. Permanentna panika nie leży w naturze ludzkiej.

- A w naturze samolotów nie leży start z lotniska pokrytego trzymetrową warstwą wody, a to się może stać jutro - przerwał, bo znowu zadzwonił telefon. Tym razem słuchawkę podniósł Sassoon.

- Po pierwsze, Adlerheim ma legalną radiolinię. Poczta nie zna ani nazwiska, ani adresu człowieka, który odbiera telefon. Zakładają, że nie zechcemy zaczynać śledztwa w tej sprawie. Po drugie, wśród mieszkańców Adlerheimu znajduje się wielki mężczyzna - spojrzał na Rydera. - Zdaje się, że miał pan rację, mówiąc o ich aroganckiej pewności siebie. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zmienić nazwisko. Dubois!

- To dobrze - stwierdził Ryder. - Jeżeli nawet był zaskoczony lub usatysfakcjonowany, to żadnego z tych uczuć nie okazał. - Morro porwał dwudziestu sześciu wiertaczy i inżynierów, krótko mówiąc, nafciarzy. Sześciu z nich pracuje pod przymusem w samym Adlerheimie. Pozostaje więc dwóch ludzi na każdy odwiert. Zagrozi im karabinami, ale przecież musi mieć fachowy personel, jeśli chce spuścić w dół te piekielne rzeczy. Myślę, że nie musimy już martwić się Komisją Energii Atomowej. Bez względu na to, jaką bombę skonstruował profesor Aachen, nie może ona mieć średnicy większej niż dwanaście centymetrów - spojrzał na profesora Bersona. - Czy ekipy wiertnicze pracują podczas weekendów?

- Nie wiem.

- Założę się, że Morro wie.

- Słyszał pan? - Berson zwrócił się do jednego ze swoich asystentów. - Proszę się dowiedzieć.

- Tak więc - oznajmił Barrow - mamy teraz pewność, że Morro skłamał, jeśli chodzi o wymiary bomb. Nie można czegoś o średnicy trzydziestu centymetrów wepchnąć w otwór o średnicy dwunastu centymetrów. Myślę, że muszę zgodzić się z poglądem, że ten człowiek jest niebezpiecznie pewny siebie.

- Ma wszelkie ku temu powody - stwierdził posępnie Mitchell. - Dobrze. Teraz wiemy, że siedzi w tym swoim zamku z bajki i jesteśmy pewni, o ile można być czegoś

pewnym, że ma tam również te swoje bomby. I ta wiedza bardzo nam pomoże! Jak mamy dostać się do niego lub do bomb?

- Zespoły wiertaczy - powiedział asystent, który właśnie wrócił - nie pracują podczas weekendów, panie profesorze. W nocy teren jest strzeżony przez strażników. Po jednym na każdy odwiert. Ten człowiek twierdzi, że nie przewidywano, żeby ktoś przyszedł ukraść wieże wiertnicze i wywieźć je na taczkach.

Głębokie milczenie, które zapadło po tych słowach, było wystarczającym komentarzem. Mitchell, który zupełnie stracił pewność siebie, spytał płaczącym głosem:

- I co my, do diabła, teraz zrobimy?

- Nie sądzę - Barrow przerwał milczenie - że cokolwiek można tu zrobić. Mówię o osobach zgromadzonych w tym pokoju. Pomijając fakt, że naszym głównym celem jest prowadzenie śledztwa, nie mamy odpowiedniej władzy, żeby podejmować decyzję na szczeblu ogólnonarodowym.

- Chciał pan powiedzieć: międzynarodowym - wtrącił Mitchell. - Jeżeli mogą to nam zrobić, to dlaczego nie w Londynie, Paryżu czy w Rzymie? - prawie promieniał z zadowolenia. - Mogliby to nawet zrobić w Moskwie. Ale zgadzam się, że jest to sprawa dla Białego Domu, Kongresu, Pentagonu. Osobiście wolę Pentagon. Jestem przekonany, że na groźbę użycia siły, a jeżeli to nie jest groźba użycia siły, to nie wiem doprawdy, co to może być innego, można odpowiedzieć tylko siłą. Jestem również przekonany, że powinniśmy wybrać mniejsze zło i kierować się dobrem większości. Sądzę, że powinniśmy zaatakować Adlerheim. Wtedy przynajmniej moglibyśmy ograniczyć zakres zniszczeń, nie dopuścić do dewastacji połowy stanu - zamilkł, bo nagle coś mu przyszło do głowy. - Na Boga! Chyba już wiem. Zupełnie nie myślimy. Potrzeba nam tutaj eksperta do spraw bomb wodorowych. Jesteśmy prawnikami. Cóż wiemy o sposobach detonowania takich urządzeń? One mogą zupełnie nie reagować na, jak to się mówi, przypadkowe eksplozje. Gdyby tak było, to wystarczą jeden czy dwa bombowce z bombami atomowymi i puff - wszelkie formy życia natychmiast znikną. - Ani Archimedes w swojej wannie, ani Newton ze swoim jabłkiem nie mogli okazywać bardziej szczerego entuzjazmu.

- Cóż - stwierdził Ryder. - Serdecznie dziękuję.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Brak entuzjazmu u pana Rydera - odparł Dunne - jest zupełnie zrozumiały. A może zapomniał pan, że jego żona i córka są zakładniczkami? Nie mówiąc już o pięciu najwybitniejszych fizykach tego kraju.

- Mhm - wiele z jego misjonarskiego uniesienia zniknęło. - Przykro mi. Chyba zapomniałem o tym. Jednak...

- Niemniej i tak chciał pan powiedzieć, że trzeba się kierować dobrem większości. Pana propozycja prawie na pewno wywoła odwrotny skutek. Największe zniszczenie największej liczby ludzi.

- Proszę to wyjaśnić, panie Ryder - Mitchell uwielbiał swoje pomysły, trudno mu było rozstać się z nimi bez walki.

- Proszę bardzo. Chce pan użyć rakiet z głowicami atomowymi. Południowy kraniec Doliny San Joaquin jest bardzo gęsto zaludniony. Czy ma pan zamiar odparować również i tych ludzi?

- Oczywiście, że nie. Ewakuujemy ich.

- Boże! Dodaj mi sił! - westchnął Ryder znużonym głosem. - Nie przyszło panu do głowy, że z Adlerheimu Morro ma doskonały widok na całą dolinę, nie mówiąc już o szpiegach umieszczonych w terenie? Jak pan sądzi, co on sobie pomyśli, kiedy zauważy masowy exodus obywateli? Powie sobie: "Ha! Wykiwali mnie" - a to jest, pomijając wszystko inne, ostatnia rzecz, o której chcemy, żeby się dowiedział. - "Muszę dać tym ludziom nauczkę, bo najwyraźniej chcą mnie zaatakować bronią jądrową". Wtedy wyśle swoje helikoptery na południe w okolice Los Angeles i na północ w rejon zatoki. Sześć milionów trupów to dość zaniżony szacunek. Taki jest pana ideał taktyki wojskowej i zredukowania strat do minimum?

Sądząc po zmarkotniałej minie Mitchella, nie był to również jego ideał. Zresztą, nikt z obecnych nie był zachwycony.

- Sądzę, panowie - kontynuował Ryder - i możecie o tym pomyśleć, co wam się podoba, bo to jest tylko mój pogląd - że nie będzie żadnych ofiar z powodu wybuchu jądrowego. Chyba że będziemy na tyle głupi, że sami sprowokujemy taki wybuch - spojrzał na Barrowa. - Gdy rozmawialiśmy w pana biurze, powiedziałem, iż wierzę, że Morro spowoduje eksplozję swojej bomby w zatoce. I nadal w to wierzę. Powiedziałem również, że w sobotę eksploduje lub może eksplodować pozostałych dziesięć bomb. Zmieniłem odrobinę zdanie. Myślę, że jeśli doprowadzi się go do ostateczności, to Morro gotów jest dokonać eksplozji tych bomb, ale nie wierzę, żeby chciał to zrobić właśnie tej nocy. Założyłbym się nawet, że tego nie zrobi.

- To dziwne - powiedział Barrow z zamyśloną miną. - Mógłbym prawie w to uwierzyć. Ponieważ porwał fizyków, ukradł materiały rozszczepialne, powiadomił nas, że jest w posiadaniu tych cholernych bomb, ponieważ pokazał, co potrafi na Płaskowyżu

Yucca, i przekonał nas, że dokona eksplozji bomby jutro rano, zostaliśmy jakby zahipnotyzowani. Działamy w przekonaniu, że następne eksplozje są nieuniknione. Bóg jeden wie, że mamy wszelkie powody wierzyć w to, co ten potwór mówi! A jednak...

- Klasyczne pranie mózgów. Propagandzista dużej klasy potrafi wmówić ludziom wszystko. Nasz przyjaciel powinien spotkać Goebbelsa w dniach jego sławy - byłiby dobraną parą.

- Czy ktoś się orientuje, o czym on chce nas przekonać?

- Chyba tak. Godzinę temu mówiłem panu Mitchellowi, że coś świta i że doskonale wiem, co on o tym światełku pomyśli. Teraz to świeci jak latarnia morska. Oto co, moim zdaniem, zrobi Morro, lub co w każdym razie zrobiłbym ja, gdybym znalazł się na jego miejscu. Po pierwsze, przeprowadziłbym łódź podwodną przez...

- Łódź podwodną! - Mitchell najwyraźniej powrócił do swojej pierwotnej opinii o Ryderze.

- Przeprowadziłbym łódź podwodną przez cieśninę Golden Gate i zacumowałbym ją przy jednym z nabrzeży portu San Francisco.

- San Francisco?!

- Są solidniejsze i liczniejsze niż nabrzeża Los Angeles, mają lepsze urządzenia przeładunkowe, a wody są tam spokojniejsze.

- Dlaczego łódź podwodną?

- Żeby zabrała mnie do domu - Ryder był nadzwyczaj cierpliwy. - Mnie, moich wiernych pomocników oraz ładunek.

- Ładunek?

- Na miłość boską! Zamknij się i posłuchaj! Moglibyśmy bezpiecznie i bezkarnie poruszać się po opuszczonych ulicach San Francisco. Nie będzie tam żywego ducha, bo nie określono dokładnej godziny wybuchu bomby wodorowej i w promieniu osiemdziesięciu kilometrów będziemy tylko sami. Odważny pilot niczego nie dostrzeże w nocy z wysokości dziesięciu kilometrów. Nawet jeżeli to samobójca i przeleci tuż nad dachami, to i tak nic nie zauważy, gdyż wiemy, gdzie są wyłączniki wszystkich transformatorów i wszystkich elektrowni miasta.

I wtedy przyjadą nasze furgonetki. Ja załatwiłbym ze trzy. Poprowadziłbym je przez California Street i zatrzymał przed Bankiem Amerykańskim, który, jak wiecie, jest największym bankiem na świecie i zgromadził tyle dóbr, co skarbiec federalny. Inne furgonetki udadzą się pod Piramidę Transamerica, Wells Fargo, Bank Federalny i inne interesujące miejsca. Tej nocy ciemności trwać będą przez dziesięć godzin. Oceniamy, że

wystarczy nam sześć. Niektóre wielkie włamania, jak słynny napad w Nicei sprzed roku czy dwóch, wymagały całego spokojnego weekendu, ale tamte gangi miały o wiele gorzej, bo musiały działać w całkowitej ciszy. My użyjemy tyle materiałów wybuchowych, ile będzie potrzeba, a na wypadek trudności przygotowaliśmy działo samobieżne, kaliber 1207 mm, z amunicją przeciwpancerną. Możemy nawet wysadzić w powietrze parę budynków i nie zmartwimy się tym. Możemy robić tyle hałasu, ile się nam podoba i dalej się tym nie martwić. Nie będzie przecież nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Potem ładujemy furgonetki, jedziemy do nabrzeża, ładujemy łódź podwodną i odpływamy - Ryder zamilkł.

Jak powiedziałem wcześniej, oni przyjechali po gotówkę na zakup broni, a w skarbcach San Francisco jest więcej gotówki, niż widzieli kiedykolwiek królowie Arabii Saudyjskiej i wszyscy maharadzowie Indii razem wzięci. Zwróciłem już panom na to uwagę - żeby widzieć oczywistość, trzeba mieć umysł prosty i być pozbawionym wyobraźni. Dla mnie to wszystko jest tak jasne, że nie znajduję najmniejszej luki. Co sądzicie o moim scenariuszu?

- Myślę, że jest cholernie przerażający! - odezwał się Barrow. - Przerażający, bo nieunikniony. Po pierwsze, to wszystko trzyma się kupy. A po drugie, nic innego nie pasuje - rozejrzał się wokoło. - Zgadza się ze mną?

Wszyscy przytaknęli, z jednym jednakże wyjątkiem. Wyjątkiem był, oczywiście, Mitchell.

- A jeśli się mylicie? - zapytał.

- Musi pan tak denerwować ludzi? - Barrow był niezmiernie zirytowany.

Ryder nawet nie zareagował. Wzruszył ramionami i powiedział:

- No to się mylę.

- Pan chyba oszalał. Więc zgodziłby się pan wziąć na swoje barki ciężar odpowiedzialności za śmierć niezliczonych rzesz Kalifornijczyków?

- Mitchell, zaczyna mnie pan nużyć. Prawdę mówiąc, choć może brzmi to niegrzecznie, męczy mnie pan już od pewnego czasu. Sądzę, że powinien pan się zastanowić nad własnym zdrowiem psychicznym. Myśli pan, że mam zamiar pisać chociaż słowo na temat naszych wniosków - mówię "naszych", ale pana z tego wyłączam - po wyjściu z tej sali? Myśli pan, że zamierzam przekonywać kogokolwiek, żeby został w domu w sobotnią noc? Żeby Morro dowiedział się, że ludzie zignorowali jego pogroźki? Że powodem jest zdemaskowanie jego planów? Najprawdopodobniej, zawiedziony i pełen złości, nie zawahałby się przed naciśnięciem przycisku.

Ciesząca się szczególnie złą reputacją kafejka “Kleopatra” była wyjątkowym przykładem obskurnej ruiny, ale tego szalonego, frenetycznego i dusznego wieczora miała niezwykle urok, będąc jedynym otwartym jeszcze lokalem w okolicach biura Sassoon. W pobliżu były dziesiątki innych lokali, których drzwi zostały starannie zabite deskami przez właścicieli, którzy, o ile wykorzystali daną im szansę, wspięli się już wraz z cennym bagażem w wyżej położone rejony, a jeśli dotąd nie dana im była taka szansa, dołączyli do spanikowanego tłumu szturmującego okoliczne wzgórze.

Strach przepajał niewątpliwie wszystko tego wieczora, a myśl o ucieczce królowała w umysłach i sercach zainteresowanych. Nie stała się ona realnością, bo samochody z siedzącymi w nich ludźmi, prawie cały czas stały w miejscu. Był to wieczór egoizmu, zdenerwowania, zawiści, kłótni, aspołecznych zachowań, które przejawiały się w różnych formach, poczynając od kłótni, a kończąc na przestępczych czynach. Obywatele Królowej Wybrzeży nie należeli z pewnością do ludzi flegmatycznych.

Był to wieczór wszystkich, którzy mieli złe zamiary lub skłonności kryminalne, a których miłość chrześcijańska i miłość bliźniego swego w chwili kryzysu objawiła się przez pijaństwa, niczym nie skrepowane przestępstwa, bijatyki, kradzieże portmonetek i portfeli i wybijanie okien wystawowych co szykowniej wyglądających sklepów. Mieli całkowitą swobodę w wyrażaniu swoich drobnych słabostek. Policja była bezsilna, bo ona także została sparaliżowana. Był to również wieczór piromanów. Tu i ówdzie zaczynały już wybuchać pożary, chociaż gwoli ścisłości trzeba dodać, że wiele z nich zostało wywołanych przez pośpiech, z jakim obywatele opuszczali swoje domostwa, porzucając na pastwę losu włączone kuchenki, piecyki, grille i grzejniki. Strażacy również byli bezsilni, a ich jedynym pocieszeniem była nadzieja, że większość tych pożarów zostanie ugaszona następnego dnia o dziesiątej rano. Nie był to wieczór kalek i chorych. Starsze panie, wdowy i sieroty leżały stłamszone pod ścianami, a jeszcze częściej spoczywały w rynsztokach, w miarę jak ich zdrowsi bracia przyspieszali kroku w szlachetnym dążeniu do wyżej położonego łądu. Nieszczęśnicy na wózkach inwalidzkich przekonywali się, co znaczyło dla woźnicy rydwanu odpadnięcie wewnętrznego koła na pierwszym wirażu Circus Maximus. Szczególnie nieprzyjemny widok stanowili bezmyślni piesi, potrąceni przez samochody, prowadzone przez egoistów mających na względzie jedynie dobro własnych rodzin, jadących chodnikami, żeby wyprzedzić swoich mniej przedsiębiorczych sąsiadów, wciąż

trzymających się szos. Ofiary wypadków leżały tam, gdzie upadły, bo lekarze również byli zupełnie bezsilni. Był to doprawdy straszny spektakl.

Ryder przyglądał się temu wszystkiemu nieco melancholijnym wzrokiem. Prawdę mówiąc, wpadł w szczególnie zły humor, zanim jeszcze zdążył posmakować przyjemności cafe "Kleopatra". Po powrocie od Bensona słuchał, choć niewiele docierało do niego, nie kończących się pomysłów, mających na celu ukrócenie diabelskich machinacji Morro i jego mużulmanów. Wreszcie poczuł się tak sfrustrowany i zde gustowany, iż oznajmił, że wróci za godzinę, i wyszedł wraz z Jeffem i Parkerem. Nikt nie próbował mu w tym przeszkodzić. Było w nim coś, a zauważyli to nawet Barrow, Mitchell i ich współpracownicy, co nie pozwalało go odwo dzić od raz powziętych decyzji. A poza tym, nie był zależny od żadnego z nich.

- Bydło - oznajmił Luigi z pogardą. Właśnie przyniósł nowe puszki piwa dla trzech mężczyzn i przyglądał się potwornym scenom rozgrywającym się przed nie umyтыми oknami lokalu. Luigi, który był właścicielem kafejki, uważał się za kosmopolitę, gdyż mieszkał w mieście kosmopolitów. Z pochodzenia był neapolitańczykiem, ale twierdził, że pochodzi z Grecji. Czynił godne podziwu, choć mało widoczne starania, żeby utrzymać lokal. Jego niewielkie seplenienie i niepewny krok wyraźnie wskazywały, że przez cały dzień był jedynym klientem tego lokalu.

- Canaille! - znajomość kilku francuskich słów miała, jego zdaniem, tworzyć kosmopolityczną aurę. - Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. To ma być ten duch, dzięki któremu podbito Dziki Zachód! To wygląda jak kalifornijska gorączka złota w Klondike. Każdy za siebie - niech diabli porwą ostatniego. Niestety, obawiam się, że nie mają w sobie ateńskiej duszy - potoczył ramieniem wokoło i o mało nie upadł. - Dzisiaj ten przepiękny lokal, a jutro potop. A Luigi? Luigi śmieje się z bogów, bo są to zwykłe kukły przebrane za bogów, inaczej nie dopuściliby do katastrofy grożącej ich bezmyślnym dzieciom - zamilkł, myśląc nad czymś. - Moi przodkowie walczyli pod Termopilami - oznajmił po chwili.

Pokonany przez własną elokwencję i wzmocnioną działaniem alkoholu grawitację, Luigi zwałił się na najbliższe krzesło.

Ryder rozejrzał się wokoło, kontemplując niewiarygodne zaniedbanie, które było najbardziej charakterystyczną cechą tego lokalu. Wyblakły wzór na popękany linoleum, obdrapane blaty stołów, zniszczone przez czas krzesła, nigdy nie myte sztukaterie na ścianach obwieszonych barwnymi dagerotypami płaskorzeźb z czasów faraonów. Portrety te były tak niewyobrażalnie brzydkie, iż jedyną miłosierną rzeczą, jaką dało się o nich

powiedzieć, było to, że mimo wszystko próbowały przywrócić dziewiczy stan ścian, które bezczęściły swoją obecnością.

- Pana uczucia, Luigi, przynoszą panu zaszczyt - stwierdził Ryder. - Temu krajowi przydałoby się więcej takich ludzi jak pan. Czy jednak zechciałby pan nas teraz zostawić samych? Musimy porozmawiać o bardzo ważnych sprawach.

Naprawdę mieli ważne rzeczy do omówienia. Ich dyskusja jednak nie dała żadnych rezultatów. Problem, co począć z praktycznie nieosiągalnymi mieszkańcami zamku Adlerheim, wydawał się nie do rozwiązania. W rzeczywistości dyskusja była dialogiem między Ryderem i Parkerem, jako że Jeff nie odezwał się ani słowem. Siedział wygodnie rozparty na krześle, nie tknąwszy nawet piwa, i sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie. Stracił jakiegokolwiek zainteresowanie rozwiązaniem tego problemu. Wydawało się, że podziela pogląd astronoma J. Allena Hynka, który twierdził, że "jest rzeczą przeciwną nauce zadawać pytania, jeśli się nie zna sposobu na odnalezienie na nie odpowiedzi". Problem, który ich dręczył, nie był problemem naukowym, ale powyższa zasada była bardziej uniwersalna.

- Dobry, stary Luigi - oznajmił niespodziewanie Jeff, drgnąwszy wreszcie.

- Co? - Parker spojrzał na niego. - O co ci chodzi?

- A Hollywood jest zaledwie pięć minut drogi stąd.

- Słuchaj, Jeff - powiedział ostrożnie Ryder - wiem, że miałeś ciężki okres.

Wszystkim nam jest ciężko...

- Tato?

- Co?

- Mam! Kukły przebrane za bogów.

Pięć minut później Ryder dopijał swoje trzecie piwo, tym razem w biurze Sassoon. Pozostała dziewiątka wciąż tkwiła na swoich miejscach. Powietrze w pokoju przesycone było zapachem tytoniu, alkoholu, i co najgorsze, prawie wyczuwalnym nastrojem klęski.

- Plan, który chcemy zaproponować - stwierdził Ryder - jest bardzo niebezpieczny. Można go wręcz określić jako desperacki, z tym że rozpacz ma wiele odcieni i ten plan jest o wiele mniej rozpaczliwy niż sytuacja, w jakiej się znajdujemy. Sukces lub porażka całkowicie zależą od stopnia współpracy tych, których obowiązki wiążą się z egzekwowaniem prawa, jak również od współpracy tych, których obowiązki z prawem nie

wspólnego nie mają, a nawet, jeśli zajdzie taka potrzeba, tych, którzy znajdują się poza prawem - Ryder spojrział na Barrowa i Mitchella. - Instytucje obu panów stawiają was na pierwszej linii frontu.

- Do rzeczy - odparł Barrow.

- Mój syn wam wszystko wyjaśni. Jest to całkowicie jego dzieło - Ryder uśmiechnął się blado. - Żeby zaoszczędzić wam wysiłku umysłowego, opracował nawet szczegóły.

Jeff przedstawił plan. Zajęło mu to nie więcej niż trzy minuty. Kiedy skończył, miny słuchaczy były bardzo różne - od osłupienia do niedowierzania i podziwu. Barrow zaczął nawet odczuwać coś, co przypominało odradzającą się nadzieję, jeszcze chwilę przedtem porzuconą.

- Mój Boże - szepnął - wierzę, że to da się zrobić.

- Musi się udać - stwierdził stanowczo Ryder. - Ale wymaga to natychmiastowej i ścisłej współpracy między funkcjonariuszami policji oraz agentami FBI i CIA w kraju. Konieczne jest drobiazgowo przeczesanie każdego więzienia i nawet jeśli człowiek, który jest nam potrzebny, został skazany na śmierć i oczekuje rychłego wykonania wyroku, musi uzyskać ułaskawienie. Ile czasu to zajmie?

- Do diabła z wojną. Zakopmy topory - zaproponował Barrow Mitchellowi. - Zgoda?

W jego głosie słyhać było zdecydowane naleganie. Mitchell nic nie odpowiedział, ale skinął potakująco głową. Barrow mówił dalej:

- Warunkiem powodzenia akcji jest dobra organizacja. A myśmy się urodzili z nią we krwi.

- Jak długo? - powtórzył Ryder.

- Dzień?

- Sześć godzin. Przez ten czas zdążymy załatwić pozostałe sprawy.

- Sześć godzin? - Barrow lekko się uśmiechnął. - Komandosi z ostatniej wojny mówili, że rzeczy niemożliwe zajmują im trochę więcej czasu. W tym przypadku musi to zająć trochę mniej czasu. Wie pan, oczywiście, że Muldoon miał trzeci zawał i leży w szpitalu w Bethesda?

- Nie obchodzi mnie to - jeżeli zajdzie taka potrzeba, to będzie musiał zmartwychwstać. Bez Muldoona nic nie wskóramy.

O dwudziestej tego samego dnia wszystkie stacje telewizyjne i radiowe zakomunikowały, że o dziesiątej czasu zachodniego - podano również godzinę w pozostałych strefach czasowych - prezydent zwróci się do narodu w sprawie najwyższej wagi.

Zgodnie z instrukcjami spikerzy telewizyjni nie podali żadnych innych szczegółów. Krótki i tajemniczy komunikat z całą pewnością gwarantował zainteresowanie i ciekawość każdego obywatela, który nie był głuchy czy ślepy.

W Adlerheimie Morro i Dubois spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Potem Morro wyciągnął rękę po butelkę Glenfiddicha.

W Los Angeles Ryder w ogóle nie zareagował, co nie było niczym zaskakującym, gdyż osobiście pomagał redagować ten komunikat. Poprosił Dunne'a o pożyczenie helikoptera i wysłał Jeffa po pewne rzeczy do swojego domu. Potem wręczył Sassoonowi krótką listę innych przedmiotów, które były mu potrzebne. Sassoon spojrzął na niego w milczeniu i po prostu podniósł słuchawkę.

Dokładnie o dziesiątej prezydent ukazał się na ekranach telewizorów. Nawet pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu nie zgromadziło tak szerokiej i uważnej widowni.

Wraz z nim przybyło do studio czterech mężczyzn, których prezydent przedstawił, co było zupełnie zbędne, bo wszyscy oni - szef sztabu i sekretarze stanu, obrony i skarbu - byli znani zarówno na arenie krajowej, jak i międzynarodowej. Muldoon, sekretarz skarbu, natychmiast przykuł uwagę wszystkich. Kolorowa telewizja ukazywała go takiego, jakim był w istocie, to znaczy bardzo chorego człowieka. Jego twarz była popielata i mimo że nie był zbyt wysoki, to był bardzo tęgi, i kiedy siedział, mogło się wydawać, że jego wielki brzuch spoczywa na kolanach. Krążyły pogłoski, że Muldoon waży sto pięćdziesiąt kilogramów, ale jego rzeczywista waga nie miała wielkiego znaczenia.

- Obywatele Stanów Zjednoczonych! - głęboki głos prezydenta drżał, ale nie było w nim strachu, lecz wściekłość, której nawet nie starał się ukryć. - Wszyscy wiecie o wielkim nieszczęściu, jakie spadło albo lada chwila spadnie na drogi naszym sercom stan Kalifornia. Choć rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie ustąpił pod naciskiem siły, pogroźek czy szantażu, to jest rzeczą oczywistą, że musimy użyć wszelkich dostępnych nam środków - a w tym największym kraju świata są one niemal nieograniczone - aby odwrócić zagrożenie holocaustem wiszącym nad zachodem.

Nawet w momentach największego zagrożenia nie był w stanie mówić innym językiem niż prezydencki żargon.

- Mam nadzieję, że złowieszczy architekt tego potwornego planu słucha mnie w tej chwili, gdyż mimo największych wysiłków - a są one naprawdę kolosalne i nieprzerwanie podejmują je setki najlepszych policjantów - kryjówka jego pozostaje nadal nie znana i nie mam innego sposobu skontaktowania się z nim. Wierzę, że Morro mnie słucha albo ogląda. Wiem, że w tej sytuacji nie mogę się targować ani grozić mu - tu głos prezydenta stał się dziwnie zdławiony i mówca zmuszony był ratować się kilkoma łykami wody - gdyż jest on bezlitosnym kryminalistą, pozbawionym najmniejszego śladu humanitarnych skrupułów.

Sądzę jednak, że w naszym wspólnym interesie leży osiągnięcie wzajemnego korzystnego porozumienia. Dlatego proponuję, byśmy wraz z czterema obecnymi tutaj wyższymi przedstawicielami mojego rządu przeprowadzili rozmowy i spróbowali osiągnąć rozwiązanie tego bezprecedensowego problemu. Chociaż jest to sprzeczne z wszelkimi zasadami, które są mi tak drogie, jak drogie są każdemu obywatelowi tego wielkiego narodu, proponuję, aby ustalił pan warunki, miejsce i czas naszego spotkania. Możliwie jak najszybciej.

Prezydent miał o wiele więcej do powiedzenia, ale głównie odwoływał się do uczuć patriotycznych, na co mogli się nabrać jedynie nieuleczalnie chorzy umysłowo. Ale w rzeczy samej powiedział wszystko, co miał powiedzieć.

W Adlerheimie Dubois, dotąd niewzruszony i nieczuły, ocierał z oczu łzy.

- Nigdy nie ustąpi pod naciskiem siły, pogroźek i szantażu! Nie może się targować ani grozić. Wzajemnie korzystne porozumienie. Na początek może pięć milionów dolarów. A potem, oczywiście, wprowadzimy w życie nasz plan.

Napełnił znów szklanki Glenfiddichem i podał jedną z nich Morro, który od razu wypił parę łyków. On także uśmiechał się, a w jego głosie słyhać było prawie entuzjazm.

- Musimy jakoś zamaskować helikopter. Pomyśl nad tym, Abrahamie, drogi przyjacielu! Oto spełnia się marzenie całego mojego życia. Rzuciłem Amerykę na kolana.

Wysączył jeszcze trochę whisky, a potem ujął w dłoń mikrofon i zaczął dyktować.

- Zawsze twierdziłem - Barrow nie mówił do nikogo konkretnie - że dobry polityk musi być również dobrym aktorem. Ale prezydent musi być aktorem najwyższej klasy. Musi spróbować zmienić trochę regulamin Akademii Filmowej. Ten człowiek zasługuje na Oscara.

- Z krzyżem - mruknął Sassoon.

O jedenastej telewizja i radio zapowiedziały, że kolejny komunikat Morro zostanie nadany za godzinę.

O północy Morro był znów na antenie. Starał się mówić spokojnie i zachować pewność siebie - jego głos był głosem człowieka, który dobrze wie, że świat leży u jego stóp. Komunikat był wyjątkowo krótki.

“Kieruję tę wiadomość do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zgadzamy się na jego prośbę”.

To “my” zabrzmiało bardziej jak pluralis majestatis niż jak liczba mnoga.

“Warunki spotkania, ustalone wyłącznie przez nas, zostaną ujawnione jutro rano. Zobaczymy, co można osiągnąć, kiedy dwóch rozsądnych ludzi spotyka się i dyskutuje ze sobą”.

Morro musiał zdawać sobie doskonale sprawę ze swej niewiarygodnej beczelności.

“Perspektywa tego spotkania - ciągnął złowrogim głosem - nie zmienia mojego planu dokonania jutro rano podwodnej eksplozji bomby wodorowej. Wszyscy, łącznie z panem, panie prezydencie, muszą być przekonani ponad wszelką wątpliwość, że jestem w stanie spełnić moje obietnice.

W związku z tym muszę pana powiadomić, że wybuch bomby w nocy z soboty na niedzielę wywoła serię ogromnych trzęsień ziemi, które spowodują kataklizm przewyższający skutkami wszystkie katastrofy żywiołowe odnotowane dotąd przez historię. To wszystko”.

- No więc - powiedział Barrow - niech pana diabli porwą, Ryder. Znow miał pan rację. Przynajmniej jeśli chodzi o trzęsienia ziemi.

- Nie wydaje mi się to teraz ważne - odparł Ryder cicho.

Kwadrans po północy Komisja Energii Atomowej poinformowała, że bomba wodorowa oznaczona kodem "Ciotka Sally", zaprojektowana przez profesorów Burnetta i Aachena, ma średnicę prawie dwunastu centymetrów.

W tym momencie wydawało się to nie mieć już żadnego znaczenia.

Rozdział XII

O ósmej rano następnego dnia Morro nawiązał ponownie kontakt z zatrwożonym, ale niezwykle zaintrygowanym światem. Komunikat odznaczał się charakterystyczną już dla niego lapidarnością.

“Moje spotkanie z prezydentem i jego doradcami odbędzie się wieczorem o jedenastej. Żądam jednak, żeby delegacja prezydencka przybyła do Los Angeles - jeśli tamtejsze lotnisko funkcjonuje - lub do San Francisco o szóstej wieczorem. Nie mogę podać, i nie podam, miejsca spotkania. Dalsze wskazówki zostaną ogłoszone po południu.

Mam nadzieję, że z nisko położonych rejonów Los Angeles, z północnego wybrzeża aż do Point Arquello i z południowego aż do granicy meksykańskiej, jak również z okolic Channel Islands ludność została ewakuowana. Jeśli tego nie zrobiono, nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności. Jak obiecałem, za dwie godziny dokonam eksplozji bomby nuklearnej”.

Sassoon był w swoim biurze wraz z generałem brygady Culverem z US Air Force. Na ulicach panowała śmiertelna cisza. Nisko położone rejony miasta zostały ewakuowane, co w znacznej mierze było zasługą Culvera i ponad dwóch tysięcy żołnierzy i ochotników Gwardii Narodowej, którymi dowodził, a których wezwano do pomocy w przywracaniu porządku - przepracowana policja nie była już w stanie utrzymać ładu. Culver zwykł działać bezwzględnie, ale skutecznie - nie zawahał się przed wezwaniem na pomoc czołgów, co uspokoiło spanikowanych obywateli, którzy w potwornym rozgardiaszu skłaniali się nie tyle ku przetrwaniu, co ku samozniszczeniu. Rozstawienie czołgów na pozycjach koordynowała policja, straż przybrzeżna i wojskowe helikoptery, które wskazywały największe korki na ulicach. Puste arterie były zastawione porzuconymi samochodami, z których wiele nosiło ślady poważnych wypadków, ale nie czołgi były ich przyczyną.

Ewakuacja została zakończona o północy, ale na długo przedtem do akcji wkroczyły straż, służba zdrowia i policja. Pożary, na ogół niewielkie, zostały ugaszone, rannych przewieziono do odległych szpitali, a policja pobiła rekord aresztowań i przymusowych ewakuacji włóczęgów, których zapal w wykorzystaniu tej jedynej w życiu okazji przyćmił nawet instynkt przeżycia, a którzy oddawali się z radosnym zapomnieniem grabieży.

Policja z bronią gotową do strzału musiała przerwać im z niezbyt ojcowską czułością te zajęcia.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Sassoon, wyłączając telewizor.

- Trzeba podziwiać kolosalną arogancję tego człowieka.

- Zbytnią pewność siebie.

- Jak pan woli. To zrozumiałe, że chce przeprowadzić rozmowy z prezydentem pod osłoną nocy. I, oczywiście, owe dalsze wskazówki, jak to nazwał, związane są z godziną przybycia samolotu. Chce się upewnić, że prezydent naprawdę przyleciał, dopiero wtedy poda instrukcje.

- A to oznacza, że będzie miał swoich ludzi na lotnisku w Los Angeles i w San Francisco. Cóż, trzy linie telefoniczne i trzy różne numery, a my mamy podsłuch na wszystkich trzech.

- Mogą użyć krótkofalówki.

- Myśleliśmy o tym, ale odrzuciliśmy tę możliwość. Morro jest przekonany, że nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Nie ma potrzeby uciekać się do niepotrzebnie skomplikowanych metod. Ryder od początku miał rację - niemal boska wiara w siebie doprowadzi go do zguby - Sassoon zamilkł. - Mamy nadzieję - dodał po chwili.

- Ten Ryder! Jaki on jest?

- Sam pan zobaczy. Spodziewam się go w ciągu godziny. W tej chwili siedzi na policyjnej strzelnicy i próbuje jakąś śmieszna rosyjską zabawkę, którą zdobył na wrogu. Facet ma charakter. I niech pan nie spodziewa się, że nazwie pana "sir".

Tego ranka, o ósmej trzydzieści, w specjalnym wydaniu wiadomości podano, że James Muldoon, sekretarz skarbu, we wczesnych godzinach rannych miał zapaść i musiano go poddać reanimacji z powodu ustania pracy serca. Gdyby nie znajdował się w tym momencie w szpitalu, a zestaw reanimacyjny nie stałby przy jego łóżku, to prawdopodobnie tego ataku by nie przeżył. Obecnie jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo i zapewniał, że jest w stanie odbyć podróż na Zachodnie Wybrzeże, nawet gdyby trzeba go było zanieść na noszach do Air Force One.

- To brzmi ponuro - stwierdził Culver.

- Naprawdę? W rzeczywistości doskonale przespał całą noc. Chcemy przekonać Morro, że ma do czynienia z człowiekiem znajdującym się w bardzo krytycznym stanie, którego trzeba traktować w sposób szczególny. Daje to, oczywiście, również doskonały pretekst, żeby delegację prezydencką powiększyć o dwie osoby - lekarza oraz podsekretarza skarbu, który miałby zastąpić Muldoona w przypadku, gdyby ten zszedł w chwili postawienia stopy w zamku Adlerheim.

O godzinie dziewiątej z lotniska w Los Angeles wystartował odrzutowiec wojskowy. Leciało w nim dziewięciu pasażerów. Wszyscy pochodzili z Hollywood i wszyscy byli specjalistami w swoich dziedzinach. Każdy z nich miał ze sobą walizkę. Do samolotu załadowano małą drewnianą skrzynkę. Dokładnie w pół godziny później odrzutowiec wylądował w Las Vegas.

Kilka minut przed dziewiątą Morro zaprosił zakładników do swojego salonu telewizyjnego. We wszystkich pokojach były telewizory, ale odbiornik Morro był wyjątkowy. Dzięki stosunkowo prostemu systemowi powiększania i odbijania mógł dawać obraz o wymiarach mniej więcej dwa metry na półtora, czyli czterokrotnie większy niż w zwykłym dwudziestojednocalowym odbiorniku.

Nikt nie wiedział, dlaczego zgromadził tu wszystkich. Kiedy nie torturował ludzi - lub, mówiąc dokładniej, nie kazał ich torturować - Morro był zdolny do wielu drobnych uprzejmości. Może po prostu pragnął przyglądać się ich twarzom? Być może chciał uświadomić im rozmiary swojego sukcesu i dać im odczuć swoją niezwyciężoną potęgę? Obecność zakładników mogła też potęgować rozkosz płynącą z jego siły i mocy, choć było to najmniej prawdopodobne, gdyż rozkoszowanie się czymkolwiek nie wydawało się pasować do charakteru Morro. I choć nikt nie znał powodu zaproszenia, żaden z zakładników nie odmówił - w obliczu spodziewanej katastrofy woleli być razem.

Prawdopodobnie wszyscy obywatele Ameryki, wyjąwszy tych, którzy wykonywali absolutnie niezbędne zadania, oglądali to wydarzenie na swoich ekranach. Liczba widzów na świecie miała sięgać setek milionów. Na ogół wszystkie wydarzenia, poczynając od

wyścigów samochodowych aż po wybuch wulkanu, filmowane są z helikopterów. W tym przypadku miano jednak do czynienia z nieznanym. Nikt nie miał najmniejszego nawet wyobrażenia o rozmiarach zasięgu opadów radioaktywnych, toteż sieci telewizyjne zrezygnowały z helikopterów. Było to z wielu powodów mądre posunięcie, choćby dlatego, że załogi tych helikopterów i tak odmówiłyby lotu. Wszystkie sieci wybrały to samo rozwiązanie: kamery umieszczono na dachach wysokich budynków w bezpiecznej odległości od oceanu. Widzowie z Adlerheimu mogli dostrzec zamglony zarys miasta w dolnych rogach swoich ekranów. Jeżeli bomba nuklearna znajdowała się w okolicy wskazanej przez Morro, to znaczy między wyspami Santa Cruz i Santa Catalina, to wtedy przedstawienie miało się rozpocząć w odległości pięćdziesięciu kilometrów od kamer. Zmienna ogniskowa i obiektywy teleskopowe mogły sobie z tym świetnie poradzić. W tej chwili obiektywy były ustawione na maksymalną odległość, co tłumaczyło zamglenie obrazu na dole ekranów.

Dzień był ładny i jasny, a nieba nie kaląca żadna chmurka, co - zważywszy na okoliczności - tworzyło wprost niewiarygodną scenerię dla spodziewanej katastrofy, której widzowie mieli być świadkami. Okoliczności te zapewne cieszyły Morro, gdyż mogły zwielokrotnić odczucia widzów. Sztormowe niebo, nisko pędzące chmury, zacinający deszcz czy mgła jako zjawiska posępne i ponure o wiele bardziej pasowałyby do okoliczności. I przyćmiłyby efekt wybuchu. Tylko jedna rzecz była dobra: zwykle o tej porze roku wiatr wiał w kierunku zachodnim, a więc do brzegu. Tego dnia, z powodu silnego frontu z północnego zachodu, wiatr nieco zmienił kierunek, wiejąc na południe. Najbliższym lądem leżącym na południu była Antarktyda.

- Proszę zwrócić uwagę na sekundnik zegara ściennego - powiedział Morro. - Jest idealnie zsynchronizowany z zapalnikiem bomby. Jak sami widzicie, pozostało dwadzieścia sekund.

Idealna miara czasu jest rzeczą względną. Dla kogoś w ekstazie może to być mniej niż drgnienie powieki. Dla kogoś cierpiącego katusze może to być wieczność. Widzowie nie cierpieli wprawdzie fizycznych katuszy, ale moralne, co w tym przypadku również sprawiało, że owe dwadzieścia sekund wydawało się nie mieć końca. Wszyscy zachowywali się tak samo, patrzyli to na ekran, to na zegar.

Sekundnik minął sześćdziesiątkę i nic się nie stało. Przeszła jedna sekunda, potem druga, trzecia i wciąż nic się nie działo. Prawie jak na komendę wszyscy spojrzeli na Morro, który siedział rozluźniony i wyraźnie nieporuszony.

- Miejcie wiarę - uśmiechnął się do nich - bomba leży bardzo głęboko, a państwo zapominacie o zakrzywieniu Ziemi.

Oczy zakładników zwróciły się znowu na ekran. Nagle pojawiła się niewielka wypukłość na horyzoncie, która w chwilę potem zaczęła rosnać i puchnąć z przerażającą szybkością. Nie było żadnego oślepiającego białego blasku; nie było też błysku kolorowego; tylko ta monstrualna erupcja wody i pary wodnej, rosnąca i rozszerzająca się, aż jej obraz wypełnił ekran. Nie przypominało to w niczym pylastego grzyba towarzyszącego wybuchowi bomby atomowej, ale miało kształt wachlarza, grubego w środku, którego spód rozchodził się tuż nad wodą i prawie równoległe do poziomu morza. Chmura widziana z góry, gdyby to było możliwe, przypominałaby odwrócony parasol, ale z boku wciąż wyglądała jak gigantyczny wachlarz otwarty do stu osiemdziesięciu stopni, znacznie gęściejszy w środku; zapewne dlatego, że w tym miejscu podmuch miał najmniejszą odległość od powierzchni morza. Niespodziewanie ten olbrzymi wachlarz skurczył się i znów zajmował tylko połowę ekranu.

- Co się z tym stało? - zapytał drżący i niepewny kobiecy głos. - Co się stało?

- Nic się z tym nie stało - Morro wyglądał na zadowolonego - kamerzysta zmienił ogniskową.

Komentator, który przez cały czas plótł niemiłosierne bzdury, opowiadając światu to, co każdy doskonale widział, wciąż plótł niemiłosierne bzdury.

“To musi sięgać trzech tysięcy metrów. Nie! Więcej! Raczej czterech tysięcy. Proszę to sobie wyobrazić! Cztery kilometry wysokości i ponad sześć szerokości! Dobry Boże! Czy to nigdy nie przestanie rosnać?”

- Myślę, że należą się panu gratulacje, profesorze Aachen - powiedział Morro. - Zdaje się, że pański wynalazek działa całkiem nieźle.

Aachen rzucił mu spojrzenie, które miało być piorunujące.

Przez następne trzydzieści sekund spiker milczał. Nie było to zaniedbanie obowiązków służbowych. Prawdopodobnie tak był przejęty, że nie potrafił zebrać myśli. Nieczęsto zdarzało się, by komentator miał okazję być świadkiem tak przerażającego spektaklu. Mówiąc dokładniej, żaden komentator nie miał dotąd takiej szansy.

“Możemy prosić o pełny zoom? - powiedział wreszcie. Cały wachlarz, z wyjątkiem podstawy, zniknął. Po oceanie przesuwiała się drobna zmarszczka. - To musi być fala przyływu - stwierdził rozczarowanym tonem. Najwyraźniej traktował ją jako nic nie znaczący uboczny efekt tytanicznej eksplozji, której był świadkiem. - Niezbyt mi to przypomina falę przyływu”.

- Nieuk - stwierdził ze smutkiem Morro. - W tej chwili ta fala porusza się z szybkością prawie sześciuset kilometrów na godzinę. Zwolni, gdy tylko dotrze na płytsze wody, ale jej wysokość będzie wzrastała wprost proporcjonalnie do wyhamowanej prędkości. Myślę, że ten biedak wkrótce przeżyje szok.

W dwie i pół minuty po wybuchu potworny grzmot o mało nie rozsadził głośników telewizorów. Trwało to jakieś dwie sekundy, zanim dźwięk nie został ściszony. Z głośników popłynął jakiś inny głos.

“Przepraszamy. Nie zdążyliśmy dobiec na czas do regulatora dźwięku. Ufff! Nie spodziewaliśmy się takiego huku. Szczerze mówiąc, w ogóle nie spodziewaliśmy się żadnych odgłosów eksplozji dokonanej na takiej głębokości”.

- Idiota - Morro, jak zwykle liberalny, pamiętał o trunkach i teraz sączył powoli swojego Glenfiddicha. Burnett pociągnął duży łyk ze swojej szklanki.

“To był huk! Daję słowo - poprzedni komentator znowu był na antenie. Milczał przez chwilę, a kamera pokazywała nadbiegającą falę. - To mi się nie podoba. Może ta fala nie jest zbyt duża, ale nigdy nie widziałem czegoś, co się tak szybko porusza. Zastanawiam się...”

Widzom nie było dane dowiedzieć się, nad czym się zastanawiał prezenter. Wydał z siebie dziwny krzyk, któremu towarzyszył odgłos upadku i nagle obraz fali zastąpił obraz niebieskiego nieba.

- Dostał się w zasięg fali uderzeniowej. Chyba powinienem ich ostrzec - jeżeli Morro dręczyły wyrzuty sumienia, to ukrywał to starannie. - Nie mogło być tak źle, bo przestałaby działać kamera.

Miał rację. Po paru chwilach komentator znów był na antenie, ale musiał być tak oszołomiony, że zupełnie o tym zapomniał.

“Jezus Maria, moja głowa! - zapadła cisza, przerywana jękami. - Przepraszam wszystkich widzów. Są jednak pewne okoliczności łagodzące. Teraz już wiem, co to znaczy wpaść pod pędzący pociąg - jeżeli wolno mi pozwolić sobie na tak mierny żart. Teraz już wiem, kim chciałbym być jutro. Szklarzem. Ten podmuch musiał wybić z milion szyb w tym mieście. Zobaczmy, czy nasza kamera działa”.

Działała. I niebo na ekranach ustąpiło wreszcie miejsca oceanowi. Kamerzysta najwyraźniej zmienił ogniskową, bo znów było widać wachlarz. Nie rósł już, ale przeciwnie: zdawał się maleć i rozpadać, tracąc stopniowo swój kształt. Można było dostrzec również ledwo widoczną szarawą chmurę, oddalającą się od brzegu.

“Myślę, że zaczyna się rozpadać. Widzicie państwo tę chmurę odlatującą na lewo, na południe? To z pewnością nie może być woda. Zastanawiam się, czy to nie chmura opadów radioaktywnych?”

- Radioaktywna. To prawda - stwierdził Morro. - Ale to szare to nie opady radioaktywne, ale para wodna unosząca się w powietrzu.

- Myślę, że pan zdaje sobie sprawę z tego, że ta chmura jest zabójcza? - powiedział Burnett.

- Nieszczęsny produkt uboczny. Rozejdzie się. Poza tym na jej drodze nie ma żadnych lądów. Można założyć, że kompetentne władze, o ile takie można znaleźć w tym kraju, ostrzegą przepływające statki.

Centrum zainteresowania przesunęło się teraz z radioaktywnej chmury na nadchodzącą falę przyływu, bo kamera pokazywała już tylko ją.

“Nadchodzi - w głosie komentatora zabrzmiał strach. - Zwolniła, ale i tak porusza się szybciej niż ekspres. I rośnie. Jest coraz większa - zamilkł na kilka sekund. - Chcę tylko jeszcze przyznać, że armia i policja wykonały dobrze robotę, ewakuując wszystkich mieszkańców z niżej leżących części miasta. Myślę, że na minutę zamilknę. Brak mi słów, żeby to opisać. Niech przemówi za mnie kamera”.

Zamilkł - i można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że setki milionów osób na całym świecie zrobiły to samo. Słowa nie mogły oddać przerażającego ogromu tej pędzącej ściany wody.

Kiedy fala znalazła się w odległości dwóch kilometrów od brzegu, jej szybkość spadła do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale wysokość wzrosła do ponad sześciu metrów. Nie była to dosłownie fala, ale raczej olbrzymia, elastyczna i gładka wypukłość, zbliżająca się bezgłośnie. Ta cisza właśnie potęgowała wrażenie spotkania z nieludzkim, dzikim i złowieszczym potworem, pragnącym wszystko bezmyślnie zniszczyć. Kilometr przed brzegiem wydawało się, że potwór podniósł głowę, jakby jakiś olbrzymi żółw zaczął się rozpadać. Woda między falą a brzegiem, dotychczas całkowicie spokojna, zaczęła gwałtownie obniżać swój poziom, została jakby wyssana żarłoczną paszczą potwora. Bo tak było w istocie.

Teraz słyhać było również grzmot - głęboki i głuchy narastał z każdą chwilą, aż osiągnął takie natężenie, że operator musiał obniżyć dźwięk do minimum. Kiedy fala znalazła się w odległości pięćdziesięciu metrów od miasta, zaczęła się załamywać, wysysając zupełnie resztki przybrzeżnej wody. Ukazało się dno oceanu. Potem, pośród

odgłosów straszliwego, grzmiącego ryku, podobnego do przerażającego huku pioruna, uderzył potwór.

Przez moment nic innego nie było widać, ponieważ ściana wody urosła do trzydziestu metrów, a rozpryskiwała się pięć razy wyżej. Fala zmiotła z niepohamowaną mocą budynki stojące nad brzegiem. Płachta wody zaczęła opadać, chociaż unoszące się drobiny wciąż skutecznie ograniczały widoczność, zasłaniając rozchodzący się już wachlarz, pozostały z wybuchu wodorowego. I wtedy główna część fali minęła tę kurtynę i położyła swoją niszczącą łapę na pokornie czekającym mieście.

Olbrzymie potoki wody, głębokiej na dziesięć, a może czternaście metrów, burząc się, pieniać i bulgocząc tworzyły wielkie białe wiry, unoszące jakieś szczątki - nie dające się opisać, bo niczego już nie przypominające. Masy wody runęły w ulice na linii wschodnio-zachodniej, zmiatając setki porzuconych samochodów. Wyglądało to tak, jakby miasto zostało najpierw zalane, a potem całkiem zatopione, nie pozostawiając po sobie niczego poza pamięcią. Co dziwniejsze, było to złudne wrażenie, a to dzięki rygorystycznym wymogom budowlanym wprowadzonym po trzęsieniu ziemi w Long Beach w 1933 roku. Wszystkie budowle stojące nad brzegiem zostały zniszczone, ale samo miasto ocalało.

Stopniowo, w miarę trafiaania na coraz wyżej położony grunt i wyczerpywanie się siły początkowego impetu, strumienie zwalniały, ich poziom opadał, aż wreszcie uspokojone, przy akompaniamencie prawie obscenicznego odgłosu, przypominającego ssanie, zaczęły wycofywać się do oceanu, z którego nadeszły. Jak zawsze w przypadku fal przyplływowych, nastąpił wtórny atak żywiołu, ale choć również wdarł się do miasta, to był on, w porównaniu z pierwszą nawałnicą, niewielki.

- Cóż, może to zmusi ich do myślenia? - Morro po raz pierwszy był bliski prawie błęgiego samozadowolenia.

Burnett zaczął kłąć z taką żarliwością i z tak zadziwiającym bogactwem określeń, że wskazywało to wyraźnie, iż znaczną część swojego wykształcenia odbierał w okolicach dość odległych od uniwersytetu. Poniewczasie przypomniał sobie, że jest w towarzystwie pań, więc sięgnął po Glenfiddicha i zamilkł.

Ryder ze stoickim spokojem czekał, aż lekarz usunie mu z czoła odłamki szkła. Jak wielu innych, w momencie gdy uderzył podmuch, patrzył w okno: Barrow, którego przed

chwilą męczył ten sam lekarz, ocierał krew z twarzy. Przyjął od jednego ze swoich zastępców szklanę z jakimś środkiem pobudzającym i odezwał się do Rydera:

- No i jak się panu podoba to małe przedstawienie?

- Coś trzeba będzie z tym zrobić. To szalenie! Można zrobić tylko jedno: pozbyć się go na zawsze.

- Jest jakaś szansa?

- Lepsza niż kiedykolwiek.

- Nie jestem tego taki pewien - Barrow patrzył na Rydera z zaciekawieniem. - Nie może się pan doczekać, żeby go zastrzelić?

- Dziwi się pan? Wie pan, jak się nas nazywa? Strażnikami pokoju.

- To mi się w dalszym ciągu nie podoba - wyraz twarzy generała Culvera potwierdzał jego słowa. - Uważam, że to jest zupełnie niepotrzebne, zupełnie. Nie wątpię, oczywiście, w pańskie umiejętności. Bóg wie, że sprawdził się pan. Ale jest pan w to zaangażowany emocjonalnie, a to nie jest dobre. No i pięćdziesiątkę skończył pan dość dawno. Stawiam sprawę uczciwie: mam do dyspozycji młodych, sprawnych i świetnie wyszkolonych... powiedzmy: zabójców - jeśli pan chce. I sądzę...

- Panie generale - Culver odwrócił się, bo major Dunne dotknął delikatnie jego ramienia. - Mogę pana zapewnić, że sierżant Ryder jest prawdopodobnie najbardziej zrównoważoną emocjonalnie osobą w całej Kalifornii. Co do tych supersprawnych, młodych zabójców pod pańskimi rozkazami, to dlaczego nie sprowadzi pan jednego z nich i nie popatrzy, jak Ryder rozbiera go na części...

- Cóż. Nie. Wciąż...

- Panie generale - Ryder nadal nie okazywał żadnych uczuć - ze zwykłą sobie skromnością chciałbym zwrócić uwagę, że to ja wyśledziłem Morro, a Jeff, mój syn, opracował plan na dzisiejszą noc. Moja żona i córka są gdzieś w górach. Jeff i ja mamy głęboką motywację. Żaden z pańskich chłopców takiej nie ma. Ale, co ważniejsze, mamy do tego prawo... chce pan pozbawić człowieka jego prawa?

Culver przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, potem uśmiechnął się i skinął aprobująco głową.

- Może nie mam racji, ale to szkoda, że o ćwierć wieku przekroczył pan wiek poborowy.

Gdy opuszczali salon telewizyjny, Susan Ryder spytała Morro:

- Rozumiem, że będzie pan miał dziś gości?

- Zostaliśmy zaszczytni - Morro uśmiechnął się. Jeżeli w ogóle był w stanie nawiązać z kimś bliższy kontakt emocjonalny, to Susan była najbliższa tego celu.

- Czy... czy możliwe byłoby chociaż zobaczyć prezydenta?

- Nie pomyślałbym nigdy, że pani... - Morro uniósł brew ze zdziwieniem.

- Gdybym była mężczyzną, a nie kobietą usiłującą udawać damę, to powiedziałabym panu, co powinno się zrobić z prezydentem. Chodzi o moją córkę. Będzie o tym opowiadać w nieskończoność.

- Przykro mi, ale to nie wchodzi w rachubę.

- A w czym to może panu zaszkodzić?

- Nie w tym rzecz. Po prostu nie należy mieszać przyjemności z interesem - przyjrzał się jej z zaciekawieniem. - Po tym, co pani zobaczyła, nadal pani ze mną rozmawia?

- Nie sądzę, aby zamierzał pan kogokolwiek zabić - odparła spokojnie.

- A więc jestem przegrany - spojrzał na nią z nie udawanym zdziwieniem - ale reszta świata w to wierzy.

- Reszta świata pana nie zna. A prezydent może zechcieć nas zobaczyć.

- Dlaczego miałby tego chcieć? - uśmiechnął się ponownie. - Nie mogę uwierzyć, że jest pani w zмовie z prezydentem.

- Też bym tego nie chciała. Pamięta pan, co on wczoraj powiedział? Że jest pan wyjątkowo bezwzględny kryminalistą, całkowicie pozbawionym najmniejszych śladów humanitarnych skrupułów. Ja nie wierzę, że ma pan zamiar skrzywdzić kogokolwiek z nas, ale prezydent może przecież zechcieć zobaczyć nasze ciała, nim przystąpi do rozmów z panem.

- Jest pani bardzo sprytną kobietą, pani Ryder - dotknął bardzo delikatnie jej ramienia. - Zobaczymy.

O jedenastej rano odrzutowiec typu Lear wylądował w Las Vegas. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn, których odprowadzono pod eskortą policji do jednego z pięciu stojących na lotnisku radiowozów. W ciągu kwadransa przyleciały jeszcze cztery samoloty i ośmiu mężczyzn zajęło miejsca w pozostałych radiowozach. Konwój policyjny ruszył ulicami, na których wstrzymano ruch.

O czwartej po południu trzech panowie, przybyli z Culver City, wkroczyli do biura Sassoon. Uprzedzono ich zaraz po przylocie, że nie będzie im wolno wyjść przed północą. Przyjęli tę wiadomość z całkowitym spokojem.

O czwartej czterdzieści pięć Air Force One, odrzutowiec prezydencki, wylądował w Las Vegas.

O piątej trzydzieści Culver, Barrow, Mitchell i Sassoon weszli do małego przedpokoju biura Sassoon. Trzej panowie z Culver City popijali i palili, a ich miny wyrażały uzasadnioną dumę.

- Dopiero się o tym dowiedziałem - powiedział Culver. - Nikt mi nigdy nic nie mówi.

Ryder miał obecnie ciemne włosy, ciemne wąsy, brwi, a nawet rzęsy. Jego pełne policzki były teraz obwisłe, a na prawym widać było niewielki ślad po dawno zagojonej ranie. Nos miał zupełnie inny niż ten, który miał jeszcze tego ranka. Susan otarłaby się o niego na ulicy, nie odwracając głowy. Nie zwróciłaby również uwagi ani na swojego syna, ani na Parkera.

O piątej pięćdziesiąt Air Force One wylądował na lotnisku w Los Angeles. Fala przyływu nie podzielała niszcząco na solidnie uzbrojony betonem pas startowy lotniska.

O szóstej Morro i Dubois siedzieli przed mikrofonem.

- Nie może być żadnej pomyłki? - spytał Morro. Nie zabrzmiało to jednak jak pytanie.

- To samolot prezydencki, sir. Czekają na nich dwa samochody policyjne i karetka pogotowia. Z samolotu wysiadło siedmiu mężczyzn. Pięciu z nich występowało wczoraj w telewizji. Daję za to głowę. Pan Muldoon jest chyba w bardzo złym stanie. Dwóch mężczyzn

pomogło mu wyjść z samolotu i zaprowadziło go do karetki. Jeden z nich niósł coś, co przypominało torbę lekarską.

- Opisz ich.

Obserwator musiał być doskonale wyszkolony, bo opisał ich aż do najdrobniejszego szczegółu, a jego opis dokładnie oddawał obecny wygląd Jeffa i Parkera.

- Dziękuję - powiedział Morro. - Wracaj.

Wyłączył mikrofon, uśmiechnął się i spojrzał na Dubois. - Mumain jest najlepszy w branży.

- Nie ma równego sobie.

Morro sięgnął po inny mikrofon i zaczął dyktować.

O siódmej trzydzieści nadszedł kolejny i ostatni komunikat Morro.

“Należy mieć nadzieję, że dzisiejszego ranka nie było ofiar w ludziach. Jeżeli były, to - jak mówiłem - nie z mojej winy. Można tylko żałować, że są duże straty materialne. Wierzę, że ten pokaz był dostatecznie przekonujący, że uświadomił każdemu, iż dysponuję środkami pozwalającymi wprowadzić w życie moje obietnice.

Nikogo nie zdziwi fakt, że delegacja rządowa wylądowała o piątej pięćdziesiąt na lotnisku. Zostanie ona zabrana helikopterem punktualnie o dziewiątej. Wyląduje dokładnie pośrodku lotniska w Los Angeles, które zostanie całkowicie oświetlone reflektorami lub innymi światłami. Nie będą podjęte żadne próby śledzenia tego helikoptera po jego odlocie. Prezydent Stanów Zjednoczonych będzie na jego pokładzie. To wszystko.”

O godzinie dziewiątej delegacja prezydencka znalazła się na pokładzie helikoptera. Poważną trudność stanowiło wciągnięcie na pokład Muldoona, ale w końcu udało się tego dokonać. Zamiast stewardes towarzyszyło im dwóch strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe. Jeden z nich obszedł członków delegacji, zakładając każdemu na głowę kaptur zaciśnięty wokół szyi. Prezydent protestował gwałtownie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

W rzeczywistości prezydentem był Vincent Hillary, powszechnie uważany za najlepszego aktora charakterystycznego, jakiego wydało Hollywood. Był on uderzająco

podobny do prezydenta. Kiedy charakteryzator skończył w Las Vegas swoje dzieło, to nawet sam prezydent - gdyby zobaczył go przez szybę - przysiągłby, że patrzy w lustro. Aktor świetnie umiał zmieniać głos. Hillary był spisany na straty i gotów był z radością udowodnić to.

Szefem sztabu był niejaki pułkownik Greenshaw, który niedawno odszedł na emeryturę z Zielonych Beretów. Nikt dokładnie nie wiedział, ile trupów ma on na swym koncie i nikt też specjalnie się tym nie przejmował. Mówiono, że zabijanie było jedyną rzeczą, która go naprawdę interesowała, i bez wątpienia był w tym bardzo dobry.

Rolę sekretarza obrony powierzono niejakiemu Harlinsonowi, o którym krążyły pogłoski, że jest jednym z kandydatów na następcę Barrowa na stanowisku szefa FBI. Był niewiarygodnie podobny do autentycznego sekretarza obrony. Powszechnie twierdzono, że doskonale dba o siebie.

Sekretarzem stanu był, o dziwo, znakomity radca prawny, który swego czasu był profesorem w Ivy League. Johannsena nie predysponowało do tej roli nic. Nie potrafił nawet naładować rewolweru. Był jednak gorącym patriotą, co cechuje Amerykanów w pierwszym pokoleniu. Był również niezmiernie podobny do prawdziwego sekretarza stanu. Jego prywatny charakteryzator postarał się jeszcze bardziej to podobieństwo uprawdopodobnić.

Zastępca podsekretarza skarbu, niejaki Myron Bonn, również żywił pewne pretensje do nauki. Był właśnie w trakcie pisania pracy doktorskiej. Jej tematem były warunki panujące w zakładach penitencjarnych i ich poprawa. W obu tych kwestiach był bez wątpienia ekspertem, jako że pisał swą dysertację w celi śmierci, oczekując wykonania egzekucji. Na jego korzyść przy wyborze kandydata do tej roli przemawiały trzy sprawy: był kryminalistą nie pozbawionym patriotycznych uczuć. Jego podobieństwo do zastępcy sekretarza skarbu, które charakteryzatorzy jeszcze uwydatnili, było zaskakujące. A po trzecie, policja uważała go za najbardziej niebezpiecznego człowieka Stanów Zjednoczonych po obu stronach krat. Co najdziwniejsze, był on uczciwym człowiekiem.

Szczytem pracy charakteryzatorów był bezsprzecznie sam sekretarz skarbu, Muldoon. Mężczyzna, który grał jego rolę, był - podobnie jak Hillary - aktorem. I obaj mieli odegrać tego wieczora przedstawienie godne platynowych Oscarów. Trzeba było sześciu godzin niestrudzonych wysiłków trzech najlepszych charakteryzatorów Hollywoodu, żeby przekształcić go w tego, kim się stał. Ludwig Johnson wiele wycierpiał przez ten czas i nadal cierpiał, bo nawet komuś, kto waży sto kilo, nie jest miło dźwigać na sobie trzydzieści dodatkowych kilogramów. Z drugiej strony, specjalista, który to zrealizował, potrafił

sprawić, że owe trzydzieści sprawiało wrażenie siedemdziesięciu. Johnson był mu za to bardzo wdzięczny - w granicach rozsądku, oczywiście. Tak więc przez zupełny przypadek trzech z nich było bez wątpienia ludźmi czynu, podczas gdy trzej pozostali nie skrzywdziliby nawet muchy. Ryder nie miałby nic przeciwko temu, żeby cała szóstka należała do tej drugiej kategorii. Nie on jednak rozdawał karty.

Rozdział XIII

Helikopter leciał lotem koszącym prosto na wschód. Jego pilot starał się utrzymać poniżej zasięgu radarów, wyobrażając sobie niepotrzebnie, że któryś z nich będzie go próbował wykryć. Po jakimś czasie pilot skręcił gwałtownie na północny zachód i posadził swoją maszynę w pobliżu miasta Gorman, gdzie pasażerowie przesiadli się do mikrobusu. Dojechali nim na południe od Greenfield, a stamtąd zabrał ich inny helikopter. Przez cały ten czas Muldoon i jego schorowane serce cierpieli prawdziwe katusze. Punktualnie o godzinie jedenastej helikopter wylądował na dziedzińcu zamku Adlerheim. Żaden z pasażerów nie mógł tego widzieć, kaptury zdjęto im dopiero wtedy, gdy znaleźli się w głównym hallu.

Morro i Dubois powitali przybyłych.

W skład tego nieoficjalnego komitetu powitalnego wchodził także inni, ale ich rola ograniczała się do czujnego stania z Ingramami w rękę i pilnowania. Byli ubrani po cywilnemu, gdyż ich galabije mogłyby zdradzić przybyłym za wiele.

- Witamy, panie prezydencie - Morro starał się być szarmancki.

- Renegat!

- No, no! - uśmiechnął się Morro. - Spotkaliśmy się tu po to, żeby negocjować, a nie obrzucać się obelgami! A skoro nie jestem Amerykaninem, to jak mogę być renegatem?

- To jeszcze gorzej! Człowiek zdolny do czegoś takiego, co pan zrobił dzisiaj w okolicach Los Angeles, jest zdolny do wszystkiego. Może nawet do porwania prezydenta Stanów Zjednoczonych i żądania za niego okupu! - Hillary roześmiał się pogardliwie i było bardzo prawdopodobne, że świetnie się bawił swoją rolą. - Naraziłem swoje życie, sir.

- Jeżeli się pan boi, to może pan odlecieć już teraz. Może mnie pan nazywać, jak się panu podoba - renegatem, łobuzem, kryminalistą, mordercą, człowiekiem, jak pan twierdzi, całkowicie pozbawionym humanitarnych skrupułów. Ale moje osobiste przekonania i słowo honoru - choć uważa mnie pan za międzynarodowego bandytę - nie mogą być podawane w wątpliwość. Nie mógłby pan, sir, być bardziej bezpieczny nawet w Ovalnym Pokoju.

- Ha! - Hillary powoli czerwieniał z gniewu. Był to jego popisowy numer - wstrzymanie oddechu, naprężenie do maksimum mięśni brzucha. Powoli i niepostrzeżenie Hillary rozluźnił mięśnie i zaczął normalnie oddychać. Jego twarz przybrała znów normalny wyraz. - Niech mnie diabli porwą, jeśli nie spróbuję kiedyś uwierzyć panu.

Morro uklonił się. Nie był to głęboki ukłon, ale jednak stanowił dowód uznania.

- To zaszczyt dla mnie. Abrahamie! Zdjęcia!

Dubois podał mu kilka powiększonych fotografii członków prezydenckiej delegacji. Morro chodził od jednego do drugiego, starannie porównując osobę z jej wizerunkiem.

- Mogę prosić o słówko na osobności? - spytał Hillary'ego, gdy już skończył.

Cokolwiek poczuł w tym momencie Hillary, to jego trzydziestopięcioletnie doświadczenie aktorskie pomogło mu ukryć to uczucie w sposób doskonały. O możliwości takiej sytuacji nikt go nie uprzedził.

- Ten pański zastępca sekretarza skarbu. Dlaczego on tutaj jest? Poznają go, oczywiście, ale dlaczego?

Twarz Hillary'ego powoli stawała się lodowatą maską, upodabniając się do jego wzroku.

- Proszę spojrzeć na Muldoona.

- Rozumiem pańskie obawy. Chce więc pan rozmawiać, powiedzmy, o sprawach finansowych?

- Między innymi.

- A ten człowiek z ciemnymi włosami i wąsami? Wygląda na policjanta.

- Do licha! Bo to jest policjant. Agent Secret Service. Nie wie pan o tym? Prezydent ma zawsze ochronę!

- Nie towarzyszył panu w samolocie.

- Bo to szef Secret Service na Zachodnim Wybrzeżu. Myślałem, że jest pan lepiej poinformowany. Nie wie pan, że podczas lotu... - przerwał. - A skąd pan wie?

- Może mój wywiad - Morro uśmiechnął się - jest prawie tak dobry jak pański. Wracajmy do pozostałych. - Sprowadź doktora - polecił Morro jednemu ze strażników.

To była dramatyczna chwila. Ryder obawiał się, że Morro posłał po lekarza, aby zbadać Muldoona. Nikt nie pomyślał o takiej ewentualności.

- Obawiam się, panowie - powiedział Morro - że trzeba będzie was zrewidować.

- Rewidować prezydenta?! - Hillary znów wykonał swój indyczy numer, po czym rozpiął płaszcz i marynarkę. - Nigdy dotąd nie poddano mnie tak poniżającej czynności w całym moim życiu. Niech pan sam to zrobi.

- Proszę wybaczyć. To chyba nie będzie konieczne. Ale nie dotyczy to pozostałych. Jest pan już, doktorze? - lekarz właśnie pojawił się na scenie. Morro wskazał ręką na Jeffa: - Ten młody człowiek uchodzi za lekarza. Mógłby pan sprawdzić jego torbę lekarską?

Ryder odetchnął z ulgą i nawet nie drgnął, kiedy Morro wskazał na niego.

- To jest, Abrahamie, agent Secret Service z ochrony prezydenta. On może być chodzącą zbrojownią.

Olbrzym podszedł do niego. Ryder zdjął marynarkę i rzucił ją na ziemię. Dubois zrewidował go z zawstydzającą dokładnością, uśmiechając się na widok zaciśniętych pięści Rydera. Posunął się nawet do sprawdzenia skarpetek i butów, badając, czy nie mają skrytek w obcasach. Spojrzał na Morro i powiedział: - Na razie wszystko jest w porządku.

Następnie podniósł marynarkę i przeszukał ją z równie nadzwyczajną dokładnością, zwracając szczególną uwagę na szwy i zaszewki. W końcu oddał ją Ryderowi, zatrzymując tylko dwa długopisy, które znalazł w wewnętrznej kieszeni.

W tym samym czasie lekarz Morro sprawdził torbę Jeffa z taką samą drobiazgowością, z jaką Dubois rewidował Rydera.

Dubois podszedł do Morro, wziął jedno ze zdjęć, wydobył zza paska groźnie wyglądający pistolet, odwrócił zdjęcie, podał jeden z długopisów i powiedział:

- Nie mam ochoty wciskać przycisku, bo ludzie potrafią dzisiaj robić wiele dziwnych rzeczy z długopisami. Oczywiście, nie chcę pana urazić. Może by pan sam coś napisał. Mój pistolet jest wymierzony w pana serce.

- O Jezu! - Ryder wziął fotografię i długopis, wdusił przycisk, napisał coś, ponownie wdusił przycisk i oddał obie rzeczy olbrzymowi.

Ten spojrzał na zdjęcie.

- To nie jest zbyt miłe: - "Niech was diabli porwą" - wręczył Ryderowi drugi długopis. - Mój pistolet wciąż mierzy w pańskie serce.

Ryder znów coś napisał i oddał fotografię.

- "Po trzykroć!" - przeczytał Dubois z uśmiechem, spoglądając na Morro.

Lekarz Morro już wrócił i oddał Jeffowi jego torbę. Spojrzał na Morro i uśmiechnął się.

- Któregoś dnia, sir, da mi pan równie wspaniale wyposażoną torbę lekarską.

- Nie wszyscy możemy być prezydentami Stanów Zjednoczonych.

Lekarz znów się uśmiechnął, uklonił i wyszedł.

- Skoro ta niepotrzebna fanfaronada już dobiegła końca - powiedział Hillary - to chciałby spytać, czy wie pan coś o wieczornych przyzwyczajeniach prezydenta? Wiem, że nie mamy całej nocy przed sobą, ale z pewnością zostało nam trochę czasu na...

- Zdaję sobie sprawę, że kiepsko pełnię obowiązki gospodarza, ale musiałem podjąć pewne środki ostrożności. Na pewno to rozumiecie, panowie.

Delegację ulokowano w prywatnych apartamentach Morro, swym komfortem przypominających ekskluzywną wiejską rezydencję jakiegoś sybaryty. Dwóch mężczyzn ubranych na tę okazję w smokingi roznosiło napoje. Morro wciąż zachowywał swój niewzruszony spokój, czasem tylko uśmiechając się. To mógł być najważniejszy dzień jego życia, ale nie dawał tego po sobie poznać. Siedział obok Hillary'ego.

- Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych - oznajmił Hillary.

- Jestem tego świadom.

- Jestem również politykiem, a mam nadzieję, że nade wszystko jestem mężem stanu. Nauczyłem się akceptować rzeczy nieuniknione. Rozumie pan, że jestem w niepokojąco kłopotliwym położeniu.

- Tego również jestem świadom.

- Przyleciałem tutaj, żeby się targować - zamilkł na dłuższą chwilę. - Pewien słynny brytyjski minister spraw zagranicznych zapytał kiedyś: "Czy wysłalibyście mnie nago za stół konferencyjny?" - Morro nic nie odpowiedział.

- Mam jedną prośbę. Zanim podejmę publiczne zobowiązania, chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy - Morro zawahał się.

- Przecież nie mamy przy sobie broni. Niech pan weźmie ze sobą tego olbrzyma, jeśli pan chce. Czy żądam za dużo?

- Nie.

- Zgadza się pan?

- W tych okolicznościach jest to najmniejsze z możliwych żądań.

- Dziękuję - nutka irytacji zabrzmiała w głosie Hillary'ego. - Czy jest konieczne, żeby trzech uzbrojonych strażników pilnowało ośmiu bezbronnych ludzi?

- Przyzwyczajenie, panie prezydencie.

Muldoon pochylił się w swoim fotelu, a Jeff, ze stetoskopem zawieszonym na szyi, podszedł do niego, trzymając w dłoni szklankę z wodą i kilka pastylek.

- To co zwykle, doktorze? - zapytał Hillary, podnosząc głos. Jeff skinął potakująco głową.

- Digitalis - oznajmił Hillary.

- To na pobudzenie serca? - spytał Morro.

- Tak - odparł Hillary, wypił łyk whisky, po czym dodał nagle: - Ma pan tutaj, oczywiście, zakładników.

- Mamy ich, ale nie stała się im żadna krzywda. Zapewniam pana.

- Nie mogę pana zrozumieć, Morro. Jest pan bardzo wykształcony, bardzo inteligentny, rozsądny, a robi pan to, co pan zrobił. Co pana do tego ciągnie?

- Są pewne sprawy, o których wolałbym nie rozmawiać.

- Niech pan ich przyprowadzi, bo jak Bóg w niebie, nie będę z panem rozmawiał. Mój sąd o panu może być błędny. Może jednak - powiedziałem: może - jest pan nieludzkim potworem, jak się powszechnie sądzi. Jeżeli oni nie żyją - niech Bóg broni, żeby tak było - to będzie pan musiał również zabić prezydenta, bo i tak nie będę z panem rozmawiał.

Minęła długa chwila ciszy, zanim Morro się odezwał.

- Czy zna pan panią Ryder?

- Kto to jest?

- Jedna z naszych zakładniczek. To, co pan powiedział, zabrzmiało tak, jakby miał pan z nią kontakt telepatyczny.

- Muszę się martwić o Chiny - odparł Hillary - o Rosję. O politykę zagraniczną, o EWG, o gospodarkę, o recesję. Umysł ludzki nie jest w stanie wszystkiego spamiętać. Gdzie jest ta... jak ona się nazywa?

- Pani Ryder.

- Jeśli żyje, to niech pan ją tu sprowadzi. Jeśli ona ma takie zdolności telepatyczne, to będę mógł zmienić wiceprezydenta.

- Wiedziałem, zanim pan tu przybył, i ona też wiedziała, że zażąda pan takiego spotkania. Bardzo dobrze. Dziesięć minut - Morro skinął na jednego ze strażników.

Te dziesięć minut minęło bardzo szybko. O wiele za szybko, jak na potrzeby zakładników, ale Ryder wykorzystał je maksymalnie. Z właściwą sobie gościnnością Morro częstował każdego z zakładników drinkiem, uprzedzając, że spotkanie będzie krótkie. Oczywiście, wszystkich najbardziej interesował Hillary, który ze znużoną miną, ale czarująco zdeklasował wszystkich prezydentów razem wziętych. Morro nie odstępował go ani na krok. Nawet przerażający potwór okazał swe ludzkie oblicze - nie każdy ma okazję przedstawić swoim gościom prezydenta.

Ryder kręcił się ze szklaneczką w dłoni, zamieniając z każdym kogo spotkał, po kilka słów. Szóstej czy siódmej osobie, z którą tak gadał, zadał wreszcie prawdziwe pytanie:

- Doktor Healey?

- Tak. Skąd pan wie.

Ryder nie odpowiedział. W swoim życiu przyglądał się zbyt wielu zdjęciom przez zbyt długi czas. - Czy potrafi pan zachować kamienną twarz?

Healey spojrzał na niego, zachowując kamienną twarz.

- Tak.

- Nazywam się Ryder.

- Tak? - Healey uśmiechnął się do kelnera, dolewającego do jego szklanki trochę alkoholu.

- Gdzie jest przycisk? Przełącznik?

- Na prawo. Winda. Cztery pokoje. W ostatnim.

Ryder oddalił się, porozmawiał z jedną czy dwoma innymi osobami. Potem znów podszedł do Healeya.

- Nikomu ani słowa. Nawet Susan - wiedział, że zastrzeżenie uwiarygodni go ponad wszelką wątpliwość: - Ostatni pokój?

- Mała kabinka. W niej stalowe drzwi. On ma klucz. Przycisk jest w środku.

- Strażnicy?

- Czterech lub sześciu na dziedzińcu.

Ryder odszedł i usiadł. Healey zjawił się obok. - Przy wyjściu z windy są schody - Ryder nawet nie podniósł głowy.

Przyglądał się synowi, który zachowywał się wspaniale, jak prawdziwy lekarz. Nie odstępował na krok Muldoona i ani razu nie spojrzał na matkę czy siostrę. Zasługuje, pomyślał Ryder, na awans na sierżanta - co najmniej. Nawet nie przyszło mu do głowy pomyśleć o własnej przyszłości.

Dwie minuty później Morro grzecznie przerwał spotkanie. Zakładnicy posłusznie wyszli. Ani Susan, ani Peggy nawet nie spojrzały na Rydera czy Jeffa.

- Wybaczcie mi, panowie - Morro wstał. - Muszą przeprowadzić z prezydentem krótką prywatną rozmowę. Zapewniam was, że to potrwa tylko kilka minut.

Rozejrzał się dookoła. W pobliżu było trzech strażników uzbrojonych w Ingramy i dwóch kelnerów, którzy mieli ukryte pistolety. Ostrożność została posunięta aż do przesady, ale dzięki niej Morro przeżył wszystkie te długie i niebezpieczne lata. - Chodź z nami, Abrahamie - powiedział.

Wyszli na korytarz. Po chwili znaleźli się w małym pokoju, tak pustym, że prawie ponurym - stał tam tylko stół i kilka krzeseł.

- Przyszliśmy tutaj rozmawiać o dużych pieniądzach, panie prezydencie.

- Jest pan zadziwiająco - Hillary westchnął - choć nieco denerwująco szczery. - Czy chce mi pan powiedzieć, że nie ma już tej cudownej whisky?

- Niech Bóg - a raczej powinienem powiedzieć - Allah chroni nas przed najmniejszym nietaktem wobec lidera... Wspomniał pan niedawno o rzeczach

nieuniknionych. Zresztą, nieważne. Tylko nieprzeciętny umysł akceptuje rzeczy nieuniknione.

Morro milczał. Do pokoju wszedł Dubois i postawił na stole szklanki. Poszedł po butelkę - Glenfiddicha, oczywiście. Morro przyglądał się w milczeniu, jak Dubois napełnia szklanki, a potem uniósł swoją. Nie miał to jednak być toast.

- Jaka jest pańska propozycja? - spytał prezydenta.

- Zaraz zrozumiecie, dlaczego chciałem rozmawiać w cztery oczy. Ja, prezydent Stanów Zjednoczonych, czuję się, jakbym sprzedawał Stany Zjednoczone. Dziesięć miliardów dolarów.

- Wypijmy za to.

Ryder ze szklanką w dłoni krążył powoli po pokoju. Drugą ręką, schowaną w kieszeni marynarki, nacisnął - zgodnie z instrukcją - sześć razy przycisk długopisu. Za szóstym razem wkład wypadł. Harlinson stał tuż obok jednego z kelnerów. Greenshaw właśnie zamówił następnego drinka.

Muldoon, czyli Ludwig Johnson, był odwrócony tyłem do wszystkich. Zadrżał i wydał z siebie dziwne jęki. Jeff pochylił się nad nim, sprawdził puls i przyłożył stetoskop do serca. Można było dostrzec, że twarz Jeffa staje się pełna napięcia. Zdjął z niego marynarkę, rozpiął wielką kamizelkę i zaczął robić coś, czego żaden ze strażników nie mógł dojrzeć.

- Co się dzieje? - zapytał jeden z nich.

- Cicho! - Jeff był lakoniczny. - Jest bardzo chory. Robię mu masaż serca - spojrzał na Bonna. - Proszę mu unieść plecy.

Bonn pochylił się, aby to zrobić, i w tym momencie dało się słyszeć ciche skrzypnięcie. Ryder zaklął w myślach. Zamki z plastiku miały być podobno bezgłośne. Strażnik, który zadał Jeffowi to pytanie, zrobił krok do przodu. Na jego twarzy pojawiła się podejrzliwość i niepewność.

- Co to było?

Najbliższy strażnik znajdował się zaledwie metr od Rydera. Z takiej odległości, nawet używając długopisu, nie można było spudłować. Strażnik wydał z siebie jakieś dziwne westchnienie, zachwiał się i upadł na podłogę. Dwaj pozostali strażnicy odwrócili się i patrzyli z niedowierzaniem. Przez trzy sekundy przyglądali się koledze, co było śmiesznie długim czasem dla Myrona Bonna, luminarza prawa z więzienia Donnemara, aby strzelić im w serca ze smitha-wesson z tłumikiem. W tym samym czasie Greenshaw

trzepnął kelnera, pochylającego się nad nim z drinkiem, a Harlinson uczynił to samo z kelnerem, który stał przed nim.

Johnson nosił pod koszulą podwójny gorset zapinany na rzepy. Pod nim, w miejscu gdzie powinna się znajdować dolna część brzucha, znajdowała się warstwa gumy kauczukowej, gruba prawie na trzydzieści centymetrów. Do jego ciała przylegała druga warstwa kauczuku, prawie tak samo gruba. To właśnie zrobienie z Johnsona grubasa zabrało aż sześć godzin pracy trzem charakteryzatorom, zanim zdołali nadać mu fizyczne wymiary Muldoona. Między dwiema warstwami gumowej pianki były ukryte trzy pistolety, również owinięte w gumę, i części dwóch kałasznikowów. Ich zmontowanie zajęło Ryderowi i Jeffowi nie więcej niż minutę.

- Bonn - poleciał Ryder - jesteś snajperem. Stań na zewnątrz. Jeśli ktokolwiek pojawi się z którejkolwiek strony na korytarzu, to wiesz, co masz robić.

- Czy będę mógł skończyć moją pracę? Piszę nie byle co, bo doktorat...

- Przyjdę na jej obronę. Jeff, pułkownik Greenshaw, panie Harlinson - na dole na dziedzińcu są uzbrojeni strażnicy. Nie obchodzi mnie, ile narobicie hałasu. Zabijcie ich.

- Tato! - Jeff był blady, zaszokowany, a w jego głosie brzmiał błagalny ton.

- Oddaj kałasznikowa Bonnowi. Ci ludzie gotowi byli zabić milion, miliony twoich rodaków z Kalifornii.

- Na Boga! Tato!

- Twoja matka...

Jeff opuścił pokój, a za nim Greenshaw i Harlinson. Bonn i Ryder wyszli za nimi na korytarz i wtedy właśnie Ryder popełnił swój pierwszy błąd, pierwszy od chwili, gdy zadzwonił głupekowaty porucznik i poinformował go o włamaniu do San Ruffino. Nie był to błąd w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo nie wiedział, dokąd Morro i Dubois zabrali Hillary'ego. Był po prostu bardzo zmęczony. Gdyby nie był - zapewne pomyślałby o tym, że Morro i Dubois poszli do pokoju, który mógł się znajdować między ich pomieszczeniem a windą, prowadzącą do piwnic. Był jednak bardzo zmęczony, choć robił wrażenie człowieka z żelaza. Ale nie ma ludzi z żelaza.

Wsluchiwał się w terkot kałasznikowów i zastanawiał się, czy Jeff mu kiedykolwiek wybaczy. Raczej nigdy - pomyślał i niewielkim pocieszeniem była dla niego świadomość, że miliony Kalifornijczyków już mu wybaczyły. Jeżeli... Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie nadszedł czas wybaczenia.

Pięć metrów w prawo od niego pojawił się Dubois z bronią w rękę, a za nim Morro, ciągnący ze sobą Hillary'ego. Ryder uniósł kałasznikowa i Dubois zginął. Nie było

możliwości sprawdzić, gdzie trafiła go kula, ale to nie Ryder nacisnął na spust. Przyszły doktor filozofii wciąż zbierał materiały do swojego doktoratu.

Morro oddalał się, zasłaniając się, jak tarczą, Hillarym. Drzwi windy znajdowały się tylko pięć metrów od niego.

- Stać! - głos Rydera był dziwnie spokojny. - Pilnuj lewej strony!

Przestawił kałasznikowa na pojedynczy ogień i nacisnął spust. Nie chciał tego robić i nienawidził się za to. Hillary radośnie przyznawał, że jest spisany na straty, ale jak dowiedział dzisiejszy wieczór, był też człowiekiem niezwykle sympatycznym. Odważnym, wesołym i ludzkim, ale miliony Kalifornijczyków było równie miłych.

Pocisk trafił Morro w ramię. Nie krzyknął ani nie drgnął, tylko coś mruknął i nadal ciągnął Hillary'ego w kierunku windy. Jej drzwi były otwarte. Wepchnął Hillary'ego do środka i miał już sam do niej wejść, kiedy drugi pocisk trafił go w udo. Tym razem krzyknął.

Przeciętny człowiek, mając strzaskaną kość udową, albo od razu mdleje, albo pokornie czeka, żeby zabrała go karetka pogotowia, bo po pierwszym wstrząsie przy każdej poważnej ranie nie czuje się wielkiego bólu, tylko obezwładniające oszołomienie. Ból przychodzi później. Morro, jak można się było właśnie przekonać, nie był jednak zwykłym człowiekiem. Drzwi windy zamknęły się i cichy szum, jaki wydała zjeżdżając w dół, był wystarczającym dowodem na to, że Morro zachował tyle przytomności, by nacisnąć guzik.

Ryder dopadł zamkniętych drzwi szybu i znieruchomiał. Przez kilka sekund myślał tylko o Morro, torującym sobie drogę do apokaliptycznego przycisku. Potem przypomniał sobie słowa Healeya. Schody.

Zaczynały się trzy metry dalej. Były nie oświetlone. Gdzieś musiał być włącznik światła, ale Ryder nie wiedział, gdzie. Skoczył w całkowitą ciemność i zwałił się, ciężko uderzywszy o ścianę. To była klatka schodowa. Obrócił się w prawo, znalazł stopnie schodów i tym razem był na tyle ostrożny, by przewidzieć, gdzie się one skończą. Jak wielu ludzi, machinalnie liczył stopnie na każdym podejściu - trzynaście. Trzeci fragment pokonał ostrożnie, a czwarty nie przedstawiał żadnych problemów, bo był oświetlony.

Drzwi windy były otwarte. Wewnątrz kabiny siedział otepiały Hillary i masował sobie tył głowy. Nie patrzył na Rydera, a Ryder nie patrzył na niego. "Czwarte" - powiedział wtedy Healey, więc Ryder dotarł do czwartego pomieszczenia i w małej drewnianej kabinie zobaczył usiłującego się podnieść Morro. Musiał wlec się jak ranne zwierzę przez wszystkie cztery pomieszczenia, bo jego noga stała się bezużyteczna, a jego beznadziejną wędrówkę znaczyła krwawa linia.

Morro mocował się z drzwiami, ale wreszcie je otworzył. Chwiejnym krokiem wpadł do środka. Wyglądał jak szaleniec, pogrążony bez reszty w szaleńczym świecie swoich szaleńczych wizji. Ryder podniósł kałasznikowa. Teraz już nie musiał się spieszyć. Miał czas.

- Stój, Morro! Stój! Proszę cię! - krzyknął.

Morro był śmiertelnie ranny. Jego umysł przestawał funkcjonować. Ale nawet gdyby był zdrowy na ciele i umyśle, to prawdopodobnie zachowywałby się tak samo. Na szczęście, niewielu jest na świecie takich jak on, dla których fanatyzm jest jedyną siłą motoryczną i życiodajną.

W jakiś nieprawdopodobny sposób Morro dostał się do pudełka z detonatorem i zaczął odkręcać plastikową pokrywę ochraniającą czerwoną gałkę. Ryder był jeszcze trzy metry od niego. Za daleko, żeby go powstrzymać.

Przestawił kałasznikowa na ogień ciągły.

- Jak możesz pić whisky tego potwora? - zapytała Susan.

- Gdy się nie ma, co się lubi... - odparł Ryder. Susan płakała i drżała. Ryder nigdy dotąd nie widział jej w takim stanie. Przygarnął mocniej ramieniem córkę, która siedziała na poręczy fotela obok niego, i kiwnął głową w stronę biura Morro, gdzie Burnett prowadził seminarium.

- Co dobre dla profesora...

- Cicho bądź. Wiesz? Nawet mi się taki podobasz. Może powinieneś już taki zostać?

Ryder milcząc wypił następny łyk Glenfiddicha.

- Jest mi jednak trochę przykro - powiedziała Susan. - Był przestępcą, zgoda, ale miłym przestępcą.

Ryder wiedział, jak ma postępować z tą jedyną na świecie osobą. Po prostu się nie odezwał.

- Koniec koszmaru - stwierdziła Susan. - Teraz już zawsze będziemy szczęśliwi.

- Tak. Pierwszy helikopter powinien tu być za dziesięć minut. Na panie czekają już łóżka. Czy zawsze będziemy szczęśliwi? Może... Może będziemy mieli tyle szczęścia, co Myron Bonn, i uzyskamy odroczenie egzekucji. A może nie? Gdzieś tam w mroku, tuż pod naszymi drzwiami, wciąż czai się potwór. I czeka.

- Na miłość boską! John! Co ci się stało? Nigdy nie mówisz takich rzeczy.

- To prawda. To słowa pewnego profesora z Uniwersytetu Kalifornijskiego.
Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się przenieść do Nowego Orleanu?

- Po co, na miłość boską?

- Tam nigdy nie było trzęsienia ziemi.